

Zabójca Skavenów

King William

Książka II z Przygody Gotreka i
Felixa



calibre 0.9.43

William King

ZA

Z B

A Ó

B J

Ó C

J A

C

A S K

S A

K V

A E

V N

E Ó

N W

Ó

Przygody Gotreka i Felixa tom II

Tłumaczył Grzegorz Bonikowski

PAZUR SKAVENA

„Usiłuję zapomnieć o długiej, mozolnej wędrówce przez okryty płaszczem zimy las, po naszym spotkaniu z dziećmi Ulryka. Do dziś dnia boleję myśląc o karze, jaką wymierzaliśmy tej dziewczynie, Magdalenie, lecz mój towarzysz był nieubłagany i żadne napotkane zło nie mogło zostać oszczędzone – nie dało się tego uniknąć. Tak stało się w tym przypadku. Z ciężkim sercem, ponownie wkroczyliśmy do puszczy i ruszyliśmy ku północy.

Po długim marszu znaleźliśmy się wreszcie w mieście Wielkiej Elektorki Nuln – miejscu subtelnym, wyrafinowanym, majętnym i wielce uczonym – a także mieście, w którym moja rodzina od dawna prowadziła interesy. Podówczas hrabina Emmanuelle była u szczytu swej sławy, potęgi i urody, a jej miasto przyciągało arystokratów, ludzi możnych i sławnych – niczym płomień świecy wabiący ćmy. Nuln było jednym z najpiękniejszych miast w całym Imperium.

Oczywiście, nasze wtargnięcie w życie miasta nastąpiło na znacznie niższym poziomie hierarchii społecznej. Bez pieniędzy, głodni i zmęczeni długą podróżą, byliśmy zmuszeni przyjąć zatrudnienie w prawdopodobnie najpodlejszym zawodzie, jakiego imaliśmy się podczas naszych długich włóczęg. W tym także czasie spotkaliśmy wroga, który miał nas prześladować przez długie jeszcze lata.”

– Fragment z *Moich Podróż z Gotrekiem*,

Tom III, spisanych przez Herr Felixa Jaegera

(Wydawnictwo Altdorf, rok 2505)

– Grzęznę w rynsztoku polując na gobliny. Cóż to za życie? – Felix Jaeger mruknął z przejęciem.

Otwarcie przeklinał wszystkich bogów. W swoim czasie uważał się za kogoś w rodzaju eksperta od odwiedzania miejsc mało pociągających, ale to z pewnością przebijało wszystkie pozostałe. Dwadzieścia stóp ponad jego głową mieszkańcy Nuln prowadzili swoje codzienne zajęcia. A on tkwił w ciemnościach, czołgając się wzdłuż wąskich chodników, gdzie jedno poślizgnięcie mogło sprawić, że skończy zanurzony po szyję w parujących nieczystościach. Plecy bolały go od godzin nieustannego pochylania się. Istotnie, podczas całej długiej znajomości z Zabójcą Trolli, Gotrekiem Gurnissonem, nigdy jeszcze nie upadł tak nisko.

– Przestań jęczeć, człeczyno. Taka praca, rozumiesz? – powiedział

radośnie Gotrek, nie zwracając najmniejszej uwagi na smród, niewygodę wąskiego chodnika, ani na bliskość buzującego bulionu ekskrementów, który kanalarze nazywali „gulaszem”.

Zabójca zdawał się czuć jak w domu wśród niekończącego się labiryntu ceglanych ścian i kanałów. Dzięki swej przysadzistej, muskularnej sylwetce Gotrek był znacznie lepiej od Felixa przystosowany do tej pracy.

Krasnolud wybierał drogę wzdłuż występów stąpając pewnie niczym kot.

W ciągu dwóch tygodni, podczas których stanowili część straży ściekowej, Gotrek okazał się znacznie zdolniejszym pracownikiem niż weterani mający za sobą dziesięć lat służby. Był jednak krasnoludem – jego lud pochodził z pozbawionych światła miejsc leżących bardzo głęboko pod Starym Światem.

Pewnie przydaje mu się zdolność widzenia w mroku, pomyślał Felix.

Nie musi polegać na migotliwym świetle latarni strażników. To jednak nadal nie tłumaczyło, jak krasnolud wytrzymał smród. Felix wątpił, by nawet twierdze krasnoludów cuchnęły tak podle. Odór bijący z dołu był

nieprawdopodobnie obrzydliwy. Felixowi kręciło się w głowie od oparów.

Zabójca Trolli wyglądał dziwnie bez swojej ulubionej broni. Felix zaczął już sobie wyobrażać, że topór bojowy jest wszczepiony w rękę krasnoluda. Teraz wielki topór z gwiazdowego metalu spoczywał

przytroczony na jego plecach. W kanałach przeważnie nie było dość miejsca, by wykonywać zamachy tą bronią. Felix bezskutecznie próbował

przekonać Gotreka, by ten zostawił topór w zbrojowni straży obok magicznego miecza. Nawet przestroga, że ciężki topór pociągnie go na dno, gdyby potknął się i wpadł do ścieków, nie sprawiła, by Zabójca rozstał się ze swym ukochanym orężem. A zatem, Gotrek niósł w prawej dłoni siekierkę do rzucania i wielki bojowy czekan w lewej. Felix wzdrygnął się na myśl o skutkach użycia tego drugiego. Przedmiot przypominał duży młot z okrutnie zakrzywionym kolcem. Nie było wątpliwości, że w niesamowicie silnych rękach krasnoluda to narzędzie mogło z łatwością miażdżyć kości i rozdzierać mięśnie.

Felix zacisnął palce na rękojeści krótkiego miecza i żałował, że nie ma ze sobą magicznego smoczego ostrza templariusza Aldreda. Perspektywa zmierzenia się z goblinami w ciemnościach sprawiła, że zaczął tęsknić za pewnością siebie, jaką dawała mu obecność znanej broni. Być może Gotrek miał rację trzymając topór tak blisko?

W blasku światła latarni kanalarze wydawali się złowieszczyimi postaciami kryjącymi się w cieniu. Nie nosili żadnych wyróżniających mundurów, poza zwykłymi szalikami, które owijały ich głowy niczym arabskie turbany, a długi zawój zasłaniał im usta. W ciągu ostatnich dwóch tygodni Felix poznał już swoich towarzyszy na tyle dobrze, by rozpoznawać strażników po sylwetkach.

Był tam wysoki, szczupły Gant, którego szal osłaniał twarz przypominającą powierzchnię księżyca pokrytą dziobami i wągrami. Jego kark stanowił wulkaniczny archipelag wzbierających ropą wrzodów. Gant mógł służyć za doskonały argument, by nie pracować jako kanalarz przez dwadzieścia lat. Felix kulił się w sobie na myśl o jego bezzębnym uśmiechu, podłym oddechu i jeszcze gorszych dowcipach. Oczywiście, nigdy nie powiedział o tym Gantowi prosto w twarz. Sierżant napomknął, że zabił już za to wielu ludzi.

Był też przysadzisty, przypominający wielką małpę Rudi, ze swoją masywną niczym beczka klatką

piersiową i dłońmi niemal tak wielkimi, jak należące do Gotreka. Często zmagał się z Zabójcą Trolli w tawernie, po pracy, na rękę. Pomimo wysiłku wyciskającego pot, który spływał po jego łysym łbie, Rudi nigdy nie pokonał krasnoluda, chociaż zbliżył się do tego bardziej niż jakikolwiek inny człowiek, jakiego widział Felix.

Byli tam wreszcie Hef i Spider, „nowe chłopaki”, jak zwykł nazywać ich Gant, ponieważ służyli w straży ściekowej zaledwie od siedmiu lat. Te identyczne bliźniaki żyły na powierzchni z tą samą kobietą i mieli nawyk kończenia wypowiedzi drugiego. Ich długie twarze o zapadłych policzkach i rybich, wytrzeszczonych oczach były tak dziwne, że Felix podejrzewał, iż w ich rodzinie musiały nastąpić akty kazirodu lub objawiała się wrodzona mutacja. Nie wątpił jednak w zabójczą skuteczność braci podczas walki, ani w ich oddanie sobie nawzajem oraz ich dziewczynie, Gildzie. Pewnego wieczora widział straszne rzeczy, kiedy bracia wypatroszyli swoimi hakowatymi nożami rajfura, który ośmielił się ją obrazić.

Poza gburowatym jednookim krasnoludem, byli to jedyni ludzie, z którymi pracował. Stanowili najbardziej zdesperowaną załogę, jaką kiedykolwiek znał. To byli występni mężczyźni, którzy nie mogli znaleźć odpowiedniej pracy gdziekolwiek indziej i wreszcie znaleźli pracodawcę nie zadającego żadnych pytań.

Czasami Felix miał ochotę pójść do biura spółki swojego ojca, aby błagać o pieniądze, dzięki którym mógłby opuścić to miejsce. Wiedział, że dostałby je. Nadal był synem Gustava Jaegera, jednego z najbogatszych kupców Imperium. Wiedział także, że wieść o jego kapitulacji dotarłaby do rodziny. Dowiedzieliby się, że wrócił do nich skamłając o pomoc, mimo wszystkich szumnych przechwałek. Dowiedzieliby się, że wziął pieniądze, którymi podobno gardził. Oczywiście, łatwo było pogardzać pieniędzmi w dniu, w którym opuścił dom, ponieważ nigdy wcześniej nie zaznał ich braku. Groźby ojca o wydziedziczeniu były pozbawione znaczenia, gdyż po prostu ich nie rozumiał. Wychował się w bogactwie. Biedacy stanowili inny gatunek: smutne, chore stworzenia żebrzące na rogach ulic i stojące na drodze powozu. Od tego dnia wiele się nauczył. Wycierpiał liczne niedostatki i przekonał się, że potrafi je przetrzymać.

Ale to była już niemal ostateczność: został zmuszony, by stać się kanalarzem, najniższym wśród najniższych najemnych awanturników w Nuln. Po prostu nie było niczego innego. Od czasu ich przybycia do miasta, nikt nie chciał zatrudnić dwóch obdartych włóczęgów, takich jak on i Gotrek. Felix z bólem myślał o swoim wyglądzie, gdy poszukiwał

pracy w wytartych butach i połatanym płaszczu. Zawsze starał się ubierać elegancko.

Teraz jednak potrzebowali pieniędzy – jakichkolwiek pieniędzy. Długa wędrówka przez ziemie Księstw Granicznych nie przyniosła żadnych zysków. Znaleźli zaginiony skarb w Karaku Osiem Szczytów, ale pozostawili go duchom prawowitych właścicieli. Znaleźć pracę lub kraść –

to była kwestia życia lub śmierci, a zarówno Felix, jak i Zabójca Trolli byli zbyt dumni, by zniżyć się do złodziejstwa lub żebractwa. Tak oto znaleźli się w kanałach ściekowych pod drugim co do wielkości miastem Imperium, pełzali pod siedzibą wiedzy, szkołą, o wstąpieniu do której marzył kiedyś Felix. Odwiedzali oślizgłe tunele pod domem hrabiny elektorki Emmanuelle, najświetniejszej piękności narodu.

Tego nie dało się znieść. Felix stale zastanawiał się, jaka przeklęta gwiazda przyświecała jego narodzinom. Pokrzepiał się myślą, że przynajmniej było spokojnie. To była brudna robota, ale jak dotąd nie okazała się niebezpieczna.

– Ślady! – usłyszał okrzyk Ganta. – Ha! Ha! Znaleźliśmy parę małych łajdaków. Szykujcie się do akcji, chłopaki.

– Dobrze! – huknął Gotrek.

– Szlag by to... – mruknął Felix. Nawet będąc tak mało doświadczonym kanalarzem, Felix potrafił dostrzec te ślady.

– Skaveni – Gotrek przyjrzał się uważnie i splunął obficie flegmą w główny kanał ściekowy. Plwocina załśniła na plamie fosforyzujących alg.

– Szczuroludzie, pomiot Chaosu.

Felix zaklął. Pracował dopiero od dwóch tygodni, a za chwilę miał

spotkać stworzenia zrodzone w głębinach. Udawało mu się ignorować opowieści Ganta, które traktował jako zwykłe bajdy człowieka nie mającego lepszego pomysłu na wypełnienie długich, żmudnych godzin pracy.

Felix często zastanawiał się, czy rzeczywiście może istnieć cały szalony, podziemny świat pod miastem, co sugerował Gant. Czy istniały kolonie wypędzonych mutantów poszukujących schronienia w ciepłych ciemnościach i wypełzających nocą, aby nawiedzać rynek w poszukiwaniu resztek? Czy faktycznie istniały piwnice, w których zakazane kulty odprawiały upiorne rytuały i składały ofiary z ludzi dla Niszczycielskich Mocy? Czy było możliwe, że wielkie szczury, które swoją postacią szydziły z człowieka, istotnie wędrowały przez podziemne głębie? Gdy spoglądał na odkryte ślady, wszystko to nagle stało się aż nazbyt możliwe.

Felix przez chwilę stał pogrążony w myślach, wspominając opowieści Gotreka o skavenach i sieciach tuneli rozciągającej się pod całym kontynentem. Gant podwinął rękawy swojej koszuli.

– Dobra, zabierajmy się za to – powiedział sierżant. – Nie mamy całego dnia.

– Nigdy tutaj nie byłem – wyszeptał Hef. Jego głos odbijał się echem wzdłuż długiego korytarza.

– Ja nigdy nie chciałem tutaj wracać – dodał Spider, pocierając siny tatuaż na swoim policzku przedstawiający pająka. Po raz pierwszy Felix zmuszony był zgodzić się z nim. Nawet według standardów kanałów Nuln, to było paskudne miejsce. Ściany wyglądały na pokruszone i przegniłe.

Małe gargulce na łukach wsporników były wytarte ze starości, aż ich szczegóły przestały być widoczne. Gulasz nieczystości wzbierał bąblami, a drobne kłęby pary podnosiły się w miejscach, w których bąble wyrywały się na powierzchnię. Powietrze było lepkie, cuchnące i gorące.

Było jeszcze coś – to miejsce emanowało bardziej nieprzyjemną atmosferą niż zazwyczaj. Włosy na

karku Felixa świerzbiły, tak jak wówczas, kiedy wyczuwał w pobliżu prądy czarodziejstwa.

– To nie wygląda bezpiecznie – powiedział Rudi patrząc z powątpiewaniem na łuk wspornika. Gotrek wykrzywił twarz, jakby usłyszał osobistą zniewagę.

– Nonsens – rzekł. – Te tunele zostały zbudowane przez krasnoludy tysiąc lat temu. To rzemiosło Khazalidów. Wytrzyma przez wieczność.

Aby dowieść swojej racji, rąbnął łuk pięścią. Może był to tylko pech, ale gargulec wybrał właśnie ten moment, by spaść z kamiennej półki.

Zabójca musiał uskoczyć na drugą stronę chodnika, unikając uderzenia w głowę i z trudem udało mu się nie ześlizgnąć do ścieku.

– Oczywiście – dodał Gotrek – część tej roboty została wykonana przez człeczych murarzy. Na przykład ten gargulec – typowe kiepskie człecze rzemiosło.

Nikt się nie zaśmiał. Tylko Felix pozwolił sobie na uśmiech. Gant spojrział na sufit. Lampa odstawiona u jego stóp podświetlała twarz nadając mu osobliwy i demoniczny wygląd.

– Musimy być już pod Starą Dzielnicą – powiedział zamyślony. Felix domyślał się, że kanalarz rozmyślał o dzielnicy pałaców. Dziwna melancholia przemieniła jego wychudzone, kościste oblicze. Felix ciekaw był, czy Gant zastanawia się nad różnicami między swoim życiem, a skąpanej w złocie egzystencji tych powyżej, czy zamyślił się nad wspaniałościami, jakich nigdy nie zaznał oraz szansą, jakiej nigdy nie dostał. Przez chwilę czuł współczucie dla tego człowieka.

– Tam musi być fortuna – rzekł Gant. – Chciałbym móc się tam wspiąć i to zabrać. No cóż, nie ma sensu marnować czasu. Robota nagli.

– Co to było? – zapytał nagle Gotrek. Inni rozejrzeli się wokół siebie zaskoczeni.

– Co było, co? – spytał Hef.

– I gdzie to było? – dodał Spider.

– Coś usłyszałem. Z tej strony. – Spojrzenia wszystkich podążyły w kierunku wskazywanym przez palec Zabójcy Trolli.

– Przywidziało ci się – powiedział Rudi.

– Krasnoludy nie mają przywidzeń.

– Hej, sierżancie, czy musimy to sprawdzać? – jęknął Rudi. – Chcę iść do domu.

Gant potarł lewe oko knykциями prawej pięści. Najwyraźniej próbował

się skupić. Felix dostrzegł jego wahanie. Chciał odejść i ruszyć do tawerny nie mniej niż pozostali,

ale był odpowiedzialny za to, co się tutaj działo. Jeśli pod pałacami miało miejsce coś złego i ktoś dowiedziałby się, że tu byli i nic z tym nie zrobili, wówczas przypląciłyby to głową.

– Lepiej się temu przyjrzyjmy – powiedział wreszcie ignorując pojękiwania kolegów. – To nie powinno zabrać wiele czasu. Założę się, że to nic takiego.

Znając swoje szczęście Felix uznał, że nie założyłby się o to.

Woda kapała z łuku sklepienia tunelu. Gant zawęził otwór swojej latarni tak, że widoczny był zaledwie słaby poblask światła. Z przodu dochodziły głosy rozmawiających. Nawet Felix mógł je teraz usłyszeć.

Jeden z głosów należał do człowieka mówiącego z akcentem arystokraty.

Trudno było jednak uwierzyć, by drugi głos należał do człowieka. Był

bardzo wysoki, dziwny i piskliwy. Gdyby szczury mogłyby mówić, ich głos brzmiałby właśnie w ten sposób.

Gant zatrzymał się i spojrzął na swoich ludzi z tyłu. Jego twarz była blada i zaniepokojona. Najwyraźniej nie chciał iść dalej. Przyglądając się twarzom kolegów, Felix domyślał się, że wszyscy czuli to samo. To był

koniec dnia pracy. Wszyscy byli zmęczeni i przestraszeni, a przed nimi czekało coś, z czym nie chcieli się spotkać. Byli jednak kanalarzami –

ludźmi, których jedyną cnotą była odwaga i gotowość zmierzenia się z czymś, czego inni woleliby unikać, w miejscu, dokąd nikt inny by nie poszedł. Mieli swoją dumę.

Gotrek podrzucił siekierkę. Zawirowała w górze odbijając promień światła. Zabójca Trolli bez widocznego wysiłku złapał spadające narzędzie. Spider wyciągnął z pochwy długi nóż i wzruszył ramionami.

Hef uśmiechnął się dziko. Rudi spojrzął w dół na swój krótki miecz i skinął głową. Gant wyszczerzył zęby. Zabójca Trolli wyglądał na zadowolonego. Znajdował się w otoczeniu maniaków, których desperacja była dla niego zrozumiała.

Gant dał znak gestem dłoni i ruszyli naprzód, ostrożnie i cicho odnajdując drogę wzdłuż śliskiego występu. Gdy minęli zakręt, otworzył

zasłonę latarni, aby oświetlić znalezisko.

– Oto twoja zapłata, dowód mojego uznania. Coś do użytku osobistego.

Felix usłyszał arystokratyczny głos. Dwie postacie stały w bezruchu niczym trolle z bajki, skamieniałe pod wpływem nagłego blasku jasnego światła. Jedną z nich był wysoki mężczyzna odziany niczym mnich w długą, czarną szatę. Miał twarz patrycjusza: drobnokościstą, zimną i

nieprzystępną. Czarne włosy były krótko przycięte i kończyły się trójkątnym szpicem nad czołem. Wyciągał rękę w kierunku drugiej postaci trzymając w dłoni dziwnie lśniący przedmiot.

Felix rozpoznał to. Widział już wcześniej tę substancję w porzuconej krasnoludzkiej fortecy Karaku Osiem Szczytów. To była kula spaczenia.

Postać, która chciała ją odebrać, była niska i nie miała ludzkiej sylwetki.

Miała za to szare futro i różowe ślepia. Długi bezwłosy ogon nieznanego stworza przypominał Felixowi wielką glistę. Gdy istota skierowała wzrok ku światłu, jej ogon uderzył o ziemię. Stworzenie sięgnęło za pazuchę długiego, połatanego odzienia i wyciągnęło coś, zaciśnięte w zakończonej pazurami łapie. Za pasem wisiał obnażony rdzewiejący sztylet o ząbkowanym ostrzu.

– Skaven! – ryknął Gotrek. – Gotuj się na śmierć!

– Głupcze-głupcze, zapewniałeś, że nikt cię nie śledzi! – stwór zapiszczał do ludzkiego towarzysza. – Mówiłeś, że nikt o tym nie wie.

– Stój, gdzie stoisz! – rzucił Gant. – Kimkolwiek jesteś, aresztuję cię pod zarzutem uprawiania czarodziejstwa, zdrady i nienaturalnych praktyk ze zwierzętami.

Pewność siebie sierżanta umacniał fakt, że nieznanymi było tylko dwóch. Nie wydawał się zaniepokojony nawet faktem, że jeden z nich był

potworem.

– Hef, Spider, bierzcie ich i zwiążcie.

Szczuropolodobe stworzenie nagle rzuciło sferę, którą wyszarpnęło zza pazuchy.

– Gińcie-gińcie, głupie ludziny!

– Wstrzymajcie oddech! – krzyknął Gotrek. W tym samym momencie jego siekierka poszybowała naprzód.

Skaveńska kula zabrzęczała i pękła na kawałki niczym szkło, a z podłogi buchnęła niezdrowo wyglądająca, zielona chmura. Gotrek pchnął

Felixa w głąb korytarza i złapał Rudiego, porywając go za sobą. Z

zielonego kłębu gazu dobiegł odgłos kaszlu i charczenia. Felix czuł, że oczy stają się wilgotne.

Latarnia zgasła i wszystko pograżyło się w ciemności. To było niczym koszmar, z którego nie można się przebudzić. Felix niczego nie widział, bał się nabrać powietrza, ugrzązł w wąskim korytarzu pod ziemią, a gdzieś obok znajdował się potwór uzbrojony w śmiertcionośną, nieznaną broń.

Felix wyczuwał pod palcami dłoni oślizgłą powierzchnię kamienia.

Potknął się i nagle przestał czuć cokolwiek. Dłoń zawisła nad breją.

Wiedział, że traci równowagę i bał się poruszyć, aby nie dać nura w nieczystości. Zacisnął piekące oczy i zmusił się do ruchu. Serce mu łomotało. Zdawało się, że płuca za chwilę wybuchną. Skóra na plecach między łopatkami mrowiła nieprzyjemnie.

Spodziewał się w każdej chwili, że zębate ostrze zatonie w jego karku.

Słyszał, jak ktoś za nim usiłował krzyknąć, ale nagle zamilkł. Ktoś charczał i dyszał ciężko, jak po wyczerpującym wysiłku. Odgłosy wydobywały się jakby z płuc wypełnionych płynem.

Felix zdał sobie sprawę, że tak działał gaz. Gotrek opowiadał mu o przerażającej broni używanej przez skavenów – produkcie alchemii zainspirowanej Chaosem i powstałej dzięki wypaczonej, nieludzkiej pomysłowości. Wiedział, że jeden wdech tego cuchnącego powietrza oznaczał śmierć. Wiedział także, że nie mógł wstrzymać oddechu w nieskończoność.

Myśl, nakazywał sobie. Znajdź miejsce, gdzie powietrze jest czyste.

Ruszaj się. Oddal się od zabójczej chmury. Nie panikuj. Nie myśl o wielkim szczyrowatym kształcie skradającym się w ciemności z gotowym do ciosu sztyletem. Będiesz bezpieczny, dopóki zachowasz spokój.

Powoli, z trudem, cal po calu, zmuszał się, by brnąć naprzód w stronę bezpiecznego terenu. Jego płuca błagały o powietrze.

Wtedy poczuł na sobie ciężar. Srebrne gwiazdki zatańczyły przed oczami, a powietrze uciekło z płuc. Zanim zdołał się powstrzymać, nabrał

haust cuchnącego oparu. Leżał w ciemności dysząc i z wolna dochodziło do niego, że nie umarł. Nawet się nie krztusił. W jego plecach nie tkwił

nóż. Zmusił się do ruchu. Nie dał rady. Przygniatał go znaczny ciężar.

Przez umysł przemknęło mu straszne podejrzenie. Może miał złamany kręgosłup? Może stał się kaleką?

– Czy to ty, Felix? – usłyszał szept Rudiego. Felix niemal zaśmiał się z ulgą. Leżał na nim wielki kanalarz.

– Tak, gdzie są pozostali?

– Ze mną wszystko w porządku – usłyszał głos Hefa.

– Ze mną także, bracie – to był Spider.

– Gotrek, gdzie jesteś? – brak odpowiedzi. Czy gaz go pokonał? To wydawało się niemożliwe. Zabójca Trolli nie mógł zginąć. Coś tak podstępne, jak gaz, nie mogło go zabić. To nie byłoby w

porządku.

– Gdzie sierżant?

– Czy ktoś ma jakieś światło?

Felix skrzesał iskrę. Blask latarni z migotaniem powrócił do życia.

Felix dostrzegł coś wielkiego, co zbliżało się do nich wzdłuż cieni występu. Dłoń instynktownie sięgnęła po miecz. Nie natrafiła na broń.

Musiał ją wypuścić w chwili upadku. Pozostali stali bez ruchu i czekali.

– To ja – odezwał się Zabójca Trolli. – Przeklęty człek uciekł. Ma dłuższe nogi.

– Gdzie jest Gant? – zapytał Felix.

– Sam zobacz, człeczyno.

Felix precisnął się naprzód i spojrzał. Gaz zniknął równie szybko, jak się pojawił. Ale dokonał tego, do czego był przeznaczony. Sierżant Gant leżał w kałuży krwi. Jego oczy były wytrzeszczone. Strużki czerwieni biegły z nozdrzy i ust.

Felix zbadał ciało. Już zaczynało stygnąć i nie dało się wyczuć pulsu.

Nie było widać żadnych ran.

– Jak on umarł, Gotrek? – Felix wiedział co nieco o magii, ale fakt, że człowiek mógł zostać zabity bez pozostawienia śladu na ciele sprawił, że zakręciło mu się w głowie.

– Utonął, człeczyno. Utonął we własnej krwi – głos Zabójcy był zimny i pełen furii.

Felix zastanawiał się, czy krasnolud właśnie w ten sposób radził sobie ze strachem? Zamieniał go we wściekłość? Gdy krasnolud kopnął

następne zwłoki, Felix stwierdził, że był to martwy skaven. Jego czaszkę rozłupała rzucona siekiera.

Strudzony Felix położył się na słomianym materacu i wbił wzrok w kruszejący sufit – zbyt zmęczony, by usnąć. Spod podłogi dochodziły krzyki Lisabette, która kłóciła się z jednym z klientów należącym do niekończącej się kolejki oczekujących.

Felix miał ochotę zabębnić w podłogę i krzyknąć, by się zamknęli lub wynosili, ale wiedział, że to przysporzy więcej kłopotów, niż ich rozwiąże.

Jak każdej nocy obiecywał sobie, że nazajutrz zacznie szukać innego schronienia. Wiedział jednak, że następnego wieczora będzie zbyt zmęczony, by zacząć poszukiwania.

Myśli w głowie pędziły jedna za drugą niczym dokuczające szczury w ciemnej jaskini. Był w takim stanie, gdyż zmęczenie sprawiało, że własne myśli wydawały mu się dziwne. Osobliwe sploty obrazów i błędne łańcuchy skojarzeń w umyśle przybywały znikąd i wędrowały w nicość.

Był tak zmęczony, że nawet nie czuł gniewu z powodu losu zabitego podczas służby sierżanta Ganta, dla którego przeznaczono ubogi grób na rubieżach Ogrodów Morra. Kapitan straży był zbyt znudzony, by przykładać zbyt wiele uwagi do raportów donoszących o potworach w kanałach ściekowych. Sierżant nie miał rodziny, która mogłaby go pochować, nie miał także przyjaciół, poza kolegami kanalarzami, którzy w tej chwili czcili jego pamięć w gospodzie Pod Pijanym Strażnikiem.

Gant był teraz zimnym trupem. Felix pomyślał, że to samo z łatwością mogło przydarzyć się jemu. Gdyby znajdował się w niewłaściwym miejscu podczas wybuchu kuli. Gdyby Gotrek nie kazał mu wstrzymać oddechu. Gdyby Zabójca nie wypchnął go z chmury gazu. Gdyby. Gdyby.

Gdyby. Tak wiele gdybania.

Cóż on zresztą robił ze sobą? Czy w ten właśnie sposób zamierzał

spędzić resztę swoich dni – ścigając potwory w ciemnościach? Życie straciło wszelki sens. Przemieszczał się tylko od jednego epizodu przemocy do następnego.

Myślał o alternatywach. Gdzie byłby teraz, gdyby nie zabił Wolfganga Krassnera podczas tamtego pojedynku, gdyby nie został wydalony z uniwersytetu, gdyby nie wydziedziczył go ojciec? Czy przypominałby swoich braci pracujących w rodzinnej spółce: ożeniony, bezpieczny, usatkwany? Czy też coś innego poszłoby nie tak? Któż to mógł

wiedzieć?

Mały czarny szczur przemknął po krokwiach izdebki. Kiedy po raz pierwszy oglądał ten strych z jednym małym oknem, wyobrażał sobie, że przynajmniej będzie wolny od szczurów, które grasowały we wszystkich budynkach Nowej Dzielnicy. Zwodził się przeświadczeniem, że gryzonie dostaną zawału serca od wysiłku wspinania się po tych schodach. Mylił

się. Szczury z Nowej Dzielnicy były odważne i ciekawskie oraz wyglądały na lepiej odżywione niż wielu z ludzi. Widział co większe osobniki, które ścigały koty.

Felix wzdrygnął się. Teraz żałował, że zaczął myśleć o szczurach i to sprawiało, że powróciło wspomnienie tajemniczego arystokraty i skavena w kanałach. Jaki był cel tego tajnego spotkania? Co mógł zyskać jakikolwiek człowiek zadając się z równie obcymi potwornościami? I jak to było możliwe, że ludzie kroczący zatłoczonymi ulicami Nuln nie zdawali sobie sprawy z faktu istnienia nikczemnych stworzeń, które ryły kanały, skradały się i gnieździły pod ich stopami? Może po prostu nie chcieli wiedzieć. Może prawdą było, jak twierdzili niektórzy filozofowie, że zbliżał się koniec świata i lepiej zanurzyć się w dowolnie wybranych przyjemnościach.

Na schodach rozległ się odgłos zbliżających się kroków. Felix słyszał

stare drewniane stopnie, które skrzypiały pod ciężarem idącego. Już wcześniej miał zamiar zwrócić

uwagę, że to miejsce w przypadku pożaru byłoby pułapką bez drogi ucieczki, ale Frau Zorin zawsze sprawiała wrażenie zbyt żalosnej i biednej, by się tym zająć.

Kroki nie zamilkły na półpiętrze poniżej, nadal się zbliżały. Felix sięgnął pod poduszkę po nóż. Nie przypominał sobie nikogo, kto mógłby składać mu wizytę o tej porze nocy, a dom Frau Zorin znajdował się w samym środku najbardziej niebezpiecznej części Nowej Dzielnicy.

Felix bezgłośnie podniósł się i na palcach podszedł do drzwi. Zdusił przekleństwo, gdy piętą przydeptał rąbek spodni. Ktoś zapukał do drzwi.

– Kto tam? – zapytał Felix, chociaż znał odpowiedź. Rozpoznawał świszczący oddech wdowy nawet przez grube drewno.

– To ja – zaskrzeczała Frau Zorin. – Ma pan gości, Herr Jaeger.

Felix ostrożnie otworzył drzwi. Na zewnątrz stali dwaj wielcy mężczyźni. W rękach trzymali pałki i wyglądało na to, że wiedzą, jak ich użyć. Felixa zainteresował mężczyzna stojący między nimi. Wręczał

gospodyni złotą monetę, którą przyjęła z przymilnym uśmiechem. Gdy mężczyzna odwrócił się do drzwi, Felix rozpoznał go bez trudu. To był

jego brat, Otto.

– Wejdz – powiedział Felix otwierając szerzej drzwi. Otto stał, spoglądając na niego przez dłuższą chwilę, jakby nie do końca rozpoznał

młodsze brata. Wreszcie wszedł do pokoju.

– Franz, Karl, poczekajcie na zewnątrz – rozkazał cicho. W głosie słyhać było stanowczość, której Felix wcześniej nie słyszał. Było to echo spokojnego, opanowanego głosu ojca.

Felix nagle stał się świadom ubóstwa swojego otoczenia: podłogi nie przykrytej dywanem, siennika, gołych ścian, dziury w pochyłym suficie.

Spojrzał na całą scenę oczami brata i nie był tym zachwycony.

– Czego chcesz, Otto? – zapytał szorstko.

– Twój gust dotyczący miejsc zamieszkania nie zmienił się zbyt wiele, nieprawdaż? Nadal lubujesz się w slumsach.

– Nie przebyłeś całej drogi z Altdorfu, by dyskutować na temat wystroju mojego mieszkania. Czego chcesz?

– Czy musisz tak wymachiwać tym nożem? Nie zamierzam cię ograbić.

Gdybym tego chciał, to wysłałbym do środka Karla i Franza.

Felix wsunął nóż z powrotem do pochwy.

– Być może mógłbym zaskoczyć Karla i Franza.

Otto przechylił głowę na bok i wpatrzył się badawczo w twarz Felixa.

– Możliwe, że tak by się stało. Zmieniłeś się, braciszku.

– Ty także.

To była prawda. Otto nadal był wzrostu Felixa, ale stał się znacznie masywniejszy. Przybrał na wadze. Jego klatka piersiowa była szersza, a biodra tęższe. Wielki miękki brzuch ściśnięty był szerokim skórzanym pasem. Felix domyślał się, że gęsta, jasna broda kryła kilka podbródków.

Policzki brata były tłściejsze i wydawały się nalane. Miał grubsze włosy, a pod oczami utworzyły się worki. Głowa agresywnie wystawała przed ciało. Urósł i zaczął przypominać starego.

– Przypominasz naszego ojca.

Otto uśmiechnął się krzywo.

– Smutne, ale prawdziwe. Obawiam się, że zbyt używam sobie dobrego życia. Wygląda na to, że tobie także to by się przydało. Bardzo wychudłeś.

– Jak mnie znalazłeś?

– Daj spokój, Felix. Chyba się domyślasz? Mamy swoich agentów i chcieliśmy cię znaleźć. Jak sądzisz, ilu wysokich jasnowłosych mężczyzn podróżuje przez Imperium w towarzystwie krasnoludzkich Zabójców?

Kiedy do mojego biura dotarły raporty o dwóch najemnikach odpowiadających temu opisowi, uznałem, że warto będzie to sprawdzić.

– Twojego biura?

– Teraz prowadzę przedsiębiorstwo w Nuln.

– Co się stało z Schafferem?

– Zniknął.

– Z pieniędzmi?

– Raczej nie. Uważamy, że został uznany za politycznie niepożądanego. Hrabina posiada bardzo

skuteczną tajną policję. Różne rzeczy zdarzają się teraz w Nuln.

– Nie Schaffer! W Imperium nigdy nie było bardziej lojalnego obywatela. On był przekonany, że słońce świeci dzięki łasce Imperatora.

– Nuln jest tylko częścią Imperium, bracie. Tutaj rządzi hrabina Emmanuelle.

– Ale ona jest najbardziej rozkapryszoną kobietą w Imperium, a przynajmniej tak powiadają.

– Von Halstadt, jej Szef Magistratu jest bardzo skuteczny. To prawdziwy władca Nuln. Nienawidzi mutantów. A plotki mówią, że Schaffer zaczął okazywać stygmaty.

– Niemożliwe.

– Też tak powiedziałem. Ale uwierz w to, bracie: Nuln nie jest miejscem, gdzie dobrze jest być podejrzanym o mutacje. Tacy ludzie znikają.

– Przecież to jest najbardziej liberalne miasto w Imperium.

– Już nie.

Otto rozejrzał się trwożliwie, jakby zdając sobie sprawę, że posiadział

zbyt wiele. Felix pokiwał smutno głową.

– Nie obawiaj się, bracie. Tu nie ma szpiegów.

– Nie bądź tego tak pewien, Felixie – powiedział cicho. – W tych czasach, w tym mieście, nawet ściany mają uszy.

Kiedy przemówił ponownie, jego głos był głośny i pobrzmiwała w nim nuta fałszywej serdeczności.

– Tak czy inaczej, wpadłem, by zapytać, czy zechciałbyś zjeść ze mną obiad jutro wieczorem? Możemy jeść na mieście, jeśli wolisz.

Felix z jednej strony chciał odmówić, a z drugiej pragnął porozmawiać dłużej z bratem. Czekają na niego wiele wieści o rodzinie, a może nawet szansa powrotu do łask. Już ta jedna myśl przestraszyła go, ale także zaintrygowała.

– Tak, z chęcią.

– Przyślę po ciebie mój powóz.

– Po skończonej robocie.

Otto powoli skinął głową.

– Oczywiście, Felixie. Oczywiście.

Pożegnali się. Dopiero po wyjściu brata Felix zaczął się zastanawiać, co mogło tak przestraszyć człowieka posiadającego pozycję i wpływy, jakimi cieszył się Otto, że obawiał się podsłuchu w takim miejscu, jak u Frau Zorin?

Von Halstadt, dowódca tajnej policji Nuln, zasiadł otoczony swoimi rejestrami i zamyślił się. Ten przeklęty krasnolud niemal go dopadł.

Prawie udało się pokurczowi położyć na nim swoje brudne łapska. Był tak blisko zniszczenia całej dobrej roboty. Wystarczyłby jeden cios. To sprowadziłoby Chaos i mrok na miasto, które von Halstadt przysięgł był

strzec.

Von Halstadt sięgnął po puchar z rzuńtego szkła i podniósł go. Woda była jeszcze ciepła. Dobrze, służący gotowali ją dokładnie przez jedenaście minut, tak jak zażądał. Jego polecenia musiały być wykonywane dokładnie. Von Halstadt nalał trochę wody do szklanki i przyjrzał się jej. Podniósł szklanice pod światło i sprawdził, czy nie widać w niej osadu lub pływających zanieczyszczeń. Nie zauważył niczego.

Żadnego skażenia. Dobrze.

Chaos mógł nadejść z taką łatwością. Był wszędzie. Mądry człowiek wiedział o tym i potrafił to wykorzystać. Chaos przybierał wiele postaci –

niektóre z nich były gorsze od innych. Istniały stosunkowo życzliwe formy, takie jak skaveni, ale pozostawało potworne zło siane przez mutantów.

Von Halstadt wiedział, że szczuroludzie pragnęli tylko, by zostawić ich w spokoju. Chcieli rządzić swoim podziemnym królestwem i rozwijać własną formę cywilizacji. Byli inteligentni i wyrafinowani oraz można było porozumieć się z nimi. Jeśli otrzymują to, co czego im potrzeba, możliwe jest prowadzenie z nimi handlu wymiennego. Z pewnością mieli własne plany, ale to sprawiało, że byli nieprzewidywalni i nie poddawali się kontroli. Nie byli podobni do mutantów: podłych, podstępnych, nikczemnych stworów czyhających wszędzie wokół, które ukrywały się i w tajemnicy manipulowały światem.

Możemy być zaledwie marionetkami, za których sznurki pociągają wstrętne mutanty, myślał. Właśnie dlatego musimy być czujni. Wróg może być wszędzie, a nieprzyjaciół nieustannie przybywa. Pospolite mutanty były najgorsze z nich wszystkich – to był niezliczony pomiot niechlujnych, leniwych nicponi. Większość mutantów powstawała wśród pospólstwa. To miało swój chory sens. Prostacy byli najliczniejsi, a do tego całkowicie pozbawieni moralności, lubieżni i rozwiązli.

Na tę myśl zeszywniał ze strachu. Wiedział, że mutanty wykorzystują głupotę pospólstwa. Byli bardzo przebiegli. Oddziaływali na grupę ciemnych, leniwych idiotów: wypełniali ich głowy buntowniczym nonsensem, rozpalali w nich zawistny gniew dla swoich korzyści, popychali do zamieszek, łupiestwa i zniszczenia. Wystarczyło popatrzeć, w jaki sposób zrujnowali jego biednego

ojca i spalili majątek do gołej ziemi, podczas jednego ze swoich brutalnych najazdów. A przecież ojciec von Halstadta był jednym z najmiłszych i najdelikatniejszych ludzi, jacy kiedykolwiek cieszyli się życiem.

No cóż, von Halstadt nie zamierzał popełnić tego błędu. Był na to zbyt mądry i zbyt silny. Wiedział jak radzić sobie z rewolucjonistami i podżegaczami. Stanie na straży ludzkości przed zagrożeniem, jakie nieśli mutanci. Będzie walczył z nimi ich własną bronią: przerażeniem, sprytem i bezlitosną przemocą.

Właśnie dlatego utrzymywał swoje rejestry, nawet jeśli jego ukochana władczyni Emmanuelle śmiała się z nich, nazywając je tajną pornografią.

Pośród tych wyśmienicie szczegółowych i starannie oznaczonych zapisków drzemała prawdziwa potęga. Informacja dawała władzę.

Wiedział, kim byli wszyscy potencjalni rewolucjoniści. Jego sieć szpiegów i agentów stale go informowała. Wiedział, kto ze szlachty w tajemnicy należał do Mrocznych Kultów i stale miał na nich oko. Posiadał

informatorów, którzy byli w stanie spenetrować dowolne miejsce spotkań unikając wszelkich podejrzeń.

To była część układu ze skavenami. Wiedzieli o wielu rzeczach i mogli się dowiedzieć o wielu innych. Ich mali szpiegowie byli wszędzie, wymykając się wszelkim podejrzaniom. Wykorzystywał ich mroczną wiedzę i współpracował z mniejszym złem, aby udaremnić rozwój jeszcze większej anarchii.

Podniósł mały portret w ramce przedstawiający Emmanuelle i oblizał

swoje cienkie wargi. Pomyślał o jej niefortunnym doborze słów określających jego rejestry: „pornografia”. Był wstrząśnięty słysząc, jak używa takich wyrażen, a nawet faktem, że wie, co to oznacza. To musiała być sprawka jej brata! Leos wywierał na nią zły wpływ. Emmanuelle była zbyt dobra, zbyt czysta, zbyt nieskalana, aby nauczyć się sama takich słów. Może powinien nasłać na nią szpiegów, tylko po to, by mieli oko na...

Nie, ona była jego władczynią! Wszystko to robił dla niej. Chociaż teraz pani nie dostrzegała w tym żadnej wartości, pewnego dnia tak się stanie. Szpiegowanie hrabiny oznaczałoby przekroczenie granicy, jaką sobie kiedyś wyznaczył. Poza tym, czasami podejrzewał, że kłamstwa, jakie słyszał na jej temat mogły zawierać ziarno prawdy. Potwierdzenie takiego faktu byłoby dla niego zbyt bolesne.

Odłożył obrazek na biurko. Pozwolił sobie zboczyć od głównego problemu. Krasnolud i kanalarze. Czy mogli go rozpoznać? I co powinien uczynić, jeśli rzeczywiście go poznali? To byli prości ludzie wykonujący swoją robotę. Tak jak on, zmagali się powstrzymując napór Chaosu. Ale czy potrafili zrozumieć konieczność tego, co robił? Jeśli nie, być może zrozumieją, że konieczne będzie, by zapewnić ich milczenie raz na zawsze.

Skacowani kanalarze powoli opuszczali się w głąbiny. Jeden po drugim schodzili po drabinach wystających z włazów wejściowych. Rudi, teraz w randze sierżanta, zapalił latarnię i oświetlił tunel.

Smród uderzył Felixa z siłą młota, gdy schodził ostrożnie z drabiny na występ. To była najtrudniejsza część całej operacji wchodzenia do kanałów. Między drabiną a krawędzią chodnika pozostawało wolne miejsce o wysokości stopy. Fałszywy krok pociągnął wielu niezbyt trzeźwych kanalarzy prosto w odmęty „gulaszu”.

– Brakowało nam ciebie zeszłej nocy, Felixie – powiedział Hef.

– Wyprawialiśmy huczne pożegnanie naszemu sierżantowi – dodał

Spider.

– Gotrek przełknął siedem kufli ale, jeden po drugim i nawet nie zrobiło mu się niedobrze. Przepiliśmy tygodniową pensję.

– Jestem z was dumny – powiedział Felix. Gotrek nie wyglądał, jak bohater opisanych wyczynów. Wśród wszystkich kanalarzy, tylko on nie wydawał się chory. Pozostali byli upiornie bladzi i szli pociągając nogami niczym starcy.

– Ach, nie ma to jak zapach gulaszu! Świetnie oczyszcza łeb z samego rana – rzeki Hef, a następnie wystawił głowę poza krawędź chodnika i zaczął gwałtownie wymiotować.

– Istotnie, wspaniale czyści – dodał Rudi z nutą ironii.

– Właśnie widzę – powiedział Felix.

– Przepatrzymy obszar, gdzie dorwali sierżanta – rzekł Rudi. – Tak postanowiliśmy wczoraj wieczorem. Chcemy sprawdzić, czy nie uda się znaleźć łajdaka, który zadaje się ze skavenami. A może, jeśli go nie znajdziemy, chociaż napotkamy kilku jego małych kumpli z różowymi ogonami.

– A jeśli mają ze sobą te bomby gazowe? – zapytał Felix.

– Nie ma się czego obawiać. Gotrek to doświadczony wojownik tunelowy. Wyjaśnił nam, jak się zabezpieczyć.

– Czyżby?

– Tak. Namoczyliśmy szaliki w szczynach i będziemy przez nie oddychać. To zatrzymuje gaz.

– Wiedziałem, że to będzie coś podobnego – rzucił Felix, gapiąc się na Zabójcę Trolli i zastanawiając się, czy pozostałych naprawdę przekonały pomysły Gotreka, czy po prostu żartowali sobie z niego. Jedno spojrzenie na ich wychudłe, zawzięte twarze przekonało go, że jednak prawdziwe było pierwsze podejrzenie.

– To prawda, człeczyno. Moi przodkowie walczyli ze skavenami pod Karakiem Osiem Szczytów i

wtedy to działało.

– Skoro tak powiadasz – powiedział Felix. Wiedział już, że to będzie długi dzień.

Podążali trasą z poprzedniego dnia w kierunku obszaru rozciągającego się pod Starą Dzielnicą. Podczas drogi Felix miał czas na refleksje nad swoim dziwnym życiem. Gdzieś nad głową znajdował się dom jego brata, a Felix o tym nie wiedział. Nie wiedział nawet, że Otto jest w mieście.

Fakt, że brat go znalazł, był z pewnością dowodem skuteczności sieci wywiadowców.

Felix podejrzewał, że utrzymywanie takich służb było koniecznością dla każdego, kto w tamtych czasach zamierzał prowadzić interesy w Nuln.

Zatrważające było także to, o czym opowiadał Otto, gdy wspominał

Schaffera i tajną policję hrabiny. Felix żałował starego człowieka, ale bardziej obawiał się o siebie. Razem z Zabójcą Trolli, byli poszukiwani przez prawo za udział w wielkich zamieszkach po ogłoszeniu w Altdorfie podatku od okien. Jeśli tajna policja była tutaj tak skuteczna, a Felixa i Gotreka tak łatwo było rozpoznać, wówczas oni także mogli zniknąć. Felix uspokajał się myślą, że stolica znajdowała się daleko stąd, a miejscowe władze prawdopodobnie nie będą zainteresowane tym, co się wydarzyło poza ich jurysdykcją.

W pewien sposób uspokajający był także fakt, że stanowili część straży ściekowej. Powszechnie wiadano, że straż nie przyglądała się zbyt uważnie życiorysom tych, którzy zgłaszali się do takiej pracy. Mówiono wręcz, że był to pewny sposób, by wcześniejsze występki kandydata zostały zapomniane. Wszyscy pozostali kanalarze w pewnym momencie swojego życia byli zamieszani w czyny przestępcze, a przynajmniej tak twierdzili. Nie, najwyraźniej nie było czym się martwić. Taką miał

nadzieję.

Bardziej niepokojący był fakt, że mogli napotkać skavenów. Nie cieszył się na myśl o starciu z tak nikiemnymi przeciwnikami w ich własnym środowisku. Rozpaczliwie próbował przypomnieć sobie, co Gotrek opowiadał mu o szczuroludziach, licząc na to, że przypomni sobie coś dzięki czemu zdobędzie przewagę, gdyby miało dojść do walki.

Wiedział, że to była rasa paskudnych zmutowanych szczurów – produkt działania spaczenia w starożytnych czasach. Powiadano, że skaveni zamieszkiwali wielkie zanieczyszczone miasto zwane Skavenblight, którego położenia nikt nie potrafił wskazać. Plotka twierdziła, że byli podzieleni na klany, z których każdy wykonywał swoją funkcję: praktyki czarodziejskie, prowadzenie wojen, hodowanie potworów i tak dalej. Byli mniej masywni od ludzi, ale szybsi i bardziej podstępni, a także dysponowali zwierzęcą inteligencją, która czyniła z nich zabójczych wrogów.

Felix przypominał sobie książkę, w której czytał o starożytnych bitwach opisujących kilka interwencji tych stworów na powierzchni: ich przerażając szarżę z udziałem wielkich, piszczących hord, ich wypaczone okrucieństwo i zamiłowanie do torturowania jeńców. To horda skavenów

podkopała mury Zamku Siegfried i przełamała oblężenie po dwóch latach zmagania. Legenda mówiła, że Książę Karsten zapłacił straszliwą cenę za skorzystanie z przysługi swoich sprzymierzeńców. Sam Sigmar zniszczył

armię skavenów, tuż przed swoim wstąpieniem w niebiosy. To był jeden z mniej znanych wyczynów półboga.

Felix widział na własne oczy niezbitą dowody działalności skavenów w Karaku Osiem Szczytów. Wspomnienie skażonych spaceniem studni i wielkiego zmutowanego trolla nadal wywoływało dreszcze. Miał nadzieję, że już nigdy nie będzie musiał zmierzyć się z tak potwornymi stworzeniami. Spoglądając na innych zdawał sobie sprawę, że nie dzielali jego nadziei.

Aż do poprzedniego dnia Felix nie zastanawiał się głębiej nad ilością szczurów w kanałach ściekowych. Teraz dostrzegał je wszędzie. Uciekały przed światłem zbliżających się strażników i dało się słyszeć tupot ich łapek za plecami, gdy szli dalej. W ich ślepiach odbijał się blask latarni a refleksy światła migotały niczym gwiazdy daleko w ciemnościach podziemnego miasta.

Zastanawiał się, czy istniało jakieś powiązanie między szczurami a skavenami. Zaczął wyobrażać sobie małe stworzenia w roli szpiegów swoich większych braci. Wiedział, że to była szalona fantazja, rodem z baśni jakie czytał jako chłopak, ale im dłużej o tym myślał, tym bardziej ta wizja stawała się przerażająca. Szczury były wszechobecne w wielkich miastach ludzi. Żyły wśród śmieci i odpadów cywilizacji. Mogły wiele zobaczyć i usłyszeć, a potem odejść niezauważone i o nic nie podejrzewane.

Zaczął wyczuwać ich zimne ślepie, które gapiły się na niego wrogo, właśnie w tamtej chwili. Zdawało mu się, że ściany kanału zamkną się za nim i wyobraził sobie, że zostanie uwięziony w wielkim roju szczurów.

Myślał o skavenach i nagle wydało mu się możliwe, że znajduje się w wielkiej norze, a on sam i kanalarze zostali zmniejszeni do rozmiarów myszy, podczas gdy skaveni stali się zwykłymi szczurami, które chodziły w pozycji wyprostowanej i nosiły odzienie na ludzki sposób.

Wizja stała się tak żywa i przekonująca, że zaczął się zastanawiać, czy opary breji nieczystości nie zamęciły mu w głowie, albo czy specyfiki osłabiające odczuwanie odoru, jakie przepisali mu miejscy alchemicy, nie wywoływały efektów ubocznych.

– Spokojnie, człeczyno – usłyszał głos Gotreka. – Jesteś bardzo błądy.

– Myślałem o szczurach.

– W tunelach umysł sam tworzy sobie wrogów. To pierwsza rzecz, przed którą musi się bronić podziemny wojownik.

– A więc, robiłeś już takie rzeczy wcześniej? – zapytał Felix na wpół

sarkastycznie.

– Owszem, człeczyno. Walczyłem w głębinach zanim urodził się twój ojciec. Ścieżki wokół Wiecznego Szczytu nigdy nie są wolne od wrogów, a wszyscy obywatele należący do Rady Królewskiej muszą odsłużyć swoje w wojskowej służbie w głębinach. Ginie tam więcej młodych krasnoludów, niż gdziekolwiek indziej.

Gotrek był niezwykle bezpośredni, jak czasami zdarzało się to przed chwilami wielkiego zagrożenia. Niebezpieczeństwo sprawiło, że stał się gadatliwy, jakby chciał porozumieć się z innymi zdając sobie sprawę, że może już nie mieć następnej okazji. A może po prostu nie wytrzeźwiał

całkiem od wczorajszej nocy? Felix domyślał się, że nigdy się tego nie dowie. Zbadanie obcego umysłu krasnoluda było równie nieosiągalne, jak zrozumienie skavena.

– Pamiętam swój pierwszy raz w tunelach. Wszystko zdawało się takie przytłaczające. Każdy dźwięk groził atakiem ukrytego wroga. Jeśli słuchasz z uszami pełnymi strachu, wkrótce otoczą cię nieprzyjaciele.

Kiedy prawdziwy wróg pojawi się przed tobą, nie będziesz miał pojęcia, z której strony nadejdzie. Zachowaj spokój, człeczyno. Pożyjesz dłużej.

– Łatwo ci mówić – mruknął Felix do przechodzącego obok potężnego Zabójcy. Obecność Gotreka podziałała jednak uspokajająco.

Z obawą zbliżyli się do miejsca, gdzie umarł Gant. Mgła unosiła się z powierzchni gulaszu, a miejscami w mule dało się zauważyć prąd wolno płynącej cieczy. Okolica potyczki wyglądała tak, jak ją Felix zapamiętał, z tym jednak, że ciało potwora znikło. Miejsce, w którym spoczywały zwłoki, zostało poruszone.

W śluzie widoczny był ślad, który urywał się nad krawędzią występu chodnika, jakby ciało było ciągnięte przez chwilę, a potem wyrzucone do ścieku. Felix widział, że powinni je zabrać wczoraj, gdy jeszcze mieli okazję, ale byli zbyt wstrząśnięci i poruszeni tym, co się stało, by tak uczynić. Nikt nie chciał nieść parszywego truchła szczuroczłeka. Teraz już go nie było.

– Ktoś to zabrał – powiedział Hef.

– Ciekawe kto? – zapytał Spider.

Gotrek zbadał występ, na którym leżało ciało. Nachylił się i spoglądał

uważnie na ślady, po czym potarł opaskę na oku prawą pięścią. Siekierka, którą zabił skavena, zbliżyła się niebezpiecznie do wytatuowanego skalpu.

– Tak czy inaczej, to nie był człowiek. To pewne.

– W ściekach żyją przeróżne rodzaje skavenów – rzekł Rudi. Wyraził

powszechne przekonanie wszystkich kanalarzy. – W gulaszu żyją rzeczy, których nikt by się nie spodziewał.

– Nie wydaje mi się, by to zrobił jakiś padlinożerca – stwierdził Gotrek.

– Skaveni – powiedział Felix, wypowiadając na głos skrywaną obawę.

– To coś było zbyt wielkie. Przynajmniej jedno z nich. Tamte ślady mógł zostawić skaven.

Felix wbił wzrok w mrok, który nagle wydał się jeszcze bardziej złowrogi.

– Jak duże? – przeklinał siebie za to, że przejął monosylabiczny sposób mówienia, jakim porozumiewali się pozostali. – Jak duże było stworzenie, o którym mówisz, Gotreku?

– Może wyższe od ciebie, człeczyno. Może cięższe od Rudiego.

– Czy to mógł być jeden z mutantów, jakie hodują skaveni? Jakaś hybryda?

– Tak.

– Ale dlaczego te wszystkie ślady nagle znikają? – spytał Felix.

– Nie mogli wszyscy wskoczyć do gulaszu, prawda?

– Czarodziejstwo – stwierdził Hef.

– Najciemniejszego rodzaju – dodał Spider.

Gotrek spojrział w dół na występ i przeklął w ojczystym języku.

Ogarniał go gniew. Broda nastroszyła się. Iskra dzikiej gwałtowności zaśniła w zdrowym oku.

– Nie mogli po prostu zniknąć – powiedział. – To niemożliwe.

– A może użyli łodzi? – zapytał Felix. Ten pomysł wpadł mu właśnie do głowy. Pozostali patrzyli na niego z niedowierzaniem.

– Użyli łodzi? – zdziwił się Hef.

– W gulaszu? – zdumiewał się Spider.

– Nie bądź głupi – odezwał się Rudi. Felix poczerwieniał na twarzy.

– Nie jestem głupi. Przyjrzyjcie się tym śladom. Ktoś mógłby z łatwością zejść z występu do małej łódki.

– To najbardziej durna rzecz, jaką słyszałem – powiedział Rudi.

– Ależ masz wyobraźnię, młody Felixie! Kto mógłby pomyśleć o używaniu łodzi w tym miejscu?

– Istnieje wiele rzeczy, o których nie mamy pojęcia – rzucił Felix. –

Ale przecież myślenie nie jest twoją mocną stroną, prawda? – spojrzał na pozostałych kanalarzy i potrząsnął głową. – Macie rację, łódka nie ma sensu. Znacznie lepiej uwierzyć, że znikli dzięki magii. Może chmara duszków uniosła ich w górę i odleciała wraz z nimi?

– To prawda, chmara duszków! Tak właśnie mogło się stać –

powiedział Rudi.

– On próbuje sobie kpić, Rudi – zauważył Spider.

– Bardzo ironiczny koleś z tego naszego młodego Felixa – dodał Hef.

– Pewnie jednak ma rację – rzekł Gotrek. – Łódź nie jest trudno zdobyć. Ścieki uchodzą do Reiku, prawda? Łatwo ukraść małą łódkę.

– Ale wszystkie ujścia do rzeki są zamknięte kratami – przypomniał

Rudi. – Mają powstrzymywać włóczęgów przed zakradaniem się do miasta.

– A na czym polega nasza praca, jeśli nie na łowieniu tych właśnie włóczęgów, którym udało się prześlizgnąć między kratami? – zapytał

Felix. Dostrzegając, że to spostrzeżenie zaczęło docierać nawet do wnętrza grubej czaszki Rudiego.

– Ale czemu, człeczyno? Po co używać łodzi?

Felix poczuł opanowujące go na chwilę podniecenie. Niezbyt często Gotrek przyznawał, że Felix może wiedzieć więcej niż on sam. Szybko obmyślił odpowiedź.

– Cóż, po pierwsze, w ten sposób nie zostawiają śladów. I mogą być zamieszani w jakiś przemyt. Przypuśćmy, że ktoś sprowadza rzeką na przykład spaczeń. Wczoraj nasz szlachetnie urodzony nierób płacił chyba spaczeniem szczuroczłękowi.

– Na myśl o łodziach robi mi się niedobrze. To jedyna rzecz, której nienawidzę bardziej od elfów – powiedział Gotrek, gdy ruszyli w dalszą drogę.

Szukali przez resztę dnia, ale nie znaleźli innych śladów skavenów, chociaż rzeczywiście okazało się, że w jednym z ujść ścieków do rzeki Reik zostały upiłowane kraty.

Felix zszedł z ulicy i wkroczył do gospody Pod Złotym Młotem.

Przeszedł z rzeczywistości do snu. Odzwierny przytrzymał dla niego wielkie dębowe drzwi. Usłudni kelnerzy poprowadzili go z dala od brudu ulicy w głąb przepastnej sali jadalnej.

Bogato ubrani ludzie siedzieli za suto zastawionymi stołami i biesiadowali rozmawiając w świetle spływającym z ogromnych kryształowych żyrandoli. Portrety wielkich herosów Imperium wiszące na ścianach spoglądały surowo na jedzących. Felix rozpoznawał Sigmara, Magnusa i Fredericka

Smiałego. Styl pędzla przypominał Vespasiana, najświetniejszego malarza Nuln w ciągu ostatnich trzech wieków. Na ścianie w głębi królował portret elektorki Emmanuelle, porywającej kruczowłosej piękności, odzianej w mniej niż skromną suknię balową.

Felix żałował, że pożyczone ubranie nie pasowało lepiej. Nosił jeden ze starych strojów swojego brata. Niegdyś on i Otto mieli te same rozmiary i taką samą budowę ciała, ale podczas lat swoich wędrówek Felix schudł, a Otto przybrał na wadze. W lnianej koszuli czuł się jak w worku, a aksamitna kamizelka była za luźna. Spodnie utrzymywał na miejscu skórzany pas zapięty na ostatnią dziurkę. Buty jednak pasowały dobrze, podobnie jak kapelusz. Przekrzywił go zawadiacko, aby pokazać pawie pióro zatknięte za rondem. Pozwolił dłoniom bawić się złotym aromatycznym pomanderem, który zwisał z łańcucha na szyi. Z

pomandera wydobywał się zapach świetnych bretońskich perfum. Miło było czuć coś innego niż ścieki.

Służący poprowadził go do przedsionka w rogu sali, gdzie siedział

Otto. Przed nim spoczywała oprawiona w skórę księga rachunkowa, a Otto wprowadzał do niej zapisy pierzastym piórem. Gdy Felix podszedł, podniósł głowę i uśmiechnął się.

– Witaj, braciszku. Wyglądasz znacznie lepiej po kąpieli i zmianie ubrania.

Felix zmuszony był z tym się zgodzić, szczególnie gdy przejrzał się w wielkim posrebrzanym zwierciadle w domu Otto. Ciepła kąpiel, pachnący olejek i zmiana ubrania sprawiły, że poczuł się jak nowonarodzony. W

lustrze zobaczył wymuskanego młodego dandysa, którym niegdyś był, chociaż wokół oczu pojawiło się więcej zmarszczek, a usta były węższe i zaciśnięte.

– To niezwykle czarujący lokal – powiedział.

– Możesz tu obiadować co wieczór, jeśli sobie tego życzysz.

– Co masz na myśli, bracie?

– Po prostu to, że w rodzinnym interesie jest dla ciebie miejsce.

Felix rozejrzał się, aby sprawdzić, czy ktoś może ich usłyszeć.

– Wiesz, że nadal jestem poszukiwany w Altdorfie, z powodu podatku na okna?

– Przesadzasz w ocenie swojego rozgłosu, braciszku. Nikt nie wie, kim byli przywódcy tego buntu. Altdorf to nie Nuln, pamiętaj o tym.

– Sam powiedziałaś, że Gotrek to postać, którą łatwo rozpoznać.

– Nie oferujemy zatrudnienia dla Zabójcy Trolli. Oferujemy tobie, to co ci się należy od urodzenia.

I oto stało się – coś, na co Felix liczył i czego się obawiał. Jego rodzina zabierze go z powrotem. Porzuci niewygodne, ciężkie życie awanturnika i powróci ponownie do Altdorfu i swoich ksiąg. To będzie oznaczało życie związane z księgami rachunkowymi i magazynami kupieckimi, ale będzie bezpieczne. A pewnego dnia stanie się bogaty.

Była to kusząca wizja. Nigdy więcej czołgania się w ściekach. Nigdy więcej nie będzie pobity przez zbirów. Nigdy więcej nie złapie dziwnych chorób w przerażających, odległych miejscach. Nie będzie musiał

nadweręzać sił w podróżach przez dzikie, niegościnnie krainy. Nie będzie musiał pogrążyć się w ciemnościach. Nie będzie konfrontacji ze sługami czcicieli chaosu i kapłanami mrocznych kultów. Nigdy więcej przygód.

Nie będzie musiał znosić ponuractwa Gotreka i jego zachcianek. Mógł

zapomnieć o swojej przysiędze towarzyszenia Zabójcy Trolli i opisania jego zagłady w epickim poemacie. Złożył tę obietnicę będąc pijany – z pewnością to nie mogło się liczyć? Będzie panem samego siebie. A jednak, coś go powstrzymywało.

– Muszę nad tym pomyśleć – powiedział.

– Co tu jest do myślenia, człowieku? Nie powiesz mi chyba, że wolisz być kanalarzem, niż kupcem, prawda? Większość ludzi zabiłaby, aby dostać taką szansę.

– Jak powiedziałem, pomyślę nad tym.

Jedli w niezręcznym milczeniu. Po kilku minutach otworzyły się drzwi do wielkiej sali i służący wprowadził wysokiego mężczyznę. Odziany był

w czerń, a przypominający szaty mnicha strój sprawiał, że człowiek wydawał się nie na miejscu w bogatym otoczeniu. Miał pociągłą i ascetyczną twarz, a czarne włosy kończyły się trójkątnym szpicem nad czołem.

Gdy kroczył przez salę, wokół zapadała cisza. Felix dostrzegł, że bogaci biesiadnicy bali się go. Kiedy przechodził obok stołu, zszokowany Felix rozpoznał go – bez wątplenia był to mężczyzna, którego widział w kanałach ze skavenem. Myśli zawirowały mu w głowie. Podejrzał, że ten człowiek jest jakiegoś rodzaju czarnoksiężnikiem lub renegatem.

Wyobrażał sobie kultystę lub straceńca. Nie spodziewał się zobaczyć go w miejscu odwiedzanym przez najmajętniejszych i najbardziej szanowanych obywateli Nuln.

– Co się stało, bracie? Wyglądasz, jakbyś zobaczył ducha.

– Kim... kim jest ten człowiek?

Otto wydał z siebie przeciągłe westchnienie.

– Wolałbyś nie wiedzieć. To nie jest człowiek, o którego się pyta. To on zadaje pytania na twój temat.

– Kim on jest, Otto? Czy mam tam pójść i sam go zapytać?

Felix zauważył grymas zaniepokojenia i podziwu, jaki pojawił się na twarzy brata.

– Wierzę, że byłbyś zdolny to zrobić, Felixie – wyszeptał. – Jak wolisz.

To jest Szef Magistratu Fritz von Halstadt, głowa tajnej policji hrabiny Emmanuelle.

– Opowiedz mi o nim.

– Są tacy, którzy postrzegają go jako wroga wszelkiej korupcji. Ciężko pracuje i nikt nie wątpi w jego szczere oddanie sprawie. Z pewnością nienawidzi mutantów i z tego powodu otrzymał ochronę ze Świątyni Ulryka. Jego dom jest strzeżony przez ich templariuszy.

– Myślałem, że świątynia Ulryka nie ma tutaj władzy, a elektorka ich nie lubi.

– Tak było, zanim von Halstadt nie wzrósł w siłę. Bardzo szybko przebył drogę od pomniejszego funkcjonariusza na dworze, do najpotężniejszego człowieka w mieście. Niektórzy powiadają, że wspomagał się szantażami, inni mówią, że jego przeciwnicy mają zwyczaj odnajdywać się martwi w tajemniczych okolicznościach. Osiągnął bardzo wiele, jak na człowieka, którego ojciec był zwykłym szlachcicem na zapadłej prowincji. To zatwardziała, cwana stara świnia, pod każdym względem.

– Von Halstadt jest zimny, okrutny i niebezpieczny nie tylko ze względu na swoje wpływy. Jest zabójczo sprawnym szermierzem. Zabił

kilkunastu ludzi, ponieważ obrazili honor hrabiny.

– Myślałem, że jej brat Leos, wyręcza go w tym wystarczająco.

– Leos nie zawsze jest na miejscu, a powiada się, że nasz szef magistratu ma ochotę walczyć z nim o hrabinę. Najwyraźniej ma do niej słabość.

– W takim razie jest szalony. Leos to najbardziej zabójczy rębajło w Imperium, a Emmanuelle nie jest warta, by o nią walczyć.

Otto wzruszył ramionami. Felix wpatrywał się w von Halstadta, zastanawiając się, jakie powiązania mogą mieć skaveni i szef tajnej policji elektorki. I miał szczerą nadzieję, że ten mężczyzna go nie rozpozna.

Von Halstadt był zmęczony. Nawet wyśmienita, jak zwykle, kolacja nie zdołała poprawić mu humoru. Jego umysł zaprzętała obawa i troska o sprawy najwyższej wagi. Rozejrzał się po współbiesiadnikach i odpowiadał na ich uśmiechy, ale w sercu gardził nimi. Płytkie, leniwe bydło. Odziewali się jak szlachta, ale mieli serca sklepikarzy. Widział, że go potrzebowali. Ledwo zasługiwali na jego pogardę.

To był ciężki dzień. Młody Helmut Slazinger nie złożył zeznań, pomimo że von Halstadt osobiście nadzorował przeprowadzanie tortur. To dziwne, jak niektórzy z nich zabierali swoje wyznania aż do grobu. Nawet, gdy wiedzieli, że on jest świadom ich winy. Tajne źródła doniosły, że Slazinger należy od sekretnej komórki kultystów czczących Slaanesh.

Dozorcy więzienni nie byli w stanie znaleźć zwyczajowych tatuaży, które oznaczały członków kultu, ale to nic nie znaczyło. Jego najbardziej zaufani informatorzy, skaveni, powierzyli mu sekret. Otóż w obawie przed bezwzględna krucjata, skryci wrogowie znaczyli się czarodziejskimi tatuażami widocznymi tylko dla innych członków kultu.

Bogowie, jakże podstępne były mutanty! Teraz mogli być wszędzie –

mogli siedzieć w tej izbie nosząc tatuaże inicjacyjne wyraźnie widoczne dla siebie nawzajem, a on nie będzie o tym wiedział. Mogli siedzieć tuż obok i szydzić z niego, a on nic nie mógł z tym zrobić. Ten chudy młodzieniec w kiepsko dobranym ubraniu mógł być jednym z nich.

Najwyraźniej nazbyt uważnie przyglądał się von Halstadtowi. Jeśli się zastanowić, to było w nim coś podejrzanego. Może powinien stać się obiektem następnego oficjalnego dochodzenia?

Nie, weź się w garść, powiedział sobie von Halstadt. Nie mogą się chować przez wieczność. Oślepiające światło logiki potrafi przemknąć najmroczniejsze ciemności fałszu. Tak też zawsze mawiał ojciec tuż przed tym, gdy spuszczał mu kolejne lanie za jego przewinienia, rzeczywiste, czy wydumane. Nie, ojciec miał rację. Von Halstadt uczynił źle. Nawet jeśli nie domyślał się dokładnie, co takiego. Bicie było dobre samo w sobie, wypędzało z niego myśli o grzechu. Ojciec był dobrym człowiekiem, który czynił słuszne rzeczy. Właśnie dlatego uśmiechał się wymierzając mu karę. Nie cieszyło go bicie syna. Często mu to powtarzał.

To było dla jego własnego dobra. W pewien sposób to była wspaniała lekcja. Nauczył się, że często konieczne jest robienie bolesnych i przykrych rzeczy dla większego dobra.

To sprawiło, że stał się twardy. Pozwoliło mu wykonywać to, co robi dziś, wolny od słabości innych ludzi. Pozwoliło mu stanąć na straży prawości. Uczyniło z niego człowieka, z którego ojciec byłby dumny, a on powinien być mu wdzięczny. Był silny, choć nie złośliwy. Był taki, jak ojciec.

Nie czerpał przyjemności z torturowania młodego Slazingera. Nie odczuwał przyjemności słuchając raportu skavenów, który dowodził, że młody szlachcic jest kultystą Slaanesh. Chociaż musiał przyznać, że był

to szczęśliwy zbieg okoliczności, zważywszy na plotki dotyczące Slazingera i Emmanuelle. Coraz więcej podłych oszczerstw – ktoś równie czysty, jak hrabina nie zniżałby się do tego, nie mógłby zadawać się z ludźmi pokroju Slazingera. Ten robak był notorycznym rozpustnikiem, jednym z przystojnych młodych dandysów którzy uważali za dowcipne występowanie przeciw prawomyślnym ludziom oddanym służbie stanu.

Jednym z tych, którzy krytykowali surowe środki niezbędne dla utrzymania prawa i porządku w tej ropiejącej otchłani niesprawiedliwości i grzechu.

Wyrzucił Slazingera ze swoich myśli i skupił je na innych sprawach.

Agenci w siedzibie straży przynieśli mu raport o wypadku Ganta. Nie podjęto żadnych działań. Wykonanie pełnego zwiadu w ściekach pod Starą Dzielnicą kosztowałoby zbyt wiele i wymagałoby wyłożenia pieniędzy na dodatkowe wynagrodzenie dla kapitana straży. No cóż, nawet korupcja ma czasami swoje dobre strony, pomyślał von Halstadt.

Szpiedzy donieśli mu jednak, że patrol Ganta węszył w okolicy miejsca śmierci sierżanta, co było bardziej niepokojące. Mogli przypadkowo natknąć się na innych skavenów realizujących swoje plany. Mogli nawet odnaleźć łódki, które kursowały z doków do Imperium Van Nieka. Wątpił

jednak, by kiedykolwiek odkryli, że sklep był tylko oficjalną przykrywką, przez którą sprowadzano spacjeń spoza miasta, na zapłatę dla skavenów za ich usługi. Uśmiechnął się do siebie.

Był to układ obdarzony osobliwie zadowalającą symetrią. Płacił

skavenom walutą, jakiej sobie życzyli. Najwyraźniej nie zdawali sobie sprawy, że była ona zarówno bezużyteczna, jak niebezpieczna. Spacjeń wywoływał mutacje. Skaveni twierdzili, że służy im za pożywienie. No cóż, to był stosunkowo bezbolesny sposób pozbywania się niezwykle niebezpiecznej substancji, a jednocześnie zapewniał mu doskonałe źródło informacji.

Tak, istotnie to była zadowalająca symetria. W pewien sposób żałował, że nikt nie dowie się, jaką przysługę wykonuje dla Imperium w bezpieczny sposób pozbywając się złowrogiego materiału. Dzień, w którym von Halstadt zgubił się w kanałach i wpadł na skavenów, był szczęśliwy dla ludzkości. Na szczęście, skaveni uznali go za człowieka, z którym można prowadzić interesy.

Musiał zdobyć więcej spacjeń. Jeszcze tego wieczora miał

skontaktować się z kolejnym agentem skaweńskim, aby dopilnować, że strażnicy ścieków nie przeżyją wypadku, który ich czekał. Z przykrością szykował to dla ludzi, którzy tylko wykonywali swoje obowiązki, ale własne bezpieczeństwo było najważniejsze.

Był jedynym człowiekiem, który znał prawdziwe oblicze niebezpieczeństwa zagrażającego Nuln i był jedynym człowiekiem, który mógł uratować miasto. Wiedział, że to nie była zwykła próżność – to była prawda. Jeszcze tego wieczora skontaktuje się z nowym przywódcą skavenów, Szarym Prorokiem Thanquolem i rozkaże mu wyeliminować przeciwników. Zadrzał na myśl o potajnym wykorzystaniu swojej władzy. Przekonywał się, że bynajmniej nie był to dreszcz przyjemności.

– Mówię wam, że widziałem go zeszłego wieczora – powtarzał Felix.

Inni kanalarze spoglądali na niego w mroku. Nad głowami dało się usłyszeć grzmot kół powozu mijającego włącz do kanałów.

– Pod Złotym Młotem. Stał nie dalej jak dwanaście stóp ode mnie.

Nazywa się Fritz von Halstadt i jest człowiekiem, który rozmawiał ze skavenem.

– Jasne – powiedział Rudi, patrząc bojaźliwie za siebie. – I pewnie jadł

obiad z hrabiną Emmanuelle oraz czarnoksiężnikiem Drachenfelsem? A w ogóle, co robiłeś Pod Żłotym Młotem? Tam chadza szlachta. Nie wpuściliby kanalarza, choćby był ubrany w strój ze złota. Nie spodziewaj się, że w to uwierzemy.

– Zaprosił mnie tam mój brat. Jest kupcem. A ja wam mówię, że widziałem naszego nieznajomego, von Halstadta.

– Nie jesteś z Nuln, prawda, młody Felixie? – Hef mówił spokojnie i życzliwie, jakby był przekonany, że młody kanalarz tylko się przejęzyczył.

– Czy wiesz, kim jest Fritz von Halstadt?

– Głową tajnej policji elektorki – oto, kim jest. To bicz na zmutowane szumowiny w tym mieście – objaśnił Spider. Nerwowy tik szarpnął tylną częścią szczęki bliźniaka. Felix nie zdawał sobie sprawy, że bliźniaki tak bardzo podziwiają von Halstadta. – A szef tajnej policji nie zadaje się ze szczuroludźmi.

– Dlaczego nie?

– Ponieważ jest szefem tajnej policji, a szef tajnej policji nie robi takich rzeczy. To chyba jasne, prawda?

– No cóż, to byłoby zgodne z logiką, Rudi. Ale powiadam ci, że widziałem go na własne oczy. To człowiek z kanałów.

– Czy jesteś pewien, że się nie mylisz, człeczyno? Tam było bardzo ciemno, a człeczny wzrok nie radzi sobie zbyt dobrze w ciemnościach.

– Jestem pewien – stwierdził Felix. – Nigdy nie byłem pewniejszy w swoim życiu.

– Cóż, młody Felixie, nawet jeśli masz rację, a nie mówię, że tak jest, cóż możemy z tym zrobić? Przecież nie pójdziemy do hrabiny Emmanuelle i nie powiemy: „A przy okazji Wasza Wysokość, czy wiedziała pani, że jej najbardziej zaufany doradca szwenda się po kanałach pod twoim pałacem, w towarzystwie olbrzymich gadających szczurów?” –

Hef mówiąc to nawet się nie uśmiechnął.

– Zapytałaby, jak dużo błędnego korzenia przeżyłeś i nakazałaby swojemu kislewickiemu kochankowi wrzucić cię do lochu – rzekł Spider.

Felix rozumiał, że mieli rację. Cóż mogli uczynić? Byli tylko zwykłymi strażnikami, a człowiek, o którym mówił, był najpotężniejszą osobą w mieście. Może najlepiej było po prostu zapomnieć o całej tej sprawie?

Tego wieczora ponownie zobaczy się z Otto i zje wraz z nim wyborny posiłek. Wkrótce może znaleźć

się daleko stąd i to nie był jego problem.

Ale ta myśl nie dawała mu spokoju. Co tajemniczy i budzący lęk mistrz tajnej policji hrabiny robił w towarzystwie skavenów? Jakie dowody przeciwko niemu mogli odkryć?

– Dobra, chłopaki. Starczy tego – rzekł Rudi. – Wracamy do roboty.

Szponowład Tzerkual Skab spojrział na sztormverminów. Wypełniali całą komorę w tunelach, a zapach ich piżma był słodki. W jego sercu wzbierało coś w rodzaju dumy. To byli wielcy, silni skaveni, a ich czarne futro było gładkie i zadbane. Pasowali do swoich świetnych, lakierowanych na czarno pancerzy oraz pokrytych runami hełmów z czarnego żelaza. Należeli do elity: dobrze odżywieni, doskonale wyposażeni, zdyscyplinowani – przewyższali o tyle zwykłych klanbraci i niewolników, o ile on przewyższał ich. Dowodził dwoma tuzinami najlepszych wojowników, jakich mógł wystawić jego klan. Podczas zbliżającej się wojny stanie na czele dwustu lub więcej takich żołnierzy.

Do tej misji nie były potrzebne pełne siły – to było proste. Eliminacja kilku człowieczyń o różowym mięsie. Łatwe. Szary Prorok Thanquol nie ukrywał, że takie będzie. Nawet, jeśli nie w smak mu była zmiana za Skrequala, zgodził się. Skab wątpił, by potrzebował nawet czterech szponogrup sztormverminów, by zająć się kilkoma pospolitymi człowieczymi wojownikami. Thanquol, który stał za nim, wydał dyskretne szczeknięcie z niecierpliwości. Szczuro-ogr towarzyszący czarnoksiężnikowi mruknął gniewnie.

Małe ukłucie strachu dotknęło Tzerkuala, gdy pomyślał o strasznych muskułach i pazurach olbrzymiej hybrydy. Wolałby nie mierzyć się z nią w walce. Zakup stwora od poganiaczy z Klanu Moulder musiał kosztować Szarego Proroka znaczny stosik spaczenia, a Tzerkual słyszał, że wydatek okazał się wart każdej uncji cennej substancji.

Jednak nie zamierzał pozwolić, by go poganiano. Należało trzymać się pewnych zasad. Musiał zachować twarz przed swoimi oddziałami. Nie pozwolił, by jego niepokój stał się widoczny i powstrzymał się przed wypuszczeniem piżma strachu.

Szarpnął za nos władcym ruchem, a potem trzasnął ogonem o ziemię, aby zwrócić na siebie uwagę. Spojrzały na niego dwa tuziny par czujnych różowych ślepi.

– Schodzimy do wielkiego śmierdzidła pod miastem ludzików –

powiedział do nich. – Idziemy zabić pięć człowieczyń, którzy strzegą tuneli. Są to wrogowie wodza naszego klanu i zabili-ubili naszego klanbrata, tak. Zemsta i człowiecza krew będą nasze. Walczcie dobrze, a więcej samic i więcej tokenów spaczenia będzie wasze. Jeśli będziecie walczyć źle, przeżuję wasze flaki własnymi kłami.

– Słyszemy, szponowładzie! – huknęli z mocą grzmotu. – Chwała klanowi! Zemsta za naszego klanbrata!

– Tak-tak, krew-zemsta za naszego klanbrata! – Tzerkual uśmiechnął

się, obnażając rzędy ostrych piłowatych zębów. U skavenów był to znak przestrogi i jego podwładni umilkli. Był zadowolony widząc strach, jaki u nich wywołał.

Tak, pragnął zemsty za Skrequala. Należeli do tego samego miotu, razem walczyli brnąc na szczyt swojego klanu. Wyrzynali, mordowali i zabijali skrytobójczo wszystkich stojących na drodze do władzy. Rozumiał

ambicje brata i jak dotąd ufał wszystkim, komu ufał Skrequal. Pragnął

krwi zabójców. To w pewien sposób wynagrodzi niewygody związane z poszukiwaniem kolejnego sprzymierzeńca w wielkiej grze klanowej polityki.

Może wystarczy Thanquol, jeśli Szary Prorok nie spróbuje najpierw wsadzić zębatego noża w jego plecy? Cóż, tylko przeszłość mogła to pokazać.

Zakrył zęby i sztormvermini uspokoił się. Oczekiwał ponownych odwiedzin w podziemnym mieście. Lubił skradać się przez wielki śmierdzący labirynt, który przypominał mu Skavenblight. To było coś innego niż okropnie jałowy przyczółek na Podziemnej Drodze, który był

zmuszony zajmować od czasu, gdy wysłał go tam herszt klanu Skab.

Cieszył się, że głupi człowieczyna miał dość rozumu, by przekazać im wieść o tym problemie. Strażnicy stanowili potencjalne zagrożenie dla wielkiego planu. Nic nie mogło zagrozić jego człowieczemu pionkowi, dopóki nie przejmą miasta.

Nie był pewien, na czym polegał ów wielki plan, ale to nie miało znaczenia. Był prostym, lecz zwycięskim żołnierzem. Nie do niego należało obmyślanie sposobów, jakimi Trzynastu Lordów Zepsucia kierowało Wszechświatem. Jego zadanie polegało po prostu na tym, by zabijać wrogów Klanu Skab. To właśnie zamierzał uczynić.

Felix martwił się. Nie tylko z powodu liczby szczurów, jakie widział.

Niepokojący był sposób, w jaki za nim podążały. Powtarzał sobie, by nie był głupi. Szczury nie szły za nim. Po prostu tam były, jak zawsze w kanałach. Wyobraźnia jak zwykle płatała mu figle.

Rozejrzał się wokół miejsca, które inni kanalarze nazywali „katedrą”.

Było to obszerne połączenie kilku największych kanałów ściekowych miasta. Zostało zaprojektowane w stylu, w którym, jak mu się zdawało, rozpoznawał architekturę hal Karaku Osiem Szczytów. Nazywał ten styl Królewskim Krasnoludzkim. Wiedział, że krasnoludy, które wybudowały te kanały, byli uchodźcami. Uciekli z Gór Krańca Świata, gdy ich ziemie stały się zbyt niebezpieczne. Musieli przybyć do krain człowieka, sprowadzając wielką wiedzę inżynieryjną oraz ogromną nostalgię za swoimi starożytnymi siedzibami w górach.

Ówczesny elektor Nuln był człowiekiem oświeconym. Znalazł użytek dla ich wiedzy i umiejętności, poprawiając jednocześnie stan sanitarny szybko rosnącego miasta. Budowniczości odpowiedzieli na to wyzwanie tworząc miejsca, które przypominały raczej wielkie świątynie niż kanały ściekowe.

Potężne łuki wspierały mury, które przetrwały niemal tysiąc lat.

Zawile zdobiona robota murarska zdobiła łuki wyobrażeniami tradycyjnych krasnoludzkich symboli młota i tarczy. Murarka była sama w sobie wykonana pięknie i funkcjonalnie. Oczywiście, czas zrobił swoje.

Ale to miejsce, które znajdowało się niemal dokładnie pod pałacem elektorki, mogło być kanałem ściekowym godnym cesarza.

Nagle Felix ogarnął to wszystko. Zobaczył, jak dzieło starodawnych murarzy sprawiło, że miasto stało się bardzo wrażliwe na atak.

Przypomniał sobie opowieść Gotreka o tym, jak skaveni zaatakowali Karak Osiem Szczytów z najmniej spodziewanej kierunku: od spodu.

Kanały ściekowe zapewniały dostęp do podziemi wszystkich miejsc ważnych dla miasta. Zespoły skrytobójców lub oddziały uderzeniowe mogły swobodnie poruszać się wzdłuż nich, zwłaszcza jeśli składały się z istot przystosowanych do widzenia w ciemnościach. To była wspiana droga dla skaweńskiej inwazji. Wielkie mury Nuln nie będą stanowiły dla nich żadnej przeszkody. Wypatrywacze na dachu świątyni Myrmidii nie dostrzegą niczego.

Niebezpieczeństwo, w jakim znalazło się miasto, było jeszcze większe, jeśli własny szef magistratu skumał się ze szczuroludźmi! Kawalki układanki zaczęły do siebie pasować. Zrozumiał, w jaki sposób znikali przeciwnicy von Halstadta. Skaveni porywali ich do podziemi. Założyłby się o wszystko, że istniała sieć tuneli, która umożliwiała dostęp do pałaców i chronionych murami domów powyżej. Jeśli nic innego nie pomoże, mała grupa skrytobójców dotrze w dowolne miejsce przez kanały ściekowe. Ta myśl była przerażająca.

Pozostawało pytanie – po co? Dlaczego von Halstadt to robił? Co zamierzał uzyskać? Chciał zniszczyć swoich wrogów? Może był

mutantem w zмовie z siłami ciemności? Może był szalony? Felix zadawał sobie pytanie, czy mógł odejść obarczony taką wiedzą. Czy mógł

przyjąć ofertę bezpiecznej pracy obok braci i pozostawić w rękach wrogów drugie pod względem przepychu miasto Imperium?

To wzbudzało w nim furję – nic nie mógł zrobić. Nikt mu nie uwierzy, jeśli oskarży szefa magistratu. Zeznania kanalarza przeciw najbardziej wpływowemu człowiekowi w mieście? A jeśli odkryje, kim w rzeczywistości był szef policji, wówczas sprowadzi na siebie jeszcze większe kłopoty. Był znanym rewolucjonistą i towarzyszem krasnoluda, który zmasakrował dziesięciu żołnierzy należących do osobistej, elitarnej nadwornej kawalerii Imperatora. Nikt nie będzie się zbyt przejmował, jeśli obaj znikną. Może lepiej było pozostawić sprawy własnemu biegowi?

Właśnie w chwili, gdy podjął taką decyzję, zauważył, że szczury znikły i usłyszał za sobą odgłos miękkich kroków.

– Jesteśmy śledzeni, człeczyno – powiedział cicho Gotrek. – Kilka grup. Jedna za nami. Dwie idące tunelami równoległymi do naszego.

Jeszcze kilku z przodu.

– Śledzeni? Przez kogo? – Felix zmusił się do wyrzucenia z siebie tych słów. Miał ściśnięte gardło, a głos był ledwo głośniejszy od szeptu. –

Skaveni?

– Tak. Szykują na nas zasadzkę. Nasi wężaci, mali przyjaciele powinni zachowywać się ciszej. Krasnoludzkie uszy są czule.

– Co możemy zrobić?

– Dzielnie walczyć, a jeśli trzeba – umrzeć bohatersko, człeczyno.

– To dobre dla ciebie – jesteś Zabójcą. Reszta z nas nie jest tak chętna, by dać się zabić.

Gotrek spojrział na niego z pogardą. Felix czuł, że musi znaleźć wymówkę dla swojego strachu.

– A co się stanie, jeśli to jest inwazja? Ktoś musi ostrzec miasto. To jest nasz obowiązek. Pamiętaj przysięgę, jaką złożyliśmy wstępując do straży.

Zauważył, jakie wrażenie wywarły te słowa na Zabójcy Trolli.

Krasnoludy zawsze były bardzo poruszone słysząc o obowiązku i przysięgach.

– Masz rację, człeczyno. Przynajmniej jeden z nas powinien się wymknąć i ostrzec miasto. Najlepiej porozmawiajmy z pozostałymi i ułożmy plan.

Tzerkual zauważył, że jego ofiary przystanąły. Zbierali się w przejściu i rozmawiali przyciszonymi głosami. Wiedział, że się bali. Wreszcie zaświtało nawet w ich ciemnych człowieczych mózdkach, że są śledzeni.

Domyślał się usprawiedliwionego strachu, jaki prawdziwy skaveński wojownik wywoływał u większości ludzi. W wielu ludzkich oczach oglądał skrajne przerażenie. Przytłaczający majestat i dostojeństwo postaci skavenów wywoływały w człowieczynach trwogę.

Wyprostował się i musnął swoje futro językiem. Czasami, gdy spoglądał w wypolerowane zwierciadło swojej tarczy, niemal podzielał ich uczucia. Nie dało się zaprzeczyć, że był postacią wywołującą duże wrażenie – nawet na tle dostojnych sylwetek innych skavenów wysokiej rangi. Człowieczyny musiały być wstrząśnięte widokiem władczej rasy.

Dał znak sztormverminom, by się zatrzymali. Pozwoli swoim ofiarom na chwilę łaski, aby w pełni posmakowali strachu. Chciał, by zrozumieli beznadziejność sytuacji. Może nawet pozwoli im błagać o życie. Niektóre ofiary tak czyniły. Wiedział, że był to hołd dla jego niezwyklej osoby.

– Szponowładzie. Czy mamy zaatakować? Okaleczyć-zabić człowieczyny, póki nie wiedzą, co się dzieje? – zapytał dowódca grupy Gazat.

Tzerkual potrząsnął głową. Gazat okazywał swój zwykły brak zrozumienia dla delikatnych punktów strategii. Uważał, że lepiej było po prostu atakować, niż czekać na odpowiedni moment, gdy wrogowie zostaną sparaliżowani strachem.

Wódz szarpnął z pobłażaniem ogonem.

– Nie-nie. Niechaj poznają strach. Kiedy wypuszczą piźmo i dowiedzą się, czym jest brak nadziei, wówczas wypuścimy naszą zabijaszczę.

Tzerkual dostrzegał powątpiewanie Gazata. Cóż, niech tak będzie.

Wkrótce przekona się o przewadze wiedzy taktycznej swojego przywódcy.

– Szponowładzie. Oni wracają w naszą stronę.

– Bez wątpienia uciekają w panicznym popłochu. Przygotujcie broń na ich powitanie.

Występ chodnika był dość szeroki, by pomieścić dwóch skavenów, jeden obok drugiego. Sztormvermini zajęli pozycje i wyciągnęli piki w kierunku nacierających przeciwników. Tzerkual wyczekiwał.

Triumf ogarnął jego serce, gdy porażone strachem człowieczyny zauważyły elitarnych wojowników. Byli tak przejęci trwogą, że nawet nie zatrzymali swojego straceńczego pędu naprzód. Ślepa panika sprawiła, że rzucili się przeciw mieczom.

Z pewnością tylko szczęście pozwoliło krasnoludowi odbić zamachem siekierki dwa ostrza. Tak, teraz to widział wyraźnie. Krasnolud był tak przerażony, że na jego ustach pojawiła się piana, jak u klanbrata dotkniętego wściekłością. Zawodził straszliwe modlitwy do bogów, których wyznawał. Nieszczęśnik wiedział, że był zgubiony.

Nadal jednak w swoim przerażeniu dokonywał strasznego zniszczenia, jak często zdarzało się to w przypadku brutali zdjętych paniką. Jeden ślepy zamach zerwał łeb z karku wojownika. Szaleńcze wymachy siekiery powaliły dwóch godnych zaufania sztormverminów, których wtrącił do kanału ściekowego.

Gdyby Tzerkual nie znałby ich lepiej, przysięgłby, że skaveni wskoczyli do nieczystości, aby uniknąć ostrza. Z pewnością tak być nie mogło! Wysoki mężczyzna z jasnym czubem włosów przyłączył się do krasnoluda. Walczył ze spokojną precyzją. Pchnięcie krótkiego miecza trafiło w gardło skavena.

Nie! To nie mogło być prawdą. Poległo czterech najlepszych wojowników, a człowieczyny nawet nie poniosły żadnych ofiar.

Bezfutrzaści mieli szczęście. Ogarniała go duma, gdy coraz więcej śmiałych sztormverminów rzucało się do walki.

Teraz czuł, że nadchodzi pewne zwycięstwo. Człowieczyny po prostu jeszcze o tym nie wiedziały. Nadal nie ustawali. Coraz więcej bezużytecznego szcurzego śmiecia ginęło pod ciosami ich broni.

Tzerkual zrozumiał, że został zdradzony! Zamiast elitarnych sztormverminów, wysłano mu nicponiowatych klanbraci. Jakiś przebiegły wróg w Skavenblight musiał to zaplanować, pragnąc pozbawić go szacunku.

To było jedyne wyjaśnienie – tylko dlatego dwóch nikczemnych mieszkańców powierzchni potrafiło wyciąć pół tuzina skaveńskich, tak zwanych „wojowników”, bez jednego zadrapania. Tzerkual szykował się na spotkanie z przeciwnikiem. Przynajmniej on nie lękał się starcia z siekierką krasnoluda, ani z mieczem człowieka. Był szponowładem. Nie znał strachu.

Jego ogon mrowił po prostu z podniecenia, a gruczoły pizmowe puchły, gdy krasnolud bryzgał na ściany kanałów krwią wydobywaną gwałtownymi wymachami toporka. Tzerkual wiedział, że jest w stanie pokonać każdego człowieczynę, ale uznał że powstrzyma się, dopóki dowódca Gazat walczy z krasnoludem. Chciał przestudiować styl walki swojego przeciwnika, aby jak najlepiej wykorzystać tę wiedzę.

Niewątpliwie imponujący był sposób, w jaki krasnolud chwycił

skaczącego skavena za gardło i cisnął łbem o krawędź podłogi, roztrzaskując mózg.

Z pewnością to nie przerażenie spowodowało, że Tzerkual sam rzucił

się w ścieki, gdy stanął przed nim berserker ze spienionymi ustami. Po prostu wiedział, że to nie była odpowiednia chwila do walki. Bardziej eleganckie było wyeliminowanie nieprzyjaciela, gdy ten nie będzie się bronił – z zaskoczenia, powiedzmy, podczas snu. To było znacznie mniejsze marnotrawstwo życia skavenów. Wspomni o tym Thanquolowi, jak tylko zakończy kąpiel.

– Oni nas szukali, prawda? – pytał Felix, rozglądając się z niepokojem.

Dotknął plamy krwi na twarzy i z obrzydzeniem przyjrzał się palcom. Nie był zaskoczony widząc, że krew skavenów była czarna.

– Nie bądź głupi, człeczyno. Dlaczego mieliby nas ścigać?

Felixa zaczynało drażnić ciągle nazywanie go głupcem.

– Cóż, czyż to nie wydaje się dziwne, że udało się nam przeżyć dwa tygodnie, podczas których nie spotkaliśmy ani jednego z nich tam na dole, a potem ledwo dwa dni po tym, jak zabiliśmy skavena, wpadamy w zasadzkę? Pomyśleć tylko, minął tylko jeden dzień, gdy zobaczyłem von Halstadta Pod Żłotym Młotem. Być może mnie rozpoznał.

Gotrek machnął siekierą. Czarna krew spryskała chodnik w miejscu, gdzie upadły krople.

– Człeczyno, on cię nie mógł rozpoznać. Po pierwsze, byłeś inaczej ubrany. I stałeś za latarnią, gdy Gant ją zaświecił – on mógł dostrzec tylko twoją sylwetkę. Jeśli w ogóle cokolwiek zobaczył.

Najprawdopodobniej był zbyt zajęty ucieczką.

Powoli zaczął wierzyć w słowa Gotreka. Albo raczej w to, czego krasnolud nie powiedział. Nie kwestionował faktu, że Felix zobaczył von Halstadta w gospodzie Pod Żłotym Młotem.

Inni kanalarze powrócili po przeszukaniu ciał.

– Dobrą robotę odwaliliście, wy dwaj – powiedział Hef. – Pewnie, że potraficie walczyć.

– Nie mogliście trochę zostawić dla nas? Myślałem, że coś podchodzi do nas od tyłu, ale chyba się zatrzymali, kiedy wy dwaj uderzyliście.

– Najprawdopodobniej przestraszyli się.

– No cóż, zabierzemy zwłoki i pokażemy je kapitanowi straży. Może tym razem nam uwierzą.

– Racja, młody Felixie. Poniesiesz to ścierwo?

Felix zamknął usta schylając się, by podnieść śmierdzące włochate zwłoki. Nawet mimo smrodu ścieków, odór ciała był powalający. Felix nie krył zadowolenia, gdy w połowie drogi powrotnej do wyjścia, Hef zaferował swoją kolej w noszeniu szczurzego trupa.

– I mówisz, bracie, że pod miastem są szczuroludzie? Nawet w kanałach ściekowych?

Rozglądając się po jadalni w domu Otto, Felix z łatwością rozumiał

niedowierzenie brata. Wszystko tutaj wydawało się solidne, bezpieczne i niegroźne. Drogie brokatowe zasłony strzegły przed nocą równie skutecznie, jak wysokie mury otaczające ogród, które strzegły przed wdarciem się miasta. Solidne tekowe meble były dowodem bogactwa opartego na mocnych podstawach przedsiębiorstwa, które przynosiło dochody. Srebrne sztuce, oddzielne do każdego dania, odbijały uporządkowany świat, w którym wszystko miało swoje miejsce. Tutaj, w domu brata otoczonym kamiennymi murami, trudno było przypomnieć sobie szczegóły koszmarnej bitwy, w której walczył tego ranka.

– O tak – mówiąc to ponownie zobaczył szczerzącą kły dziką szczurzą twarz skavena, którego zabił. Pamiętał bąble spienionej krwi buchające z ust. Czuł śmierdzącą masę, która napierała na niego, gdy upadał. Zmusił

się, by wymazać z pamięci to wspomnienie i skoncentrował na pucharze świętego parravońskiego wina, jakie postawił przed nim brat.

– Prawie niepodobna w to uwierzyć. Nawet, jeśli daje się posłuch plotkom.

– Plotkom, Otto?

Kupiec rozejrzał się. Wstał i przeszedł po komnacie, upewniając się, że wszystkie drzwi dokładnie zamknięte. Jego bretońska żona, Annabella, odeszła do swoich komnat, zostawiając obu mężczyzn

zajętych rozmową.

Otto wrócił na swoje siedzisko. Twarz miał zarumienioną od wina. Światło świecy wyławiało migoczące krople potu na jego twarzy.

– Powiadają, że w ściekach żyją mutanci, gobliny i inne potwory.

Felix uśmiechnął się widząc powagę brata. Otto opowiadał o tym kanalarzowi, jakby powierzał mu wielki sekret.

– Możesz się uśmiechać, Felixie, ale rozmawiałem z ludźmi, którzy przysięgali, że to prawda.

– Naprawdę? – Trudno było mu ukryć nutę ironii w głosie. Otto nie zauważył tego jednak.

– O tak, ci sami ludzie, którzy przysięgają, że istnieje wielkie podziemne miasto mutantów zwane Nocnym Rynkiem. Mówią, że znajduje się ono na brzegu miasta. Na porzuconym cmentarzysku. Jest regularnie nawiedzane przez wyznawców pewnych zdeprawowanych kultów.

– Masz na myśli wyznawców Slaanesha?

Otto zmarszczył usta.

– Nie używaj tego słowa w moim domu. Jest przeklęte, a ja nie chcę zwrócić na siebie uwagi Niszczycielskich Mocy. Ani ich wyznawców.

– Przeklęte, czy nie, takie rzeczy istnieją.

– Dostyc, bracie.

W pierwszej chwili Felix nie mógł uwierzyć, że brat mówił poważnie.

Zastanawiał się, co powiedziałby Otto, gdyby usłyszał, że jego braciszek był świadkiem orgii wyznawców Slaanesha podczas Geheimnismacht.

Uznał, że lepiej, by się tak nie stało. Widząc poważną, przestraszoną twarz brata zdał sobie sprawę, jak wielka dzieliła ich przepaść.

Czy naprawdę mógł kiedyś być takim ignorantem, jak jego starszy brat

– drżącym ze strachu na wspomnienie o mrocznych mocach, o których nie miał najmniejszego pojęcia? Musiał przyznać, że tak być mogło. Zaczął

rozumieć, w jaki sposób kultystom udawało się zachować tajemnicę. Cały ten temat okrywała zasłona niedomówienia, która chroniła wysokie sfery –

nie wspominało się o takich rzeczach, ani nie rozmawiało się o nich.

Każdy czuł odrazę do mutantów i otwarcie przyznawał się do tego.

To nie było dobre. Łatwo było znaleźć wyraźny cel dla wszelkich ataków, gdyż mutanci skupiali na sobie uwagę. Stanowili wentyl dający ujście głęboko zakorzenionemu niepokojowi. Ale wystarczyło wspomnieć, że normalny, uważany za rozsądnego człowiek mógł być zainteresowany czczeniem mrocznych bóstw, a przed jego nosem zatrząskiwały się drzwi.

Dramatopisarz Detlef Sierck miał rację, gdy pisał: Nasz jest ład spętany ciszą, nasz jest czas, gdy prawda uchodzi niewypowiedziana. Ludzie po prostu nie chcieli wiedzieć.

Dlaczego? Felix nie mógł tego zrozumieć. Czy naprawdę uważali, że udawanie, iż problem nie istnieje wystarczy, by on zniknął? Kapitan straży widział dziś ciało skavena i nie mógł zaprzeczyć jego istnieniu, chociaż najwyraźniej tego pragnął. Był zmuszony donieść o tym wyższym władzom.

Zimny dreszcz przebiegł Felixa, który przypomniał sobie, kto przybył

zabrać ciało do zbadania. To byli ludzie z biura Szefa Magistratu von Halstadta. Felix zastanawiał się, czy ktokolwiek zobaczy jeszcze ciało martwego skavena.

– Opowiedz mi więcej o panie von Halstadt – poprosił Felix. – Gdzie on mieszka?

Otto najwyraźniej z zadowoleniem przyjął zmianę tematu.

– Jego ojciec był drobnym szlachcicem, którego zabito podczas jednego z buntów chłopskich na początku lat siedemdziesiątych. Studiował, by zostać zakonikiem Sigmara, ale nigdy nie przyjął święceń. Odchodził

otoczony aurą skandalu – to było coś związanego ze szpiegowaniem w klasztorze. Jest skuteczny. Mówi się, że przechowuje rejestry na temat każdego obywatela. A jego przeciwnicy znikają w tajemniczy sposób.

Felix pogрузzył się w cichej zadumie. Kolejny element dopasował się do układanki. Przypuszczał, że udało mu się zrozumieć, co się stało. To wymagało jednak trochę wysiłku związanego ze sprawdzeniem faktów.

Miał zamiar zacząć następnego dnia, wczesnym rankiem.

– Mówiłeś, że on mieszka gdzieś w pobliżu.

– Dwie ulice stąd. Obok pałacu, na Emmanuelle Platz.

– No cóż, – Felix oparł się na krzesło i ziewnął szeroko. – Bracie, jest późno i naprawdę muszę już iść. Jutro czeka mnie robota.

– Dobrze – Otto zadzwonił małym dzwoneczkiem, który leżał obok talerza. – Franz przyniesie płaszcz.

– Mówiłem twojemu poprzednikowi, żebyście nigdy tu nie przychodzili

– powiedział von Halstadt, spoglądając na skavena ze z trudem skrywaną odrazą. Nienawidził, gdy ktokolwiek poza nim wchodził do pokoju rejestrów. – Służba mogła cię zauważyć.

Szczuroczłek śmiało odpowiedział na spojrzenie. Było w nim coś, co sprawiło, że von Halstadt stał się nerwowy. Może powodowało to szarawe futro, a może dziwne, jakby ślepe oczy. W tym osobniku tkwiło jednak coś jeszcze innego. Coś niemal przerażającego.

– Ja to być ktoś inny, człowieczyno. Ja być Szary Prorok. Władca magii w służbie Trzynastu. Należę do klanu, ale nie być przez klan wysłany.

Ważne, by ja zobaczyć się z ty. Sprawy nie być dobrze ze strażnikami.

Wiele skavenów martwych.

– Ale moi słudzy...

– Nie lękaj się, głupi człowieczyno – śnią-chrapią mocno. Proste zaklęcie.

Von Halstadt odłożył księgę. Zaznaczył miejsce zakładając je suchym piórem i zamknął ją delikatnie. Jego dłoń przesunęła się w pobliże miecza.

Dotyk rękojeści nieco go pokrzepił. Napotkał spojrzenie skavena i zmusił

go do odwrócenia wzroku.

– Jestem nieprzywykły do nazywania mnie głupcem. Nie rób tego więcej.

Skaven uśmiechnął się. To nie było uspokajające. Przez chwilę urzędnik miał wrażenie, że stwór rzuci się naprzód i ugryzie go. Trzymał

dłoń przy broni. Po niemal niedostrzegalnym potrząśnięciu łbem, skaven przestał się uśmiechać. Szarpnął za ogon.

– Oczywiście. Tak-przykro. Wiele przepraszeń, tak. Żałować za utratę braci. Ich wymiana kosztować wiele spaczotokenów.

– Przyjmuję twoje przeprosiny.

Von Halstadtowi powróciła pewność siebie. W niejasny sposób ogarniało go zadowolenie, że nawet tak potwornie wyglądające stworzenie, jak szczuroczłek odczuwa ból po stracie zmarłych krewniaków. Nadal jednak tęsknił za dniem, gdy nie będzie musiał

zadawać się ze skavenami i będzie mógł je zniszczyć. Podniósł księgę i odstawił ją dokładnie na właściwe miejsce w biblioteczce.

– Człowieczyny być niebezpieczne dla naszego układu. Oni wiedzieć o twojej obecności i móc wskazać cię wśród innych. Nie można im pozwolić, by oni zagrażać tobie lub nam.

– To prawda.

Ta myśl była niepokojąca. Wrogowie von Halstadta byli liczni i najłżejsze podejrzenie skandalu mogło zostać wykorzystane przeciwko niemu. Zdradzieccy kanalarze sprzedadzą informacje temu, kto najwięcej zapłaci – tego był pewien. Robiło mu się niedobrze na myśl o ich braku lojalności dla sprawy ludzkiej. Zasługiwali na śmierć. I pomyśleć, że kiedyś ich żałował!

– Oni muszą zginąć.

– Tak-tak, a ty musisz pokazać nam, gdzie ich znaleźć.

– To dość łatwe. Przesłuchiwałem dziś ich kapitana straży – Otworzył

nową szufladę biblioteczki i wyciągnął cienkie dossier. – Oto moje zapiski na ich temat.

– Dobrze-dobrze. Wkrótce wszyscy śmierć-umrzeć.

Powróciwszy bezpiecznie do kanałów, Szary Prorok Thanquol przeklinał pod nosem. Miał dość zadawania się z idiotami takimi, jak Tzerkual i człowieczynami, jak von Halstadt. Wolałby powrócić do domu, do swojej ciepłej nory w Skavenblight, otoczony przez samice i kilku porwanych ludzi, którzy biegali w jego labiryncie. Brakowało mu pięknego aromatu zgnilizny bagien i obawiał się intryg, jakie podczas jego nieobecności zawiązywali przeciw niemu inni. Nienawidził pracy z idiotą Tzerkualem, który nie potrafił nawet właściwie przeprowadzić prostego zabójstwa pięciu człowieczyn.

Na myśl o piskliwych wymówkach wodza Thanquol zagryzł język ze złości. Na Trzynastu, to była prawda! Jeśli chciało się dobrze obgryźć gnat, trzeba było samemu to zrobić. Nie było sensu powierzać istotnych spraw takim osobnikom, jak ten nie nadający się do niczego wódz.

Jednak władcy Thanquola wysłali go do klanu Tzerkuala i Szary Prorok został związany przysięgami zakonu, by wprowadzić w życie i wykonać ich plany. A to znaczyło wiele. Dowodziło, że Klan Skab posiadał dług w Wielkiej Rozgrywce prowadzonej w Skavenblight. Von Halstadt, chociaż głupi, był cennym agentem w tym miejscu. Spośród wszystkich ludzi, jakich spotkał Thanquol, mistrz szpiegów myślał w sposób najbardziej zbliżony do skavena – bardzo głupiego skavena, to trzeba przyznać, lecz jednak skavena. Łatwo nim było manipulować ze względu na jego dziwną zazdrość o łaski samicy Emmanuelle. Gotów był uwierzyć we wszystko, co było z nią związane. Wyobrażał sobie, że skaveni używają miejskich szczurów jako szpiegów – głupi człowieczyna!

Jednakże, von Halstadt okazał się użyteczny przy usuwaniu tych, którzy mogli stać się zagrożeniem dla długoterminowych planów Trzynastu i był przydatnym oraz skutecznym dostawcą spaczenia tak niezbędnego dla kontynuacji planów badawczych proroków.

Tak-tak, mądrze będzie powstrzymać pragnienie, by zabić tego człowieczynę. Żywy był bardziej użyteczny, przynajmniej dopóki nie nadejdzie Wielki Dzień, gdy ludzkość ugnie się ponownie pod

pazurami skavenów.

Thanquol z łatwością odcyfrował dziwne gryzmoły, które ludzie nazywali pismem. Przez całe życie przygotowywał się do tego. Badania ludzkości i ich sztuk były jego szczególnie mocną stroną. Von Halstadt przewidująco dołączył mapy przedstawiające najbliższe kanały ściekowe, które prowadziły do siedzib ofiar. Człowieczyzna nie był całkiem niekompetentny. Doskonale! Dwa cele mieszkały razem w łatwo dostępnym miejscu. Zacznie od nich.

– Chodź-chodź Kościorwiju! Mam dla ciebie robotę tej nocy – pisnął

Thanquol.

Szczuro-ogr warknął w odpowiedzi wychodząc z cienia. Potężne szpony wysunęły się gładko z łap w oczekiwaniu na żer.

Hef zataczał się pijany brnąc w dół błotnistej bocznej uliczki, gdy usłyszał odgłosy walki, które dobiegały z chatki, jaką dzielił z Gildą i swoim bratem. Widział, że nie powinien zostawać w tawernie na ten ostatni kufel z Gotrekiem. Jeśli Wielki Jax ze swoją bandą powrócili z odwetem podczas jego nieobecności, nigdy sobie tego nie wybaczy.

Zakrzywiony nóż był zimny i pewnie spoczywał w ręce. Żałował, że nie był nieco trzeźwiejszy, ale na to nie było rady. Zaczął biec i niemal natychmiast potknął się o stertę odpadków gnijących na ulicy. W nocy, bez ulicznych świateł, Nowa Dzielnica stawała się śmiertelną pułapką.

Podniósł się i ruszył ostrożniej wzdłuż chodnika. Przypominał sobie, że w pobliżu znajduje się otwarty ściek i uważał, by do niego nie wpaść.

Usłyszał krzyk Gildy i wszelkie myśli o własnym bezpieczeństwie znikły w chwili, gdy okrzyk zamarł w bolesnym jęku. Biegł, przebijając się przez śmieci, potykając o stosy odchodów. Wiedział, że na Taniej Ulicy tylko on odpowie na wołanie o pomoc. To nie była dobra okolica.

W niebo nad ruderą wystrzeliły płomienie. Ktoś musiał przewrócić lampę podczas walki. Z wnętrza budynku dobiegło dzikie warczenie.

Może Jax sprowadził swoje ogary bojowe, tak jak to kiedyś zapowiedział?

Hef jednym susem znalazł się przed wejściem. W świetle błyskających wewnątrz płomieni zauważył, że drzwi zostały wyrwane z zawiasów.

W środku coś się poruszało. W drzwiach spotkał swojego brata. Spider otworzył usta i próbował coś powiedzieć. Krew buchnęła naprzód. Hef złapał upadającego. Gdy jego ramiona objęły plecy brata, wyczuł ziejącą w nich dziurę i wylewającą się przez nią wielką miękką masę płuc. Spider jęknął i umarł.

To był koszmar. Hef wrócił do domu i zastał go w płomieniach. Jego brat był martwy. Nie, to nie mogło być prawdą. On i Spider byli nieodłączni, od czasu gdy nauczyli się chodzić. Służyli na tej samej łodzi rybackiej, ukradli te same pieniądze, razem uciekli do tego samego miasta i żyli z tą samą

dziewczyną. Mieli to samo życie. Jeśli Spider był martwy, wówczas...

Hef stał znieruchomiały. Łzy płynęły mu strumieniem po twarzy, gdy potworny kształt wyłonił się z ruin płonącej chatki i zamajaczył obok.

Ostatnią rzeczą, jaką usłyszał kanalarz, był piskliwy chichot za plecami.

Felix wstał rześko wczesnym rankiem. Kroczył błotnistymi ulicami Nowej Dzielnicy, ignorując kłęby dymu, jakie unosiły się z ruder w pobliżu Taniej Ulicy. Podejrzewał, że wybuchł tam kolejny pożar. No cóż, miał szczęście – wiatr nie przywiał płomieni w kierunku posiadłości Frau Zorin. Gdyby tak się stało, wówczas zginąłby podczas snu. A nie mógł

sobie pozwolić na śmierć w tej chwili. Miał sprawy do załatwienia.

Skręcił w lewo, w Gnijący Rów i znalazł się na wybrukowanych chodnikach Drogi Handlowej. Powozy z łoskotem mijaly kupców zmierzających do kawiarni przed rozpoczęciem codziennych interesów.

Skierował się do Izby Archiwów i znalazł oddział biura planistycznego odpowiedzialnego za kanały ściekowe.

Wiedział, że tam znajdzie to, czego potrzebował. Po trzech kwadransach przeglądania starych, pokrytych kurzem rejestrów i planów, dwie pogróżki i jedną łapówkę później, udowodnił, że miał rację.

Zadowolony z siebie ruszył do siedziby straży.

Natychmiast zostali odesłani do pomocy straży, która pracowała na obszarze pogorzelska: mieli grzebać martwych i wyszukiwać żywych pośród gruzów. Poszli rozejrzeć się wśród ruder. Ogień przedarł się przez wiele chatek. Wszędzie leżeli spaleni martwi, których sylwetki zostały zniekształcone przez pożogę. Mały chłopiec o twarzy zaczernionej sadzą siedział obok starej kobiety, która cicho łkała.

– Co tu się wydarzyło, synu? – zapytał Felix.

– To zrobił szcurzy demon – powiedział chłopiec. – Sam to widziałem. Zabił ludzi, którzy tu mieszkali i ściągnął pod ziemię, żeby ich zjeść. Mama mówi, że to wróci po mnie, jeśli nie będę grzeczny.

Felix wymienił spojrzenia z Gotrekiem. W zdrowym oku Zabójcy Trolli wyraźne było niebezpieczne zainteresowanie.

– Chłopcze, nie ma czegoś takiego, jak szcurze demony. Nie okłamuj nas – jesteśmy ze straży.

– Właśnie, że są! Widziałem na własne oczy. To było wyższe od pana i cięższe niż ten wielki jednooki krasnolud. Prowadził je mniejszy szcuroczłek o szarej skórze i rogach na łbie.

– Czy ktoś jeszcze to widział?

– Nie wiem. Ja się schowałem. Myślałem, że mnie też mogą zabrać.

Felix potrząsnął głową i zaczął oglądać ruiny chatki Hefa i Spidera.

Niewiele zostało z żalosnego budynku, poza spalonymi resztkami i spopielonym ciałem kobiety.

– Ani śladu po Hefie i Spiderze?

Gotrek potrząsnął głową i wskazał palcem na coś szarego i ostrego, co leżało w popiele.

– To nóż Hefa.

Felix schylił się i podniósł znalezisko. Metal był jeszcze ciepły od żaru.

Felix spojrzał na ciało. Smród spalonego mięsa wdarł się w nozdrza.

– Gilda? – spytaj Gotrek.

Felix skinął głową. Ogarnęły go żal i wściekłość. Lubił tych braci. Byli dobrymi ludźmi. Teraz pragnął zemsty.

– Gotrek, byłeś kiedyś inżynierem. Powiedz mi, co to oznacza.

Felix zignorował podejrzliwe spojrzenie Zabójcy Trolli. Zrobił miejsce na stole w stróżówce i rozłożył plany. Rudi patrzył z ciekawością, gdy Felix wyglądał stary popękany pergamin i obciążał każdy róg pustym kubkiem do herbaty. Zabójca przyjrzał się uważnie papierom.

– To są plany kanałów, człeczyno. To narysowane przez krasnoludy plany Starej Dzielnicy.

– Zgadza się. Przedstawiają teren pod posiadłością Szefa Magistratu von Halstadta. Jeśli przyjrzyecie się uważnie, zauważycie, że to niedaleko od miejsca, gdzie zabito Ganta. Założę się, że jeśli poszukamy dokładniej, to znajdziemy drogę prowadzącą z kanałów do tego domu.

Rudi zmarszczył czoło.

– Proponujesz włamanie do domu Fritza von Halstadta! Powiesz nas, jeśli zostaniemy złapani. Możemy nawet stracić pracę!

– Tego byłoby szkoda. Co powiesz Rudi, wchodzisz w to?

– Nie wiem...

– Gotrek?

– Tak, człeczyno – pod jednym warunkiem.

– Jakimże?

– Jeśli von Halstadt okaże się czcicielem Chaosu, miłośnikiem skavenów i pomiotem snotlingów, którego zobaczyliśmy w kanałach, wtedy do zabijemy.

W izbie zapadło niespokojne milczenie. Znaczenie słów Zabójcy Trolli dotarło do nich w pełni. Felix czuł suchość w ustach. Krasnolud sugerował

morderstwo – to było jasne jak słońce.

Nie, stwierdził Felix myśląc o Gancie i martwych w Nowej Dzielnicy, to nie byłoby morderstwo, to byłaby sprawiedliwość. Trzeba było się z tym pogodzić.

– Dobra.

– A zatem, nie ma odwrotu. Rudi?

Łysy mężczyzna wyglądał na zaszokowanego. Miał bladą twarz, a w oczach tlił się strach.

– Nie wiecie, o czym mówicie.

– Idziesz z nami, czy nie?

Rudi przez chwilę nie odpowiadał.

– Tak – rzekł wreszcie. – Idę. Mam tylko nadzieję, że się mylicie.

– Nie sądzę – odparł Felix.

– Tego właśnie się obawiam.

Kanały ściekowe jeszcze nigdy nie wydawały się Felixowi tak złowieszcze. Cienie tańczyły uciekając przed światłem latarni. Za każdym razem, gdy słyszał za sobą ciężkie stąpanie Rudiego, musiał walczyć z przymusem, by spojrzeć w tył. Odgłosy ciągłego postukiwania w ściany, jakie wydawała siekierka Zabójcy, działały mu na nerwy. Wiedział, że Gotrek robi to tylko po to, by sprawdzić, czy nie uda mu się znaleźć pustej przestrzeni za murem, ale to i tak niczego nie ułatwiało.

Coś tam było. Teraz to wiedział. Coś zabiło Hefa i Spidera, a także ich dziewczynę i z pewnością zabije pozostałych, jeśli na to pozwolą.

Przerażająca była nie tylko sama świadomość tego faktu. Dręczyła ich niepewność, czym było to coś. Całkowita niewiedza. Nie wiedzieli, ilu skavenów mogło się pojawić, ani jaki demoniczny sługa mógł podążać ich śladem. Bracia walczyli doskonale, ale już ich zabrakło.

Co gorsza, połowa ruder na Taniej Ulicy znikła razem z nimi.

Czymkolwiek była mroczna istota, która ich ściagała, nie miała żadnych oporów przed zabiciem

mnóstwa ludzi, by dorwać tych dwóch. Felix zadawał sobie pytanie, czy nie powinien po prostu uciec z miasta.

Mógłby już w tej chwili być w drodze, nie musiał skradać się w ciemnej, śmierdzącej dziurze. Czemu ciągle kierowało nim to przeklęte pragnienie wtrącania się w coś, co nie było jego sprawą?

Znał już odpowiedź na to pytanie. Musiał o coś walczyć –

czymkolwiek by nie było i gdziekolwiek by się nie znalazł. Gdyby tego nie robił, wówczas stałby się dokładnie taki, jak jego brat Otto i wszyscy inni podobni do niego, którzy udawali, że nie wiedzą, co się dzieje. Tacy ludzie układali się z Mrokiem, by pozostawiono ich w spokoju. Twierdzili, że wszystko jest w porządku ze światem, nawet jeśli wiedzieli, że to nieprawda.

Świadomość, że coś było nie tak, oznaczała, że Felix musiał tym się zająć – nawet jeśli jedynym powodem była próba zachowania własnej twarzy i pragnienie posmakowania uczucia wyższości nad tymi, którymi pogardzał. A jeśli to sprawiało, że czuł się odrobinę jak bohaterowie, o których czytał w młodości, tym lepiej.

Myśląc o pobudkach swojego postępowania znajdował zajęcie dla własnych myśli. To pozwalało mu zapomnieć o strachu. Koncentrował się na zdobytej wiedzy. Jedynym śladem było przeświadczenie, że głowa tajnej policji miasta była w zмовie ze skavenami. Widział to na własne oczy. Nie zdawał sobie sprawy, czemu tak się działo – wiedział tylko, że to prawda i musi to powstrzymać.

– Przestań marzyć, człeczyno. Jesteśmy na dole od kilku godzin i nadal nie znaleźliśmy twojego tajnego przejścia. Wkrótce na górze zrobi się ciemno, a my nadal nie posuniemy się naprzód.

Felix ponownie skupił uwagę na badaniu ścian. Przed nim nadal rozlegał się hałas stukającego w mur ostrza siekierki Gotreka.

Thanquol rozejrzał się po ciemnym pokoju. Na powierzchni, tak wysoko nad ziemią, czuł się całkiem odkryty. Wyjrzał przez jedyne okno, a potem spojrzał na słomiany materac. Kościorwij stał garbiąc się w sieni i rozprostowywał swoje wielkie pazury.

Tkwili w ciemnościach od dwóch godzin, a nadal nie znaleźli żadnego śladu swoich ofiar. Sfrustrowany uderzył ogonem o ziemię. Gdzie był ten głupi człowieczyna? Dlaczego nie było go w domu, tam gdzie powinien być? Wszyscy oni byli tacy sami – trwonili czas na pijaństwo i rozpustę.

Zasługiwali na to, by zastąpiła ich Rasę Panów. Thanquol przysiągł, że ten człowieczyna zapłaci za marnowanie cennego czasu Szarego Proroka.

Nie było sensu marnować go jeszcze więcej. Musiał spotkać się z von Halstadtem i sprawdzić stan przygotowań do powitalnego balu wystawianego przez elektorkę. Wkrótce nadejdzie czas, by wyjawić szefowi policji, że jeden z gości Emmanuelle – sam szwagier Imperatora –

był maskującym się mutantem, a co gorsza, także najnowszym kochankiem hrabiny.

Fakt, że żadna z tych rewelacji nie była prawdą, nie miał najmniejszego znaczenia. Ważne było, że

gdy von Halstadt porwie grafa i zacznie go torturować, miasto dowie się o tym. Rozpęta się wojna między Nuln a resztą Imperium. Imperator nie mógł zlekceważyć obrazy, jaką będzie torturowanie przez tajną policję elektorki jego szwagra. Wybuchnie wojna domowa. Ta myśl tak podnieciła Thanquola, że musiał zażyć nieco sproszkowanego spaczenia, aby uspokoić swoje nerwy. Narkotyk buzował

w mózgu i wypełniał umysł rozkosznymi wizjami tortur, rozlewu krwi i agonii.

Z zamyślenia wyrwał go odgłos kroków zbliżających się na schodach.

Skinął na Kościorwija. Rozległo się nieśmiałe pukanie do drzwi.

– Herr Jaeger, to ja, Frau Zorin. Przyszłam po czynsz!

Zanim Thanquol zdążył go powstrzymać, Kościorwij rozwalił drzwi i wciągnął staruszkę do środka.

– Panie Jaeger, nie trzeba tak grubiańsko! – To były ostatnie słowa wypowiedziane przez Frau Zorin, zanim Kościorwij rozdarł jej gardło.

Cóż, przynajmniej nie będę musiał karmić szczuro-ogra przez następne trzy godziny, pomyślał Szary Prorok. Czekał, aż Kościorwij skończy swój posiłek.

– Chodź-chodź, mamy robotę gdzie indziej – powiedział do stwora.

Ruszyli w stronę kanałów na spotkanie z von Halstadtem.

– Udało się, człeczyno! – zakrzyknął Gotrek i dla pewności zapukał

jeszcze raz. Z zadowoloną miną skinął głową. – Znalazłem przejście, albo moja matka była trollem!

Nie zakładałbym się o to, pomyślał Felix, ale zatrzymał to dla siebie.

Obserwował, jak Zabójca odkłada siekiere i zaczyna przesuwac palcami wzdłuż spoin między cegłami.

– Niezła robota, trzeba przyznać. Dobrze ukryte. Powiedziałbym, że to zrobił krasnolud. Nic dziwnego, że wczoraj to przegapiłem. Musieli wynajac krasnoludy, żeby wybudowali ten ukryty tunel, a potem kazali im przysiac zachowanie milczenia. A teraz, jeśli mam rację, właśnie tutaj powinien być...

Krótkie silne paluchy wcisnęły jedną z cegieł. Wsunęła się w ścianę.

Rozległ się cichy zgrzyt, jakby poruszyły się doskonale wyważone przeciwwagi. Część ściany cofnęła się. Felix zobaczył niewielką niszę i metalową drabinę, która prowadziła w górę. Gotrek odwrócił się i uśmiechnął, pokazując ubytki po zębach. Wyglądał na naprawdę zadowolonego.

– Istotnie, bardzo dobra robota. Ten smark musiał zostawić mnie z tyłu, po czym skręcił za rogiem i

wskoczył do kryjówki. Nic dziwnego, że nie mogłem go znaleźć. Oczy ciągle jeszcze szczypały mnie od gazu.

– Nie musisz się tłumaczyć, Gotreku – powiedział Felix.

– Nie tłumaczę się, człeczyno. Chcę tylko...

– Będziemy tu stali przez całą noc, młody Felixie, czy masz zamiar wejść na górę i rozejrzeć się? – wtrącił się Rudi.

– Ja?

– Cóż, to wszystko był twój pomysł.

Felix dostrzegł niepokój rysujący się na obliczu Rudiego. Wielkiego mężczyznę przerażała perspektywa włamania się do domu ważnego obywatela miasta. Nic dziwnego, pomyślał Felix. Jest strażnikiem. Spędził

ostatnie dziesięć lat chwytając przestępców, ale sam do nich nie zaliczał

się.

– Zrobisz to, człeczyno, czy mam iść sam?

Wizja Zabójcy Trolli wdrapującego się hałaśliwie na górę popchnęła Felixa do działania. Pamiętał słowa Otto, który mówił, że domu powyżej strzegli templariusze Białego Wilka. Wolał nie dopuścić, by udało im się odkryć intruzów.

– Najpierw się rozejrzę – powiedział. – Dam wam znać, jeśli będzie bezpiecznie.

Felix wstrzymał oddech i rozejrzał się. Drabina kończyła się w małej izbie z jednymi drzwiami. Te z kolei prowadziły do dużej piwnicy z winem.

Spoglądając za siebie Felix stwierdził, że drzwi połączone były ze stelażem na wino. Gdy pozostawały zamknięte, musiały być niewidoczne.

Przeczytał etykietę na jednej z butelek. Zdmuchnął kurz, by odsłonić emblemat jednej z najlepszych parravońskich winnic, Desghulles.

– Ktoś ma kosztowne gusta – powiedział do siebie. Odwrócił się szybko, słysząc skrzypnięcie drabiny za sobą. Zza krawędzi drzwi wysunęła się głowa Gotreka.

– Nie narób w spodnie, człeczyno, to ja – odezwał się krasnolud. Za nim pojawił się Rudi.

– Dobra, sprawdźmy dom i przekonajmy się, czy znajdziemy naszego przyjaciela, szefa magistratu.

– Na górze nie słyhać żadnych odgłosów. Tu jest chyba pusto.

– Miejmy nadzieję.

– Zostanę tutaj – rzekł Rudi. – Dopilnuję, by droga ucieczki była otwarta.

Felix wzruszył ramionami. Zapewne tak było lepiej, niż troszczyć się stale, by wielkie chłopisko nie popełniło jakiegoś głupiego błędu tam na górze.

– Dobrze, zostań.

Felix cicho zatrzymał się pod schodami, zważając otwór latarni, tak że widoczny był tylko delikatny poblask światła.

– Mówiłem ci, dom jest pusty – stwierdził Gotrek.

Felix musiał przyznać, że najwyraźniej krasnolud miał rację. Gdzie się podzieli strażnicy Białego Wilka? Gdzie znikła służba?

– Wartownicy są najpewniej w stróżówce. Ale gdzie są służący? W tak dużym miejscu powinno być ich kilku.

– Widzę, że znasz się na tym.

– Owszem.

Felix delikatnie opuścił stopę na schodek. Po kręgosłupie przebiegł dreszcz, gdy stopień zaskrzypiał pod ciężarem wchodzącego.

Znieruchomiał i wstrzymał oddech. Nie pojawił się nikt, by sprawdzić źródło hałasu.

– Czemu jesteś tak cicho, człeczyno? Tutaj nikogo nie ma.

– Nie wiem. Może po prostu dlatego, że to nie jest mój dom. Czuję się jak przestępca. A dlaczego ty szepczesz?

– Jesteś przestępcą. Tak samo jak ja. Przeszukajmy to miejsce i sprawdźmy, co uda nam się znaleźć. Ty pójdź na górę. Ja rozejrzę się na dole.

Gdy tylko Gotrek oddalił się cicho, Felix zauważył, że krasnolud także poruszał się bardzo ostrożnie. Felix ruszył po schodach, mając nadzieję, że nie będą skrzypieć.

Wchodząc do sypialni Felix całkiem zamknął otwór latarni, a następnie odsunął zasłonę i wyjrzał na zewnątrz. Obejrzał wielkie, otoczone murem podwórze, a ponad nim dostrzegł ulicę po drugiej stronie. Wielka brama prowadząca na dziedziniec była otwarta. Po lewej stronie placu znajdowały się stajnia i powozownia, po prawej widoczne były małe budynki i pomieszczenie dla służby. Plac otaczały stare dęby. Dostrzegął

także strażę – wysokich jasnowłosych mężczyzn w pełnych zbrojach. Ich ramiona okrywały futra białych wilków. Jeden z nich wyszedł ze stróżówki i przeszedł przez podwórzec.

Przez chwilę Felix obawiał się, że mężczyzna może wejść do środka, ale ten wkrótce zawrócił i skierował się do małych zabudowań obok stajni.

Felix powoli zasunął kotarę, a potem pozwolił sobie na wydech.

Nie, niezbyt dobrze byłoby dać się złapać. Białe Wilki miały reputację, która przypisywała im zaciekłość dorównującą okazywanej przez Zabójcę, a tam było ich co najmniej tuzin.

Gdy znalazł zamknięte na klucz drzwi, zdecydował się otworzyć je na siłę. Wyważył zamek swoim krótkim mieczem i wszedł do środka. Znalazł

się w miejscu, które przypominało mu salę z księgami handlowymi w kantorze jego ojca w Altdorfie.

To był obszerne pomieszczenie zajęte przez dębowe biurko, dość duże, by można było wydać na nim przyjęcie. Pod ścianami stały skrzynki ustawione jedna obok drugiej – całe setki. Otworzył jedną z nich i wyciągnął gruby zwój papierów zapisanych drobnym pismem.

Przeglądając zapiski zauważył imię hrabiny elektorki i notatki na temat kilku z bardziej znanych jej kochanków. Było tam sporo opisów przypadków niespodziewanych mutacji w jej rodzinie. Cytowano wiele źródeł informacji.

Uwagę Felixa przyciągnęły odniesienia do „naszego najbardziej specjalnego źródła” i „naszych przyjaciół spod ziemi”. Podniósł kolejne pliki i przekartkował je. Zapełniały je podobne notatki. Jeden z zapisów mówił o konieczności doprowadzenia do zniknięcia niejakiego Slazingera.

Rejestry były posortowane alfabetycznie. Nie mógł się oprzeć pokusie.

Wyszukał zapiski o rodzinie Jaegerów. Najpierw znalazł rejestr dotyczący rodziny piekarzy z Ulicy Ciastek, którzy nosili to samo nazwisko, ale za drugim razem natknął się na notatkę o swojej rodzinie.

Felix poczuł skurcz w żołądku czytając o Domu Kupieckim Jaegera i Synów. Rejestr podkreślał odpowiedzialność jego brata i potwierdzał, że był on uczciwym człowiekiem, który hojnie wspomagał fundusz elektorki przeznaczony na utrzymanie porządku w mieście. Na drugiej stronie Felix zobaczył własne imię. Czytał dalej.

Thanquol, otwierając tajne wejście do siedziby von Halstadta, niemal natychmiast zauważył, że ktoś przez nie niedawno przechodził. U podnóża drabiny unosił się obcy zapach człowieczyn, który ciągnął się aż do izby.

Właściwie kilku człowieczyn i czegoś, co cuchnęło jak krasnolud.

Głupiec-głupiec! Przeklinał, gdy znalazł się już w środku i zagryzał

koniec swojego ogona. Mistrz szpiegów został odkryty. Niepotrzebny był

rozum tak bystry, jak należący do Thanquola, by domyśleć się, kto tego dokonał. Musiał zabić jeszcze dwie człowieczyny i jednego krasnoluda.

Cóż, oszczędzili mu czasu potrzebnego do ich wytropienia. Ich ustawiczne wtrącanie się do spraw, które do nich nie należały, okaże się dla nich fatalne.

Skinął na Kościorwija i wyszczeakał do niego kilka rozkazów. Drabina jęknęła pod ciężarem szczuroogra. Stwór wspiał się po szczeblach ze zręcznością wielkiej małpy.

Felix potrząsnął głową. Opisano go jako rozrzutnego młodszego syna kupca. Zaznaczono, że zniknął w dziwnych okolicznościach. W zapiskach wspomniano o pojedynku z Krassnerem i znajdowała się tam szybko zapisana ołówkiem notatka stwierdzająca konieczność podjęcia dalszego śledztwa.

Cóż, może istniały gorsze rzeczy niż stanie się czarną owcą rodziny Jaegerów? Postanowił poszukać czegoś o Gotreku. Może w rejestrach znajdzie także zapiski o Zabójcy? Właśnie miał to sprawdzić, gdy usłyszał

otwierane drzwi poniżej.

Do diaska, pomyślał zamykając drzwi komnaty. To musiało poczekać.

Von Halstadt wiedział, że jest spóźniony. Miał nadzieję, że skaven także się spóźni. Nie chciał wyrzucić złego wrażenia, nawet na kimś takim, jak skaven. Ale Emmanuelle miała wrócić nazajutrz i pragnął, by każdy szczegół jej domu został perfekcyjnie przygotowany.

Wyobrażał sobie uśmiech, jakim nagrodzi jego sumienność i wiedział, że cała zapobiegliwość była warta tego wysiłku. Nawet, gdy przez to zmuszony był do zmarnowania piętnastu minut na wymierzenie kary młodemu lokajowi za jego niedbalstwo przy rozwieszaniu obrazów. Po wykonaniu chłosty magistrat był zmęczony i spocony oraz potrzebował

kąpieli.

Podniósł i zapalił domową latarnię. Mrok rozpiechł się na boki. Von Halstadt miał już zamiar wezwać służącego, by nabrał dla niego wody, ale przypomniał sobie, że dał im wszystkim wolny wieczór chcąc uniknąć świadków spotkania ze skavenem. Przyjemność kąpieli musiał odłożyć na później. Wieści od skavenów były ważniejsze.

Zanim poprzedniego wieczora odprawił służbę, oznajmił, że agenci są bliscy odkrycia niezwykle ważnej intrygi mutantów. Von Halstadt musiał

przyznać, że znacznie bardziej troszczył się o powodzenie próby zabójstwa kanalarzy. Wiedział, że Hef i Spider byli martwi. Agenci donieśli o pożarze na Taniej Ulicy.

To była pięknie wykonana robota. Pozbył się dwóch zdrajców, a jednocześnie pół setki hołoty. Można było dojść do wniosku, że szczuroludzie dostarczyli rozwiązania kolejnego problemu. Należało zastanowić się nad wznieceniem pożarów w całej Nowej Dzielnicy. To z pewnością mogło pomóc w usunięciu wielu hołdującym mutantom szumowin jakie tam zamieszkiwały.

Pomysł, by wypalić zgniliznę społeczną wraz z ich wstrętnymi ruderami, ucieszył jego serce. Wbiegł po schodach pokonując po dwa stopnie na raz i popędził korytarzem do swojego gabinetu z rejestrami. Ale serce mu zamarło, gdy zobaczył, że drzwi zostały wyważone. Ktoś dokonał świętokradczego wtargnięcia do sanktuarium. Ukochane rejestry były drugą po Emmanuelle sprawą najważniejszą w jego życiu. Jeśli ktoś uszkodził choćby jedną stronę... Wyciągnął miecz i otworzył drzwi na oścież popychając je stopą. Latarnia zaświeciła mu w twarz.

– Dobry wieczór, von Halstadt – zabrzmiał kulturalny głos. – Myślę, że musimy załatwić pewną sprawę.

Gdy oczy szefa magistratu przywykły do oświetlenia, rozpoznał twarz młodego człowieka, którego widział poprzedniego wieczora w towarzystwie Otto Jaegera.

– Kim jesteś, szczeniaku? – zapytał.

– Nazywam się Felix Jaeger. I jestem człowiekiem, który zaraz cię zabije.

Rudi nigdy wcześniej nie widział tyle wina. Wypełniało całą piwnicę: stare butle pokryte grubą warstwą kurzu i pajęczyn oraz nowsze, osłonięte delikatnym jeszcze nalotem. Było tego tak dużo, że zaczął się zastanawiać, czy jeden człowiek byłby w stanie to wszystko wypić. Może gdyby miał mnóstwo gości?

Zaniepokoił go nagle jakiś dźwięk. Pewnie to nie było nic takiego.

Najlepiej było zakładać, że nic tam nie ma.

Od czasu, gdy spotkali szczuroczłeka w kanałach, nic nie układało się dobrze. Lepiej było się schować. Ale nie znalazł miejsca, w które mógłby wcisnąć swoje wielkie ciało.

Powinien wspiąć się na szczyt drabiny i rozejrzeć się. Był pewien, że usłyszał skrzypnięcie metalowych poręczy. Tak, z pewnością tak właśnie powinien zrobić.

Przełknął ślinę i starał się zmusić do ruchu w stronę ukrytej niszy. Jego kończyny odpowiedziały ospale. Czuł się, jakby opuściły go wszelkie siły.

W uszach słyszał uderzenia serca. Łomotało, jakby przebiegł całą milę.

Zdał sobie sprawę, że wstrzymywał oddech i wypuścił powietrze w ciężkim westchnieniu. Pośród ciszy ten dźwięk wydał się nienaturalnie głośny. Zapragnął, żeby Gotrek, a nawet ten próżny młody snob Felix, już wrócili. Nie lubił być tu sam, w piwnicy potężnego szlachcica, którego majątek i wpływy z trudem mógł sobie wyobrazić.

Powtarzał sobie, że to było głupie. Spędził niemal piętnaście lat, jako chłopak, a potem mężczyzna w kanałach, polując w ciemności na mutanty i potwory. Nie powinien czuć strachu. Ale tutaj było zupełnie inaczej.

Wtedy był młodszy, tak jak jego przyjaciele i towarzysze, Gant, bracia i inni, którzy teraz odeszli lub zostali zabici.

Kilka ostatnich dni naprawdę nim wstrząsnęły. Solidne podstawy jego życia legły w gruzach. Był samotny – nie miał żony, ani dzieci. Ostatni przyjaciele zginęli lub znikli. A jeśli młody Felix miał rację, porządek, którego przysiągł strzec i władcy miasta, którego miał obowiązek bronić przed wszelkimi wrogami – wszystko to było złe i występne. Życie nie miało już sensu.

Zaraz! Coś poruszało się wewnątrz niszy. Coś ciężkiego cicho wspięło się i wyszło z cuchnącego otworu. Teraz znajdowało się już gdzieś w piwnicy.

– Kto tu jest? – zapytał Rudi. Jego głos zabrzmiał słabo i dziwnie. To był głos pełen strachu. Ciche kroki zbliżyły się.

Latarnia wyłowiła z ciemności kształt, który wkroczył do piwniczki z winem. To było wielkie, wyższe od niego i może dwakroć tak ciężkie.

Potężne mięśnie napinały się pod rudawym futrem, długie pazury wysunęły się z łap. Paszcza stworza przypominała połączenie pysków szczura i wilka. Przerazająca, złowroga inteligencja iskrzyła się w różowych, paciorkowatych ślepkach.

Rudi podniósł pałkę gotów do obrony, ale stwór znalazł się przy nim jednym skokiem. Był oszałamiająco szybki jak na tak wielką kreaturę. Ból rozpalił uzbrojone ramię Rudiego, gdy wielkie pazury wbiły się w jego przedramię. Otworzył usta do krzyku. Spojrzał w różowe ślepie śmierci.

Poczuł na twarzy oddech potwora. Cuchnęło krwią i świeżym mięsem.

– Nie bądź głupi, młody człowieku – rzekł von Halstadt. Mówiąc to położył dłoń na rękojeści długiego miecza. Był pewny siebie. Uważano go za groźnego szermierza, a przeciwnik miał tylko krótki mieczyk. – Jedno zawołanie i pojawi się tutaj sześciu rycerzy Białego Wilka. Podadzą mi twoją głowę na tacy.

– Może zainteresują się faktem, że skumałeś się ze skavenami i przechowujesz zapiski swoich konszachtów z nimi.

Słowa Felixa zmroziły von Halstadta do kości. Nie wiedział, czy Szary Prorok znajdował się już w domu, lub kiedy się pojawi. W takiej sytuacji nie mógł zaryzykować wezwania rycerzy. Z pewnością nienawidzili mutantów, ale ich fanatyzm dotyczył także niszczenia wszelkich przejawów kumoterstwa z istotami takimi jak skaveni.

– Nie wiesz, o czym mówisz, chłopcze! – rzucił magistrat. Ostrze zadźwięczało wyciągane z pochwy.

– Obawiam się, że wiem. Widzisz, zobaczyłem cię w kanałach tamtego dnia. Widziałem cię na własne oczy. Prawie nie mogłem uwierzyć własnym zmysłom, gdy rozpoznałem cię ponownie Pod Żółtym Młotem.

Młodzieniec wydawał się przekonany o swojej racji. Nie będzie można dojść z nim do porozumienia.

Musiał zginąć. Von Halstadt skierował

ostrze ku ziemi, zbliżając się coraz bardziej. Opuścił ramiona na znak uznania przegranej.

– Skąd wiedziałeś?

– Jestem kanalarzem.

– Nie może być. Kanalarze nie jadają Pod Złotym Młotem. Nie w towarzystwie Otto Jaeg... ? – zrozumienie oświeciło von Halstadta, gdy wypowiadał te słowa. Felix Jaeger, Otto Jaeger. Czarna owca rodziny.

Miał rację, że warto było tym się zająć.

– Czego chcesz, chłopcze? Pieniędzy? Awansu? Mogę załatwić jedno i drugie, ale to trochę potrwa – zbliżył się jeszcze odrobinę. Młody człowiek uspokoił się nieco, widząc zastraszonego przeciwnika. Za chwilę miała nastąpić dogodna chwila, by uderzyć.

– Nie, myślę, że chcę tylko twojej głowy.

Felix jeszcze mówił, gdy von Halstadt uderzył z szybkością atakującego węża. Ku jego zdumieniu młodzieniec sparował cios. Stal skrzesała iskry w miejscu, gdzie spotkały się ostrza. Felix kopnął von Halstadta w goleń. Ból wstrząsnął nogą. Ledwo udało mu się uskoczyć przed pchnięciem młodzieńca. Widział, że musi zachować dystans, aby wykorzystać swoją dłuższą broń.

Krążyli wokół siebie poruszając się z mistrzowską precyzją i szukali luk w obronie przeciwnika. Miecze wirowały i lśniły w cieniach rozpraszanych przez dwie latarnie. Poruszały się szybciej, niż mogło nadążyć oko, tańczyły swoim własnym życiem, oczekując na błąd drugiej strony. Von Halstadt pozwolił sobie na parsknięcie satysfakcji, gdy trafił w ramię Jaegera. Grymas przerodził się w uśmiech, kiedy otworzył paskudne rozcięcie nad okiem młodzieńca.

Wkrótce oślepi go cieknąca krew. Obaj dyszeli ciężko. Ale von Halstadt wiedział, że wygra pojedynek. Czuł to. Przez pewien czas będzie walczył defensywnie. To była tylko kwestia cierpliwości.

Thanquol usłyszał hałas na górze. Wydawało mu się, że ktoś tam tańczy. Ciężkie buty uderzały o kamienną podłogę. Dobrze-dobrze, pomyślał ucieszony, że przyszedł właśnie teraz. Zdaje się, że wrogowie von Halstadta wytropili go w jego norze, a teraz próbowali zabić.

Zabójstwa miały długą i honorową historię w polityce skavenów, a Thanquol czuł pokusę, by pozostawić sprawy samym sobie. Pozwalając na śmierć człowieczyny mógł zadowolić swoją złośliwą naturę. To była miła myśl, jednak nie mógł do tego dopuścić. To mogłoby zbytnio przeszkodzić w realizacji wielkiego planu.

Kopnął Kościorwija. Szczuro-ogr podniósł zakrwawiony pysk znad resztek posiłku. Warknął. Thanquol wbił wzrok w potwora, pozwalając, by niewolnik ugiął się pod wolą pana. Szczuro-ogr podniósł się powoli. Wspięli się po schodach w kierunku trwającej powyżej walki.

Felix zmuszony był przyznać, że może to nie był dobry pomysł.

Tłumaczył to obejrzeniem w młodości zbyt wielu sztuk Detlefa Siercka.

Zawsze chciał zagrać w jednej z tych melodramatycznych scen, gdy bohater walczy z podstępnym łotrem.

Niestety, sprawy nie rozwijały się dokładnie tak jak w scenariuszu teatralnym. To była kwestia jego życia. Ramiona płonęły zmęczeniem, a rana zadana przez von Halstadta bolała. Szarpnął gwałtownie głową na bok, aby strząsnąć krew spływającą po czole, co było ryzykownym manewrem podczas konfrontacji z tak zdolnym szermierzem, jak jego przeciwnik.

Czerwone krople spryskały biurko. Felix z ulgą stwierdził, że von Halstadt nie był dość szybki, by wykorzystać chwilową lukę w obronie.

Jego oddech stał się krótki i zmęczony. Przypominał pracę miechów. Ból mieszał się z płynnymi ruchami nieprzyjaciela.

Długie ostrze von Halstadta zdawało się być wszędzie. To była zupełnie inna broń. Felix wierzył, że gdyby obaj posiadali miecze o tej samej długości, wówczas zdobyłby przewagę nad szlachcicem. Ale tak nie było i to mogło doprowadzić do jego zguby.

– Szybko-szybko! – Thanquol pospieszył Kościorwija, gdy biegli po schodach. Walka powyżej nadal się toczyła, ale teraz skaven postanowił

ocalić swojego pionka i nie chciał zostawić tego na łaskę losu.

Wypadek na tym etapie byłby niezwykle irytujący. Kościorwij wydał z siebie krótki jęk i zatrzymał się tak gwałtownie, że Thanquol wpadł na twardą ścianę, jaką stanowiły jego plecy i odbił się od nich. Zrozumiał, dlaczego Kościorwij się zatrzymał.

Przed nim stał krasnolud, który blokował drogę na schody. Był

masywnie zbudowany, a jego sierść układała się w dziwny grzebień. W

jednej ręce dzierżył potężny topór bojowy. On także wyglądał, jakby biegł

na górę po schodach, aby wtrącić się do prowadzonej tam walki. On także sprawiał wrażenie zaskoczonego odkryciem, że ktoś jeszcze jest w domu.

– Przeklęte pałace! – mruknął. – Nigdy nie wiesz, kogo w nich spotkasz.

– Giń-giń, głupi krasnoludzino! – zapiszczał Thanquol. – Kościorwij!

Zabij! Zabij!

Kościorwij runął naprzód z wysuniętymi pazurami. Wyrósł nad krasnoludem niczym przerażająca

postać demona, żywy hołd dla straszliwych twórców wyobraźni czarnoksiężskich naukowców Klanu Moulder. Thanquol nie byłby zdziwiony, gdyby krasnolud został

sparaliżowany strachem na sam jego widok, tak jak to się przydarzało innym.

– Ugrzyź to – powiedział krasnolud.

Mózg chlapanął na wszystkie strony, gdy cięcie toporem rozłupało łeb Kościorwija na dwie części. Thanquol znalazł się przed rozwścieczonym Zabójcą Trolli.

Popuścił pizmo strachu sięgając do torby po swoją broń. A potem, uznając że odwrót jest lepszym rozwiązaniem, odwrócił się i zaczął

uciekać. Z ulgą stwierdził, że krasnolud nie ruszył za nim, tylko popędził

po schodach. Thanquol skierował się w stronę ścieków, przysięgając, że choćby zabrało mu to całe życie, zmusi krasnoluda do zapłaty.

Obaj mężczyźni usłyszeli hałasy dobiegające z dołu. Jakby wielkie drzewo rąbnięto o ziemię. Felix zauważył wzrok von Halstadta, który spojrzał w stronę okna. Wiedział, że to była jego jedyna szansa.

Zapominając o ostrożności zanurkował prosto w stronę szlachcica, z opuszczoną gardą. Przez chwilę spodziewał się, że ostrze von Halstadta wbije się w jego pierś. Wystarczył ułamek sekundy rozproszenia uwagi.

Przeciwnik uniósł miecz zbyt późno. Felix zdążył już wyprowadzić cięcie.

Wbiło się w bok i krótki miecz przeorał się w górę brzucha von Halstadta, tnąc żebra i docierając do serca. Szef magistratu umarł z charkotem. Jęk agonii wdarł się w mózg upadającego Felixa.

– Obudź się, człeczyno. Nie ma czasu na wylegiwanie się.

Felix poczuł wodę rozpryskującą się na twarzy. Zakaszłał, wypluł i potrząsnął głową.

– Co do... ?

– Lepiej zbierajmy się stąd, zanim przyjdą Białe Wilki.

– Zostaw mnie w spokoju. – Felix chciał tylko poleżeć jeszcze przez chwilę. – Idź i walcz z nimi. Zawsze chciałeś umrzeć bohaterską śmiercią.

Gotrek zaszurał nogą i wyglądał na zakłopotanego.

– Nie mogę, człeczyno. Jestem Zabójcą. Muszę umrzeć z honorem.

Jeśli zostaniemy złapani, inni mogą pomyśleć, że się włamywaliśmy.

- No i co?
- Kradzież plami honor. Usiłuję odpokutować za moje występki.
- Potrafię sobie wyobrazić gorsze przestępstwa, na przykład utopienie umierającego człowieka.
- Nie umierasz, człeczyno. To tylko draśnięcie.
- No cóż, skoro musimy iść.

Felix podniósł się na nogi. Spojrzał na rejestry. Przyszło mu na myśl, że te informacje byłyby warte fortunę dla właściwej osoby. Nawet drobna część tego, co oglądał, była bezcenna. Dawało to nieograniczone możliwości szantażu i wymuszeń.

Spojrzał na Zabójcę i przypomniał sobie jego słowa o kradzieży.

Gotrek nie przebaczy mu, jeśli zabierze ze sobą papiery. Nawet gdyby tak się nie stało, Felix zdecydował, że ich nie weźmie. To było złe, obłądne dzieło życia maniaka takiego jak von Halstadt. W tych papierach zawarte były rzeczy, które mogły zrujnować życie wielu ludzi. W Nuln kryło się już i tak dosyć tajemnic. Te niosły ze sobą zbyt wielką potęgę, by mogły wpaść w czyjekolwiek ręce. Felix podniósł obie lampy i wylał z nich oliwę na skrzynki z zapiskami. Następnie podpalił je.

Biegnąc w dół schodów, zapach płonącego papieru, wypełniał jego nozdrza. Felix czuł się wolny, w osobliwy sposób. Zrozumiał, że mimo wszystko nie pójdzie pracować u Otto i ta decyzja niezwykle go cieszyła.

RYNSZTOKOWCY

„Nie warto wspominać, że nie mogliśmy powiedzieć władzom całej prawdy o naszym spotkaniu ze skavenami, bowiem gdybyśmy tak uczynili, na jaw wyszedłby nasz związek ze sprawą zabójstwa wysokiego urzędnika dworu hrabiny Emmanuelle. A morderstwo, bez względu na to, jak bardzo zasłużyła na nie ofiara, było zbrodnią karaną najsurowiej.

Zostaliśmy zwolnieni ze służby i musieliśmy szukać innego zatrudnienia. Zrządzeniem losu, podczas pijackiej hulanki w pewnej gospodzie, jej właściciel okazał się towarzyszem Gotreka z czasów, gdy krasnolud był jeszcze najemnikiem. Zostaliśmy przyjęci do pracy polegającej na usuwaniu z baru niepożądanych gości i wierzcie mi, gdy zapewniam, że trzeba być naprawdę wielce niepożądany, by zostać wyrzuconym z gospody Pod Ślepą Świnią.

Praca była ciężka, pełna przemocy i nieprzyjemna, ale przynajmniej nie zagrażały nam skaveny. Oczywiście, jak to zwykle bywało, myliłem się.

Wydawało się bowiem, że przynajmniej jeden ze szczuroludzi nie zapomniał o nas i planował zemstę...”

– Fragment z *Moich Podróż z Gotrekiem*,

Tom III, spisanych przez Herr Felixa Jaegera

(Wydawnictwo Altdorf, rok 2505)

Felix Jaeger uchylił się przed ciosem pijanego najemnika. Pięść opasana kastetem z brązu śmignęła koło ucha i uderzyła w filar drzwi, rozsypując w powietrzu drzazgi drewna. Felix kopnął kolaniem, trafiając w krocze najemnika. Mężczyzna jęknął z bólu i zgiął się. Felix złapał go za kark i pociągnął ku uchylnym drzwiom. Pijak stawiał słaby opór. Był zbyt zajęty wymiotowaniem zjełczalym winem. Felix otworzył butem drzwi i wypchnął najemnika, poprawiając mocnym kopniakiem w zadek.

Najemnik potoczył się po kurzu ulicy Kupieckiej, łapiąc się za pachwinę.

Z oczu ciekły mu łzy, a usta otwierały się w grymasie bólu.

Felix ostentacyjnie otrzepał dłonie i powrócił do baru. Był w pełni świadom oczu wpatrujących się w niego spod każdej plamy światła pochodni. O tej porze, ulica Kupiecka pełna była zawadiaków, ulicznic i najemnych rębajłów. Podtrzymywanie reputacji twardziela było po prostu oznaką zdrowego rozsądku. Zmniejszało szansę zarobienia sztyletem w plecy podczas nocnej wędrówki po ulicach.

Co to za życie, pomyślał. Gdyby rok wcześniej ktoś mu powiedział, że będzie pracował jako wykidajło w najpodlejszej oberży Nuln, z pewnością wyśmiałyby go. Powiedziałaby, że jest uczonym, poetą i dżentelmenem, a nie jakimś barowym awanturnikiem. Wolałby chyba nawet wrócić do Straży Ściekowej.

Wszystko się zmienia, powiedział sobie, przepychając się z powrotem do zatłoczonej sali. Zaiste, wszystko się zmienia.

Uderzył go w twarz smród starego potu i tanich perfum. Przymknął

oczy, gdy wzrok przyzwyczajał się ponownie do ponurego, oświetlonego przez latarnię, wnętrza gospody Pod Ślepą Świnią. Przez chwilę czuł, że skupia na sobie spojrzenia wszystkich oczu. Zrobił groźną, jak miał

nadzieję, minę tocząc wzrokiem dokoła i naśladując przy tym spojrzenie Gotreka. Zza lady puścił do niego oko z aprobatą wielki Heinz, właściciel tawerny, zadowolony ze sposobu, w jaki Felix poradził sobie z pijaczką, po czym wrócił do obsługi kranów.

Felix lubił Heinza. Był mu także wdzięczny. Duży mężczyzna towarzyszył Gotrekowi, gdy krasnolud pracował jako najemnik. Był

jedynym człowiekiem w Nuln, który zaofiarował im pracę po tym, jak zostali bezpiecznie wydaleny ze Straży Ściekowej.

Oto kolejny upadek, pomyślał Felix. On i Gotrek byli jedynymi wojownikami, jacy kiedykolwiek zostali wykopani ze Straży Ściekowej w jej długiej i brudnej historii. Właściwie, mieli dość szczęścia, że uniknęli Żelaznej Wieży, niesławnego więzienia hrabiny Emmanuelle. Gotrek nazwał kapitana straży skorumpowanym, niekompetentnym pomiotem snotlinga, gdy urzędnik odmówił poważnego potraktowania ich raportu o skavenach w kanałach ściekowych. Co gorsza, krasnolud złamał mu szczękę, gdy człowiek nakazał obu wybatożyć.

Felix skrzywił się. Nadal miał kilka wyblakłych siniaków po tamtej bijatyce. Walczyli przeciw połowie obsady straży, zanim uderzeniami pałek pozbawiono ich przytomności. Pamiętał pobudkę w brudnej celi następnego ranka. Wyciągnął ich brat Felixa, Otto, który pragnął

zatuszować ewentualny skandal, jaki mógłby oczernić rodowe nazwisko Jaegerów.

Otto chciał, by para przyjaciół opuściła miasto, ale Gotrek nalegał na pozostanie. Nie zamierzał uciekać z miasta niczym pospolity przestępca, szczególnie nie wtedy, gdy w okolicy znajdował się skaweński czarownik planujący jakąś potworną zbrodnię. Zabójca Trolli wyczuł okazję, by zmierzyć się z siłami ciemności w całym ich nikczemnym splendorze i nie chciał tracić swojej szansy na chwalebny śmierć w bitwie przeciwko nim.

A Felix, wiązany swoją przysięgą, musiał pozostać z krasnoludem, by opisać jego śmierć dla potomności.

Cóż za chwalebna śmierć, pomyślał z sarkazmem Felix. Przyglądał się Gotrekowi, który siedział w kącie z grupą krasnoludzkich wojowników czekając na swoją zmianę. Jego ogromny grzebień farbowanych na pomarańczowo włosów wznosił się ponad tłumem. Potężna figura krasnoluda garbiła się nad stołem. Krasnoludy pociągały piwo z wielkich kufli, powarkując, szarpiąc się za brody i mamrocząc coś w swoim gardłowym, twardym języku. Bez wątplenia przypominali sobie jakieś stare

lekceważące odzywki wobec ich ludu, albo tworzyli listę zniewag, które muszą pomścić. A może po prostu wspominali stare dolne czasy, kiedy piwo kosztowało miedziaka za kufel, a ludzie okazywali Starym Rasom właściwy szacunek?

Felix potrząsnął głową. O czymkolwiek była ta konwersacja, całkowicie pochłaniała Zabójcę Trolli. Nawet nie zauważył bijatyki. To samo w sobie było niezwykle, ponieważ krasnolud żył walką, tak jak inni ludzie potrzebowali do życia jedzenia i spania.

Felix kontynuował obchód po gospodzie, omiatając każdy stół

niedbałym spojrzeniem. Długa, wąska sala była zatłoczona. Zajęty był

każdy poplamiony piwem stół. Przy jednym z nich tańczyła półnaga estalijska dziewczyna, wirując i podskakując, gdy grupa podpitych halabardników rzucała srebrem, aby zachęcić ją, by zdjęła resztę swojego skąpego stroju. Ulicznice prowadziły opierających się żołnierzy do alków po drugiej stronie sali. W szmerze przy barze tonęły jęki i westchnienia oraz brzęk złota przechodzącego z rąk do rąk.

Cały długi stół zajmowała grupa kislevickich konnych łuczników, którzy strzegli jakiejś karawany z północy. Ryczeli pijackie pieśni, których treść dotyczyła wyłącznie koni oraz kobiet, a czasami obscenicznych kombinacji jednych i drugich, wypijając przy tym wielkie ilości destylowanej przez Heinza wódki z ziemniaków.

Coś w ich wyglądzie niepokoiło Felixa. Kislevici byli obcymi ludźmi, wychowanymi pod zimnym słońcem surowej ziemi, urodzonymi tylko do jazdy konnej i walki. Gdy jeden z nich podniósł się od stołu, by udać się za potrzebą, jego kołyszący krok nóg wygiętych w łuk powiedział Felixowi, że spogląda na urodzonego jeźdźca. Wojownik trzymał dłoń w pobliżu noża o długim ostrzu – nikt nie był bardziej zagrożony od człowieka, który stał na zewnątrz w przyćmionym świetle i wypuszczał z siebie pół litra ziemniaczanej wódki.

Felix skrzywił się. W gospodzie Pod Ślepą Świnią zbierała się połowa złodziei, zawadiaków i bandziorów z Nuln. Przychodzili, by wmieszać się w tłum właśnie przybyłych strażników karawan i najemników. Felix znał

prawie wszystkich z nich po imieniu – Heinz wskazał ich podczas pierwszej nocy w nowej pracy.

Za stołem w kącie siedział Murdo MacLaghlan, Król Włamywaczy, który twierdził, że jest wygnanym księciem z Albionu. Nosił tartanowe spodnie i miał długie wąsiska jak górale z tej odległej, niemal mistycznej wyspy. Muskularne ramiona wytatuowane były elfickimi wzorami.

Siedział otoczony gronem adorujących go kobiet, zabawiając je opowieściami o pięknych górach swojej ojczyzny. Felix wiedział, że Murdo naprawdę nazywa się Heinrich Schmidt i w życiu nie opuścił Nuln.

Dwaj mężczyźni z Arabii, Tarik i Hakim, obaj o haczykowatych nosach, siedzieli przy swoim zarezerwowanym na stałe stole. Na ich palcach błyszczały złote pierścienie. W uszach lśniły złote kolczyki.

Czarne skórzane kaftany błyszcząły w świetle pochodni. Co pewien czas podchodzili do nich i przysiadali się nieznajomi – czasami ulicznicy, czasami szlachta. Zaczynało się targowanie, pieniądze zmieniały właściciela i goście wychodzili tak szybko i w takiej tajemnicy, jak się pojawili. Dzień później znajdowano kogoś pływającego w rzece Reik, twarzą w dół. Plotka głosi, że ci dwaj byli najlepszymi zabójcami w Nuln.

Cały stół w pobliżu ogniska zajmował dla siebie Franz Beckenhof, którego niektórzy uważali za nekromantę, inni twierdzili, że to szarlatan.

Nikt nigdy nie znalazł w sobie odwagi, by usiąść obok mężczyzny, którego twarz przypominała czaszkę i zapytać o jego zajęcie, mimo że zawsze było tam wolne miejsce. Siadał przy swoim stole każdej nocy, kładąc przed sobą oprawioną w skórę księgę i piastując jedną szklanicę wina. Stary Heinz także nigdy nie kazał mu przesunąć się, chociaż zajmował miejsce, z którego mogli skorzystać inni, lepiej płacący klienci.

Motto Heinza brzmiało – nigdy nie denerwuj magika.

Tu i tam zasiadali obwieszoni złotem szlachcice, równie nie na miejscu, jak pawie w kurniku. Śmiali się głośno i niespokojnie. Zawsze dało się zauważyć ich piękne stroje i miękką, delikatną skórę. Lalusie z wyższych sfer przyszli zobaczyć mroczny półświatek miasta. Ich ochroniarze –

zazwyczaj wielcy, cisi i uważni mężczyźni noszący ze sobą wypróbowaną broń – kroczyli za swoimi panami bacząc, by nie stała się im żadna krzywda podczas nocnych eskapad. Jak zawsze powiadał Heinz, nie było sensu zadzierać z arystokratami. Mogli zamknąć tę tawernę, a jej obsługę posłać do Żelaznej Wieży za jednym szepnięciem do właściwego ucha.

Lepiej było im pochlebiać, mieć się na bacności i przywyknąć do ich przykrego zachowania.

Obok ognia, w pobliżu domniemanego nekromanty, siedział

dekadencki, bretoński poeta, Armand le Fevre, syn sławnego admirała i dziedzic fortuny le Fevre. Siedział samotnie, popijając absynt z oczami utkwionymi w jakimś punkcie w przestrzeni, a cienka strużka śliny wyciekała z kącika jego ust. Każdej nocy, gdy zbliżała się północ, podrywał się na nogi i obwieszczał, że zbliża się koniec świata, po czym pojawiała się dwóch zakapturzonych służących okrytych płaszczami, którzy zanosili go do oczekującej lektyki, a potem do domu, gdzie komponował jeden ze swoich bluźnierczych poematów. Felix wzdrygnął

się, bowiem w młodym człowieku było coś, co przypominało mu Manfreda von Diehla, innego znanego Felixowi złowieszczonego pisarza, o którym wolałby raczej zapomnieć.

Oprócz dziwacznej i zepsutej młodzieży, było też kilku zwykłych zachrypniętych młodzieńców należących do braci studenckiej, którzy przybyli tu, do najgorszej części miasta, by dowieść męskości sobie i przyjaciołom. Byli to zawsze najgorsi rozrabiacy, zepsuci, bogaci, młodzi mężczyźni, którzy musieli wszystkim pokazać, jacy z nich chojracy.

Wałęsali się gromadami i byli zdolni do pijackiej przemocy dorównującej okrucieństwem

najgorszym zabijakom z doków. Może ci byli jeszcze gorsi, ponieważ uważali, że stoją ponad prawem, a swoje ofiary uznawali za coś gorszego od robactwa.

Ze swojego miejsca Felix obserwował bandę podpitych młodych dandysów, którzy szarpali za ubranie wyrywającej się posługaczki.

Domagali się buziaka. Dziewczyna, ładna nowa pracowniczka o imieniu Elissa, przyjechała prosto ze wsi i nie przywykła do tego rodzaju zachowań, zatem opierała się stanowczo. Jej szarpanina jeszcze bardziej rozochociła awanturników. Dwóch z nich wstało i zaczęli ciągnąć opierającą się dziewczynę w stronę alkowy. Jeden położył dłoń na jej ustach tłumiąc okrzyki dziewczyny. Drugi obscenicznie wymachiwał

wielką kiełbasą.

Felix ruszył, by zastąpić im drogę do alkowy.

– Nie trzeba tego robić – powiedział cicho.

Starszy z dwóch młodzieńców wykrzywił się paskudnie. Zanim się odezwał, odgryzł wielki kęs kaszanki i przełknął go. Jego twarz spąsowiała, a pot załśnił na brwiach i policzkach.

– To zuchwała dziewczka – pewnie zechce zakosztować pierwszorzędnej kiełbasy z Nuln.

Dandysi zarżeli głośnym śmiechem słysząc ten niewybredny żart.

Zachęcony młodzian machnął w powietrzu kiełbasą niczym generał

komenderujący swoimi oddziałami.

– Nie wydaje mi się – rzekł Felix, z trudem usiłując zachować spokój.

Szczerze nienawidził tych zepsutych młodych arystokratów, jeszcze od czasu jaki spędzał na Uniwersytecie w Altdorfie, gdzie otaczali go podobni głupcy.

– Nasz przyjaciel myśli, że jest twardy, Dieter – powiedział młodszy, płowowłosy olbrzym przerastający Felixa. Posiadał pokryte bliznami oblicze studenckiego pojedyńkowicza – takiego, który walczy, by zdobywać nowe blizny i w ten sposób zwiększać swój prestiż.

Felix rozejrzał się w poszukiwaniu pomocy. Pozostałe wykidajły starały się uspokoić bójkę między Kislevitami a halabardnikami. Felix zauważał grzebień farbowanych włosów Gotreka unoszący się nad walczącymi. Nie mógł zatem liczyć na żadną pomoc z tamtej strony.

Felix wzruszył ramionami. Lepiej zachować twarz w tej nieciekawej sytuacji, pomyślał. Spojrzał prosto w oczy pojedyńkowicza.

– Po prostu zostawcie dziewczynę w spokoju – powiedział z przesadną łagodnością, a potem jakiś diabeł czający się w głębi umysłu kazał mu dodać – a obiecuję, że was nie skrzywdzę.

– Obiecujesz, że nas nie skrzywdzisz? – Pojedykowiec wydawał się nieco zdziwiony. Felix widział, że mężczyzna zastanawia się, czy ten nędzny wykidajło nie kpi sobie z niego. Wokół zaczęli zbierać się przyjaciele studentów, gotowi sprawić większe kłopoty.

– Myślę, że damy nauczkę temu śmieciowi, Rupert – powiedział Dieter.

– Myślę, że powinniśmy pokazać mu, że nie jest tak twardy, za jakiego się ma.

Elissa wykorzystała tę chwilę, by ugryźć dłoń Dietera. Mężczyzna wrzasnął z bólu i niemal niedbale odepchnął dziewczynę. Elissa padła jak podcięta.

– Ta suka odgryzła mi pół dłoni!

Nagle Felix miał tego wszystkiego dosyć. Przebył setki mil, walczył ze zwierzętami, potworami i ludźmi. Widział, jak martwi wstają z grobów i niszczył złych kultystów podczas Geheimnisnacht. Zabił szefa tajnej policji Nuln za zмовę z nikczemnymi skavenami. Nie musiał nadstawiać policzka tym zepsutym szczeniakom i z pewnością nie musiał przyglądać się spokojnie, jak biją niewinną dziewczynę.

Felix chwycił Ruperta za ubranie na piersi i walnął go czołem w twarz.

Rozległ się okropny trzask i zwałisty młodzian upadł, łapiąc się za nos.

Felix złapał Dietera za gardło i spoliczkował kilka, razy dla przykładu, a potem rąbnął twarzą studenta o ciężki stół. Rozległ się kolejny trzask.

Kufle przewróciły się.

Widzowie cofnęli swoje krzesła, by uniknąć ochlapania. Felix podciął

Dietera kopniakiem i kiedy upadł na podłogę, kopnął go kilka razy w głowę. Nie było to przyjemne, ani eleganckie, ale Felix nie był już w nastroju, by patyczkować się z tymi ludźmi. Miał ich dosyć i cieszył się z okazji wyładowania swojego gniewu.

Gdy przyjaciele Dietera ruszyli naprzód, Felix wyciągnął z pochwy miecz. Ostre jak brzytwa ostrze załśniło w świetle pochodni. Rozgniewani studenci zamarli, jakby usłyszeli syczenie śmiercionośnego węża.

Nagle zapadła grobowa cisza. Felix przyłożył miecz do boku głowy Dietera.

– Jeszcze jeden krok i odetnę mu ucho. Potem każę je zjeść pozostałym z was.

– On nie żartuje – mruknął jeden ze studentów. W jednej chwili przestali wyglądać tak groźnie, stali się przestraszona i pijaną bandą młodych idiotów, którzy sprowadzili na siebie więcej kłopotów, niż się o to prosili. Felix obrócił ostrze, tak że skaleczyło ucho Dietera i popłynęła krew. Młodzieniec zakwilił i zwinął się pod butem Felixa.

Rupert zapisał i złapał się za nos mięsistą dłonią. Pod palcami tryskała rzeka czerwieni.

– Złamałeś mi nos – powiedział głosem pełnym żalostnej skargi.

Skarżył się, jakby nie mógł uwierzyć, że ktoś mógłby zrobić coś tak strasznie okrutnego.

– Jeszcze jedno słowo i połamię ci także palce – rzekł Felix. Miał

nadzieję, że nikt nie zastanowi się, jak miałby tego dokonać. Sam nie był

pewien, ale niepotrzebnie się przejmował. Wszyscy traktowali jego ostrzeżenie całkowicie serio. – Pozostali, zabierać swoich przyjaciół i wynocha stąd, zanim naprawdę stracę cierpliwość.

Odsunął się od leżącego Dietera, trzymając ostrze między sobą a studentami. Pospieszyli naprzód, pomagając wstać rannym kolegom, a potem ruszyli do drzwi. Kilku z nich wychodząc zerkało z przestraszonym na Felixa.

Podszedł do Elissy i pomógł jej podnieść się na nogi.

– Wszystko w porządku? – zapytał.

– Raczej tak. Dzięki – powiedziała. Spojrzała na niego z wdzięcznością. Nie po raz pierwszy Felix zauważył, jaka jest ładna.

Uśmiechnęła się do niego. Jej twarz okalały czarne loki. Wydęła wargi.

Wyciągnął dłoń i zawinął jeden z jej czarnych jak smoła loków wokół

ucha dziewczyny.

– Lepiej idź zamienić słowo z Heinzem. Powiedz mu, co się stało.

Dziewczyna odeszła.

– Robisz postępy, człeczyno – rozległ się za nim głos Zabójcy Trolli.

Felix spojrzał za siebie i z zaskoczeniem zobaczył Gotreka, który szczyrzył się do niego złośliwie.

– Chyba tak – odpowiedział, chociaż w tym momencie był nieco roztrzęsiony. To była pora, żeby się napić.

Szary Prorok Thanquol usadowił się na trójnogim stołku przed Dalekopiskiem i ugryzł swój ogon. Był rozgniewany, tak bardzo, jak jeszcze chyba nigdy. Wątpił, czy był tak wściekły nawet tego dnia, gdy zabił po raz pierwszy, a wtedy był istotnie bardzo, bardzo zły. Zatapiał

zęby w ogon, aż ból wycisnął łzy z jego różowych oczu. Potem przestał.

Był wściekły z bólu, który sobie zadał. Pragnął zadać cierpienie komuś innemu.

– Ruszać się! Biegać-śmigać, albo zedrę skórę z waszych najnędrniejszych kości – krzyknął, uderzając pejczem, który nosił

specjalnie na podobne okazje.

Skaveńscy niewolnicy pisnęli przerażeni i zaczęli szybciej obracać kierat podłączony do wielkiego mechanizmu Dalekopiska. W tym momencie, kule mocy zaczęły lekko lśnić. Ich migoczące światło oświetliło długą zapleśniałą izbę. Cienie inżynierów spaczenia z Klanu Skryre zatańczyły na ścianach, gdy dokonywali regulacji delikatnej maszyny, przez ostrożne popukiwanie jej młotkami. W powietrzu dało się wyczuć słaby zapach spaczenia i ozonu.

– Szybko! Szybko! Albo nakarmię wami szczuro-ogry.

To byłoby zabawne, pomyślał Thanquol. Gdyby tylko miał szczuro-ogra, któremu mógłby rzucić na pożarcie tych niewolników. Kościorwij okazał się wielkim rozczarowaniem – ten przeklęty krasnolud zabił go z łatwością, z jaką Thanquol mógłby zamordować ślepe szczenię. Sama myśl o tym bezwłosym krasnoludzkim zabójcy sprawiła, że chciał

wypuścić z siebie piżmo strachu. Jednocześnie, wnętrzości Thanquola ukąsiła wściekłość i pozostała dziko żując jelita, niczym właśnie urodzone szczenię, które gryzło kość.

Na cuchnący oddech Rogatego Szczura! Pragnął zemsty na Zabójcy Trolli i jego współniku. Nie tylko zabili Kościorwija i kosztowali Thanquola mnóstwo cennych tokenów spaczenia, ale zamordowali także von Halstadta, a tym samym pokrzyżowali wielki plan Szarego Proroka, którego celem było pogrążenie Nuln i Imperium w chaosie.

To prawda, Thanquol posiadał innych agentów na powierzchni, ale nie równie wysoko postawionych, ani tak zepsutych, jak nieodżałowana głowa tajnej policji Nuln. Thanquol nie spieszył się ze złożeniem raportu o porażce tej części planu przed swoimi władcami w Skavenblight. Tak naprawdę, odkładał złożenie sprawozdania na tak długo, jak tylko się dało.

Teraz nie miał wyboru i musiał rozmawiać z Nadprorokiem oraz oświadczyć, jak się miały sprawy. Ostrożnie spojrzął na wielkie lustro na szczycie Dalekopiska, oczekując pojawienia się postaci jego władcy.

Skaveńscy niewolnicy pracowali jeszcze szybciej. Światło w kulach spaczenia pojaśniało. Thanquol poczuł jak podnosi się jego futro, a po kręgosłupie przebiega dreszcz aż po koniuszek ogona, gdy iskry zaczęły przeskakiwać z obu kul na końcach kieratu, po czym opadały w stronę wielkiego zwierciadła na szczycie aparatu. Jeden z inżynierów spaczenia pospieszył do panelu kontrolnego i przełożył w dół dwa masywne miedziane przełączniki. Między kulami spaczenia zamigotała rozdwojona błyskawica. Ekran zwierciadła zaczął emanować zielonkawym światłem.

Zabrzęczały małe koła zamachowe. Wielkie tłoki wznosiły się i opadały majestatycznie.

Thanquol poczuł krótki przyływ dumy z tego niesamowitego triumfu skaveńskiej inżynierii, urządzenia, które umożliwiło dalekosiężną komunikację między Nuln a Skavenblight. Była nie tylko

możliwa, ale także natychmiastowa.

To prawda, żadna inna rasa nie mogła doścignąć wynalazczego geniuszu skavenów. Ta maszyna stanowiła kolejny tego dowód, jeśli w ogóle był jakiś potrzebny, wyższości skavenów nad wszystkimi pozostałymi, tak zwanymi, myślącymi rasami. Skaveni zasłużyli na władanie światem – bez wątplenia dlatego właśnie zaopiekował się nimi Rogaty Szczur.

Obraz w lustrze zaczął nabierać kształtów. Pojawiła się na nim wysoka postać. Thanquol znowu poczuł dreszcze, tym razem z niekontrolowanego strachu. Wiedział, że spogląda na jednego z członków Rady Trzynastu przebywającego w odległym Skavenblight. Po prawdzie, nie mógł

stwierdzić którego z nich, bowiem obraz był nieco zamazany. Może był to nawet Nadprorok Tisqueek. Wiry i wzory zakłóceń zatańczyły po migoczącej powierzchni zwierciadła. Thanquol zastanawiał się, czy nie powinien zasugerować, by inżynierowie z Klanu Skryre dokonali kilku ulepszeń w swoim urządzeniu. Teraz jednak nie było na to czasu.

– Co masz... do... powiedzenia... Proroku Thanq...? – Majestatyczny głos członka Rady wydobył się wysokim buczeniem z trąbki mównicy.

Thanquol z trudem rozróżniał słowa. Wyciągniętą łapą chwycił

wyrzeźbiony z ludzkiej kości udowej ustnik połączony z maszyną kablem z najczystszej miedzi. Z wielkim trudem usiłował mówić głośno i wyraźnie.

– Wielkie zwycięstwa, władco i kilka drobnych porażek – zapiszczał

Thanquol. Czuł zaciśnięte gruczoły piźmowe. Zmagał się, by nerwowo nie zagryzać zębów.

– Mów... śniej... Szary... ledwo cię sły... i...

Thanquol stwierdził, że z dalekopiszcząca maszyną zdecydowanie były jakieś problemy. Wiele ze słów Nadproroka nie dało się usłyszeć i bez wątplenia jego przełożony także wychwytywał tylko niektóre słowa Thanquola. Szary Prorok pomyślał, że mógłby to wykorzystać. Musiał

rozważyć swoje możliwości.

– Wiele zwycięstw, władco i parę drobnych porażek! – Thanquol wrzasnął najgłośniej jak potrafił. Ryk przestraszył niewolników tak, że przestali biegać. Gdy kierat zwolnił, obraz zaczął migotać i blednąć.

Długie języki wyładowań przybladły. – Szybciej, głupcy! Nie zatrzymywać się!

Thanquol popędził niewolników smagnięciem bicia. Powoli obraz powrócił i przyćmione kontury skaveńskiego władcy znowu stały się widoczne. Z Dalekopiska zaczął wydobywać się obłok wstrętnie śmierdzącego dymu. Cuchnęło, jakby coś paliło się wewnątrz maszyny.

Dwóch inżynierów spaczenia stało obok z kubłami brudnej wody zaczerpniętej prosto z pobliskich

ścieków.

– ... porażki, Szary... oku Thanquolu?

Thanquol pomyślał, że jeśli drobne niedoskonałości działania maszyny mogły kiedyś się przydać, właśnie nastąpił ten moment.

– Tak, panie. Wiele zwycięstw! Nawet w tej chwili nasi wojownicy prowadzą zwiad pod miastem człowieka. Wkrótce zdobędziemy wszelkie informacje potrzebne do zapewnienia naszego nieuniknionego zwycięstwa!

– Pytałem... porażki... Proroku Thanquolu.

– Nie byłoby mądrze odsyłać ich z powrotem, o wielki. Potrzebujemy każdego silnego skavena do kreślenia mapy miasta.

Członek Rady nachylił się i pokręcił gałką. Obraz zamigotał i stał się nieco czystszy. Thanquol widział teraz, że głowa rozmówcy okryta była wielkim kapturem, który osłaniał twarz. Członkowie Rady Trzynastu często tak robili. To sprawiało, że wydawali się bardziej tajemniczy i przerażający. Thanquol dostrzegł, że władca odwraca się i mówi do kogoś poza polem widzenia. Szary Prorok podejrzewał, że jego pan ruga jednego z inżynierów Klanu Skryre.

– ... a jak się... agent von Halstadt... ?

– Niedysponowany – odpowiedział Thanquol, nieco zbyt pośpiesznie.

To brzmiało lepiej niż doniesienie, że człowiek jest martwy. Widział, że musi szybko coś zrobić, by uratować sytuację.

Bez względu na to, jak chytrze zmylił swoich władców przez Dalekopisk, wiedział, że wieść o śmierci von Halstadta dotrze do nich tak czy inaczej. W każdym oddziale skavenów pełno było szpiegów i donosicieli. Kwestią czasu było, zanim nowina o porażce jego planu dotrze do Skavenblight. Thanquol wiedział, że zanim to nastąpi, musi mieć do zameldowania jakiś konkretny sukces.

– Mamy wieści... zmiana planów... wysyłamy armię do Nuln... kiedy będą gotowi... takować miasto...

– Słyszac te słowa Nadproroka uszy Thanquola podniosły się z przyjemności. Jeśli jakaś armia była wysyłana do Nuln, on będzie nią dowodził. Opanowanie miasta niezmiernie podniesie jego status.

– Herszt Vermek Skab będzie dowodził... zapewnij mu wszelką... zliwą pomoc...

Thanquol zagryzł zęby z zawodu. Zostanie zastąpiony na stanowisku dowódczym swojej armii. Węszył wokoło rozważając tę sprawę. Może tak się nie stanie? Vermek Skab mógł mieć wypadek. Wówczas Szary Prorok Thanquol w majestacie odbierze swoją pełną i zasłużoną chwałę zwycięstwa!

Nos Thanquola zaswędziało. Falujący kłęb dymu z maszyny wypełniał

komorę i Thanquol był przekonany, że urządzenie nie powinno raczej emitować tak wielkich fontann iskier. Fakt, że dwaj inżynierowie spaczenia biegli do drzwi, również nie był dobrym znakiem. Zastanawiał

się, czy nie pobiec za nimi.

– Dostrzegłem obecność... niedobrych elementów w twojej przyszłości, Than... Przewiduję nieszczęście dla ciebie, o ile nie... uczynisz czegoś z nimi.

Nagle Thanquol zamarł na miejscu, rozdarty między pragnieniem ucieczki a chęcią wysłuchania do końca. Prawie popuszczał piżmo strachu.

Jeśli Nadprorok coś przewidywał, równie dobrze można było to uznać za tak pewne, jakby już się wydarzyło. O ile, oczywiście, jego przełożony nie kłamał dla własnych powodów. To zdarzało się zbyt często, jak doskonale zdawał sobie z tego sprawę Thanquol.

– Nieszczęście, panie?

– Tak... widzę krasnoluda i człowieka... losy są powiązane z twoim...

nie zabijesz ich, wówczas...

Rozległ się bardzo głośny huk. Thanquol zeskoczył ze stołka i rozpląszczył się na podłodze. Jego usta wypełnił cierpki smak. Dym powoli opadł a skaven zobaczył stopione i osmalone szczątki maszyny dalekopiszącej. Pośród nich leżało kilku martwych skavenów ze spopieloną sierścią i spalonymi wąsami. W jednym kącie leżał zwinięty w kłębek inżynier spaczenia, który kwilił i skręcał się w szoku. Thanquol nie interesował się ich losem. Słowa Nadproroka przejęły go grozą. Żałował, że nie mógł porozmawiać ze swoim władcą nieco dłużej, jednak nie miał

wyboru. Podniósł mały dzwonek z brązu i zadzwonił.

Powoli do komory zaczęli wchodzić członkowie osobistej ochrony.

Thanquol pomyślał, że Szponowład Gazat wyglądał na zawiedzionego widząc swego pana przy życiu. Przez chwilę umysł Thanquola owładnęła myśl, że wojownik mógł sabotować Dalekopisk. Odsunął od siebie to podejrzenie – Gazatowi brakowało wyobraźni. Tak czy inaczej, Szary Prorok musiał zająć się ważniejszymi sprawami.

– Wezwijcie rynsztokowców! – zakrzyknął Thanquol swoim najbardziej władczym głosem. – Mam dla nich zadanie.

Przez chwilę w komnacie zapadło milczenie. Przykry zapach podrażnił

wąsy Thanquola. Nawet zwykła wzmianka o przerażających skrytobójcach z Klanu Eshin sprawiła, że Szponowład Gazat popuścił piżmo strachu.

– Żwawiej! Żwawiej! – dodał Thanquol.

– Natychmiast, mistrzu – powiedział smutno Gazat i popędził w labirynty ścieków.

Thanquol zatarł łapy z radości. Rynsztokowcy nie zawiodą – o tym był przekonany.

Felix otworzył drzwi swojej komnaty i wszedł do środka. Ziewnął szeroko. Chciał tylko położyć się na sienniku i usnąć. Pracował przez ponad dwanaście godzin. Położył latarnię na podłodze obok barłogu i rozsznurował kaftan. Próbował zwracać możliwie mało uwagi na swoje otoczenie, ale trudno było ignorować głośne jęki rozkoszy dochodzące z sąsiedniego pokoju i śpiewy pijących pod schodami.

Izba nie była dość dobra dla klientów gospody, ale jemu wystarczała.

Mieszkał już w lepszych, ale to mieszkanie miało wielką zaletę – było za darmo. Dostał je wraz z pracą. Podobnie jak część personelu Heinza, Felix mieszkał na miejscu.

W kącie pod zatrzaśniętym oknem spoczywał niewielki stosik dobytku Felixa. Była tam kolczuga i mała torba podróżna zawierająca takie drobiazgi, jak zestaw do rozpalania ognia.

Felix rzucił się na łóżko i naciągnął na siebie obdarty wełniany płaszcz.

Upewnił się, że miecz spoczywa w zasięgu ręki. Ciężkie życie w drodze nauczyło go czujności nawet w pozornie bezpiecznych miejscach, a grozą napełniała go myśl, że skaveni, których ostatnio spotkali, mogli nadal przebywać w pobliżu.

Przypominał sobie aż nazbyt dobrze wielkie cielsko zabitego szczuro-ogra leżące u stóp schodów domostwa von Halstadta. To nie był

uspokajający widok. Felix nie był specjalnie zaskoczony, że nie usłyszał o niczym więcej, niż o zwykłym pożarze w domu von Halstadta. Może władze nie znalazły ciał skavenów, albo chciały zatuszować całą sprawę?

Obecnie, Felix nie chciał nawet o tym myśleć.

Felix zastanawiał się, jak ludzie mogli ignorować opowieści o skavenach. Jeszcze będąc studentem natknął się na uczone tomy, które udowadniały ich istnienie, albo twierdziły, że skaveni kiedyś istnieli, ale są już rasą wymarłą. Znalazł kilka odniesień do nich w związku z Wielkim Morem roku 1111 i oczywiście, łączących ich z Imperatorem tego okresu, znanym pod imieniem Mandred Zabójca Skavenów. Jednak to było wszystko. Istniały niezliczone księgi napisane o elfach, krasnoludach i orkach, jednak wiedza o szczuroлюдziach była nikła. Felix był bliski podejrzenia istnienia zorganizowanej konspiracji, której celem było utrzymanie tej wiedzy w tajemnicy, ale ta myśl była zbyt niepokojąca, więc wyrzucił ją z głowy.

Rozległo się ciche pukanie do drzwi. Felix leżał bez ruchu i próbował

je ignorować. Zapewne znowu zgubił się jeden z pijanych gości i szukał

swego pokoju.

Pukanie zabrzmiało ponownie, tym razem bardziej natrętnie i uporczywie. Felix podniósł się z łóżka i schwycił miecz.

Człowiek nie mógł być zbyt pewny siebie w tych mrocznych czasach.

Na zewnątrz mógł czaić się jakiś zawadiaka, który uznał zaspanego Felixa za łatwy łup. Niecałe dwa miesiące wcześniej, Heinz znalazł

zamordowaną parę, która leżała na skrwawionych prześcieradłach ledwie trzy drzwi dalej. Mężczyzna był prominentnym handlarzem wina, dziewczyna jego nastoletnią kochanką. Heinz podejrzewał, że kupiec został zabity przez morderców na rozkaz wiedźmowatej żony, ale stwierdził także, że to nie jego sprawa. Felix utyłał krwią całą swoją nową koszulę, gdy wyrzucał ciała do rzeki. Nie bał się wtedy jeszcze skorzystać z sekretnej drogi przez kanały ściekowe. Pukanie rozległo się po raz trzeci i usłyszał szepczący głos kobiety.

– Felixie.

Felix wysunął ostrze z pochwy. To, że słyszał głos dziewczyny nie znaczyło, że na zewnątrz czekała tylko ona. Mogła sprowadzić ze sobą kilku tęgich przyjaciół, którzy zajmą się nim, jak tylko otworzy drzwi.

Krótko rozważał, czy nie powinien w ogóle zrezygnować z otwierania drzwi, albo po prostu poczekać, aż dziewczyna i jej kompani spróbują je wyważyć. Nagle zdał sobie sprawę, jak bardzo stał się paranoidalny.

Wzdrygnął się. Od śmierci Hefa i Spidera oraz reszty Straży Ściekowej miał wszelkie powody do paranoi. Mimo tego nie mógł czekać w bezruchu całej nocy. Odsunął rygle i otworzył drzwi. Czekala na niego Elissa.

Spojrzała nerwowo odsuwając lok z czoła. Felix stwierdził, że była dość niska, ale naprawdę bardzo ładna.

– Ja... chciałam podziękować ci, że mi wtedy pomogłeś – odezwała się wreszcie.

Felix pomyślał, że była na to nieco zbyt późna pora. Czy nie mogła poczekać do ranka? Powoli, w umyśle pojawiło się zrozumienie.

– To nic takiego – mruknął, czując rumieniec na swojej twarzy.

Elissa rozejrzała się szybko w lewo i prawo po korytarzu.

– Nie zaprosisz mnie do środka? Chciałam ci odpowiednio podziękować.

Stanąła na czubkach palców, by pocałować go w usta. Stał przez chwilę oglupiały, a potem wciągnął ją do pokoju, po czym zasunął rygle na miejsce.

Gdy pomagier Queg doszedł do dwunastu w swoim mruczonym odliczaniu, Chang Squik z Klanu Eshin podrapał nos i zwietrzył zapachy nocy.

Dziwne, pomyślał, zapachy tak podobne, jak w ludzkich miastach Dalekiego Kataju, a jednak tak odmienne. Tutaj wyczuwał wołowinę, rzepę i pieczone prosięta. Na wschodzie byłyby to marynowana kapusta, ryż i kurczaki. Jedzenie pachniało inaczej, ale wszystko inne tak samo.

Czuł ten sam odór przepelnionych ścieków, smród wielu ludzi żyjących blisko siebie, kadzideł i perfum.

Nastawił uszu, tak dobrze jak nauczył go jego mistrz. Słyszał uderzenia świątynnych dzwonów i klekot kół powozów na kamieniach bruku.

Słyszał śpiewy pijaków i okrzyki nocnych stróżów ogłaszających godzinę.

To go nie obchodziło. Nie można go było rozproszyć. Potrafił, jeśli chciał, wyciszyć wszystkie dodatkowe dźwięki i wyłapać jeden głos w tłumie.

Skaven zerknął w ciemność. Jego wzrok był bystry. Widział ciemne kształty mężczyzn i kobiet, którzy wychodzili w objęciach z gospody i oddalali się na krótkie chwile uniesienia w tylnych alejkach i brudnych pensjonatach. Chang całkowicie nie interesował się nimi. Dwa cele znajdowały się w budynku, który ludzie nazywali oberżą.

Nie wiedział, dlaczego szacowny Szary Prorok wybrał tych dwóch na pewną śmierć, wśród wszystkich potępionych duszy tego miasta. Wiedział

tylko, że jego zadaniem było ułatwienie przejścia ich dusz do paszczki Rogatego Szczura. Ofiarował już dwie pałeczki narkotycznego kadzidła i zaprzysiągł złożyć ich nieśmiertelną esencję w darze dla swojego mrocznego boga. Czuł prawdziwy, ale nie do końca, żal wobec zgubionych dusz owych nieszczęśników.

Przebywali w gospodzie pod szyldem Ślepej Świni i nie wiedzieli, że zbliża się ich pewna śmierć. Nie mogli wiedzieć, bowiem Chang Squik ćwiczył się latami w zadawaniu cichej śmierci. Na długo zanim opuścił

ciepłe dżungle swojej wschodniej ojczyzny, aby służyć Radzie w tych zimnych zachodnich krainach, trenował w swoim klanie perfekcyjne opanowanie starożytnej sztuki cichego zabijania. Będąc jeszcze szczeniakiem musiał biegać boso po rozżarzonych do białości węglach i wykraść monety z misek ślepych żebraków w miastach ludzi. Podczas tych wczesnych lat dowiedział się, że żebracy często byli dalecy od ślepoty i nierzadko okazywali się niezwykle wprawni w sztukach walki.

Do czasu nadejścia swojej inicjacji biegle opanował wszystkie formy walki bez użycia broni. Był adeptem trzeciego stopnia ścieżki Purpurowego Pazura i posiadał czarny pas Ścieżki Zabójczej Szponiastej Łapy. Spędził dwanaście długich miesięcy treningu cichej infiltracji w dżunglach oraz

miesiące postawienia i medytacji wysoko na szczycie Góry Żółtego Kłosa, mając za pożywienie jedynie własne odchody.

Od tamtej pory zabijał w imieniu Rady Trzynastu. Zabił Lorda Khijawa z Klanu Gulcher, gdy potężny herszt zaczął planować atak na Throta Nieczystego. Służył jako osobisty asystent Snikcha, gdy wielki skrytobójca zabijał Fredericka Hasselhoffena i jego całą rodzinę, a potem został nagrodzony indywidualnym treningiem z samym Mistrzem Śmierci.

Lista triumfów Changa Squika była długa, a dziś jeszcze ją powiększy.

Jego zadaniem było zabicie krasnoluda, Gotreka Gurnissona i człowieka pomocnika, Felixa Jaegera. Nie widział możliwości porażki.

Jaką szansę miał jednooki krasnolud i głupi, człowieczy przyjaciel przeciw potężnemu skavenowi wytrenowanemu we wszelkich sztukach sprowadzania śmierci? Chang Squik był przekonany, że sam wykończy tę parę. Naleganie Szarego Proroka Thanijuola, by zabrał ze sobą pełną drużynę ryszokowców, uważał za bliską obrzydliwostkę.

Z pewnością, plotki o tym śmiałym krasnoludzie były przesadzone.

Zabójca Trolli nie mógłby jedną ręką zabić całej jednostki sztormverminów. Wysoce nieprawdopodobnym wydawało się, by potrafił

zabić szczuro-ogra Kościorwija, bez pomocy kompanii najemników. Oraz, oczywiście, niemożliwym wydawało się, by był to ten sam krasnolud, który pięć lat wcześniej zabił Herszta Makrika z Klanu Gowjyer w bitwie pod Trzecimi Drzwiami.

Chang wykonał długi, kontrolowany wydech. Może Szary Prorok miał

rację? W przeszłości często okazywało się, że tak było. Decyzja, by to Slitha zabił krasnoluda, było aktem rozwagi. Chang zabija człowieka, a jeśli pojawią się jakieś kłopoty, skorzysta z pomocy swojego oddziału. Co nie znaczyło, że spodziewał się jakichkolwiek kłopotów.

Queg przerwał odliczanie przy stu i dotknął ramienia swojego przełożonego. Chang machnął raz ogonem na znak, że zrozumiał. Slitha i jego zespół, z zegarmistrzowską precyzją, jaka charakteryzowała wszystkie operacje skavenów, znajdował się obecnie na pozycji przy tajnym wejściu do tawerny. Nadszedł czas na działanie.

Obluzował miecz w pochwie, sprawdził, czy dmuchawka i gwiazdki do rzucania są w gotowości, po czym gwizdnął dając znak rozpoczęcia misji.

Gromada ryszokowców ruszyła ciemną falą w kierunku dachu. W

świecie księżyców ich poczerniała broń widoczna była tylko jako cieniste kontury. Nie zabręczało żadne ostrze. Nie było widać żadnej sylwetki –

no cóż, prawie nic nie było widać.

Heinz dokonywał swojego ostatniego obchodu przed końcem dnia, sprawdzając drzwi i okna na niższym piętrze, aby upewnić się, że są bezpiecznie zasunięte. Zdziwiałoby, jak często rabusie próbowali włamać się do gospody Pod Ślepą Świnia, by okraść piwnice. Nawet reputacja dzikich wykidajłów Heinza nie mogła powstrzymać rozpaczliwie biednych i uzależnionych od alkoholu mieszkańców Nowej Dzielnicy przed ponawianiem prób. To było naprawdę żalosne.

Zszedł do piwnic, świecąc latarnią w ciemne kąty między wielkimi beczkami ale i stojakami z winem. Mógł przysiąc, że usłyszał tam dziwny szelest.

Przekonywał siebie, że to tylko działała jego wyobraźnia.

Zaczynał się starzeć, słyszeć dziwne rzeczy. Mimo to podszedł i sprawdził tajne drzwi prowadzące do ścieków. Trudno było to stwierdzić w tym świetle, ale zdawało się, że nie były ruszane. Wątpił, czy ktoś używał przejścia od czasu, gdy Felix usunął tamte ciała dwa miesiące wcześniej i zaoszczędził wszystkim niezłego skandalu. Tak, starzał się powoli, to było wszystko.

Odwrócił się i pokuśtykał do schodów. Chora noga dawała mu się dzisiaj we znaki. Zawsze tak było, gdy zbierało się na deszcz. Heinz uśmiechnął się ponuro, przypominając sobie, jak zdobył tę starą wojenną ranę. Nogę przetrącił mu bretoński rumak, podczas bitwy na Przełęczy Czerwonego Orka. Czyste złamanie. Pamiętał, jak leżał w zakrwawionym pyłu i myślał, że to zapłata za to, że przebił jeźdźca halabardą. To były ciężkie chwile, jedne z najgorszych, jakie przeżył podczas wszystkich lat wojaczki. Tego dnia nauczył się wiele o bólu. Mimo to, podczas swojej kariery najemnika, miewał chwile zarówno dobre, jak i złe, musiał to przyznać.

Chwilami Heinz zastanawiał się, czy podjął słuszną decyzję, porzucając swobodne życie w kompanii najemników, by wybrać los właściciela gospody. Podczas nocy podobnych do tej brakowało mu atmosfery jego starego oddziału, pijackich uczt wokół ognisk, wymienianych między sobą opowieści i przechwalania się bohaterskimi wyczynami.

Heinz spędził dziesięć lat jako halabardzista i przemierzył połowę wszystkich pól bitewnych Imperium, najpierw jako zwykły szeregowiec, później jako sierżant. Osiągnął rangę kapitana podczas kampanii prowadzonej przez Imperatora Karla-Franza przeciw hordom orków na Wschodzie. W czasie ostatniej wojny w Bretonii zdobył dość łupów, by kupić za nie gospodę Pod Ślepą Świnia. Wreszcie poddał się naleganiom Lotte, by osiedlić się i wieść razem z nią wspólne życie. Starzy druhowie śmiali się, gdy poślubił markietankę. Przekonywali, że kobieta ucieknie z jego pieniędzmi. Okazało się, że oboje prowadzili błogie, szczęśliwe życie, zanim stara Lotte musiała wszystko zepsuć umierając na Pustoszącą Chorobę. Nadal za nią tęsknił. Zastanawiał się, czy cokolwiek jeszcze zatrzymywało go w Nuln. Cała jego rodzina nie żyła. Lotte odeszła.

Gdy Heinz dotarł na szczyt schodów, wydało mu się, że znowu usłyszał

szemranie. Zdecydowanie coś poruszało się tam na dole.

Przez chwilę namyślał się, czy wezwać Gotreka, albo któregoś z pozostałych chłopaków i kazać im, by to zbadali, po czym rozłożył swoje wielkie dłonie pogardliwym gestem. Naprawdę stawał się stary, skoro pozwalał, by niepokoił go hałas paru szczurów biegających po jego piwnicy. Wyobrażał

sobie, co powiedzieliby tamci, gdyby przyznał się, że bał się zejść na dół. Padliby ze śmiechu.

Wyciągnął cienką pałkę zza opaski na przedramieniu i odwrócił się, by zejść do piwnicy. Teraz naprawdę był zdenerwowany. Normalnie, nigdy nie dobyłby broni. Był zbyt spokojny i opanowany. Coś go musiało naprawdę przestraszyć. Jego stare żołnierskie instynkty ostrzegły go, a nieraz już go uratowały.

Nadal pamiętał ową noc przy kislevickiej granicy, gdy nie potrafił

usnąć, opanowany nieprzyjemnym przeczuciem. Podniósł się z leża i poszedł zmienić wartownika. Na posterunku znalazł martwego żołnierza.

Ledwo zdążył zaalarmować obóz, zanim zaatakowali ohydni zwierzoludzie. W tej chwili czuł podobny ścisk na dnie żołądka. Zawahał

się na szczycie schodów.

Lepiej pójdę po Gotreka, pomyślał. W oberży przebywali teraz tylko najbardziej zatwardziali pijacy. Reszta spała, pod stołami, w alkowach, w izbach prywatnych, albo porozchodzili się do domów.

Znowu to nastąpiło. Odgłos szurania, niczym miękkie drapanie tępych pazurów na kamiennych schodkach. Heinz naprawdę się bał. Zamknął

drzwi i odwrócił się, po czym pobiegł korytarzem, aż dotarł do baru.

Gromadka wykidajłów leniwie gaworzyła z kilkoma posługaczkami.

– Gdzie Gotrek? – zapytał Heinz. Helmut, tęgi chłopak, wysunął kciuk w kierunku izb gościnnych.

Slitha dotarł na szczyt schodów i otworzył drzwi. Jak na razie, wszystko szło dobrze. Akcja przebiegała gładko i bez zakłóceń, niczym praca typowej, dobrze naoliwionej maszyny Klanu Skryre. Wszystko zgodnie z planem. Dostali się do tawerny niezauważenie, teraz wystarczyło przeszukać budynek, aż znajdą krasnoluda i zabiją go. Co więcej, oczywiście, zabiją wszystko, co stanie im na drodze.

Slitha czuł się nieco podirytowany. Naturalnie, jego przełożony wziął

na siebie łatwe zadanie. Już znaleźli miejsce noclegu człowieka, Jaegera i ich przywódca miał tylko zabić go osobiście. Z pewnością było to jedyne wytłumaczenie. Nie mógł uwierzyć, by wielki Chang Squik bał się spotkania z Zabójcą Trolli. To nie obchodziło Slitha. Gdy załatwi groźnego krasnoluda, zyska więcej chwały tylko dla siebie. Dał znak kompanom, by ruszali pierwsi.

– Żwawiej! Żwawiej! – pisał. – Nie mamy całej nocy!

Rynsztokowcy popędzili korytarzem.

Felix i Elissa leżeli na sienniku wymieniając namiętne pocałunki, gdy nagle Felix uniósł się

zaniepokojony. Wydało mu się, że za oknem usłyszał niezwykle cichy chrobot.

Delikatnie odsunął oplatające go ręce Elissy, niespodziewanie zdając sobie sprawę z gorącego i spoconego miejsca na skórze, gdzie stykały się ich ciała. Spojrzał na twarz posługaczki. Jej lewy policzek był lekko spuchnięty od uderzenia dłonią studenta, ale dziewczyna wyglądała naprawdę ładnie.

– Co się stało? – zapytała, spoglądając na niego dużymi ufnymi oczami.

Przez chwilę nasłuchiwał, ale niczego nie usłyszał.

– Nic takiego – powiedział i znowu zaczął ją całować.

Slitha ruszył w głąb korytarza. Wyczuwał zapach krasnoluda. Szedł za tym śladem, pogwizdując rozkazy dla swoich braci na przędzie. Słabowity nieprzyjaciel szybko zginie zaskoczony cichym podchodem skavenów, ich szybkością i zajadłością ataku. Jakie szanse miał zwykły krasnolud przeciw najbardziej zabójczym wojownikom władczej rasy? Slitha żałował, że znajduje się z tyłu, na tradycyjnej, honorowej pozycji, jaką zajmowali przy każdej sposobności wszyscy przywódcy skavenów.

Chciałby mieć okazję jako pierwszy zanurzyć ostrze w ciało krasnoluda i ofiarować jego duszę Rogatemu Szczurowi.

Dotarli do końca korytarza. Smród krasnoluda był silniejszy. Musiał

być już bardzo blisko. Tempo bicia serca Slithy dramatycznie przyspieszyło. Krew pędziła żyłami. Ogon skavena wyprężył się i uderzał

o ziemię. Pazury na stopach wysunęły się instynktownie. Szykując się do walki obnażył kły, jakby miał zamiar warczeć. Zapach był bardzo silny –

musieli już deptać po piętach Zabójcy Trolli. Wojownicy z dumą uderzali ogonami, gotowi zwyciężyć przeciwnika swoją liczbą i zaciętością.

Nagle ślepia Slithy przesłoniła czerwona mgła. Wyglądało to tak jakby wielki topór przeciął w pół Klisqueeka, ale to było niemożliwe. Nie mogli zostać wykryci. Zwykły krasnolud nie mógł mieć dość sprytu, by zaskoczyć oddział skaveńskich rynsztokowców.

A jednak Hrishak zaskrzeczał z nagłego bólu i przerażenia. Wielka pięść trafiła go w gardło. Trzon potwornego topora zmiażdżył czaszkę.

Powietrze wypełnił gęsty, duszący smród piżma strachu. Ciało Klisqueeka natychmiast zaczęło rozpuszczać się w kałużę czarnego śluzu, gdy zadziałało zaklęcie rozkładu Klanu Eshin.

Slitha patrzył na wirującą płataninę walczących, gdy pół tuzina najlepszych rynsztokowców starało się przygwoździć masywną postać krasnoluda. Jego blade, bezwłose ciało stanowiło kontrast na tle czarnych płaszczy skavenów. Slitha dostrzegł wielki topór, który opadał zabójczymi łukami. Słyszał

miażdżone kości i widział rozpryskiwane mózgi.

– Próbowaliście mnie podejść, nieprawdaż? – mruknął krasnolud w Reikspielu. Dodał gardłowe przekleństwo w krasnoludzkim, po czym zaczął wyrąbywać ścieżkę czerwonego zniszczenia wśród skaveńskich skrytobójców. Krasnolud zawył i nie przerywając walki wydał z siebie dziwaczny okrzyk bojowy.

Slitha wzdrygnął się. Hałas mógłby obudzić martwego, a z pewnością śpiących wartowników. Rozumiał, że tracą przewagę cichego podejścia i zaskoczenia. Jego ślepia rozszerzyły się z przerażenia, gdy zobaczył, jak krasnolud kończy swoje krwawe dzieło ścinając jednym uderzeniem Snikkita i Blodge'a. Nagle Slitha zdał sobie sprawę, że został sam, stojąc naprzeciwko bardzo wściekłego i bardzo niebezpiecznego krasnoluda.

Trudno było w to uwierzyć, ale krasnolud w ciągu kilku sekund zabił

większość jego braci. Nic na całym świecie, nawet skrytobójcy Klanu Eshin, nie mogło być tak zabójcze. Slitha rzucił się do ucieczki, ale jego ogon przydeptał podkuty ćwiekami but, zatrzymując skavena na miejscu.

Ślepia Slithy zalały łzy bólu. Piżmo strachu strzyknęło z gruczołów.

Ostatnią rzeczą, jaką usłyszał, był świst opadającego wielkiego topora.

Na przekór sobie, Felix znowu wysunął się z objęć Elissy i rozejrzał

się. Co wywołało ten hałas? Zdawało mu się, że ktoś walczył na dole schodów. Z pewnością rozpoznał głęboki, gardłowy okrzyk bojowy Gotreka. Dziewczyna patrzyła na niego pytająco, zastanawiając się, dlaczego przestał ją całować. Otworzyła usta, by coś powiedzieć. Felix położył delikatnie dłoń na jej wargach. Nachylił się, aż jego usta znalazły się tuż nad uchem dziewczyny.

– Bądź bardzo cicho – szepnął. Przebiegł go zimny dreszcz strachu. Był

pewien, że usłyszał dziwne skrobanie dochodzące z za okna. Felix podniósł

się zostawiając leżącą dziewczynę i sięgnął po miecz o smoczjej rękojeści.

Zsunął się z siennika i zastygł w półprzysiadzie.

Kładąc jeden palec na ustach nakazał kobiecie milczenie i gestem kazał

jej wstać z łóżka. Patrzyła na niego niepewnie, a potem obróciła się za jego wzrokiem skierowanym w stronę okna.

I właśnie wtedy krzyknęła.

Chang Squik obserwował Noi, który zsuwał się po linie. Czuł coś bliskiego dumy ze swojego pupila. Noi doskonale przymocował bosak w wyłobieniu i zsunął się po ścianie tawerny jak wielki pająk.

Spryskał

kwasem metalowe kraty, które zasłaniały okno, po czym przepiłował

osłabione żelazo, niczym mistrz włamywaczy. Wyciągnął łapę w górę i dał

znak reszcie oddziału czekającego na dachu gospody. Zaczepili swoje liny i szykowali się, by ruszyć w ślady Noi. Chang miał wejść ostatni, jak wypadało czcigodnemu przywódcy grupy uderzeniowej. Noi kopnięciem odepchnął się od ściany, poleciał do tyłu i zaczął nabierać rozpędu, aby przebić się przez okno.

Okno wleciało do środka, a wraz z nim wpadł ubrany w czerń skaven.

Upadł na ziemię, przetoczył się i podniósł gotowy do walki. Uderzył

ogonem o ziemię. W obu łapach trzymał złowrogo błyszczące, długie, zakrzywione ostrza. Felix nie tracił czasu na próbę zorientowania się w sytuacji. Natarł mieczem, niemal dopadając zaskoczonego stwora. Iskry strzeliły, gdy kreatura sparowała odbijając ostrze Felixa, które przeorało tylko po policzku skavena.

– Elissa, uciekaj! – krzyknął Felix. – Wynoś się!

Przez chwilę wydawało mu się, że dziewczyna była zbyt wstrząśnięta, by się poruszyć. Leżała na słomianym materacu z oczami rozszerzonymi od przerażenia, a potem nagle poderwała się. Chwilowe rozproszenie uwagi niemal nie zabiło Felixa. W chwili, jaką zabrał mu rzut okiem na dziewczynę, nie patrzył na przeciwnika. Ostrzegł go tylko śmiertcionośny świst opadającego na jego czaszkę skaweńskiego ostrza. Wykonał unik głową, a nóż przeszedł powyżej, zbliżając się na tyle, by odciąć kosmyk włosów. Felix instynktownie odskoczył do tyłu. Skaven rzucił się na bok.

– Giń! Giń! Głupi człowieczyno! – zapiszczał skaven skacząc naprzód.

Zamarkował cios prawym ostrzem, po czym uderzył lewym. Felix złapał

jego łapę tuż nad nadgarstkiem i unieruchomił ją. Ogon stwora owinał się obscenicznie wokół nogi człowieka próbując go przewrócić. Felix rąbnął

głowicą miecza w miejsce za uchem skavena. Stwór upadł naprzód, ale zdążył uderzyć nożem, zmuszając Felixa do odskoczenia. Człowiek skoczył w głąb pokoju i przebił próbującego się podnieść skavena. Krew buchnęła pianą z pyska umierającego nikkzennika. Powietrze wypełnił

dziwny zapach dymu. Ciało skavena zaczęło kipieć i gnić.

Felix słyszał, jak Elissa otwiera zasuwę w drzwiach. Zaryzykował

spojrzenie w jej kierunku. Odwróciła się i spoglądała na niego z mieszaniną przerażenia i niepewności, jakby nie wiedziała, czy ma go zostawić, czy zostać.

– Uciekaj! – krzyknął. – Sprowadź pomoc. Tutaj nie możesz nic zrobić.

Znikła za drzwiami zostawiając Felixa, który poczuł pewną ulgę. Teraz przynajmniej nie był odpowiedzialny za jej bezpieczeństwo. Gdy odwrócił

się ponownie, zobaczył, że skaven, którego zabił, zniknął. Zostawił po sobie zaledwie kałużę czarnego śluzu i gnijące ubranie. Felix zastanawiał

się, jaka czarna magia zadziałała w tym przypadku.

Świst poruszonego powietrza ostrzegł go przed kolejnym zagrożeniem.

Kątem oka zauważył kilka błyszczących obiektów, które leciały w jego kierunku. Dał nura naprzód, rzucając się na łóżko z nadzieją, że złagodzi upadek. Gdy wylądował, usta wypełniła mu słoma z materaca. Lewą ręką wymacał stary czerwony płaszcz i przyciągnął go do siebie. Zdążył w ostatniej chwili. Następne lśniące przedmioty nadlatywały od okna w jego stronę. Podniósł płaszcz i pociski uderzyły w zwój grubej wełny. Coś ostrego przebiło się przez tkaninę między palcami. Felix opuścił wzrok.

Zobaczył gwiazdkę do rzucania posmarowaną jakąś paskudną czerwoną substancją – bez wątplenia trucizną.

Z masy kłębiącej się za oknem wyłoniło się kolejnych dwóch skavenów, którzy wskoczyli do pokoju. Rzucili się na niego z oślepiającą szybkością. Przypominali zniekształcone cienie szczurów o rozmiarach człowieka, których żółte kły błyskały w świetle latarni. Wiedział, że nie może sobie pozwolić na spojrzenie w stronę drzwi. W żaden sposób nie mógł do nich dotrzeć nie zarobiwszy ostrza w plecy.

Dlaczego ja, zapytywał siebie? Czemu stoję tu półnagi i sam, zmagając się z gromadą skaweńskich skrytobójców? Dlaczego takie rzeczy zdarzają się właśnie mnie? Nic podobnego nigdy nie wydarzało się w legendach o Sigmarze.

Zarzucił płaszcz na głowę nacierającego skavena. Wróg zaplątał się w skreconych fałdach wełny. Felix przebił go mieczem. Jego ostra niczym brzytwa broń przeszła przez ciało jak przez masło. Czarna krew splamiła podłogę. Felix zmagał się, próbując uwolnić ostrze. Drugi szczuroczłek wykorzystał jego nieuwagę i rzucił się naprzód ze wzniesionymi oboma ostrzami, tnąc nimi, jak rzeźnik tasakami. Felix szarpnął się do tyłu wyrывая miecz z obrzydliwym odgłosem zasysania. Wylądował na płask, na plecach, trzymając w garści broń. Uniósł sztych i nabił nań opadającego skavena. Impet upadku napastnika wyrwał broń z ręki Felixa.

Szlag by to trafił, pomyślał wstając na nogi. Jestem bezbronny. Widział

głownię miecza, która nadal wystawała z pleców skavena. Nie miał ochoty dotykać wstrętnej bestii, ale nie miał wyboru, jeśli chciał odzyskać miecz.

Jego płaszcz zaczął już opadać na ziemię, gdy skaven zaczął gnić z zastraszającą gwałtownością.

Za późno! Przez okno wskakiwało coraz więcej skavenów. Nie było czasu na rozczulanie się nad sobą. Podniósł miecz skavena i natarł. Furia ataku zaskoczyła napastników. Rozrąbał czaszkę jednego z nich, zanim napastnik zdążył zareagować i powracającym cięciem wypatroszył

następnego. Stwór upadł starając się jedną łapą powstrzymać lepkie wnętrzności a nawet wtedy usiłował uderzyć Felixa drugą.

Felix uderzył ponownie i odrąbał kończynę przeciwnika. Ciął wokół ze ślełą furją, po każdym ciosie czując straszliwy wstrząs uderzenia, który szarpał jego ramieniem. Powoli jednak do izby wciskało się coraz więcej skavenów, którzy nieubłagane spychali do ściany, broniącego się najlepiej jak umiał Felixa.

Heinz spojrział zaskoczony na Gotreka, który wkroczył do sali jadalnej.

W jednej dłoni niósł usmarowany krwią topór. W drugiej, wielkiej garści trzymał martwego skavena za skórę na karku. Stwór rozkładał się z przeraźliwą szybkością, jakby w ciągu kilku chwil przechodząc proces gnilny kilku tygodni. Gotrek spojrział zdrowym okiem na zaskoczonych wykidajłów i upuścił ciało. Zwłoki zabulgotały i utworzyły kałużę u jego stóp.

– Cholerne skaveny – mruknął. – Pod chałupą czyhała cała ich zgraja.

Są zbyt głupie, by wiedzieć, że krasnoludy mają czułe uszy.

Heinz przysunął się, by stanąć obok Zabójcy Trolli. Przyjrzał się kałuży zgnilizny z osobliwym połączeniem fascynacji i obrzydzenia, jakie zagrały na jego obliczu.

– To z pewnością skaven.

Gotrek spojrział na niego ze zdziwieniem.

– Oczywiście, że to cholerny skaven! Zabiłem ich dość w swoim czasie, by teraz wiedzieć, jak wyglądają.

Heinz przepaszająco wzruszył ramionami. Potem obrócił się na pięcie, gdy nad schodami rozległ się krzyk. Heinz spojrział zaskoczony na pozostającą w negliżu postać Elissy, która pojawiła się na szczycie schodów. Dziewczyna była blada z przerażenia.

– Felix! – krzyknęła.

– Co zrobił Felix, dziewczyno?! – zapytał uspokajającym tonem.

Rzuciła się do niego. Objął drżącą muskularnymi ramionami.

– Nie. One próbują go zabić. Potwory chcą zabić Felixa. Są w jego pokoju!

– Czy ta dziewczyna najadła się błędnego korzenia? – cicho spytał

wykidajło.

Heinz rzucił okiem na Gotreka i resztę wykidajłów. Powróciły wszystkie jego wcześniejsze przeczucia. Przypomniawszy sobie szuranie w piwnicy. Zauważył, że krasnolud myśli o tym samym.

– Co tu robimy, stojąc jak słupy? – ryknął Heinz. – Za mną, chłopaki!

Teraz było lepiej. Poczł się jak za dawnych dni.

Felix wiedział, że jest zgubiony. W żaden sposób nie był w stanie pokonać tych wszystkich skavenów. Było ich zbyt wielu i były zbyt szybkie. Gdyby miał na sobie swoją kolczugę, być może miałby pewną szansę przetrwania ataku tych kłujących ostrzy. Ale tak nie było.

Jego wrogowie wyczuli bliskie zwycięstwo i ruszyli naprzód. Felix tańczył wśród wiru dżgających mieczy. Jakoś udawało mu się wytrwać z kilkoma tylko nacięciami i zadrapaniami. Znalazł się z boku swojego łóżka. Niewiele myśląc kopnął przewracając latarnię. Oliwa wylała się na słomę i zapaliła ją. Natychmiast ściana ognia oddzieliła go od szcziroludzi. Sięgnął ręką i złapał najbliższego z nich, po czym pchnął go w płomień. Skaven wrzasnął w agonii, gdy futro zajęło się ogniem.

Zaczął toczyć się po podłodze, wyjąc i piszcząc. Jego kamraci uskakiwali do tyłu, aby uniknąć płonącego ciała.

Felix wiedział, że zyskał krótką chwilę na oddech. Wiedział już, że ma tylko jedną szansę. Zrobił to, czego skaveni spodziewali się najmniej i rzucił się prosto przez płomień. Żar oparzył mu skórę. Poczł smród płonących włosów. Dostrzegł wyrwę w szeregu skavenów stojących obok drzwi i przebił się przez nich niemal uderzając w ścianę korytarza. Z

łomoczącym sercem, palącym oddechem w płucach i krwią ciekącą z tuzina skaleczeń, popędził po schodach, jakby na pięty następowały mu wszystkie ogary Chaosu.

Zza drzwi następnego pokoju wysunęła się głowa. Rozpoznał łysą czaszkę i krzaczaste bokobrody barona Josefa Manna, jednego z najbardziej oddanych klientów gospody Pod Ślepą Świnia.

– Co tu się dzieje, do diabła?! – zakrzyknął stary szlachcic. –

Hałasujesz, jakbyś uprawiał nierząd ze zwierzętami.

– Coś w tym stylu – odpowiedział Felix mijając go w pędzie. Stary człowiek zobaczył, co biegło za nim. Jego oczy rozszerzyły się. Złapał się za pierś i upadł.

Chang Squik rozejrzał się przy wejściu i sfrustrowany przygryzł koniec swojego ogona. Wszystko poszło nie tak. Zaczęło się dziać źle od momentu, gdy ten głupiec Noi przebił się przez okno. Opanowana entuzjazmem udziału w zabijaniu, reszta oddziału próbowała jednocześnie wdrzeć się za nim, łakoma swojej części zwycięskiej chwały.

Oczywiście, ich liny zaplątały się, a zamachowcy stłoczyli się ostatecznie na parapecie okiennym, gdy każdy szaleńczo próbował wtargnąć do pokoju. Kilku idiotów spadło, zabijając się po upadku na

twardą powierzchnię ulicy poniżej. Ci głupcy zasłużyli na to.

Squik zastanawiał się, czy przeznaczeniem wielkich dowódców skavenów miało być zawsze dowodzenie niekompetentnymi podwładnymi? Nawet najbardziej błyskotliwy plan nie miał szans na sukces, gdy wykonywali go bezmózdy krety. Wyglądało na to, że cały oddział składał się właśnie z nich. Nie potrafili zabić nawet nędznego człowieka i to z wykorzystaniem przewagi zaskoczenia, liczebności i doskonałego skavenkiego uzbrojenia. Chciał pluć z frustracji. W duchu domyślał się zdrady. Być może rywale z klanu podesłali mu gromadę źle wytrenowanych słabeuszy, aby go zdyskredytować? To wydawało się najbardziej sensowne wyjaśnienie.

Przez chwilę Chang rozważał swój udział w walce, ale tylko przez chwilę. Dla jego nadzwyczajnego intelektu było oczywiste, co miało stać się za chwilę. Cała speluna poderwie się na nogi, a jego podwładni napotkają wkrótce zwartą i najprawdopodobniej zabójczą obronę.

Niech sobie z tym radzą, pomyślał Chang. Zasługują na wszystko, co im przeznaczone.

Wślizgnął się do pokoju, wrzucił kilka ubrań człowieka do ognia, aby zasilić płomień, a następnie wyskoczył przez okno. Z łatwością uchwycił się jedną łapą zwisającej liny i wspiął się po ścianie budynku i oddalił się w bezpieczne miejsce.

Rozmyślał już, jak w najlepszy sposób donieść o swoim niewielkim niepowodzeniu Szaremu Prorokowi Thanquolowi.

Heinz kaszlnął, gdy ktoś wpadł na niego z rozpędem. Niemal przewrócił się pod wpływem uderzenia.

– Przepraszam – odezwał się grzeczny głos, w którym Heinz rozpoznał

Felixa. – Miałem tam pewne kłopoty.

Obok ucha Heinza świsnęły rzucone gwiazdki. Jego nozdrza wypełnił

zapach spalenizny. Spojrzał w głąb korytarza zatłoczonego przez pędzących szczuroludzi. Ogarnęła go zimna furia. Te przekłete skaveny próbowały spalić gospodę Pod Ślepą Świnia i ograbić go z dobytku całego życia! Wyciągnął pałkę i ruszył naprzód. To nie było potrzebne. Gotrek odepchnął go na bok i natarł prosto w tłum. Pozostałe wykidajły szły ostrożnie za nim. Z drugiego końca korytarza wyłonił się tłum szlachciców wraz z ochroniarzami i uderzyli na skavenów od tyłu. Rozpoczęła się straszliwa rzeź. Wkrótce było po wszystkim.

Felix usiadł przed ogniem opatulony w koc i drżący na całym ciele.

Spojrzał na siedzącą obok Elisę. Dziewczyna uśmiechnęła się do niego blado. Wokół nich wykidajły pędziły na górę z wiadrami wody upewniając się, że ogień nie wyrwie się poza pokój Felixa.

– Uważam, że byłeś bardzo dzielny – powiedziała Elissa. W jej spojrzeniu widać było absolutny podziw. – Jak bohater jakiegoś dramatu Detlefa Siercka.

Felix wzruszył ramionami. Był zmęczony. Bolały go tuziny zranień i stłuczeń. Wiedział także z pewnością, że skaveni chcieli go zabić. Nie czuł

się zbyt bohatersko. Pomyślał jednak, że mogło być gorzej. Wyciągnął

rękę i objął ramiona Elissy, po czym przysunął ją do siebie. Przytuliła się do niego mocno.

– Dziękuję – powiedział i przez chwilę uśmiech dziewczyny sprawił, że wszystko, co przeżył, nabrało jakiegoś sensu.

NOCNY NAJAZD

„To przerażające, być poszukiwanym przez wrogów nieznanych, niewidocznych i niemożliwych do wyśledzenia, którzy mogą uderzyć nie obawiając się zemsty lub kary. W każdym razie, to było przerażające dla mnie. Jeśli mój towarzysz podzielał te obawy, nigdy w żaden sposób tego nie okazał. Zdawał się raczej cieszyć z sytuacji – co, jak przypuszczam, mogło być dość naturalne, jeśli weźmie się pod uwagę, że celem, jaki sobie poprzysiągł, było poszukiwanie gwałtownej śmierci. Jednak ja byłem zaniepokojony. Atak na oberżę wstrząsnął mną, a świadomość, że gdzieś w mrokach nocy czyha nieubłagany przeciwnik, nie działała uspokajająco na moje napięte nerwy. Okazało się jednak, że mamy także sprzymierzeńców, którzy zdecydowali się pomóc nam z własnych, nieodgadnionych powodów.”

– Fragment z *Moich Podróży Z Gotrekiem*,

Tom III, spisanych przez Herr Felixa Jaegera

(Wydawnictwo Altdorf, rok 2505)

– Co tutaj robisz, młody Felixie?

Cień padł na Felixa Jaegera. Zaskoczony Felix sięgnął do rękojeści miecza. Gdy podnosił się z wypchanego skórzanego fotela, z kolan spadła mu książka lądując niemal prosto w ogień. To był tylko stary Heinz, właściciel tawerny Pod Ślepą Świnia, który stał nad nim polerując kufel trzymany w wielkiej mięsistej garści. Felix wydał długie westchnienie, zdając sobie nagle sprawę z tego, jak bardzo był niespokojny. Zapadł z powrotem w fotel, zmuszając dłoń do rozluźnienia kurczowego chwytu na rękojeści miecza.

– Jesteś dziś nieco spięty – powiedział miękko Heinz.

– Odrobinę – zgodził się Felix. Szybkie spojrzenie upewniło go, że stary najemnik nie zamierzał pogonić go do pracy. Na razie nie potrzebował go jako wykidajły. Był wczesny wieczór i wokół siedziało niewielu gości. Normalnie, gospoda nie trzęsła się w posadach, aż do nadejścia późnego wieczora. Felix po raz pierwszy zauważył, że Świnia była znacznie cichsza niż zazwyczaj. Klientela zdecydowanie zmniejszyła się od ataku skavenów w poprzednim tygodniu. To wydarzenie nie poprawiło już i tak podłej reputacji gospody.

Felix podniósł książkę, tani przedruk manuskryptu jednej z bardziej melodramatycznych sztuk Detlefa Siercka. Lektura dobrze służyła odwracając jego myśli od faktu, że skaveni najwyraźniej zawzięli się, by dostać go w swoje łapy.

– To będzie spokojna noc, Felixie – powiedział Heinz.

– Tak myślisz?

– Ja to wiem – Heinz uniósł kufel pod światło upewniając się, że na naczyniu nie pozostał żaden pyłek kurzu. Odstawił go na półkę nad kominkiem. Felix zauważył odbite światło błyszczące na łysej

głowie najemnika. Westchnął i położył książkę na oparciu fotela. Heinz był

osobnikiem towarzyskim i po prostu lubił pogadać. Poza tym, Heinz również mógł być podenerwowany. Oberżysta miał ku temu wszelkie powody. Niemal stracił cały dobytek życia przez dzikie potwory służące Chaosowi. Minęło dopiero kilka dni, odkąd naprawiono wszystkie zniszczenia dokonane przez szczuroludzi.

– Interes kiepsko idzie od ataku skavenów – rzekł Felix.

– Interes wróci do normy. To samo zdarzyło się po tym morderstwie kilka miesięcy temu. Szlachetni panowie przez pewien czas będą trzymać się z daleka, ale potem wrócą. Lubią dreszczyk emocji, gdy piją. Właśnie po to tu przychodzą. Ale jeśli się nie mylę, dzisiaj wieczorem nie zobaczymy nikogo.

– A to dlaczego?

– Święto Wereny. Tu w Nuln to szczególna noc. Większość ludu zostanie w domu, modląc się i uczując oraz czyszcząc wszystko do połysku. Werena jest patronką tego miasta, podobnie jak ludzi pogrążonych w książkach – takich jak ty – a to jest jej specjalna noc.

– Musi być ktoś, kto będzie chciał się napić.

– Dzisiaj będą bawić się tylko członkowie Gildii Mechaników i ich czeladnicy. Werena jest także ich patronką. Dziś wieczorem, elektorka hrabina wydaje dla nich wielką ucztę w pałacu. Tylko dla najlepszych z cechu.

– Dlaczego hrabina zmusza się do wydawania przyjęcia dla pospólstwa? – zaciekał się Felix. Hrabina Emmanuelle nie słynęła ze swojej hojności. – Zwykle tak bardzo za nami nie przepada.

Heinz zaśmiał się.

– Aye, ale tamci to szczególne pospólstwo. Prowadzą nową Szkołę Inżynierów. Budują czołgi parowe i działa organowe oraz specjalne uzbrojenie różnego rodzaju dla jej oddziałów, tak samo, jak robi to dla Imperatora jego Szkoła Imperialna. Może sobie pozwolić na wydanie dla nich przyjemnego obiadku raz w roku, jeśli to ma ich uszczęśliwić.

– Założę się, że stać ją na to.

– Pomyślałem sobie, że może chciałbyś wziąć wolny wieczór i pobyć z Elissą? Ona ma dzisiaj wolne. Zauważyłem, że ostatnio często się widzicie.

Felix uniósł wzrok.

– Nie pochwalasz tego?

– Zawsze powiadam, że nie ma nic złego w tym, jeśli mężczyzna i kobieta chcą być razem. Po prostu to zauważyłem.

– Wróciła na jeden dzień do swojej wioski. Jeden z jej krewnych jest chory. Jutro powinna być z powrotem.

– Przykro mi to słyszeć. Sporo ostatnio zachorowań. Ludzie zaczynają mówić o zarazie. No cóż, wracaj zatem do swojej książki.

Felix ponownie otworzył książkę, ale nie przewrócił strony. Był

zaskoczony spokojem, jaki Heinz zachowywał po kilku zaledwie dniach od ataku. Felix skakał ze strachu na widok własnego cienia, a karczmarz z ukontentowaniem polerował kufle. Może wszystkie lata służby jako najemnik sprawiły, że stary wojownik miał nerwy ze stali. Felix żałował, że jego to nie dotyczyło. W tamtej chwili nie mógł powstrzymać się od rozmyślań, do czego zmierzą skaveni. Był pewien, że to nie będzie nic dobrego.

Szary Prorok Thanquol oparł się o masywny korpus Wrzeszczącego Dzwonu. Rozglądał się niechętnym wzrokiem po wielkiej izbie i patrzył

na rojące się morze szurzących pysków. Wszędzie wokół siebie Thanquol dostrzegał wzburzoną krzątanicę, czuł zapach tłoczących się mas skaveńskich oddziałów, które zbierały się w sąsiednich tunelach. Byli tam wojownicy Klanu Skab wspierani przez kontyngenty wszystkich wielkich i potężnych frakcji domeny skavenów. Dobrze było przebywać daleko od ścieków, z powrotem w Podziemnych Drogach, tajemnej sieci dróg łączących wszystkie miasta Podziemnego Imperium. To było dobre – ale w tamtej chwili nie mógł czerpać z tego przyjemności. Był zbyt wściekły.

Stłumił to uczucie przypominając sobie, że gdzieś, wysoko nad nim, ludzie prowadzili swoje interesy, orali pola i wycinali lasy nieświadomi, że dni ich dominacji dobiegały końca. Wkrótce ich miasto, a potem Imperium upadną pod żelazną łapą skaveńskiego geniuszu militarnego. Nawet te myśli nie rozweseliły go, ani nie pomogły zapomnieć, o ogarniającym go gniewie.

Przesunął pazurem po powierzchni dzwonu, dobywając cichą dźwięczącą nutę. Nadal starał się opanować swoją wściekłość. Dzwon zakołysał się lekko pod dotykiem Szarego Proroka, a wóz, na którym spoczywał starożytny artefakt, jęknął pod wpływem poruszenia. Kipiąca energia magiczna we wnętrzu dzwonu odrobinę uspokoiła Thanquola.

Powtarzał sobie, że wkrótce uwolni te potężne siły przeciw swoim wrogom. Miał nadzieję, że stanie się to już niebawem, ale obecnie ogarniał

go straszliwy, pożerający szal i musiał się na kimś wyładować.

Chang Squik czołgał się przed nim w pyle oczekując, aż Szary Prorok zdecyduje o jego losie. Odnalezienie go zajęło Thanquolowi niemal cały tydzień. Niedoszły skrytobójca płaszczył się w cieniu wielkiego dzwonu.

Jego ogon leżał płasko na ziemi. Wąsy zwisały z wyrazem przygnębienia.

Przywódca rysztołkowców nadal mrucał żalosne wymówki: jak to został

zdradzony, jak jego cele zostały ostrzeżone przed niepowstrzymanym atakiem, jak użyto przeciw niemu nikczemnej magii, która zabiła jego wojowników – a przede wszystkim, że to nie była jego wina. Obok skrytobójcy stali porucznicy Thanquola, zasłaniając swoje pyski łapami, aby ukryć rozbawienie.

Tysiące twarzy spoglądało na Thanquola, pragnąc dowiedzieć się, jaki będzie następny krok. Nieczęsto mogli oglądać, jak jeden z potężnych wodzów poniża innego. Spojrzenie Thanquola spoczęło na każdym z wodzów. Kręcili się niespokojnie pod jego wzrokiem. Przestali chichotać.

Żaden nie chciał skupić na sobie wściekłości wodza – niestety, jeden z nich musiał stać się jej ofiarą.

Szary Prorok patrzył na reprezentantów Klanu Moulder, Klanu Eshin, Klanu Skryre i Klanu Pestilens. Wszyscy oczekiwali na rozkazy, przynajmniej dopóki nie przybędzie jego zmiennik, wódz Vermek Skab. A to nie miało nigdy nastąpić. Thanquol przygotował małą niespodziankę dla wodza. Skab nie dotrze żywy na miejsce. Ta myśl sprawiła, że jego ogon zeszywniał. A do tego czasu?

Pomimo całej swojej władzy, nie zdołał zabić tego krasnoluda.

Wściekłość i strach gryzły go na dnie żołądka. Gotrek Gurnisson i jego nic nie warty ludzki towarzysz nadal żyli. Tego nie dało się pojąć! Jak to było możliwe?

Wielki Thanquol zastanawiał się, czy nie pozostawał pod wpływem jakiejś klątwy. Wzdrygnął się na samą myśl o tym. Z pewnością Rogaty Szczur nie odsunął swojej łaski od jednego ze swoich wybrańców? Nie, uspokajał się stanowczo, to nie mógł być prawdziwy powód, dla którego krasnolud jeszcze żył. Prawdziwym powodem byli jego nic nie warci podwładni.

Thanquol obnażył kły i pozwolił, by dostrzeżono jego wzburzenie.

Przeklinał rynsztokowców, którzy go zawiedli. Przez swoją oczywistą niekompetencję pozwolili uciec krasnoludowi i człowieczynie. Thanquol miał ogromną ochotę powiesić Changa Squika za ogon i żywcem obedrzeć ze skóry. Tylko strach przed prawdopodobnym odwetem Klanu Eshin powstrzymywał go przed wydaniem ochroniarzom rozkazu zabicia rynsztokowca.

Plotka głosiła, że Squik był pupilem samego Mistrza Śmierci, Sniktcha.

W takim przypadku nie mogło być mowy o zastosowaniu bezpośredniej kary. Ale Thanquol wiedział, że szczone można było obedrzeć ze skóry nie tylko w jeden sposób. Któregoś dnia sprawi, że Chang Squik zapłaci za swoją potworną pomyłkę. W tej chwili problemem Thanquola było znalezienie sposobu na bezpieczne rozładowanie opanowującej go zabójczej wściekłości, tak, by nie stworzyć sobie potężnych wrogów.

Sfrustrowany uderzył ogonem.

Thanquol spojrział na Izaka Grottle'a. Potwornie otyły skaven rozwaliał

się w lektyce niesionej przez szczuro-ogry. Poganiacz Klanu Moulder przybył tego ranka, chcąc wziąć udział w triumfie, który z pewnością nastąpi po wielkiej ofensywie. On i jego świta przybyli

przez Podziemne Drogi ze skaveńskiej tajnej bazy pod Nocną Skałą w Szarych Górach.

Grottle usiłował wytrzymać palące spojrzenie Thanquola, ale nie potrafił. Odwrócił wzrok i musnął łapą największego z otaczających go szczuro-ogrów, stworzenie tak potężne, że nieodżałowany Kościorwój wyglądałby przy nim jak mały szczeniak. Stwór mruknął z zadowoleniem, gdy Grottle poczęstował go smakowitymi ludzkimi palcami. Za Grottlem stali wyczekująco inni poganiacze wraz ze swoimi bestiami. Thanquol postanowił oszczędzić Grottle'a. Nie miał wątpliwości, że zdołałby pokonać grubasa. Nie był jednak pewien, czy przetrwałby atak rozwścieczonych bestii, gdyby te wyrwały się spod kontroli. Tak, czy inaczej, nie mógł obwiniać dopiero co przybyłego poganiacza za niepowodzenie ataku sprzed tygodnia.

Skupił uwagę na gnijącej postaci Vilebrotha Nulla, mniejszego opata mnichów zarazy Klanu Pestilens, który stał samotnie w sporej odległości od innych skavenów. Spod kaptura opata spoglądały nieustraszone, zielone ślepia wypełnione ropą. Thanquol natychmiast porzucił pomysł, by wyładować swój szal na zarażonym. Jak wszyscy skaveni, wiedział, że mnisi zarazy byli całkiem szaleni. Nie warto było robić sobie z nich wrogów. Thanquol powoli odwrócił wzrok. Mnich zarazy triumfalnie wydmuchał nos w rękaw swojej przegniłej szaty. Wielki bąbel wstrętnych zielonych smarków na nadgarstku wydał się, a następnie pękł.

Dalej w szeregu stał okryty pancerzem Heskít Jednooki, główny inżynier spaczenia z Klanu Skryre. Jednooki był niski jak na standardy skavenów, a pomniejszała go jeszcze świta uzbrojonych w rusznice ochroniarzy. Thanquol nadal był wściekły na niego za dopuszczenie do eksplozji Dalekopisku. Podejrzewał próbę zamachu, chociaż, prawdę mówiąc, wydawało mu się mało prawdopodobne, by stał za tym Klan Skryre. Świadome zniszczenie jednego z cennych urządzeń, w celu zabicia przeciwnika, nie było w ich stylu. Thanquol zdecydował, że oszczędzi Heskita. W najmniejszym stopniu na tę decyzję nie wpłynął fakt, że trzymane przez ochroniarzy inżyniera strzelby o długich lufach mogły z tej odległości odstrzelić skrzydełka musze. Nie, to nie miało znaczenia, w najmniejszym stopniu.

Wiedział, że nie może ukarać żadnego z nich. Byli zbyt potężni. Te klany były zbyt wpływowe, a on potrzebował ich do uformowania głównych sił uderzeniowych do ataku na człowiecze miasto. Nadal jednak musiał kogoś zabić, aby potwierdzić swoją władzę, a także dla własnej przyjemności. Nie byłoby dobrze puścić ich wszystkich wolno. To nie byłoby po skaveńsku. Należało dać przykład.

Przesuwał swój wzrok po wodzach Klanu Skab, od jednego do drugiego. Obecni byli wszyscy, za wyjątkiem samego wodza Vermeka Skaba. Wszyscy nosili czerwono-czarne mundury swojego klanu. Każdy z nich miał także bliznę biegnącą od lewego ucha do lewego policzka, co było oznaką ich klanu. Każdy z nich był tak dumny, jak dumny mógł być tylko skaven – niepokonany wódz zastępu zabójczych wojowników – a jednak wszyscy szybko odwracali wzrok unikając spojrzenia Szarego Proroka. Wiedzieli, jak łatwo go rozwścieczyć. Nawet Tzerkual, gigantyczny wódz sztormverminów, nie chciał stać się ofiarą jego gniewu.

Spoglądał badawczo na swoje stopy niczym szczeniak oczekujący na karę wymierzoną przez starszyznę.

Dobrze, pomyślał Thanquol. Byli zastraszeni. Zażył szczyptę spaczenia i patrzył jak trzęsą się ze

strachu. Oślepiające, szalone wizje potworności i rzezi przemknęły przez jego mózg. Sapnął z pewnością siebie, przekonany, że w tej chwili mógł zmierzyć się z dowolnym z członków Rady Trzynastu i pokonać go. Jak zawsze, pewność siebie wzniecona przez narkotyk ustąpiła po chwili trwającej uderzenie serca i pozostawiła poświatę czystej, wzbudzonej przez Chaos mocy, która płynęła w jego żyłach. Szybko wybrał ofiarę, zanim żar podniecenia przeminął. Wystawił

wskazując pazur w kierunku Lurka Snichtongue'a, najsłabszego z wodzów, nieprzypadkowo wybierając wojownika, który posiadał najmniej sprzymierzeńców zarówno tutaj, jak w Skavenblight.

– Coś cię rozbawiło, Snichtongue? – Thanquol zapytał swoim najbardziej zastraszającym, wysokim piskiem. – Może uważasz, że warto pośmiać się z czegoś?

Snichtongue nerwowo obliznął pysk. Potrząsnął łbem w służalczym geście i uniósł swoje puste łapy.

– Nie! Nie, o wielki!

– Nie kłam. Jeśli znajdujesz coś wesołego w nikczemnej klęsce potężnych rysztokowców, podziel się tym z nami. Twoje wnioski mogą okazać się wielce przydatne. Dalej! Mów! Mów!

Skaveni po obu stronach Lurka cofnęli się, ostrożnie zostawiając jak najwięcej miejsca między sobą a ich skazanym na zagładę kolegą. W kilka chwil Lurk znalazł się sam na otwartej przestrzeni o szerokości dwudziestu stóp. Spojrzał przez ramię szukając jakiejś drogi ucieczki, ale jej nie znalazł. Nawet osobisty ochroniarz nie stał już koło niego, gdy Szary Prorok spoglądał gniewnie na swoją ofiarę. Lurk wzruszył ramionami, uderzył swoim i położył dłoń na rękojeści miecza. Najwyraźniej zamierzał

wyjsc z tego z podniesioną głową.

– Jeśli rysztokowcy zawiedli, to stało się tak dlatego, że byli zbyt delikatni – rzekł Lurk – Powinni przypuścić bezpośredni szturm, uderzyć całą masą, ze wzniesioną bronią. To byłoby po skaveńsku. To styl walki Klanu Skab.

Chang Squik wbił wzrok w skaveńskiego wojownika. Gdyby spojrzenie mogło zabijać, Lurk opuściłby komnatę w wiadrze. Thanquol poczuł się nagle zaintrygowany sytuacją. Pojawiła się okazja ukręcenia ogona skrytobójcy bez narażania się na odwet. Szary Prorok zdecydował się pozwolić Lurkowi na jeszcze kilka chwil życia.

– Powiadasz, że zdołałbyś poradzić sobie z sytuacją lepiej niż twoi bracia z Klanu Eshin? Powiadasz, że powiodłoby ci się tam, gdzie zawiedli wyćwiczeni rysztokowcy potężnego Klanu Eshin?

Lurk zatrzasnął szczęki. Stał przez chwilę rozważając wnioski płynące z ostatniego stwierdzenia. Dostrzegając pułapkę, jaką zastawił na niego Szary Prorok. Jeśli otwarcie skrytykuje Squika, stworzy sobie wroga w postaci potężnego rysztokowca i bez wątpienia podczas snu znajdzie nóż we własnym brzuchu. Z drugiej strony, w sposób oczywisty zdawał sobie sprawę, że został wybrany na ofiarę gniewu Szarego Proroka, bez względu na wszystko. Wiedział, że był to wybór między

natychmiastową i nieodwołalną zagładą a prawdopodobną śmiercią w przyszłości.

Rozwiązał ten dylemat jak prawdziwy skaveński wojownik.

– To możliwe – odpowiedział.

Thanquol zachichotał. Szczypta spaczenia powodowała, że nadal był

oszołomiony. Reszta obecnych skavenów powtórzyła rozbawienie swojego wodza głośnymi rykami fałszywego śmiechu.

– Wobec tego, może zabierzesz swoich wojowników do człowieczego miasta powyżej i dowiedziesz swojego męstwa, tak!

– Będzie jak rzekłeś, o wielki – odpowiedział dowódca. W jego głosie brzmiała ulga. Zyskał niewielką szansę na przeżycie. – Możesz uznać swoich wrogów za martwych.

Thanquol wątpił w to, ale nie powiedział tego głośno. Potem przeklął

swoją wyrozumiałość. Pozwolił Snichtongue’owi wykręcić się spod jego łapy i nie rozszarpał go dla przykładu na tysiąc kawałków.

Nagle do sali wpadł goniec, ciężko dysząc. W tradycyjnej, rozłupanej kości udowej człowieka, którą przyniósł, schowana była wiadomość.

Widząc Thanquola natychmiast skłonił się przed Szarym Prorokiem i wyciągnął kość przed siebie.

Thanquol czuł pokusę, by zabić posłańca za jego bezczelność. Istniała stara dobra skaveńska tradycja, która pozwalała zabijać kurierów, jeśli przynieśli złe wieści, ale w tej chwili Thanquol nawet nie wiedział, czy wieści są rzeczywiście złe. Zwyciężyła ciekawość i wódz wydobył

pergamin z kości. Zauważył, że rogi listu były odwinięte, a później najwyraźniej zostały dokładnie wygładzone.

A zatem, żadnych niespodzianek. Bez wątpienia każdy szpieg, jaki znalazł się między tym miejscem a Skavenblight, przekupił posłańca, by ten pozwolił mu rzucić okiem na przekazywaną wiadomość. To także było po skaveńsku. Thanquol nie dbał o to. Stworzył swój własny system kodów, sprytnie ukryty w pozornie nieszkodliwych wiadomościach, co zapewniało mu zachowanie tajemnicy swojej korespondencji.

Spojrzał na toporne runy nagryzłone silną skaveńską łapą.

Wiadomość brzmiała po prostu: „Przesyłka została dostarczona”. Uczucie triumfu przeppełniło Thanquola i rozproszyło jego wcześniejszą złość.

Walczył, by zachować kontrolę nad radosnym uniesieniem i nie pozwolił, by na jego obliczu pojawił się wyraz zadowolenia. Spojrzał na gońca i uśmiechnął się szyderczo, wiedząc, że przede wszystkim

musi zachować twarz i konieczne było danie przykładu.

– Ta wiadomość została otwarta, zdrajco-zdrajco! – warknął i uniósł

łapę. Wokół zaciśniętej pięści Thanquola pojawiła się nagle sfera zielonkawego światła. Goniec cofnął się ze strachem i próbował błagać o łaskę, ale już było za późno. Macki ohydnej magicznej energii zeskoczyły z łapy Thanquola i otoczyły ciało nieszczęsnego skavena. Promienie rozdzieliły się i opłynęły kuriera niczym węgorki unoszące się w powietrzu, wijąc się w przerażających splotach. Po kilku chwilach wiązki energii zapadły się do środka, przebiły skavena, rozdarły jego ciało i pojawiły się po drugiej stronie.

Magiczne szpony wbijały się wciąż na nowo w ofiarę, odrywając tkanki, mięśnie i ścięgna. Kurier co chwila wydawał z siebie piskliwe jęki agonii. Zapach piżma mieszał się ze smrodem krwi i ozonowym odorem zaklęcia. Po kilku sekundach przed Thanquolem stał tylko nagi szkielet.

Minęło uderzenie serca i rozpadł się w stertę kości. Wstęgi magicznej energii złączyły się, jakby pożerając się nawzajem, aż nic z nich nie pozostało. Cały zebrany tłum skavenów wydał z siebie głośne westchnienie zdumienia i niedowierzania widząc tak zdumiewającą demonstrację mocy Szarego Proroka.

Thanquol podniósł łapę i gestem nakazał ciszę. Po chwili wszystko się uspokoiło, za wyjątkiem kilku odkaszlnięć w tylnych rzędach.

– Rozpaczajcie, skaveni! Tragiczne wieści! – oznajmił Thanquol i ustało nawet kasłanie. – Potężny wódz Vermek Skab nie żyje, zabity w straszliwym wypadku z załadowaną kuszą i wybuchającym osłem.

Uczymy go tradycyjnymi dziesięcioma uderzeniami serca ciszy, aby wskazać jego duszy drogę do Rogatego Szczura.

Natychmiast wszyscy skaveni zaczęli rozmawiać między sobą.

Szemranie konwersacji ustało, gdy Thanquol ponownie podniósł swoją łapę, a wokół pazurów pojawiło się ostrzegawcze lśnienie. Wszyscy zrozumieli groźbę tego gestu i uciszyli się. Żaden z nich nie chciał stać się kolejną ofiarą pożartą przez straszliwe, wijące się wstęgi energii.

– A teraz przygotowujemy się do następnego etapu wielkiego planu –

powiedział Thanquol. – W związku ze smutną nieobecnością Lorda Skaba, muszę ponownie przejąć kontrolę nad armią na czas podboju.

– Z wielkim szacunkiem, Szary Proroku Thanquolu, tak nie może być.

Moim obowiązkiem, jako starszego skavena, jest przejąć dowództwo – w komorze rozległ się grzmiący głos Izaka Grottle'a. – Klan Moulder zapewnił wiele spaczotokenów, aby sfinansować tę ekspedycję i muszę dopilnować, by zostały mądrze wydane.

– Cóż to za nonsens? – oburzył się Vilebroth Null. Słowa zabulgotały flegmą w zniszczonym gardle. – Jeśli ktoś ma tu przejąć dowództwo, to jestem nim ja. Honor obalenia człowieczego miasta należyć będzie do Klanu Pestilens. Mamy wielkie plany! Wielkie plany! To nasza tajna broń zniszczy miasto ludzi!

– Nie! Nie! Nie zgadzam się – pisnął wysokim głosem Heskita Jednooki.

– Machiny oblężnicze Skryre umożliwią zwycięstwo, a zatem, przywództwo powinno należyć do Skryre. Naturalnie, jako wysoki przedstawiciel Klanu Skryre, teraz ja przejmę obowiązki najwyższego dowódcy.

– To nikczemna uzurpacja przywilejów Klanu Moulder! – wrzasnął

Izak Grottle. Szczuro-ogry słysząc gniew w jego głosie, zawyły z ledwo powstrzymaną furią. Odgłos ich wściekłości odbił się echem od ścian jaskini. – Buntownicze zachowanie nie może być tolerowane! Nie! Dla dobra naszego wojska, ostrzegam cię, jeśli usłyszę jeszcze jedno słowo o takiej zdradzie, moi wojownicy natychmiast wykonają na tobie egzekucję.

Otoczający Heskita żołnierze z rusznicami szybko unieśli broń i wycelowali ją w Izaka Grottle'a.

– Twoi wojownicy? Twoi wojownicy? Otóż dopiero gadanie szalonego skavena. Jakimże prawem nazywasz swoimi oddziałami wojowników, którzy pozostają pod moją komendą?

– Obaj wyczerpujecie moją cierpliwość – wymamrotał Vilebroth Null.

– Widok dwóch starszych pomocników, którzy kłócą się w równie szczeniacki sposób, demoralizuje moją armię. Natychmiast zaprzestańcie tak zdradzieckiego zachowania, albo zmierzycie się z okropnymi i niechybnie fatalnymi konsekwencjami.

Null złowieszczo zacisnął łapy i nagle w jego garściach pojawiły się grudki brudu. Nikt z obecnych nie miał wątpliwości, że to było niebezpieczne. Zarazy Klanu Pestilens słynęły ze swojej jadowitości.

Szary Prorok Thanquol spojrział w dół z połączeniem wściekłości i ledwo skrywanej złośliwości. Niemal chciał dopuścić do tego, by różni przywódcy rzucili się sobie do gardeł, by wybuchła przemoc i ci nicponie zarżnęli jeden drugiego. Niestety, o ile okoliczności się nie zmienią, musiał zakładać, że do obalenia człowieczego miasta potrzebna była pomoc ich wszystkich. A zatem nadszedł czas, by zatrzymać ten nonsens.

– Bracia skaveni – rzekł swoim najbardziej dyplomatycznym głosem. –

Rozważcie to. Do czasu przybycia Vermeka Skaba, Rada Trzynastu umieściła mnie na stanowisku dowódcy tej armii. Ponieważ Vermeka Skaba niestety nie ma już wśród nas, miejsce z tyłu nadal musi należyć do mnie, zgodnie z edyktem Rady. Oczywiście, jeśli ktoś z was życzy sobie sprzeciwić się decyzji Rady, natychmiast ją o tym powiadomię.

To ich uciszyło, tak jak spodziewał się tego Thanquol. Żaden skaven o zdrowym umyśle nie

pomyślałby nawet o sprzeciwieniu się bezpośredniemu edyktowi Rady. Przerazający władcy rasy skavenów mieli długie ręce, a ich kary były wymierzane szybko i bezwzględnie. Thanquol wiedział, że powołując się na autorytet rady zapewni sobie posłuszeństwo obecnych, do czasu, gdy uda się im skontaktować z władcami swoich klanów i reprezentantami w Radzie. Na szczęście, zanim to nastąpi, Thanquol powali na kolana człowiecze miasto.

– Oczywiście, masz rację, Szary Proroku Thanquolu – pisnął Heskit. –

Ja tylko, jako twój zastępca, uważam, że pozostali przekraczają granice swojej władzy.

– Nie wiem, w jakiż to sposób Heskit może uważać się za twój zastępca, Szary Proroku, podczas gdy mój szacunek dla ciebie nie ma granic, a moje oddanie twojej sprawie jest nieograniczone? – rzekł Izak Grottle.

Vilebroth Null zakasłał tylko enigmatycznie i powiedział:

– Boli mnie widok tych przeklętych idiotów, którzy podważają twój słuszny autorytet, Szary Proroku. Z pewnością potęga mego klanu oraz moje dowiedzione oddanie twojej osobie, muszą oznaczać, że ja jestem tutaj drugim dowódcą.

– Jeszcze nie zdecydowałem, kto będzie Pod-wodzem. Muszę oddalić się do mojego leża, aby obmyślić strategię – to powiedziawszy, zszedł z wozu unoszącego dzwon, a wzburzone morze skavenów rozstało się przed nim. Thanquol czuł satysfakcję z utrzymania władzy.

Tak być powinno, pomyślał Thanquol. Niechaj się wyklócają nad tym, kto zbierze ochłapy. Chwała będzie należeć do mnie.

Bowiem tylko to było prawdziwie słuszne.

Lurk Snichtongue przykucnął w swojej ulubionej kryjówce, małej jaskini znajdującej się ponad długą, wąską galerią, daleko od głównych Pod-dróg. Był zaniepokojony tak bardzo, jak mógł tylko być skaven o naturalnie nerwowym usposobieniu. Wiedział, że ma tylko kilka dni, aby ocalić swoją skórę zabijając krasnoluda i człowieka, którzy poniżyli Changa Squika, albo spotka go ten sam nieszczęsny los, jaki stał się udziałem kuriera ze Skavenblight.

Wzdrygnął się na wspomnienie demonstracji straszliwej mocy Szarego Proroka. Zaiste, magia spaczenia, którą władał Thanquol była przerażająca. Wiedział, że ukrywanie się w niczym mu nie pomoże. Szary Prorok znajdzie go bez względu na to, jak głęboko się zaszyje.

Trudno było jednak przewyciężyć stare instynkty. Już jako małe szczenię Lurk, gdy miał kłopoty, zawsze szukał ustronnych miejsc, skąd mógł szpiegować większych skavenów i planować swoją zemstę.

Gdzieś, w głębi umysłu, wściekłość biegła na swoich małych, pazurzastych łapkach. Wiedział, że Thanquol wziął się na niego, a instynktowna żądza zemsty sprawiała, że pragnął zanurzyć swoje kły w gardle Szarego Proroka. Świadomość, dlaczego stał się ofiarą Thanquola, w żaden sposób nie ułatwiała pogodzenia się z tym faktem. Pierwotny instynkt skavena podpowiadał mu powody decyzji

Thanquola. Od najwcześniejszych lat życia każdy młody szczuroczłek uczył się zmysłu wyczuwania, kogo nie było mądrze atakować, a na kim można bezkarnie się wyżyć. Ci, którzy nie stawali się ofiarami straszliwej śmierci, zwykle bywali zjadani przez swoich zabójców. W pewnym stopniu rozumiał, że Thanquol postawił już na nim kreskę, z istotnych przyczyn politycznych –

Lurk był najmłodszym z przywódców skaveńskich i jego pozycja była najgorzej zabezpieczona.

Lurk osiągnął obecny status młodego wodza w Klanie Skab będąc ulubieńcem Vermeka Skaba oraz informując go o tych, którzy knuli intrygi przeciw jego dalekiemu kuzynowi. Miał nosa do wynajdywania informacji, które mogły być użyteczne. Był to nader przydatny talent w społeczeństwie tak pełnym intryg, jak klan skavenów. Ale teraz Vermek Skab był martwy, a Lurk wątpił, czy nawet jego potężny krewny byłby w stanie ochronić go przed gniewem Szarego Proroka. Rzeczowo stwierdził, że Vermek nie uznałby go za dość użytecznego, by choćby próbować go ocalić.

Wyglądało na to, że jego obiecująca kariera zbliżała się do końca. Albo zginie od topora maniakalnego krasnoluda, którego, jak głosiła plotka, obawiał się nawet Szary Prorok Thanquol, albo zmiażdży go oszałamiająco potężna magia Proroka. Żadna z tych wizji nie była szczególnie pociągająca dla ambitnego młodego skavena. W tej chwili jednak nic nie mógł z tym zrobić.

Lurk usłyszał głosy dochodzące gdzieś z dołu. Zamarł w bezruchu zdając sobie sprawę, że ktoś jeszcze odnalazł dla siebie to ustronne miejsce. Wiedział, że najlepiej zachować ciszę – był sam, a znał opowieści o grupach skavenów, które napadały i pożerały samotnych szczurołudzi, jakich znajdowali w odległych tunelach. Prawdę mówiąc, Lurk sam tak robił. Słuchał uważnie wyęzając swoje czujne uszy w nadziei, że usłyszy coś, co powie mu więcej o zbliżających się skavenach.

– Niech będzie przeklęty Szary Prorok Thanquol! – usłyszał głos, w którym rozpoznał Heskita Jednookiego. – Odmówił mi słusznego miejsca na czele tej armii, tak. Zaszczyt zwycięstwa nad ludźmi winien prawdziwie należeć do mnie oraz, do Klanu Skryre.

Wąsy Lurka zadrżały. To była zdradziecka mowa i był pewien, że Szary Prorok Thanquol chciałby o tym usłyszeć. Wyęztał teraz słuch, jakby od tego zależało jego życie, mając nadzieję, że uda mu się znaleźć jakieś wyjście z tego kłopotliwego położenia. To mogło umożliwić mu ponowne wkradnięcie się w łaski Szarego Proroka.

– Tak-tak, o największy z panów. Głupcem Thanquol jest. Może on także będzie miał wypadek, tak jak Vermek Skab! – Lurk rozpoznał

służalczy głos należący do pomocnika Heskita, Squiksquika.

– Sza-sza! Nie mów o takich rzeczach. Próbowano tego wcześniej, lecz wypadki jakoś zawsze zdarzają się komuś innemu, nigdy Szaremu Prorokowi Thanquolowi. Być może to prawda. Może istotnie cieszy się łaską Rogatego Szczura?!

A zatem, nawet potężny Heskita lękał się Szarego Proroka. To w żaden sposób nie poprawiało położenia Lurka. A jednak, Szary Prorok mógł

sowiecie wynagrodzić Lurka, jeśli młody skaven przypodoba mu się odpowiednio. Przyczepiając się do ogona Thanquola Lurk mógł naprawdę zejść bardzo daleko. Następne, co usłyszał, sprawiło, że koniec jego ogona nagle zeszywniał.

– Eksplozja Dalekopisku powinna załatwić sprawę, ale Thanquol ma szczęście jak demon, o najbystrzejszy z intrygantów.

– Nigdy, nigdy więcej o tym nie wspominaj. Dalekopisk miał awarię –

to wszystko. Gdyby Szary Prorok Thanquol zaczął choćby podejrzewać cokolwiek innego, konsekwencje byłyby złe – bardzo złe! Jak się rozwija drugi plan?

– Wspaniale, o największy z inżynierów spaczenia! Znaleźliśmy ukrytą drogę do człowieczej nory. Nasi wojownicy będą gotowi złapać za sprzęt w chwili, gdy tego zażadasz. Dzisiejsza noc jest dla nas pomyślna.

Wszyscy ludzie zostali wezwani na ucztę przez swoją władczą samicę.

Lurk czuł mrowienie w łapach. Było coś jeszcze, co mógł przestawić w raporcie dla Thanquola. Tajemna intryga Klanu Skryre zmierzająca do przejęcia skarbów ludzi. Z pewnością Szary Prorok Thanquol nagrodzi każdego, kto doniesie mu o takich rewelacjach. Pochylił się ostrożnie do przodu, aby zobaczyć, co się działo pod nim. Jego poruszenie spowodowało obsunięcie kilku kamyczków, które upadły na ziemię. Hałas zaniepokoił skaveny z Klanu Skryre. Zobaczył, jak ustawiają się w pozycjach obronnych i ze świstem wyciągają broń.

– Co to był za stuk-puk? – zapytał Heskit.

– Nie wiem, o najśmielszy z wodzów – odrzekł Squiksquik. – Żwawo!

Żwawo! Idź! Zbadaj!

– Miejsce przywódcy jest z tyłu. Ty idź!

Lurk przeklinał swój pech. Hałas przerwał knowania Skryre i teraz mógł nigdy nie dowiedzieć się, co planowali.

– Najpewniej to nic takiego, o najmędrszy z wodzów. Zwykle tąpnięcie. Tunele są stare.

Obaj stali bez ruchu wytyżając słuch. Lurk miał nadzieję, że nie spojrzą w górę. Nie śmiał nawet cofnąć się w cień, aby poruszenie nie zwróciło uwagi czujnych skavenów. Był pewien, że mogą usłyszeć łomotanie jego serca. Robił wszystko, aby powstrzymać się przed wypuszczeniem piźma strachu.

Powoli, dwaj podenerwowani szczuroludzie z Klanu Skryre uspokoili się, oddychając powoli i głęboko. Po kilku następnych uderzeniach serca wrócili do swoich knowań.

– Jakie są twe rozkazy, o najsprytniejszy z dowódców?

– Zaatakujemy człowiecze warsztaty dziś w nocy, po zachodzie księżyca. Ich działa maszynowe muszą być nasze, abyśmy mogli je udoskonalić. Należy zbadać parowe rydwany, aby przekonać się, jak możemy podnieść ich skuteczność o tysiąckroć.

– Będzie jak tego pragniesz, o najdoskonalszy z techników.

– Bacz, by tak się stało! – szczechnął Heskitt i odwrócił się plecami do Squiksquika, aby odejść. Lurk nie mógł nie zauważyć, że gdy tylko Heskitt odwrócił się do niego plecami, jego sługus błyskawicznie wyciągnął kciuk w kierunku wystających siekaczy w tradycyjnym skaveńskim geście oznaczającym brak szacunku. Heskitt odwrócił się. Zanim wzrok wodza zdążył na nim spocząć, Squiksquik ponownie przyjął postawę służalczej adoracji.

– Nie stój tu cały dzień. Dalej! Dalej! Żwawo! Żwawo! Wiele jest pracy do zrobienia.

Lurk uśmiechnął się w ciemnościach. Dowiedział się tu o wielu przydatnych rzeczach i nadszedł czas, by odwiedzić Szarego Proroka.

– Czego chcesz? – zapytał Szary Prorok Thanquol spoglądając znad zwoju, który czytał. – Myślałem, że poszedłeś na powierzchnię. Miałeś zabić krasnoluda!

– Nie, o najpotężniejszy z czarowników – odpowiedział Lurk, zwracając się w sposób, który sprawdzał się w przypadku Squiksquika.

Teraz docenił to w pełni. Thanquol napuszył się słysząc pochlebstwo i zaczął muskać swoje futro. – Spiesząc, by wypełnić twój najmędrszy rozkaz, natknąłem się na dowody intrygi i wiem, iż jedynie sam wielki Thanquol będzie miał wystarczająco inteligencji, aby zdecydować, jak się tym zająć.

– Intryga? Wytlumacz się! Żwawo-żwawo!

Pokrótkie, pomijając szczegóły mówiące, w jaki sposób tam się znalazł, Lurk opisał wszystko, co udało mu się usłyszeć. Thanquol przechylił łeb na bok i obnażył kły. Słuchając wieści zaczął uderzać na boki ogonem, co u skavena było pewną oznaką wzburzenia. Gdy Lurk skończył, Thanquol przypatrywał mu się długo wzrokiem o przeszywającej inteligencji. Lurk przeraził się, że jego czas nadszedł i za chwilę zostanie zgładzony. Ale Szary Prorok oblizał tylko usta, klepnął łapą w swój wielki rogaty łeb i powiedział:

– Dobrze uczyniłeś, Lurku Snichtongue. Muszę rozważyć to, co mi powiedziałeś. Bądź gotów natychmiast wypełnić moje polecenia.

– Tak, o najbystrzejszy z największych dowódców.

– I jeszcze jedno Snichtongue...

– Tak, o najpotężniejszy z czarowników?

– Nie rozmawiaj z nikim o tym, co było tu mówione. Pod karą natychmiastowego i nader bolesnego unicestwienia.

– Tak! Tak! Usłyszeć, znaczy być posłusznym, o najłaskawszy z władców.

Thanquol rozparł się na tronie, który zainstalowano dla niego w prowizorycznej norze dowodzenia. Podrapał się plecami o drewniane oparcie, po czym oparł rogi łeb na łapie. Ten służący próżniak Lurk faktycznie dał mu wiele do przemyślenia. A zatem, tak jak to podejrzewał, eksplozja Dalekopisku nie była wypadkiem. Gdy pomyślał, jak blisko znalazł się śmierci tamtego dnia, na dnię żołądka zawrzały wściekłość i strach. Gdyby w tej chwili stał przed nim Heskita, Thanquol rozdarłby go na tysiąc części, a konsekwencje zostawiłby woli Rogatego Szczura.

Wieści o zdradzie Heskita gryzły jego wnętrzości. Walczył o zachowanie kontroli nad sobą, wiedząc, że było niebezpiecznie, a danie upustu wściekłości doprowadziłoby go ostatecznie do pewnej zagłady. Nie osiągnął wysokiej pozycji wśród skavenów pozwalając sobie na tak impulsywne zachowanie. Przekonywał sam siebie, że znajdzie subtelniejszy sposób, by zaspokoić pragnienie słusznej zemsty. Pojawi się inna okazja, by odplącić zdradzieckim gnidom za targnięcie się na życie Thanquola!

Nowa intryga Heskita była z pewnością czymś, czego można było spodziewać się po tych ogarniętych obsesją budowy maszyn zdrajcach z Klanu Skryre. Zawsze węszyli za nowymi technologiami i maszynami.

Zawsze gotowi byli zdradzić sprawę skavenów dla własnego dobra.

Zawsze szukali sposobów, by oszukać prawowitego przywódcę i odrzeć go z należnej mu chwały.

Ale zaraz! Czy było możliwe, że Lurk Snichtongue zmyślił to wszystko, po to tylko, by przypodobać się Thanquolowi? Szary Prorok natychmiast odrzucił tę możliwość. Lurk był po prostu zbyt głupi i pozbawiony wyobraźni, aby wykombinować podobną historię. Co więcej, wieści zgadzały się z raportami od innych szpiegów Thanquola, którzy donosili o sekretnych zbiórkach elity oddziałów Klanu Skryre, o tajnych wędrówkach między norami, jakie Heskita przeznaczył dla swoich oddziałów.

Thanquol rozważył możliwe rozwiązania. Inżynierowie spaczenia planowali atak na nową Szkołę Inżynierii, to było oczywiste. Chcieli zdobyć dla siebie czołgi parowe i działa organowe. Szary Prorok nie wątpił, że Heskita mógł zyskać znaczną chwałę, gdyby udało mu się udoskonalić o milion razy ludzką broń. Wiedział, że żadna rasa nie mogła mierzyć się z geniuszem skavenów, gdy chodziło o konstruowanie maszyn, a niestety, Klan Skryre skupiał najwybitniejszych mechaników najbystrzejszej z ras.

Nowe uzbrojenie bez wątpienia zwiększy potęgę Klanu Skryre, a wraz z tą potęgą zdobędą większy wpływ na Radę. Już sama wieść, że Heskita udało się zdobyć ludzką broń, doprowadzi do zwiększenia prestiżu Klanu Skryre, być może nawet na tyle, że Thanquol zostanie wezwany z powrotem do Skavenblight, a Heskita otrzyma w nagrodę najwyższe dowództwo nad armią. Takie rozwiązanie było nie do pomyślenia. Nieudacznik w rodzaju Heskita mógł doprowadzić potężną armię tylko do katastrofy. Zapewnienie miażdżącego zwycięstwa nad ludzkimi szumowinami wymagało tytanicznego intelektu Thanquola.

Obowiązkiem Thanquola wobec swego ludu było zadbać, by pozostał przy władzy.

Ale jakie miał możliwości? Uznał już, że Heskitt był zbyt potężny i użyteczny, by poległ z jego ręki. A zatem, co można było uczynić? Mógł

oskarżyć Heskitta wyjawiając jego zdradę. To jednak nie wystarczy.

Inżynier spaczenia mógł po prostu zaprzeczyć, a przeciw niemu świadczyło zaledwie słowo Lurka. Bez wątpienia, zdrajca znajdzie inny sposób realizacji planu wykradzenia ludzkich maszyn, gdy tylko Thanquol odwróci się plecami, a jego umysł będzie zajęty bardziej naglącymi sprawami.

Thanquol przeklinał Heskitta i cały jego zdradziecki, nikczemny pomiot! Dlaczego to musiało wydarzyć się teraz? Powinien zaprząć swój potężny intelekt do zajęcia się pilniejszymi sprawami od zdradzieckich podwładnych. Powinien planować nieunikniony podbój człowieczego miasta Nuln i zagładę Gotreka Gurnissona oraz Felixa Jaegera.

Ale chwila! Być może to było rozwiązanie? Może Rogaty Szczur podpowiedział mu sposób, w jaki upiec dwie pieczenie na jednym ogniu?

Znakomity pomysł zaczął świtać w umyśle Thanquola. Mógł wykorzystać dwójkę swoich wrogów przeciwko Heskittowi. Mógł zawiadomić ich, gdzie i kiedy nastąpi atak inżynierów spaczenia. Bez wątpienia, obaj podejmą kroki, których celem będzie udaremnienie ataku.

Tak! Tak! Głupia misja Zabójcy, który poszukiwał chwały oraz fakt, że ta para została już zdyskredytowana, powstrzyma ich przed powiadomieniem głupich ludzkich władz. Bez wątpienia zareagują w swój zwykły, prostacki sposób, co pokrzyżuje plany Heskitta. Byli zbyt głupi, by domyśleć się, że są pionkami w łapach Thanquola, a nawet gdyby zaczęli podejrzewać pułapkę, nie będzie to miało znaczenia. Własna pycha Zabójcy i pragnienie heroicznej śmierci zapewnią zaangażowanie krasnoluda, nawet w obliczu przeważających sił. Nie! Nie! Szczególnie w obliczu przeważających sił!

W ten sposób, jeśli cokolwiek pójdzie źle, łapy Thanquola pozostaną czyste. Nikt nigdy nie wyśledzi powiązania Zabójcy z jego osobą – sam o to zadba. Pomysł, by wykorzystać dwójkę awanturników dla unicestwienia knowań pozostałych wrogów był zbyt dobry, żeby mu się opierać.

Przeanalizował swoją intrygę z każdej strony, badając możliwe wyniki i stwierdził, że plan był bez zarzutu. Albo krasnolud i człowieczyzna udaremnia zdradę w swój zwyczajny, brutalnie prymitywny sposób, albo zostaną zabici podczas tej próby. Oba wyjścia zadowalały Thanquola. Jeśli powstrzymają plan Heskitta, inżynier spaczenia straci swoją pozycję. Jeśli zginą, Thanquol straci dwóch znaczących przeciwników i nadal będzie mógł zorganizować kilka nieprzyjemnych niespodzianek dla powracających czarowników z Klanu Skryre. W najlepszym razie, obie strony wyeliminują się nawzajem. Thanquol pozwolił sobie na szczyptę spaczenia i skonsumował go z radością. Cóż za intryga! Jakże zawiła!

Jakże sprytna! Jakże prawdziwie skaweńska! Otóż i kolejny dowód jego niesamowitego geniuszu.

Teraz pozostawało tylko obmyśleć sposób powiadomienia krasnoluda i jego pomagiera o planie Heskitta. To musiało być skomplikowane, subtelne i przemyślnie. Te półgłówki nigdy nie będą

podejrzewały, że wspomagają swojego najpotężniejszego wroga.

– Wiadomość dla pana, sir – powiedział mały chłopiec o brudnej twarzy, wyciągając dłoń po zapłatę. W drugiej garści ścisnął kawałek grubego pergaminu.

Felix spojrzał na niego i zastanawiał się, czy to nie była jakaś sztuczka.

Żebrzące dzieci z Nuln cieszyły się szczególną sławą ze względu na swoją pomysłowość w pozbawianiu głupców ich pieniędzy. To jednak mogło być warte zainteresowania. Właśnie zapalono latarnie. Było wcześniej, a gospoda Pod Ślepą Świnia nie zaczęła jeszcze zapełniać się wieczornymi gośćmi.

– Co to takiego? Nie wyglądasz na kuriera.

– Nie wiem, proszę pana. Taki zabawnie wyglądający dżentelmen wręczył mi ten kawałek papieru i miedziaka, a potem powiedział, że dostanę to samo, jeśli dostarczę wiadomość wykidajle o jasnej sierści, w tawernie Pod Ślepą Świnia.

– O jasnej sierści?

– Mówił dość dziwnie, proszę pana. Wyglądał też dziwnie. Prawdę mówiąc, śmierdział również dziwnie i cała reszta, no wie pan...

– To znaczy?

– No cóż, jego głos nie był całkiem normalny. Raczej wysoki i piskliwy. On sam był ubrany w mnisią szatę z szalem, który okrywał

twarz. Pomyślałem sobie, że to ubranie od dawna nie było prane. Cuchnęło jakby spał w nich pies, albo jakieś inne futrzaste zwierzę. Wiem to, bo mój pies, Uffie, często...

– Zostawmy na razie Uffiego. Czy zauważyłeś jeszcze coś dziwnego?

– Cóż, proszę pana, on zabawnie chodził, cały pochylony do przodu.

– Jak stary przygarbiony człowiek?

– Nie, proszę pana, poruszał się zbyt szybko jak na starca. Raczej jak jeden z kalekich żebraków, których widać na ulicy Taniej, tyle że on chodził zbyt szybko, jak na kalekę i no cóż, było jeszcze coś, ale bałem się o tym mówić, co by pan nie pomyślał, że jadłem błędny korzeń.

– A cóż to było takiego?

– Ano, kiedy odchodził, pomyślałem sobie, że zobaczyłem węża pod jego szatami. Zauważyłem coś długiego i węzowatego, co poruszało się pod ubraniem.

– Czy to mógł być ogon? Taki jak ogon szczura?

– To możliwe, proszę pana. To mógł być ogon. Czy pan myśli, że to mógł być mutant? Jeden z przemienionych? – w głosie dziecka pojawiła się nuta ciekawości i przerażenia. Najwyraźniej był przekonany, że znalazł

się o włos od śmierci.

– Możliwe. A więc, gdzie widziałeś tego żebraka?

– Na Ślepej Alei. Nie dalej jak pięć minut temu. Popędziłem tutaj, mając nadzieję, że kupię sobie ładny kawałek placka za miedziaka, który miał mi pan dać.

Felix rzucił dzieciakowi monetę i wziął kawałek papieru z jego dłoni.

Spojrzał na drugą stronę gospody, aby sprawdzić, czy Gotrek był w pobliżu. Zabójca siedział ze zgarbionymi ramionami za stołem z boku. W

jednej wielkiej garści ścisnął kufel piwa, a w drugiej swój potężny topór.

Felix skinął na niego.

– Co takiego, człeczyno?

– Powiem ci po drodze.

– Ani znaku nikogo i niczego, człeczyno – stwierdził Gotrek wpatrując się w głąb alei. Potrząsnął głową i przesunął potężną dłoń po wielkim grzebieniu farbowanych włosów. – Ani żadnego zapachu.

Felix nie mógł zrozumieć, w jaki sposób Zabójca był w stanie wyczuć cokolwiek poza smrodem śmieci, jakie wypełniały Ślepą Aleję, ale nie wątpił, że Gotrek mówił prawdę. W przeszłości widział na własne oczy wystarczająco przekonujące dowody czułości zmysłów krasnoluda.

Felix trzymał dłoń na rękojeści miecza i był gotowy w każdej chwili zawołać strażę. Spodziewał się zasadzki od chwili, gdy dzieciak przyniósł

list. Ale nic na to nie wskazywało. Skaven, jeśli był to skaven, dobrze wyliczył czas. Dał go sobie mnóstwo na ucieczkę.

Felix jeszcze raz potoczył wzrokiem wzdłuż alei. Niewiele można było zobaczyć. Nieco światła przesączało się z latarni sklepowych i okien tawern na ulicy Taniej, jednak wystarczało go tylko do podświetlenia zarysów rumowisk i popękanych, zniszczonych zmianami pogody ścian budynków po obu stronach.

– Ta ulica prowadzi prosto do Labiryntu – powiedział Gotrek. – Tam jest tuzin wejść do kanałów. Nasz mały tchórzliwy przyjaciel dawno już się zmył.

Felix pomyślał o wijących się alejkach, jakie tworzyły Labirynt. To było siedlisko najbiedniejszych i

najbardziej zdesperowanych nieszczęśników w mieście. Nie uśmiechała mu się wizja odwiedzin tego miejsca w świetle dnia, nie mówiąc o próbie znalezienia skavena w mroku zachmurzonego, bezksiężycowego wieczora. Gotrek miał zresztą rację: jeśli był to skaven, zapewne znajdował się już w kanałach.

Felix wycofał się na ulicę i stanął pod latarnią, która oświetlała szyld całonocnego lombardu. Odwinął gruby papier i obejrzał notatkę. Pismo było dziwaczne. Litery miały postrzępione krawędzie i przypominały raczej krasnoludzkie runy niż alfabet imperialny, ale język, którym je spisano, z pewnością był Reikspielem, chociaż tekst miał złą składnię i ortografię. Wiadomość wyglądała następująco:

„Pszyjaciele – bądźcie czujni! Złe szczuroludzie zdradzickiego klana skavenów Skryre – nieb ih zarasa wytróje, sflaszca tego niczemnego Heskita Jednuokiego – planowają napaście na Szkołem Inrzynieryi tej nocy potczas zahoda ksiemżyca. Pragnom ukraście wasze sekrety dla sfoich własnyh podłyh celuf. Musicie ih zatrzymacie, albo bendom jeden krok blurzej podboju sfiata na powieżhni.

Waż Pszyjaciel”

Felix wręczył list Gotrekowi. Zabójca przeczytał go i zmiął w wielkiej dłoni. Parsknął drwiąco.

– To zasadzka, człeczyno!

– Możliwe – ale jeśli tak, to dlaczego po prostu nas tu nie zwabili, aby zaatakować?

– Kto wie, co knują szczurze umysły?

– Może nie wszyscy skaveni są wrogo nastawieni? Może niektórzy z nich chcą nam pomóc?

– Może moja babka była elfem?

– W porządku. Przypuśćmy, że jedna frakcja ma zatarg z inną frakcją i chce, abyśmy rozwiązali problem za nich?

– Czemu sami tego nie załatwią?

– Nie wiem. Myślę na głos. Dziś wieczorem jest Święto Wereny. W

szkole zostanie tylko kilku ludzi. Wszyscy pozostali pójdą na wydawaną dla Gildii ucztę hrabiny Emmanuelle. Być może powinniśmy ostrzec strażę?

– I co im powiemy, człeczyno? O skavenie, który przysłał nam ostrzeżenie, że jego kompan zamierza włamać się do specjalnego arsenału hrabiny Emmanuelle? Chyba zapomniałeś, co się stało ostatnim razem, gdy próbowaliśmy kogoś ostrzec przed skavenami.

– Powiadasz więc, że nie powinniśmy niczego robić?

– Nic takiego nie twierdzą. Mówię, że powinniśmy sami rzucić na to okiem i nie liczyć na żadną pomoc od kogokolwiek.

– A jeśli to pułapka?

– Jeśli to pułapka, to niech sobie będzie. Zginie wielu skavenów.

– My też możemy zginąć.

– Wówczas to będzie bohaterska śmierć.

– Lepiej najpierw wróćmy do Ślepej Świni. Heinz będzie się zastanawiał, dokąd poleźliśmy.

– Czy dostarczyłeś wiadomość, jak nakazałem? – zapytał Szary Prorok Thanquol.

– Tak! Tak, o najgenialniejszy z mistrzów – odrzekł Lurk.

– Dobrze. Możesz odejść. Bądź przygotowany do odebrania dalszych instrukcji. Jeśli ktoś cię zapyta, co robiłeś na powierzchni, odpowiedz, że szpiegowałeś krasnoluda sposobiąc się do jego zabicia. Zresztą, w pewnym sensie, to będzie prawda.

– Tak, tak, o najsprytniejszy z mędrców.

Thanquol z radością zatarł łapy. Nie wątpił, że głupi krasnolud i bezwłosa małpa wpadną w tę przemyślnie utkaną pułapkę. Gwarantowała to jego cudownie ułożona i przepięknie spisana wiadomość. Teraz musiał

tylko czekać i upewnić się, że bez względu na to, co się stanie, wojownicy Heskita zawiodą podczas swojej misji. A Thanquol doskonale wiedział, jak o to zadbać.

Heskita z dumą dokonywał przeglądu oddziałów inżynierów spaczenia.

Przyglądał się zespołowi miotaczy spaczo-ognia, którzy sprawdzali swoją ciężką i niebezpieczną broń z dokładnością dobrze wyćwiczonych skavenów inżynierów. Mniejszy z dwóch skavenów przepięknie łomotał

w łufę kluczem do nakrętek sprawdzając, czy jest odpowiednio wypełniona, podczas gdy drugi trzymał przez cały czas jej niebezpieczny wylot skierowany ku sufitowi – na wszelki wypadek.

Grupy spoconych niewolników odpoczywały przez chwilę, dysząc ciężko z wywieszonymi językami od długiej wyczerpującej pracy.

Pracowali długo i pięknie, aby przygotować drogę dla wieczornej misji.

Spędzili wiele godzin wywabiając straż kanałową jak najdalej od tego miejsca oraz całe dni pracy z łomami wyciszonymi przez szmaty. Teraz wszystkie rampy były na miejscu, a skaveni stali w gotowości do przedarcia się na powierzchnię i wyrojenia do wnętrza człowieczej nory.

Heskit ocenił ich pracę wprawnym okiem zawodowca. Podczas dni nauki jako czeladnik, nadzorował budowę rusztowań wokół wielkich okrętów bojowych skavenów. Rusztowań, które niezwykle rzadko zawały się zabijając wszystkich poniżej, jak przypominał sobie z dumą Heskit. To był jeden z cudów wybudowanych przez jego norę. Cóż, po dzisiejszej nocy jego koledzy inżynierowie będą mieli następne powody do zachwyty. Przewyższy wynalazek Dalekopisku Mekrita i uczyni więcej dla rozwoju sprawy skaweńskiej niż uczynił to Ik ze swoim wynalazkiem przenośnej maszyny do tortur. Dzisiejszego wieczora stanie się posiadaczem wszystkich najpyszniejszych sekretów rasy człowieka. A wówczas udoskonali je po tysiäckroć.

Heskit wiedział, że dobrze wybrał czas ataku. Tego dnia było Święto Wereny. Ludzkie straże stanowiły zaledwie ułamek w porównaniu do swojej zwykłej liczebności i bez wątpienia wszyscy byli pijani. Nawet w tej chwili skrytobójcy Klanu Eshin biegali na górze eliminując kilku strażników, którzy pozostali na służbie. Wkrótce miał nadejść czas na wykonanie planu.

Obok niego przemknął globadier Trującego Gazu. Jego pysk zakrywała metaliczna maska przeciwigazowa. Przez kwarcowe soczewki widoczne były tylko nerwowe, rozedrgane ślepie globadiera. Do piersi przyciskał

szklaną kulę chemicznej śmierci, chroniąc ją przed stłuczeniem, niczym ptasia matka piastująca cenne jajo.

Chronometr Heskita zadzwonił trzynaście razy. Skaven chwycił za łańcuszek i wyciągnął z małej kieszonki zdobione urządzenie z brązu.

Przysunął je do ucha i został nagrodzony dźwiękiem głośnego tykania, jakie dobiegało z pięknie wykonanego mechanizmu, który mieścił się wewnątrz. Otworzył chronometr i spojrział na cyferblat. Przedstawiał

małego biegnącego skavena. Jego stopy poruszały się w tę i z powrotem za każdym uderzeniem serca. Długi ogon wskazywał godzinę trzynastą, podobnie jak krótki miecz, który skaven trzymał w garści. Była dokładnie trzynasta, co do minuty. Heskit odwrócił się i dał znak rozpoczęcia operacji.

Felix spojrział na fasadę nowej Szkoły Inżynierii. To był niezwykle imponujący budynek. Bardziej przypominał fortecę, niż jakikolwiek z uniwersytetów, jakie odwiedził. Wysokie, szerokie wieże w każdym z rogów budynku byłyby bardziej odpowiednie w zamku, niż w miejscu przeznaczonym do rozwijania nauki. Wszystkie okna na poziomie ulicy zostały zasłonięte kratami. Do środka prowadziła tylko jedna droga przez masywny łuk wejściowy, dość wielki, by przepuścić powóz zaprzężony w konie.

Miękkie tapnięcie za nim powiedziało Felixowi, że Gotrek pojawił się wreszcie i najprawdopodobniej spadł na jeden z kwietników. Usłyszał

krasnoluda, który przeklinał w swym gardłowym, chropowatym języku.

– Uciszyć się lepiej! – szepnął Felix. – Naprawdę nie powinniśmy tu przebywać.

To była prawda. Tylko upoważnieni członkowie Gildii Inżynierów i Mechaników, ich czeladnicy i członkowie wojska imperialnego, mogli wchodzić do tego wysoce tajnego miejsca. Pozostałym groziła kara śmierci, a przynajmniej długi pobyt w lochach niesławnego więzienia hrabiny Emmanuelle.

– Wartownicy są zbyt pijani, by cokolwiek zauważyć, człeczyno. To hańba, ale właśnie tego można spodziewać się po ludziach.

Felix sięgnął po swój nowy płaszcz, który przerzucił przez niższy fragment muru. Materiał został porwany w miejscach, gdzie przebiło go pokruszone szkło i gwoździe rozsypane na szczycie muru. Tak czy inaczej, kwaśno pomyślał Felix, lepiej mieć porwany płaszcz niż rozerwaną dłoń.

Spojrzał na budki wartownicze za zamkniętymi żelaznymi wrotami i zmuszony był zgodzić się z Gotrekiem. To była hańba.

Jeden z wartowników był tak pijany, że po prostu spał leżąc przed swoim posterunkiem. Chwilę później Felixa zastanowiło dziwne ułożenie ciała mężczyzny i podszedł ostrożnie, by się temu przyjrzeć. Idąc zauważył kilka innych leżących sylwetek. Czy było możliwe, że wszyscy wartownicy leżeli pijani w trupa i spali? Podszedł, by przyjrzeć się z bliska, a potem wyciągnął z pochwy miecz.

Wartownicy nie byli pijani. Byli martwi. Każdy leżał w kałuży krwi. W

jednym z nich nadal tkwił nóż wystający z pleców. Felix schylił się i zbadał ostrze, natychmiast rozpoznając pochodzenie broni, jakiej używali skaveńscy skrytobójcy podczas pamiętnego spotkania w gospodzie Pod Ślepą Świnia.

– Zdaje się, że nasz mały przyjaciel mówił prawdę – powiedział do podchodzącego Gotreka.

– No to zajrzyjmy do środka.

– Obawiałem się, że to powiesz.

Heskit skradał się korytarzami szkoły otoczony przez ochroniarzy. W

pewien sposób to miejsce wydawało mu się przyjazne. Wokół widział

znane mu obiekty: kuźnie, ławy, tokarki i imadła oraz wszystkie inne narzędzia używane przez inżynierów na całym świecie, bez względu na ich rasę. Nocna bryza niosła przez pomieszczenie zapach węgla drzewnego i metalu. Skaveni posuwali się przez korytarze niczym armia najeźdźców, po drodze plądrując pomieszczenia. Miał nadzieję, że jego pomagierowi Squiksquikowi udało się zająć pozycję w centralnych zbrojowniach, inaczej przepadną najlepsze kawałki łupu.

Po prawej widział stojak z długimi muszkietami nowego projektu.

Natychmiast zbliżył się i wyciągnął jeden z nich. Broń wyglądała na ukończony prototyp. Lufa owinięta była miedzianym drutem, a nad nią zamontowany był mały teleskop. Nic specjalnie ciekawego, pomyślał

Heskit – to była po prostu nieudolna próba stworzenia rusznic, w które wyposażył już swoich ochroniarzy. Bez dostępu do spaczenia potrzebnego do wymieszania z prochem strzelniczym, ludzie nigdy nie będą w stanie osiągnąć tego samego zasięgu i siły ognia. Miał nadzieję, że reszta urzędzeń okaże się bardziej warta jego uwagi, albo noc będzie zmarnowana.

– Najjaśniejszy władco, tędy – usłyszał wezwanie Squiksquika. Heskit ruszył przez długą salę i znalazł się w kolejnym warsztacie maszynowym.

Stwierdził, że tam było znacznie ciekawiej, widząc okrągły, krótki i gruby korpus działa organowego. Warto było mieć coś takiego. Podeszedł blisko i przesunął łapą po zimnym metalu jednej z luf. Tak, istotnie, warto było to mieć.

Spojrzał na mechanizm, który obracał lufy oraz na iglicę, która w tym samym momencie odpalała lonty. Bardzo sprytne! Zastanawiał się, czy odporność metalu wytrzymałaby użycie prochu ze spaczenia.

Najprawdopodobniej nie, ale z drugiej strony niektóre z nowych stopów spaczenia i ołowiu, nad którymi pracował, mogłyby wystarczyć. Nie spowodowały żadnych wypadków od czasu, gdy ostatnie działo automatyczne eksplodowało i zabiło dziesięciu asystentów.

– Żwawo! Żwawo! Zabrać to! – polecił Squiksquikowi. Jego pomagier zapiszczał kilka komend i grupa niewolników Skryre popędziła naprzód.

Rozległ się cichy zgrzyt, gdy odtaczali działo. To nie zaniepokoiło Heskita. Prawdę mówiąc, ten dźwięk sprawił, że poczuł się całkiem odprężony.

Ruszył dalej między sale ciekaw, jakie nowe zabawki uda mu się znaleźć w tym dziwnym i ekscytującym miejscu.

Felix poruszył klamką drzwi. Miał cichą nadzieję, że okażą się zamknięte na klucz, ale zostały już otwarte. Domyślał się przez kogo. W

powietrzu unosił się bardzo znajomy zapach łączący smród piżma, mokrego futra i odoru ścieków. Nie miał wątpliwości – tam byli skaveni.

– Może powinniśmy zawiadomić strażę? – szepnął do Gotreka.

– I co im powiemy? Ze właśnie włamaliśmy się do arsenału i znaleźliśmy skaveny? Naprawdę nie chcieliśmy niczego ukraść. Mieliśmy tylko zamiar rzucić okiem. Śmierć na stryczku jako złodziej to nie mój pomysł na heroiczną śmierć, człeczyno.

– Może więc nie powinniśmy tutaj przychodzić – mruknął Felix.

Żałował już, że zgodził się na ten pospiesznie ułożony plan.

W gorączce chwili, uniesiony pędem wydarzeń, mógł dopatrywać się pewnej logiki w tym, co robili, ale teraz widział, że było to po prostu czyste szaleństwo. Znajdowali się w miejscu, w którym nie

powinni przebywać i niemal na pewno otaczali ich uzbrojeni skaveńscy wojownicy.

Zanim dotrze do nich jakakolwiek pomoc, zapewne będą już martwi, a nawet w mało prawdopodobnym przypadku przybycia wsparcia, ich ratownicy, tak jak przypuszczał Gotrek, najpewniej powieszą ich jako szpiegów. Felix zastanawiał się, jak udało mu wplątać się w taką sytuację.

– Zamierzasz stać tam całą noc, czy może wreszcie otworzysz te drzwi?

Felix spodziewając się rzuconego w jego twarz ostrza, powoli i ostrożnie popchnął wrota. Przed nim zamajaczył długi korytarz. Było ciemno, za wyjątkiem światła, jakie dostawało się z zewnątrz. Felix żałował, że nie miał ze sobą latarni. Pomyślał, że wewnątrz musi być jakieś światło, a potem zdał sobie sprawę, że świecąc zwróciłiby tylko uwagę na siebie.

Gotrek minął go i zaczął kroczyć korytarzem trzymając masywny topór w gotowości do zadawania śmierci. Felix pozostało podążyć za nim. Felix wolał nie zostawać w tym wielkim i pustym budynku zdany tylko na siebie.

– Jest pewien problem, o najbardziej władczy i odpowiedzialny z przywódców – powiedział cicho Squiksquik. Heskitt odwrócił się i spojrzał

z rozdrażnieniem na swojego porucznika.

– Problem? Jakież tu mogą być problemy, Squiksquik? Wyjaśnij!

Żwawo! Żwawo!

– Nadzorca Quee uważa po obejrzeniu czołgu parowego, że mogą wyniknąć pewne komplikacje. Przypuszcza, że podpory mogą okazać się nie dość mocne, by wytrzymać ten ciężar. Być może ściąganie maszyny do kanałów nie jest rozsądne.

– Powiedz Nadzorcy Quee, aby szybko rozwiązał ten problem, albo zostanie zastąpiony przez kogoś bardziej kompetentnego. Musimy mieć ten czołg parowy! Musimy zbadać silniki! Musimy zobaczyć, jak to działa! Klan Skryre musi posiadać tę broń.

Heskitt wdrapał się na szczyt czołgu parowego. Jego podwładni oświetlili pomieszczenie zieloną poświatą spaczeniowych lamp, aby lepiej widzieć, co robią. Już samo przebywanie na szczycie tej potężnej maszyny sprawiło, że ogon Heskitta zeszytywniał. Oparł łapy o biodra, przyjął pozę dowódcy i spojrzał w dół na pomieszczenie.

Rozglądał się po tej największej z sal, w której budowano czołgi parowe. Była imponująca. Wszystkie elementy maszyny, pięknie wykonane ręcznie, leżały na pobliskich ławach. Wielkie schematy przypięto na tablicach, które wisiały na ścianach, co miało wspomagać pracę czeladników. Pod sufitem widoczne były wszelkiego rodzaju podnośniki, kable i grube liny służące do przenoszenia części na miejsce.

Była to na tyle zawiła i splątana sieć, że ucieszyłaby serce każdego skavena.

W pobliżu stał prawie w pełni zmontowany czołg parowy, który przypominał częściowo pożarty korpus jakiegoś Lewiatana. Nad nim ciągnęły się galerie, na których mistrzowie mogli nadzorować pracę swoich robotników i pilnować, by wszystko było wykonywane we właściwy sposób. Tak, z pewnością znajdowały się tam pewne pomysły, jakie można było przystosować do użytku dla skavenów.

Heskit odwrócił się i wkrótce zagłębił w kontemplacji wielkiego mechanicznego monstrum, przejęty możliwościami, jakie dawał ten projekt. Niewątpliwie, czołg parowy był niezwykle przerażającym projektem. Przesunął łapą po zanitowanym metalu i poczuł, jak przyspiesza bicie jego serca. Oczami wyobraźni widział siebie kierującego jednym z tych urządzeń, z tym że jego prototyp będzie większy i lepszy, z silnikiem napędzanym spaczeniem i miotaczem spaczo-ognia zamiast działa. Pociski będą odbijać się od pancerza. Strzały połamią się na grubych ścianach. Zgniecie pod sobą przeciwników na krwawą miazgę.

Będzie miał peryskop, aby wyglądać na zewnątrz, nie wystawiając łba na ogień nieprzyjaciela, a zamiast tych głupich kół zamontuje gąsienice, które umożliwiły pokonywanie z łatwością najtrudniejszego terenu.

Był to projekt, przy pomocy którego skaven mógł podbić świat, a dokona tego on, Heskit Jednooki.

Felix widział przed sobą wielki, otwarty dziedziniec. Pośrodku znajdowała się ogromna jama, z której wydobywał się znany smród kanałów. Dziedziniec oświetlały dziwaczne, migoczące zielone światła. W

ich blasku Felix dostrzegał hordeę szcziroludzi biegających w kółko między jamą a wejściem do budynku. Każdy z nich dźwigał na ramieniu jakiś element maszyny, albo skrzynię. Wyglądało na to, że plądrują cały budynek. Felix nie był pewien, co powinni zrobić. Skavenów było po prostu zbyt wielu, by udało się ich pokonać.

Heskit wgramolił się do wnętrza czołgu parowego i spojrzął na przyrządy sterownicze. Było tam małe siedzenie przystosowane do ludzkiego kierowcy, ale większość komory zajmowało monstrualne działo i wielki kocioł. Bez wątplenia to kocioł napędzał maszynę.

Rozszyfrowanie funkcji urządzeń sterowniczych nie było trudne dla skavena o inteligencji Heskita. Jedna dźwignia powodowała ruch naprzód, druga zaś – wstecz. Gwizdek mógł służyć do wydawania przeraźliwych gwizdów oraz zmniejszania ciśnienia w kotle. Małe koło umożliwiała kierowanie czołgiem parowym w lewo lub w prawo, a inne obracało działem. Wszystko było bardzo proste.

Nagle Heskit zrozumiał dokładnie, co chciał uczynić, a ponieważ był

mistrzem inżynierów spaczenia, nikt nie mógł go powstrzymać. Miał

zamiar przeprowadzić próbną jazdę tym pojazdem, aby upewnić się, że działa. To mogło także zaoszczędzić wysiłków związanych z doprowadzeniem maszyny do jamy, która prowadziła w głąb kanałów.

Szczekliwie wezwał dwóch niewolników, którzy wkrótce zaczęli ładować kocioł drewnem. W ciągu kilku minut silnik osiągnął odpowiednie ciśnienie i można było zaczynać.

Heskit pociągnął za dźwignię i czołg parowy ruszył naprzód.

Felix usłyszał w oddali ryk, jakby smoka oczyszczającego swoje gardło.

– To przypomina jakiegoś potwora – szepnął do Gotreka.

– Raczej silnik parowy, człeczyno. Lepiej to sprawdźmy.

Popędzili po schodach w górę i wokół galerii nad podwórcem. Tu i tam leżały ciała wartowników, zabitych przez te same skaveńskie ostrza, jakie widzieli wcześniej. Felix cofnął się i dobył miecza. W każdej chwili spodziewał się wpaść na grupę dzikich zabójców, podobnych do tych, którzy zaatakowali jego i Elisę w pokoju, tamtego pamiętnego wieczora.

Wrażenie prędkości i mocy było niesamowite. Heskit nigdy nie przeżył

czegoś podobnego. Czuł, że mógł zmiażdżyć wszystko na swej drodze, przebić się przez każdą przeszkodę. Posiadając ten czołg mógł pokonać każdego wroga. Wizje wielkich armii prowadzonych przez napędzane spaceniem czołgi parowe tańczyły w jego łbie. Z taką armią niepokonanych skaveńskich wojowników Klan Skryre mógł podbić świat.

Oczywiście, Heskit Jednooki zostanie odpowiednio nagrodzony za swój genialny plan. Zadba o to należycie.

Heskit wyrzwał, aby sprawdzić, w którą stronę jedzie. Zdumiało go, co tamten głupi globadier Trującego Gazu robił stojąc przed nim z wyrazem paniki na pysku.

Felix wypadł na galerię ponad wielką salą, którą wypełniali skaveni.

Pośrodku pomieszczenia stał błyszczący, nowy czołg parowy. Dym buchał

z jego kominów i w chwili, gdy Felix mu się przyglądał, pojazd zaczął się poruszać. Szybko nabierał prędkości i przejechał małego skavena, który stał przed nim przyciskając coś do siebie. Skaven upadł i z jego łap wypadł

przedmiot przypominający szklaną sferę. Sfera upadła i rozbiła się na milion kawałków. W tej samej chwili pojawił się okropny obłok zielonkawego gazu. Wszyscy skaveni na dole, do których dotarł obłok, schwycili się za gardła i padli kaszląc krwią. Leżeli na podłodze, bijąc ogonami i kopiąc stopami o ziemię. Wyglądało to tak, jakby się topili.

Felix przypomniał sobie opowieści Gotreka o skaveńskiej broni gazowej. Pamiętał ten przerażający moment podczas potyczki ze skavenami w kanałach ściekowych, gdy myślał już, że został zagazowany.

Przypomniał sobie także, jak Zabójca podpowiadał, że rozwiązaniem jest chustka nasączona moczem,

położona na ustach. W tej chwili nie miał

czasu, ani ochoty, by sprawdzać tę teorię. Felix zauważył z ulgą, że gaz okazał się cięższy od otaczającego powietrza i nie wznosił się zbyt wysoko. Właściwie, już zaczął się rozpraszać.

Heskit zastanawiał się, czy umiera. A może zdążył wstrzymać oddech?

Nie wiedział tego. Jego oczy łzawiły od gazu, który wpływał do środka przez otwarty właz. Dwaj skaveńscy niewolnicy leżeli przed nim bulgocząc i ciężko łapiąc powietrze. Heskit stwierdził, że nie odczuwa żadnego bólu. Zapewne, jedno uderzenie serca zanim zobaczył globadiera, okazało się wystarczające. Miał dość czasu, by złapać haust powietrza i wstrzymać oddech. Z pewnością nie zamierzał marnować powietrza na wykrzyczenie ostrzeżenia dla innych. Dzięki szybkiemu kojarzeniu faktów udało mu się przeżyć.

Heskit gapił się przez zielony mrok mokrymi ślepiami i usiłował

skierować pojazd w miejsce wolne od gazu. Coś uderzyło w czołg i jęknęło pod kołami wehikułu. Wydawało mu się, że słyszy wycie agonii.

Zignorował je i skoncentrował się na utrzymaniu przy życiu. To było najważniejsze.

Miał wrażenie, że jego płuca zaraz wybuchną. Serce biło mu trzy razy szybciej niż zazwyczaj. Wypuścił już piżmo strachu i zaplamił swoją wspaniałą zbroję. Nie dbał o to. W tej chwili liczyło się tylko to, czy uda mu się wstrzymać oddech dopóki zobaczy czyste powietrze i czy zdoła pozostać przy życiu pomimo zdradzieckiego ataku głupiego globadiera.

Wokół siebie słyszał hałas zamieszania, skavenów wykrzykujących rozkazy, wyszczekiwane komendy i odgłosy dobywanej broni.

– Jesteśmy atakowani! – usłyszał okrzyk Squiksquika. Zaraz po tym strzały z rusznicy zaczęły uderzać w bok czołgu. Heskit zdał sobie sprawę, że ci idioci pomyśleli, że to on ich atakuje.

Felix przyglądał się rosnącemu zamieszaniu, które przerodziło się w rzeź. Gaz zabił tuzin skavenów. Reszta szczuroludzi odwróciła się w stronę czołgu parowego. Kilka oddziałów skavenów niosących broń o długich lufach zaczęła strzelać z bliska w stronę czołgu. Dwóch dziwnie uzbrojonych rozkładało nieporęczną broń, szykując się do ostrzelania pojazdu.

Ciekaw był, czy tam na dole znalazł się żywy człowiek, któremu udało się jakoś uruchomić maszynę wojenną. Czy w tej chwili walczył o życie i desperacko potrzebował pomocy? Felix odwrócił się, by zapytać Zabójcę i wtedy zorientował się, że Gotrek odszedł. Felix domyślał się, dokąd popędził krasnolud.

Skaveni ustawili na miejscu swoją dziwnie wyglądającą broń. Jeden z nich przykucnął z lufą opartą na plecach, drugi obsługiwał pozostałą część działka. Nagle naprzód wyrwał się strumień zielonkawego płomienia, który strzyknął w kierunku czołgu. Płomień przylgnął do metalicznych paneli bocznych pancerza płonąc intensywnie. Ogień rozświetlał całą salę i sprawił, że stojący na balkonie Felix stał się doskonale widoczny.

Wiedział o tym, ponieważ cała grupa skavenów wskazywała na niego i piszczała. Miał okropne przeczucie tego, co miało stać się za chwilę.

Heskit zamknął oczy i miał nadzieję, że nadal będzie widział, gdy je otworzy. Żar był okropny, a spaczopłomienie z miotacza liznęły szczelinę wyzierną czołgu. Heskit krzyknął i ponownie wypuścił piżmo strachu opryskując siedzenie pod sobą.

– Stać! Stać! Głupcy! – darł się. – To ja, Heskit, wasz przywódca!

Jeśli ktokolwiek usłyszał go mimo ryku czołgu parowego, nie dał

żadnego znaku. Wszędzie panowało zamieszanie i szaleństwo. Możliwe było, że jego szcurzy bracia nie zauważyli swojego przywódcy podczas zamętu i pomyśleli, że atakuje ich człowiek. Równie możliwe było, że jakiś paskudnie ambitny podwładny doskonale wiedział, kto jest w środku i wykorzystał tę okazję, by spróbować zabić swojego przełożonego.

Faktycznie, im więcej Heskit myślał o drugiej z tych możliwości, tym bardziej wydawała mu się prawdopodobna. Na przykład, obsługa miotacza ognia nie przerywała ataku pomimo wyraźnego rozkazu. Mogli tłumaczyć się, że nie usłyszeli go przez ryk silnika, ale Heskit wiedział lepiej. Teraz rozumiał wszystko doskonale. To była cześć diabelskiej intrygi, której celem było usunięcie go z jego prawowitego stanowiska. Nie będzie ani trochę zaskoczony, jeśli okaże się, że za tym wszystkim stał Szary Prorok Thanquol.

Pełen słusznego i mściwego gniewu Heskit obnażył kły we wściekłości i skierował czołg parowy dokładnie na miotaczy spaczo-ognia.

Zdradziecki pomiot zbyt późno zdał sobie sprawę z niebezpieczeństwa i nie udało się im uskoczyć na bok. Heskit został nagrodzony odgłosem chrupnięcia ich kości pod kołami pojazdu. Chwilę potem rozległ się okropny trzask, gdy eksplodowała beczka fosforyzujących chemikaliów.

Felix znalazł się w pułapce. Skaveni wpadali groźną, futrzastą falą na balkon, na którym stał. Były ich tuziny, znacznie więcej niż potrafiłyby pokonać. Nie wątpił, że w wąskim przejściu udałoby mu się poradzić sobie z jednym lub dwoma, ale w tym czasie pozostali stłoczą się za nim i wbiją swoje paskudne małe ostrza w jego plecy. Przeklęty Gotrek! Gdzie się podziewał Zabójca, gdy był potrzebny?

Jakby w odpowiedzi na niewypowiedziane pytanie usłyszał pod sobą grzmiący ryk. Ryzykując szybki rzut oka Felix zobaczył Zabójcę, który wdarł się do sali poniżej i zostawiał za sobą ślad martwych i umierających szcziroludzi. Ociekająca wilgocią szmata owijała jego twarz.

Najwyraźniej Zabójca nie ryzykował śmierci od zagazowania zanim nie odnajdzie prawdziwie heroicznej zagłady.

Również poniżej Felix dostrzegł pochylający się do przodu czołg.

Płonące języki zielonego ognia szalały wokół jego kół i wzdłuż podbrzusza wehikułu. Pojazd objął

się po całym warsztacie pozostawiając za sobą ogon iskier i miażdżąc wszystko na swojej drodze. Następnie obrócił się w miejscu, niemal zatrzymując się, a jego przód skierował się w stronę Zabójcy. Gotrek stał naprzeciw masywnej maszyny niczym estalijski matador mierzący się z bykiem. Wokół krasnoluda ogarnięci paniką skaveni szukali jakiegokolwiek osłony.

To było wszystko, co zdążył zobaczyć Felix, zanim rzuciła się na niego skłębiona masa skavenów. Wiedział, że zginie, jeśli pozostanie w tym miejscu. Nie widząc innego wyjścia, wsunął miecz do pochwy, skoczył na poręcz i wyciągnął rękę próbując uchwycić się jednej z zawieszonych powyżej lin. Prędko podciągnął się i przekładając ręce dotarł do miejsca nad środkiem sali. Felix zawisł tam przez chwilę łapiąc powietrze.

Nagle poczuł, że lina zaczyna chwiać się pod jego ciężarem. Spojrzał do tyłu i zobaczył szczerzącego paskudnie zęby skavena, który piłował linę nożem.

Och nie, pomyślał Felix, gdy lina pękła z trzaskiem.

Heskit nie mógł uwierzyć własnym oczom. Czy rzeczywiście stał przed nim krasnolud wznoszący wielki topór? Czy tutaj, w środku człowieczej nory, mógł znaleźć się krasnolud? A może przypadkowo wciągnął do płuc nieco gazu globadiera? To mogły być halucynacje. Cały czołg zaczął się nagrzewać, nie tylko od ognia w kotle. Heskit był pewien, że wyczuwa płonący w pobliżu spaczo-ogień. Gdzie podziali się jego pomagierzy? Z

pewnością krasnolud i gaz nie mogli zabić ich wszystkich. Cóż, jedna rzecz była pewna – żaden krasnolud nie przeżyje bezpośredniej konfrontacji z jego czołgiem parowym. Heskit przyspieszył i runął na Gotreka.

Lina urwała się i Felix poszybował łukiem w kierunku podłogi.

Widział, że Gotrek stoi dokładnie pod nim, a czołg parowy pędzi prosto na niego. Wyglądało na to, że Zabójca za chwilę zostanie zmiażdżony na krwawą pulpę pod kołami płonącego czołgu parowego. Ale w ostatniej sekundzie krasnolud odskoczył na bok, a jego topór rąbnął w bok pojazdu dobywając głębokie, rezonujące dudnienie, niczym odgłos uderzenia wielkiego dzwonu.

Felix przygotował się na bolesne zderzenie z podłogą. Wtedy, w ostatniej chwili, zdał sobie sprawę, że łuk trajektorii jego lotu kieruje go dokładnie naprzeciw kierunku jazdy czołgu parowego. Było prawie pewne, że skończy pod jego kołami.

Heskita bolał łeb od wyziewów i potężnego, dzwoniącego echa, jakie rozległo się wewnątrz pojazdu. Zdziwiło go kolejne uderzenie w bok czołgu. Zaczął żałować, że pozwolił swoim pomagierom, by przekonali go do wejścia w tę przeklętą, śmiertelną pułapkę. Łby się potoczą, gdy tylko uda mu się zatrzymać tę rzecz – to było pewne!

Silnie pociągnął za dźwignię hamulca, ale pręt został mu w dłoni. Przed nim wynurzyła się ściana budynku. Zbliżała się z przerażającą szybkością.

Uderzenie o szczyt czołgu wyrwało całe powietrze z płuc Felixa. Czuł, że zaczyna się ześlizgiwać. Żar przypalał podeszwy butów. Wyciągnął

rękę usiłując złapać się czegoś. Jego palce zaczepiły o brzeg otwartego włazu. Podciągnął się i znalazł na dachu pędzącego czołgu. Widział

szybko zbliżającą się ścianę. Próbował zeskoczyć, ale było już za późno.

Siła uderzenia wrzuciła go głową naprzód prosto do włazu i wnętrza płonącego czołgu parowego.

Rozległ się potężny ryk i zgrzytnięcie w momencie, gdy czołg rąbnął w ceglany mur. Cała machina zatrzęsała się, a smród spalenizny wyraźnie się nasilił. Nagle na Heskita spadło coś ciężkiego, a chwilę później ludzkie dłonie złapały za jego sierść.

Felix szarpnął się w tył, unikając zatraskujących się wielkich szczęk, pełnych obnażonych, ostrych jak igła zębów. To był koszmar. Uwięziony, wisiał głową w dół w małej zamkniętej przestrzeni pędzącego pojazdu, podczas gdy obrzydliwy zmutowany potwór usiłował rozerwać mu gardło.

Rzucił głową w bok i uderzył pięścią, trafiając skavena w pysk. Zauważył, że wszędzie kłębiła się świszcząca para, a z kotła zaczęły sypać się iskry.

Skaven rzucił się na niego. Ostre jak brzytwa pazury rozerwały jego policzek. Felix cieszył się, że było zbyt mało miejsca, by skaven mógł

użyć swojej broni. Wsunął się do środka kabiny i całym ciężarem ciała wylądował na szczuroczłeku. Obaj wczepili się w siebie i toczyli po całej kabynie uderzając w dźwignie sterowania. Czołg parowy rzucał się dziko w lewo i w prawo. Przez wziernik Felix zauważył przerażonych skavenów, którzy biegali w poszukiwaniu osłony. Silnik parowy paraskał niepokojąco.

Żar i wilgoć w powietrzu były powalające.

To była szalona szamotanina. Felix był znacznie większy i cięższy, ale skaven korzystał ze straszliwej siły żylastego ciała. Dysponował także przewagą w postaci długich ostrych zębów. Ból szarpnął Felixem, gdy skaven zatopił kły w jego ramieniu. Poczul jak gorąca krew przesącza się przez koszulę. Wraz z bólem i strachem pojawił się wściekły gniew.

– Dobra, wystarczy tego! – krzyknął Felix i złapał rękami za gardło skavena chcąc je zmiażdżyć. Odepchnął od siebie łeb stwora i walnął nim o ścianę czołgu.

Heskita Jednooki pomyślał, że to nie była dobra noc w chwili, gdy ten maniak walnął po raz trzeci jego łbem o stalową ścianę. Skaven czuł, że opuszczają go siły. W płucach brakowało mu powietrza i w żaden sposób nie był w stanie oddychać, gdy silne jak żelazo dłonie człowieka zaciskały się na jego gardle. Miał wrażenie, że ponownie otoczył go gaz, tylko tym razem było sto razy gorzej. Nie doszłoby do tego, gdyby nie został

zdradzony przez swoich nic nie wartych podwładnych.

Ponad ramieniem napastnika, przez szczelinę wyzierną, Heskitt dostrzegł otwartą gardziel jamy prowadzącej do ścieków. Masa uciekających z pola bitwy skavenów nurkowała prosto do środka. Czołg parowy także kierował się w tamtą stronę.

Felix poczuł na dnie żołądka dziwne wrażenie opadania, gdy wehikuł

przechylił się i przewrócił. Miotany po wnętrzu kabiny pomyślał, że musieli zderzyć się z jakąś przeszkodą, lub wpaść do jamy. To już koniec, myślał, zaraz zginę. Nagle czołg parowy zamarł ze strasznym bulgoczącym pluskiem i nozdrza Felixa wypełnił znajomy odór ścieków.

Jego chwyt na gardle skavena zelżał, a stwór wykorzystał okazję, by się wyrwać. Popędził w górę i wyskoczył przez właz niczym fretka biegnąca po rynnie na dach. Widząc płomienie dobywające się z kotła, Felix stwierdził, że lepiej zrobić to samo. Z bólem sięgnął w górę i wyciągnął

swoje potłuczone ciało przez otwarty właz. Stał przez chwilę na szczycie czołgu spoglądając na skavena, z którym przed chwilą walczył.

Tak jak mu się wydawało, pojazd wpadł do jamy, którą skaveni wykopali pośrodku dziedzińca, a teraz tonął w ściekach. Dym, para i wyziewy mieszały się we włazie pod nim, przypalając buty i spodnie.

Czołg parowy szarpał się i drżał w błocie. Wokół siebie Felix dostrzegł

mrowie lśniących w ciemnościach czerwonych ślepi. Był otoczony przez skavenów.

Z deszczu pod rynnę, pomyślał.

Skąd się wzięli ci wszyscy wojownicy, zastanawiał się nieprzytomnie Heskitt. Powinni być na górze i walczyć z krasnoludem oraz jego ludzkim sprzymierzeńcem, a nie chować się tutaj przed walką. To zresztą nie miało w tej chwili znaczenia. Heskitt, będąc wysoce uzdolnionym inżynierem spaczenia, dostrzegł oznaki bardzo poważnej awarii czołgu parowego.

Nie wątpił, że pozostało mu kilka chwil na ucieczkę, zanim pojazd wybuchnie.

Strach dodał mu skrzydeł. Wyskoczył prosto w tłoczącą się masę skavenów. Zanim zdążyli zareagować, przeskoczył po ich ramionach i depcząc po łbach pędził naprzód. Wiedział jednak, że nie zdąży oddalić się przed eksplozją. Mógł zrobić tylko jedno.

Zatykając pysk łapami Heskitt dał nura łbem naprzód prosto w ścieki.

Sądząc po prędkości, z jaką przerażony skaven popędził po łbach swoich kamratów, Felix domyślał się, że zaraz miało stać się coś strasznego. Musiał działać natychmiast. Skoczył w górę, chwycił krawędź

otworu i podciągnął się zanim masa skavenów zaroiała się wokół czołgu parowego.

Poczuł jak pazury rozdierają nogawkę jego spodni, gdy jeden z przywódców grupy spróbował go

ściągnąć z powrotem. Felix w szaleńczej desperacji kopnął go drugą nogą i poczuł, jak coś pękło, gdy jego but zetknął się z zębami skavena.

Wyjrzał na oświetlony zieloną poświatą dziedziniec i zauważył

Zabójcę, który biegł w jego kierunku.

Felix podniósł się na nogi i popędził w stronę krasnoluda, krzycząc:

– Na ziemię! Zaraz wybu... !

Za jego plecami rozległ się potężny grzmot i nastąpił straszliwy błysk przypominający uderzenie pioruna. W górę buchnął wielki kłęb śmierdzącego dymu. Fala uderzeniowa z ogromną siłą cisnęła Felixa o ziemię. Ledwo zdawał sobie sprawę z ilości ciał skavenów kotłujących się w ciemności wokół niego. Rąbnął głową o podłoże i stracił przytomność.

Gdy Felix podniósł się ponownie, Gotrek stał w pobliżu gapiąc się w paszczę otwartej jamy. Wokół nich walały się obrzydliwie poszarpane zwłoki skavenów. Felix domyślał się, że był to rezultat eksplozji, albo wysiłków Gotreka. To zresztą nie było istotne. Efekt ostateczny był taki sam.

Za nimi rozległ się nagły, potężny wstrząs. Felix spojrzał do tyłu i zobaczył, jak cała ściana szkoły wali się w gruzy. Co więcej, osobliwe, zielonkawe płomienie szalały w całym budynku. Coś mu mówiło, że żadne wysiłki strażaków nie ugaszą tego pożaru zanim nie wypali się cała jego magiczna furia.

Odwrócił się do Gotreka, zauważając po raz pierwszy wielkie plamy krwi, jakie pokrywały ciało krasnoluda i kapały z jego topora. Gotrek wyszczerzył się w szczerbatym uśmiechu.

– Dorwałem większość z nich. Reszta uciekła – powiedział z pogardą. –

Najwyraźniej stracili serce do walki, gdy zabiłem pierwszych pięćdziesięciu.

– Tak, ale za jaką cenę! Spaliliśmy szkołę do fundamentów! Pomyśl o całej utraconej wiedzy.

– Szkoły daje się odbudować, człeczyno – Zabójca puknął się w głowę grubym paluchem. – Wiedza siedzi tutaj. Mistrzowie i czeladnicy ocaleli.

Wszystko wróci do normy.

– Lepiej zabierajmy się stąd. Wkrótce pojawią się straże.

Oddalili się zmęczonym krokiem. Gdzieś w oddali zaczęły już bić dzwony na alarm.

Heskit uniósł łeb ponad brązową mulistą mazią i wypluł wypełniającą mu pysk cuchnącą wodę ze ścieków. To nie było zbyt przyjemne, pomyślał. Przeżył tylko dzięki temu, że galaretowaty strumień nieczystości osłabił impet wybuchu – tego był pewien. Wyglądało na to, że wszyscy pozostali byli martwi.

On był jednak żywy, to było najważniejsze, co stwierdził brnąc przez wodę uderzeniami łap i szarpnięciami ogona. Teraz musiał tylko znaleźć wyjaśnienie swojej klęski, które będzie możliwe do przyjęcia przez Szarego Proroka. Był bowiem przekonany, że Thanquol dowie się o wszystkim, co wiązało się z misją przeprowadzaną podczas tej nocy.

MNISI ZARAZY Z KLANU PESTILENS

„Rzuciwszy nieco światła na przyczyny katastrofy, która owego przeklętego roku stała się udziałem Szkoły Inżynierów, sądzę, że mogę podjąć następny temat. Podczas tego etapu mego życia zdobyłem więcej wiedzy o nikczemnym pomociu szczuroludzi znanych jako skaveni, niż sobie tego życzyłem. Przekraczało to także granice roztropności. Nawet posiadanie wiedzy, jaką nabyłem, mogło zostać uznane przez niektórych z naszych co bardziej fanatycznych łowców czarownic za wystarczający powód, by spalić mnie na stosie. Często myślałem, że gdyby tacy ludzie okazali choćby połowę gorliwości w prześladowaniu prawdziwych nieprzyjaciół naszego społeczeństwa, jaką używali na ściganie niewinnych uczonych, wówczas nasz świat byłby miejscem bezpieczniejszym i szczęśliwszym. Oczywiście, prawdziwi wrogowie naszego społeczeństwa należeli do rodzaju znacznie bardziej niebezpiecznego od niewinnych uczonych i posiadali sprzymierzeńców postawionych na znacznie wyższych stanowiskach. Pozostawiam moich czytelników, by samodzielnie mogli wysnuć własne wnioski.”

– Fragment z *Moich Podróży Z Gotrekiem*,

Tom III, spisanych przez Herr Felixa Jaegera

(Wydawnictwo Altdorf, rok 2505)

Mężczyzna złapał się za gardło. Wydał z siebie bulgoczące rżenie i przewrócił się. Z jego ust wypływała piana, a z nozdrzy obrzydliwy zielony śluz. Upadł plecami w stertę śmieci i szaleńczo tłukł pięściami w zabłocony chodnik. Nagle opuściły go siły. Kończyny drgnęły w ostatnim spazmie. Umierający jęknął przeciągle i przestał się ruszać.

Ludzie na ulicy, którzy otaczali umierającego, przez chwilę spoglądali na siebie z trwogą, a potem uciekli od ciała tak szybko, jak potrafili.

Żebracy odpełzali od swoich legowisk. Mężczyzna z jedną nogą skakał

oddalając się w panice i zgubił po drodze kule. Sprzedawcy porzucili kramy, gospodynie domowe znikły w swoich domostwach i pozamykały drzwi. Bogaci kupcy popędzali tragarzy lektyk. Ulica opustoszała w ciągu kilku chwil. Wśród zgiełku umykającego tłumu rozbrzmiewało jedno słowo – zaraza!

Felix Jaeger rozejrzał się po opustoszałej nagle ulicy. Wyglądało na to, że nikt nie zamierzał zająć się nieszczęśnikiem i zadanie to przypadło niestety jemu. Okrył swoje usta obdartym płaszczem i ukląkł obok ciała.

Położył dłoń na piersi mężczyzny szukając pulsu. Było za późno. Temu człowiekowi nie można było pomóc – nie żył. Felix miał wystarczająco często do czynienia ze śmiercią, by to wiedzieć.

– Felix, odejdz stamtąd. Boję się. – Felix uniósł wzrok. Obok niego stała Elissa. Miała pobladłą twarz i oczy rozszerzone z przerażenia.

Przesunęła dłonią po swoich kręconych czarnych włosach, a potem położyła ją na ustach.

– Nie ma się czego obawiać – powiedział Felix. – Ten człowiek jest martwy.

– Boję się tego, co go zabiło. Wygląda na to, że wykończyła go ta nowa zaraza.

Felix podniósł się. Jego umysł opanował przesądny lęk. Po raz pierwszy został zmuszony, by zastanowić się nad śmiercią, której był

właśnie świadkiem i powodu ucieczki wszystkich gapiów.

Zarazy były czymś straszliwym. Mogły uderzyć wszędzie, zabić każdego, bogacza lub biedaka. Nikt nie wiedział, co je powodowało.

Niektórzy powiadali, że był to mroczny wpływ Chaosu. Inni twierdzili, że w ten sposób objawiał się gniew bogów karzących grzeszną ludzkość.

Jedynym pewnikiem dotyczącym zarazy był fakt, że niewiele można było zrobić, gdy stało się jej ofiarą. Pozostawała wyłącznie modlitwa. Tak jadowite zarazy zaskakiwały najlepszych lekarzy i najpotężniejszych magów. Felix szybko oddalił się od ciała i podszedł do Elissy, aby ją objąć i uspokoić. Odskokczyła, jakby był zakażony.

– Nie przenoszę w sobie zarazy – powiedział urażony.

– Nigdy nic nie wiadomo.

Felix spojrzał na leżące ciało i zadrzał.

– Z pewnością to nie był szczęśliwy dzień dla tego biedaka – rzekła Elissa.

– Co masz na myśli?

– Spójrz. Do jego szaty przypięta jest czarna róża. Dopiero co był na pogrzebie.

– No cóż, teraz pojedzie na swój własny – odrzekł cicho Felix.

– Dzisiaj to już czwarta śmierć od zarazy. O tym słyszałem –

powiedział Heinz, gdy Felix przekazał mu wieści. – Chłopaki w barze nie rozprawiają o niczym innym. Założyli się, ilu jeszcze padnie przed zmrokiem.

Felix w pewnym stopniu cieszył się z tych wieści. Przez kilka ostatnich dni obywatele mówili tylko o spaleniu Szkoły Inżynierów. Większość twierdziła, że był to sabotaż przeprowadzony przez wyznawców Chaosu, albo przez Bretończyków. Felix stale odczuwał wyrzuty sumienia przypominając sobie własny udział w tym wydarzeniu.

– A ty co o tym myślisz? – zapytał Felix rozglądając się, aby ocenić liczbę obecnych gości. Gospoda

pękała w szwach, a przepychanki już zaczęły zwiększać napięcie. Felix był pewien, że tego wieczora nie unikną kłopotów.

– Postawię moje pieniądze, że będzie dziesięć trupów. W zeszłym roku, gdy nadeszła Czerwona Ospa, w ciągu jednego przedpołudnia zmarło dwudziestu ludzi. No, ale Czerwona Ospa to było coś paskudnego.

Najgorsze od dwudziestu lat. Jednak nic nie wiadomo – ta zaraza może okazać się znacznie gorsza.

– Chciałem cię zapytać, co według ciebie to spowodowało? –

powiedział Felix. – Jak to się przenosi?

– Nie jestem lekarzem, Felixie. Jestem oberżystą. Sądzę, że roznoszą to druciarze i wiedźmy. Tak zwykła mawiać moja stara żona, Lotte.

– Czy myślisz, że mogłem to podłapać od tego nieszczęśnika?

– Możliwe. Nie przejmowałbym się tym. Gdy Stary Morr wyciągnie twoje nazwisko ze swojego wielkiego czarnego kapelusza, nic nie możesz z tym zrobić. Tak właśnie myślę. Jedno jest pewne.

– Co takiego?

– To dobrze robi dla interesów. Jak tylko zbliża się zaraza, ludzie walą do oberży. Chcą jak najszybciej o tym zapomnieć.

– Może chcą umrzeć pijani.

– Są gorsze rodzaje śmierci, młody Felixie.

– Z pewnością.

– No cóż, lepiej zabieraj się stąd i spraw, żeby ci Tileańczycy przestali rzucać się na siebie z nożami. Inaczej zaraz będziemy mogli przyglądać się pięknemu przykładowi tej gorszej śmierci.

– Zajmę się tym.

Felix ruszył naprzód, by szybko przerwać kłótnię. Nie minęło kilka sekund, gdy stanął w obliczu bardziej bezpośredniego niebezpieczeństwa niż zaraza.

– A więc nie boisz się choroby? – zapytał Felix wykonując unik przed ciosem pijanego najemnika.

– Nigdy nie łapię takich rzeczy, człeczyno – odparł Gotrek Gurnisson chwytając za ucho najemnika, po czym ściągnął jego głowę na wysokość swojej własnej i rąbnął mężczyznę czołem. Krew trysnęła z nosa zawiadając kolejną plamę na wielkim grzebieniu czerwonych włosów Zabójcy. – Przeszedłem przez tuzin obłążeń. Ludzie padali jak muchy, mnie nic się nie stało. Krasnoludy zwykle nie poddają się zarazom.

Pozostawiamy to bardziej słabowitym rasom, jak elfy i ludzie.

Felix złapał dwóch sprzeczących się kamratów najemnika za skórę na karkach i podniósł ich w powietrze. Gotrek chwycił jednego, Felix drugiego i wyrzucili obu przez uchylne drzwi, prosto na błotnistą ulicę.

– Najgorszą rzeczą, jaka mi się przydarza, jest podły kac – powiedział

Gotrek. – I nie próbuj wracać! – ryknął w stronę ulicy.

Felix odwrócił się, aby rozejrzeć się po wnętrzu gospody. Zgodnie z przewidywaniami Heinza, przybytek był pełny. Szlachta mieszała się z poławą oprychów i rozpustników z całego miasta. Duża banda najemników, prosto z karawany przybyłej z Middenheim, wydawała pieniądze, jakby jutro miało nie nadejść.

Może mają rację, pomyślał Felix, może nie będzie jutra?. Uliczni prorocy mogli mieć rację. Może nadchodził koniec świata? Z pewnością świat skończył się tego dnia przynajmniej dla tego mężczyzny, który umarł na ulicy.

W przeciwległym rogu dostrzegł Elisę, która rozmawiała z muskularnym młodzieńcem odzianym w proste okrycie chłopa. Ich konwersacja stała się przez chwilę bardzo ożywiona, a potem Elissa odwróciła się, by odejść. Gdy to zrobiła, młody wyciągnął rękę i złapał ją za ramię. Felix ruszył naprzód, aby interweniować. Oblapanie przy barze należało do ryzyka tego zawodu, ale Felix nie lubił, gdy przytrafiało się to Elisie. Dziewczyna odwróciła się i powiedziała coś młodemu mężczyźnie. Ten podniósł rękę i natychmiast ją cofnął wstrząśnięty. Elissa odwróciła się zostawiając go z otwartymi ustami i spojrzeniem pełnym bólu.

Dziewczyna ruszyła dalej z podniesioną głową niosąc tacę pełną osuszonych kufli. Felix chwycił ją za ramię, odwrócił i pocałował w policzek.

– Nie przenoszę zarazy – powiedział, ale ona nadal się wykręcała.

Felix słyszał, jak przy każdym stole rozmawiano tylko o zarazie.

Zdawało się, że w całym przeklętym mieście zabrakło innych tematów do rozmowy.

– Naprawdę, jestem zdrowy – Felix dodał miękko. Odwrócił się i zauważył, że młodzieniec, który rozmawiał z Elisą, spoglądał na niego z gniewem w oczach. Felix czuł pokusę, by podejść i rozmówić się z nim, ale zanim zdołał to uczynić, młody wieśniak wstał i niezbyt pewnym krokiem ruszył w stronę drzwi.

– Wiem, że nie masz zarazy – powiedziała Elissa tuląc się do Felixa na sienniku, jaki dzielili. Wyciągnęła źdźbło słomy wystające z dziury w pościeli i zaczęła łaskotać nim Felixa pod nosem. – Nie musisz mi tego powtarzać. Naprawdę, wolałabym, żebyś już o tym nie mówił.

– Być może próbuję się upewnić – rzekł łapiąc ją za nadgarstek i unieruchamiając dłoń. Wyciągnął drugą rękę i zaczął ją łaskotać.

– Z kim wtedy rozmawiałaś? – zapytał.

– Kiedy?

– Tam w barze. Taki młody mężczyzna. Wyglądał na przybysza prosto ze wsi.

– Och, a więc go widziałaś? – zapytała. Udawała niewinny głosik.

– Owszem.

– To był Hans.

– A kim jest Hans? – zapytał Felix oskarżycielskim tonem.

– To tylko przyjaciel.

– Nie wyglądał na takiego, sądząc po spojrzeniu, jakie mi posłał.

– Byliśmy ze sobą w mojej wiosce, ale on był bardzo zazdrosny i miał okropny charakter.

– Uderzył cię?

– Nie, ale bił każdego, kto na mnie spojrzał. Jemu to się nie podobało.

Starsi wioski mieli tego dosyć i przegonili go. Potem uciekł do miasta, aby szukać swojego szczęścia. Tak powiadał.

– Czy przybył tutaj właśnie po to, żeby cię znaleźć?

– Być może. To było dawno temu, a Nuln to wielkie miasto. Nigdy więcej go nie widziałam, aż do dzisiejszego wieczora, gdy pojawił się w Świni. Nie zmienił się zbytnio.

– Byliście ze sobą blisko?

– Raz.

– Ale teraz nic już was nie łączy?

– Nie – Elissa spojrzała na niego poważnie. – Zadajesz mnóstwo pytań, Felixie Jaegerze.

– Więc spraw, bym ich nie zadawał – powiedział i zaczął ją łapczywie całować. Ale w głębi umysłu nadal zastanawiał się nad Elissą i Hanssem oraz tym, co zaszło między nimi.

Szary Prorok Thanquol pozwolił sobie na kolejną szczyptę proszku ze spaczenia. Oszałamiająco silny narkotyk przeniknął jego ciało falą czystej energii, a ogon skavena wyprężył się w ekstazie. Ogrzewał się w ciepłym żarze triumfu.

Zawiła intryga, jaką utkał, zakończyła się sukcesem, a plan jego rywala, Heskita Jednookiego, który chciał zawładnąć technologicznymi sekretami ludzkiej Szkoły Inżynierów, został pokrzyżowany. Thanauol obnażył kły w szelmowskim uśmiechu myśląc o klęsce Heskita. Sprawił, że dumny inżynier spaczenia czołgał się w pyłe przed całą armią tłumacząc, co się stało. Thanauol zrugął Heskita za narażanie na niebezpieczeństwo gotowej już chwalebnej kampanii, która czekała na atak na Nuln i odesłał go z ogonem podkulonym między nogami.

Teraz Heskita oddalił się do swoich izb, aby przeżywać poniżenie w oczekiwaniu na posiłki, jakie miały przybyć ze Skavenblight jako uzupełnienie wojowników, których stracił na powierzchni. Przy pewnej dozie szczęścia, nie przybędą żadni nowi wojownicy. Możliwe było nawet, że Heskita zostanie wezwany do Skavenblight, aby wytłumaczyć się ze swoich czynów przed przełożonymi. Thanauol miał nadzieję, że dzięki słowu wyszeptanemu do właściwego ucha nastąpi właśnie taki rozwój wydarzeń.

Zasłona, która oddzielała prywatne leże Thanquola od reszty Podziemnych Dróg została odsunięta i do komory wszedł mały skaven.

Thanauol zręcznie skoczył za swój tron. Osobliwy blask mrocznej magii otoczył jego łapę, gdy gromadził energię, aby rozbić intruza na atomy, ale w tej chwili dostrzegł, że to był tylko Lurk Snichtongue. Wstrzymał

zaklęcie.

– Ważne wieści, o najpotężniejszy z potężnych! – zapiszczał Lurk, a potem zamilkł, gdy zauważył aurę magii, jaka otaczała Szarego Proroka. –

Nie! Nie! O najłaskawszy z panów, nie zabijaj mnie! Nie! Nie!

– Nigdy, pod groźbą najstraszliwszej śmierci, przenigdy nie wpadaj więcej do moich komnat bez zapowiedzi – powiedział Thanauol nawet na moment nie osłabiając czujności. W końcu nigdy nie było wiadomo, kiedy mogła przydarzyć się próba zabójstwa. Zazdrośni rywale byli wszędzie.

– Tak! Tak, o najprzenikliwszy z proroków. To się nigdy nie powtórzy.

Tylko, że...

– Tylko, że co?

– Tylko, że przynoszę niezwykle ważne wieści, o wielki.

– Jakież to?

– Słyszałem pogłoski...

– Pogłoski? Nie wdzieraj się do mych świętych komnat, aby opowiadać mi o pogłoskach!

– Pogłoski z nader pewnego źródła, o największy z przywódców.

Thanquol skinął łbem. To było co innego. W ciągu kilku ostatnich dni Thanquol nabrał pewnego szacunku dla gromady informatorów Lurka.

Ten mały skaven posiadał talent do zdobywania informacji, który niemal dorównywał umiejętnościom samego Thanquola.

– Dalej. Mów! Mów! Nie marnuj mego cennego czasu!

– Tak! Tak! Słyszałem plotki, że Vilebroth Null i jego główni akolici opuścili Pod-drogi i ruszyli na powierzchnię do człeczego miasta Nuln, aby tam założyć tajne legowisko.

Thanquol zastanawiał się, co mógł knuć opat Klanu Pestilens? Jego umysł wirował. Co to mogło znaczyć? Niewątpliwie musiała to być jakaś zdrada świętej sprawy skavenów, intryga zmierzająca do przejęcia chwały, która słusznie należała się Thanquolowi.

– Mów dalej!

– Możliwe, że zabrali ze sobą Kocioł Tysiąca Osp!

O nie!, przeraził się Thanquol. Kocioł był jednym z najbardziej potężnych i ohydnych artefaktów, jakie należały do Klanu Pestilens. Od czasów wczesnego szczeniństwa Thanquol słyszał przerażające opowieści o mocach tego przedmiotu. Powiadano, że było to urządzenie służące do warzenia straszliwych plag, artefakt wykradzony ze świątyni Boga Zarazy, Nurgle'a, gdy świat był jeszcze młody i powtórnie poświęcony służbie Rogatemu Szczurowi.

Jeśli kocioł znajdował się gdzieś na powierzchni, to mogło oznaczać tylko jedno – Vilebroth Null zamierzał rozniecić zarazę wśród ludzi. W

normalnych okolicznościach Thanquol cieszyłby się z takiego wydarzenia

– gdyby tylko znajdował się tysiąc mil dalej! Zarazy Klanu Pestilens miały zwyczaj wrywać się spod kontroli i dotykać skavenów na równi z upatrzonymi ofiarami. Tylko sami mnisi zarazy wydawali się na nie odporni. Obecnie zezwolono Klanowi Pestilens na uwalnianie jego dzieł

tylko po specjalnym upoważnieniu udzielanym przez Radę Trzynastu.

Ostatnią rzeczą, jakiej pragnął w tej chwili Thanquol, było zniszczenie jego armii przez rozszalałą zarazę. Jeszcze raz rozważył skutki, jakie to mogło wywołać. Oczywiście, Rada nie będzie ignorować ewentualnego sukcesu akcji Klanu Pestilens. Zaraza mogła osłabić ludzi nie dotykając hordy skavenów. Ale w takim przypadku Rada Trzynastu mogła powiększyć swoje łaski dla Vilebrotha Nulla i cofnąć swoją opiekę nad Thanquolem. Null mógł nawet zostać nagrodzony przywództwem nad oddziałami inwazyjnymi.

Thanquol zamyślił się. Co jeszcze mogło się tu dziać? Jeśli ten plan stanowił ucziwą próbę wsparcia inwazji, dlaczego Thanquol nie został o tym poinformowany? Ostatecznie, to on był najwyższym dowódcą. Nie –

to musiała być jakaś złowroga intryga uknuta przez Nulla w celu przejęcia władzy. Trzeba było coś zrobić w związku z tą zdradą i tak rażącym naruszeniem edyktów Rady Trzynastu.

Nagle we łbie Thanquola zaświtała inna myśl. Jego agenci na powierzchni donosili o nowej i przerażającej zarazie, jaka rozprzestrzeniała się wśród ludzkich nor. Bez wątpienia Vilebroth Null już zaczął wprowadzać w życie swój nikczemny plan. Nie było czasu do stracenia!

– Żwawo! Żwawo! Dokąd pobiegł ten zdradziecki pasożyt?

– Nie wiem, o najwyższy z lordów. Moi agenci nie potrafią tego powiedzieć!

– Biegnij! Żwawo! Żwawo! Uciekaj i dowiedz się.

– W tej chwili, o najbardziej władczy z przywódców!

– Czeka! Czeka! Zanim pójdziesz, przynieś mi pergamin i pióro. Mam pomysł.

– Kichnąłeś! – stwierdziła Elissa.

– Nieprawda! – odparł Felix, doskonale zdając sobie sprawę ze swojego kłamstwa. Szczypały go oczy i ciekło mu z nosa. Poza tym, trochę się pocił. Wydawało mu się, że czuje w gardle pierwsze oznaki słabego swędzenia.

Elissa odkasłała sucho. Osłoniła usta dłonią, ale drżała na całym ciele.

– Zakasłałaś – stwierdził Felix i pożałował swoich słów. W kącikach oczu dziewczyny zaczęły pojawiać się łzy.

– Ach, Felix – powiedziała. – Czy myślisz, że złapaliśmy zarazę?

– Nie. Absolutnie nie – odpowiedział Felix, ale w głębi serca daleki był

od pewności. Ścisnął go zimny strach.

– Ubieraj się – rzucił. – Idziemy odwiedzić doktora.

Doktor ma dzisiaj wiele roboty, to pewne, pomyślał Felix. Kolejka do małego obskurnego gabinetu zaczynała się w połowie ulicy. Zdawało się, że przyszło tam całe miasto. Wszyscy kasłali, kichali, prychnali i spluwali na ulicę. W powietrzu wisiała ledwo powstrzymywana panika. Raz czy dwa, Felix zauważył ludzi, którzy rzucili się do rękoczynów.

To jest beznadziejne, ocenił Felix. W takich okolicznościach nigdy nie zobaczą lekarza, a boczne nawy Świątyni Shallyi pełne były proszących o pomoc. Musiał być lepszy sposób.

– Chodź. Mam pomysł – powiedział łapiąc Elissę za rękę i wyciągnął ją z kolejki.

– Nie, Felbcie. Chcę widzieć się z doktorem.

– Zobaczysz się z nim – nie martw się.

– Felix! Co ty tutaj robisz? – spytał Otto. Nie wyglądał na uradowanego. To nie zmieniło się od chwili, gdy Felix odrzucił jego ofertę powtórnego przyjęcia do rodzinnego interesu i zamiast tego rozpoczął

pracę w gospodzie Pod Ślepą Świnią. Felix uważnie przyjrzał się bratu.

Otto był tego dnia ubrany szczególnie bogato – w szatę z purpurowego brokatu obszytego gronostajem. Widząc ten strój, Felix dotkliwie odczuł, jak bardzo sam był obdarty. Prawie dziesięć minut zajęło mu przekonanie odźwiernych, by wpuścili go i pozwolili zobaczyć się z bratem.

– Pomyślałem, że możesz mi pomóc. – Felix pociągnął nosem. W

pokoju unosił się dziwny zapach korzeni i kwiatów, z rodzaju tych, jakie zwykle widuje się na pogrzebach. Felix zastanawiał się, skąd wydobywał

się ten aromat.

– Oczywiście, zrobię co będę mógł – ostrożnie zapewnił go Otto.

Kupiec w każdym calu, pomyślał Felix, oczekuje na podanie ceny, jaką będzie musiał zapłacić.

– Muszę widzieć się z doktorem.

Oczy Otto przeskoczyły z Felixa na Elisę i z powrotem. Felix niemal dostrzegł myśli formujące się w głowie jego brata.

– Chyba nie narobiłeś kłopotów tej dziewczynie, prawda?

Felix zaśmiał się, po raz pierwszy tego dnia.

– Nie.

– Na czym więc polega ten problem?

Felix szybko opowiedział bratu o człowieku, który umarł na ulicy, o jego własnych symptomach i długich kolejkach do medyków i w Świątyni Shallyi. Otto splótł palce i słuchał uważnie, od czasu do czasu bawiąc się pomanderem z brązu, który podnosił do nosa mocno wciągając powietrze.

Felix domyślił się źródła zapachu w komnacie.

– Co to takiego? – spytał.

– Pomander z dzikiego korzenia i srebrnej przyprawy z Dalekiego Kataju. Te opary są najlepszym lekarstwem na wszystkie unoszące się w powietrzu fluidy i złe humory. W każdym razie, tak zapewnia mnie doktor Drexler. Może zechcesz tego spróbować?

Zdjął łańcuszek z szyi i wyciągnął w stronę Felixa małą sferę z otworami. Zapach był bardzo silny. Grzecznie podał przedmiot Elissie. Ta podniosła go do nosa i mocno pociągnęła nosem. Zaniósła się kaszlem.

– Istotnie, przeczyszczają nozdrza – wystękała z łzawiącymi oczami.

Felix wziął pomander i zaciągnął się głęboko. Natychmiast przekonał

się, że Elissa miała rację. Opary przecinały powietrze niczym nóż. Miały ostry, miętowy zapach i niemal natychmiast wrażenie ciepła przeniknęło jego głowę i klatkę piersiową. Poczul, że nos staje się czystszy i łatwiej mu było złapać oddech.

– Bardzo dobre – stęknął, oddając pachnidło. – Ale czy możesz nam pomóc dostać się do doktora?

Otto ściągnął wargi.

– Oczywiście, Felixie. Jesteś moim bratem.

– A Elissa?

– Ona też pójdzie z nami.

To zadziwiające jak pieniądze potrafią wyprostować wszystkie ścieżki, pomyślał Felix rozglądając się po gabinecie doktora Drexlera. Gdyby nie nazwisko Otto, służący zapewne nie wpuściliby go za drzwi luksusowo wyposażonego domu doktora. Felix musiał przyznać, że to miejsce było imponujące.

Na pokrytych dębowymi panelami ścianach wisiały oprawione w ramki dyplomy z uniwersytetów w Nuln, Altdorfie i Marienbergu oraz ręcznie wypisane świadectwa od zapewne połowy koronowanych głów Imperium.

Wielki portret poczciwego doktora, namalowany przez słynnego Kleinmanna, zajmował miejsce pomiędzy nimi. Oczywiście, wysokość wynagrodzeń pobieranych przez Drexlera z pewnością pozwalała mu na korzystanie z usług wielkiego portrecisty.

Felix zerknął w stronę przedsionka. Doktor i Elissa znajdowali się w gabinecie. Felix musiał poczekać na zewnątrz. Podniósł się z wygodnego skórzanego fotela i rozejrzał się.

Wzdłuż ściany ustawiono zbiór wielkich szklanych słoików, które pasowałyby raczej do sklepu alchemika. Półki na książki zapełniały stare tomy oprawione w skórę. Felix wyciągnął jeden z nich. To było *Der Natur Malorum*, Johannes Voormana. Pierwsze wydanie, ni mniej ni więcej.

Strony zostały porozcinane, co oznaczało, że ktoś księgę czytał. To nie była tylko dekoracja na witrynę sklepową prosto od intrologatora. Felix odczytał inne tytuły i zaskoczony stwierdził, że tylko połowa z nich dotyczyła medycyny lub alchemii. Pozostałe zajmowały się różnymi tematami, od historii naturalnej do ruchów sfer niebieskich. Wyglądało na to, że doktor istotnie jest czytany człowiekiem.

– Jest pan uczonym, Herr Jaeger?

Felix odwrócił się i zobaczył Drexlera, który wychodził z gabinetu. Był

to niski, szczupły mężczyzna o podłużnej, sympatycznej twarzy okolonej krótką, dobrze przystryżoną brodą. Przypominał raczej bogatego kupca niż lekarza. Jego ubranie było równie bogate, jak strój Otto. Nie było na nim widać żadnych śladów krwi. Felix nie potrafił nawet doszukać się tradycyjnego słoja pijawek.

– Czytywałem co nieco – przyznał.

– To dobrze. Człowiek przy każdej okazji powinien rozwijać swój umysł.

– Co z Elisą?

Drexler zdjął okulary, chuchnął na nie, po czym wypolerował je rąbkiem szaty. Uśmiechnął się uspokajająco.

– Wszystko w porządku. Ma lekki katar. Nic więcej.

Felix zrozumiał, dlaczego bogacze tak chętnie płacili za usługi tego człowieka. W jego łagodnym cichym głosie i delikatnym uśmiechu było coś niezwykle uspokajającego.

– A zatem, nie ma zarazy?

– Nie. To nie zaraza. Żadnych dymienic. Żadnych zmian patologicznych. Żadnych ropiejących wrzodów na skórze. Nie znajduję zwykłych symptomów żadnej z groźniejszych chorób. Tego jestem pewien.

Elissa wyszła z pokoju przyjęć. Uśmiechnęła się do Felixa. Ten zmusił

się, by odwzajemnić uśmiech.

– Rozumiem, że wczoraj stykał się pan z nosicielem zarazy, Herr Jaeger? – spytał doktor, nagle poważniejąc.

– Tak.

– Może zatem rzucę na pana okiem? Proszę pokazać mi ramię.

W ciągu kilku następnych minut doktor przeprowadził różne tajemnicze rytuały, których Felix nigdy wcześniej nie widział. Doktor dotknął jego nadgarstka i liczył spoglądając na ścienny chronometr. Silnie opukał pierś Felixa. Spojrzał w oczy przez lupę.

Felix nie spodziewał się tego. Gdzie się podziały skalpele, maści i pijawki? Czy ten mężczyzna był jakimś szarlatanem? Z pewnością nie przypominał żadnego z cyrulików, jakich Felix spotykał do tej pory. Na przykład, jego ubranie nie było brudne i pokryte zaskorupiałą krwią.

Mężczyzna był opalony, co było niezwykle dla kogoś, kto spędzał tak wiele czasu w zamkniętym pomieszczeniu. Felix zapytał o to, a Drexler spojrzał na niego przenikliwie.

– Spędziłem trochę czasu w Arabii – powiedział Drexler. –

Studiowałem medycynę w wielkiej Szkole w Kah Sabar.

Felix spojrzał na ścianę. Nie zauważył dyplomu żadnego arabskiego uniwersytetu. Drexler najwyraźniej odgadł jego myśli, ponieważ zaśmiał

się.

– W Kah Sabar nie wydają dyplomów! Gdy kończysz szkołę, albo jesteś uzdrowicielem, albo nie. Jeśli nim nie jesteś, żaden papier go z ciebie nie zrobi.

– Słuszna uwaga. Ale czegoż można się tam nauczyć, czego nie można dowiedzieć się tu, w Imperium?

Podobnie jak wszyscy obywatele mocarstwa, Felix uważał Imperium za najbardziej zaawansowany i oświecony naród ludzki na powierzchni planety. Nie wyobrażał sobie, by Arabowie mogli czegokolwiek nauczyć jego rodaków. Elfy i krasnoludy z pewnością tak – ale nie Arabowie.

– Wielu rzeczy, przyjacielu. Włącznie z faktem, że nie posiadamy monopolu na mądrość, a większość z tego, czego uczą nasi doktorzy, jest po prostu niesłuszne.

– Co takiego, na przykład?

– No cóż, ja nie upuszczam krwi moim pacjentom. To wyrządza więcej szkody niż dobrego.

Felix w jednej chwili poczuł ulgę i zaskoczenie. Ulżyło mu, ponieważ podobnie jak większość ludzi lękał się skalpela lekarza. Był wstrząśnięty, ponieważ ten człowiek najwyraźniej był szarlatanem! Wszyscy wiedzieli, że wykrwawianie było niezbędne do usunięcia złych humorów z krwi i przyspieszenia powrotu do zdrowia. A jednak Otto utrzymywał, że to najlepszy doktor w Nuln i uleczył więcej ludzi niż wszyscy pozostali cyrulicy i chirurdzy razem wzięci. Co więcej, Drexler rzeczywiście zdawał

się człowiekiem bardzo kulturalnym i wykształconym.

– Czy uważa pan, że mam zarazę? – zapytał nagle Felix, zaskoczony strachem i niecierpliwością, która ogarnęła go w oczekiwaniu na odpowiedź Drexlera.

– Nie, Herr Jaeger, nie zaraził się pan. Myślę, że jest pan lekko przeziębiony, nic więcej. Przypuszczam, że dotyczy to większości ludzi w tym mieście, którzy przekonani są o tym, że dopadła ich zaraza i myślę, że panika, jaką wywołuje takie przekonanie, powoduje więcej złego niż sama choroba.

– Czy wobec tego uważa pan, że zaraza istnieje naprawdę?

– Ach, oczywiście, wierzę, że jest ona realna. Myślę, że zabierze wiele ofiar, gdy nadejdą upały lata i więcej ludzi przybędzie ze wsi. Ale wiem, że pan nie jest chory, ani żaden z bogatych ludzi, którzy mnie odwiedzają.

Gdyby pan zachorował, już byłby pan martwy lub umierający.

– Wtedy łatwo by było postawić diagnozę – powiedział oschle Felix.

Drexler roześmiał się jeszcze raz.

– Dam panu i Fraulein Elissie taki sam ziołowy pomander, jaki przepisałem pańskiemu bratu i jego rodzinie. Zioła chronią przed emanacjami zarazy. Zawarłem w nim także kilka zaklęć.

– Jest pan zatem nie tylko medykiem, ale również magikiem?

– Jestem uzdrowicielem, Herr Jaeger i używam wszelkich środków, aby jak najlepiej pomóc moim pacjentom. Zajmuję się zaklęciami z rodzaju tych, jakie zapewniają ochronę zdrowia. Nie mogę całkowicie zagwarantować ich skuteczności, sam pan rozumie, ale powinny pomóc w przypadku zagrożenia kontaktem z zarazą.

– Dziękuję za to.

– Proszę nie mnie dziękować, Herr Jaeger. Niech pan podziękuje swojemu bratu. W końcu to on opłaca mój rachunek.

Gdy Felix ruszył do wyjścia, zauważył, że Drexler przygląda mu się uważnie. Jego twarz pobladła, a oczy poszarzały.

– Co się stało? – zapytał Felix.

– Ten... ten miecz, który pan nosi. Czy mógłby mi pan opowiedzieć, gdzie go pan zdobył?

– Ależ oczywiście. Należał do przyjaciela, templariusza Płonącego Serca, imieniem Aldred. Zginął, a ja zabrałem oręż licząc na to, że któregoś dnia zwrócę go zakonowi. Czemu pan pyta?

– Był pan przyjacielem Aldreda?

– Podróżowaliśmy razem przez Księstwa Graniczne. Zginął podczas wykonywania misji.

– Znałem Aldreda. Byliśmy przyjaciółmi od dawna. Razem studiowaliśmy w Seminarium Sigmarskim. Od długiego czasu nic o nim nie słyszałem.

– W takim razie, przykro mi, że przynoszę tak smutne wieści.

– Czy umarł dobrą śmiercią?

– Umarł jak bohater.

– Tego właśnie pragnął. Przepraszam, że zajmuję pana tą sprawą, Herr Jaeger.

– Nie, to mnie jest przykro, że muszę donieść tak złe nowiny.

– To bardzo miły człowiek – powiedziała Elissa. – I taki mądry. Bardzo uspokajający.

– Co powiedziałaś?

Felix spojrzał na nią. Zastanawiał się nad dziwnym zbiegiem okoliczności. Drexler także znał zmarłego templariusza i Felix czuł się nieco winny, że nie podjął większego wysiłku w celu zwrócenia miecza.

Była to jednak doskonała broń, która niejedną raz uratowała mu życie.

– Powiedziałaś, że on jest bardzo uspokajający.

– Rzeczywiście, bardzo. – Felix spojrzał na nią z ukosa. Wyśpiewywała pochwały dla doktora przez całą drogę powrotną do gospody Pod Ślepą Świnia, a jej dłoń niemal nie odrywała się od zielowego pomandera. Felix zastanawiał się, czy było możliwe, że zaczął odczuwać zazdrość.

Właściwie zgadzał się z kobietą, ale z jakiegoś powodu ciężko mu było przyznać się do tego. Elissa najwyraźniej to wyczuwała. Spojrzała na niego i uśmiechnęła się zalotnie.

– Co takiego, Felixie? Jesteś zazdrosny?

Czemu kobiety zawsze muszą posiadać ten niesamowity instynkt w tych sprawach, zastanawiał się zaprzeczywszy burkliwie.

Gotrek uniósł wzrok, gdy weszli do oberży. W masywnej pięści trzymał zwinięty rulon. Rzucił go Felixowi.

– Łapaj – powiedział.

Felix schwycił tubę w powietrzu i od razu rozpoznał, co to było.

Pergamin wykonano z tego samego lichego materiału, jak poprzednią wiadomość, którą otrzymali. Tę, która ostrzegła ich przed atakiem na Szkołę Inżynierii. Szybko odwinął zwój i nie był zaskoczony odkrywając, że list spisany został niemal tymi samymi, ledwo czytelnymi gryzmołami.

„Pszyjaciele – Rogaty Szczur bendzie gryśł wnentszności faszego mniasta. Nie wiedzieć jak ani chzie planujom to zrobić. Mogem tylko żec cobyżcie zwarzali na Hociol tysiomca ospuf.”

– Dostarczono to, kiedy ciebie nie było – powiedział Gotrek.

– Ten sam kurier?

– Nie, jakiś inny żebrak. Twierdzi, że dał mu to mnich.

- Wierysz mu?
 - Nie widzę powodów, by nie wierzyć, człeczyno. Kazałem mu pokazać, gdzie spotkał tego mnicha. To było blisko miejsca, skąd pochodziła ostatnia wiadomość.
 - Czy uważasz, że powinniśmy sprawdzić kanały ściekowe w tamtej okolicy?
 - O czym mówisz, Felix? – zapytała Elissa.
 - Skaveni – rzucił srogo Gotrek, a twarz dziewczyny pobladła.
 - Chyba nie o tych stworach, które zaatakowały nas tamtej nocy?
 - O tych samych.
 - Co oni mają wspólnego z tobą i Felixem?
 - Nie wiem dziewczyno, sam chciałbym wiedzieć. Zdaje się, że zostaliśmy wplątani w jakieś rozgrywki między nimi.
 - Żałuję, że mi to powiedziałaś.
 - Żałuję, że ty jej to powiedziałaś – dodał Felix.
 - Myślisz, że mogą znowu zaatakować Świnię? – zapytała Elissa spoglądając na drzwi i okna, jakby spodziewała się ataku w każdej chwili.
 - Wątpię – powiedział Gotrek. – A jeśli to zrobią, po prostu zaszlachtujemy ich jeszcze raz.
- Elissa usiadła na krześle obok Zabójcy. Krasnolud przechylił głowę na bok i uśmiechnął się, pokazując kilka ubytków w uzębieniu.
- Nie obawiaj się, dziewczyno. Nic ci się nie stanie.
- Wygląd Gotreka zazwyczaj nie działał uspokajająco na Felixa, ale jego słowa chyba ucieszyły Elisę.
- Myślisz, że skaveni mogą mieć coś wspólnego z tą nową zarazą? – wyszeptał Felix, mając nadzieję, że nikt ich nie usłyszy.
 - Nasi szczurowaci przyjaciele zapewne chcieliby, żebyśmy w to wierzyli.
 - Dlaczego, wobec tego, nie napisał nam nic więcej?
 - Być może sam nic więcej nie wie, człeczyno?

Thanquol na próżno wpatrywał się w swój kryształ jasnowidzenia. Nie udało mu się znaleźć

mnichów zarazy, ani ich przeklętego kotła, a to nie było uspokajające. Prorok dysponujący jego mocą, który przeprowadził

właściwe rytuały i w prawidłowy sposób oddał cześć Rogatemu Szczurowi, powinien z łatwością wykryć artefakt o takiej potędze. Mimo tego, nigdzie nie znalazł żadnego śladu jego posiadaczy. Dla bystrego umysłu Thanquola było jasne, co to oznaczało – tamci użyli swojej magii, aby zatrzeć ślady. Wiedział, że Vilebroth Null był potężnym czarnoksiężnikiem w swojej specjalności i zapewne przywołał zaklęcia osłaniające. To oznaczało kolejny dowód jego zdrady – jakby jeszcze ich było za mało!

Oczywiście, zdrajca wytłumaczy się, że użył magii, aby uniknąć wykrycia przez ludzkie władze, ale Thanquol potrafił przejrzeć tak oczywisty podstęp. Nie urodził się wczoraj. Mnisi zarazy usiłowali ukryć się przed swym prawowitym przywódcą, aby wykonać podły plan i przejąć chwałę, która do nich nie należała.

Thanquol wiedział, że musi temu zapobiec za wszelką cenę i dopilnować wypełnienia edyktu Rady Trzynastu. Zamierzał znaleźć inny sposób, by odszukać swoje ofiary. Ciekawiło go, czy krasnolud i jego ludzki sprzymierzeniec podjęli już jakieś działania. A może byli na tyle głupi, że zrobili coś, zanim otrzymali zachętę ze strony Thanquola?

Felix biegł przez mrok opatulony płaszczem. Zatrzymał się, aby rzucić okiem przez ramię i powąchać pomander wypełniony ziołami. Jego nozdrza zaatakował zapach nocnych nieczystości, które ktoś wylał z wysoka przez okno. Uważał, by w to nie wdepnąć, tak samo jak starał się nie potknąć o jeden ze stosów śmieci, jakie leżały rozkładając się na ulicy.

Zastanawiał się, dlaczego nie wszystkie domy były połączone z kanałami ściekowymi? Dlaczego ludzie stale wyrzucali odpadki i nieczystości prosto na ulicę? Nagle zdał sobie sprawę, że jego długie podróże z Gotrekiem przez dzikie ostępy zmieniły go. Wcześniej był

urodzonym mieszczuchem i nigdy nie zauważyłby śmieci, jakie zatykały miejskie ulice. Zatrzymał się na moment, by nasłuchiwać.

Wydawało mu się, że usłyszał dalekie echo kroków. Czy ktoś go śledził? Wysiłał słuch, ale niczego nie usłyszał.

Cisza nie uspokajała go. To była najbogatsza dzielnica Nuln, ale nawet bogaci nie zagłębiali się w ciemności bez eskorty pełnego oddziału ochroniarzy. Wszędzie czaiły się opryszki i złodzieje. Felixa niepokoiła nie tylko groźba zwykłego, powszedniego rozboju. Od czasu nocnego ataku skavenów lękał się kolejnej zasadzki szczuro-ludzi zabójców. Był

pewien, że ostatni atak przetrwał tylko dzięki łutowi szczęścia i doskonale zdawał sobie sprawę, jak szybko fortuna potrafiła odwrócić się od człowieka.

Nagle zrozumiał całą powagę sytuacji. Ryzykował, że stanie się ofiarą napaści w środku ciemnej nocy. Potrzebował pomocy i znał tylko jedno miejsce, które mogło zapewnić mu pomoc, jakiej potrzebował. Drzwi, jakich szukał, pojawiły się dokładnie przed nim. Drexler był ekspertem od

zarazy i mógł powiedzieć Felixowi coś użytecznego, o ile skaveni rzeczywiście stali za wybuchem tej epidemii. Podejrzewał, że doktor mógł

uznać go za szalonego, ale był przygotowany na taką możliwość. Felix wpadł w poważne kłopoty zadzierając z przeciwnikiem, który używał

paskudnych plag w taki sposób, w jaki człowiek używa swojego miecza.

Poszukiwał wiedzy, a Drexler zaimponował mu jako człowiek, który mógł

wiedzieć naprawdę dużo.

Wyciągnął rękę i pociągnął za rączkę kołatki u drzwi. Zauważył, że odlano ją w kształcie szczerzącej zęby głowy gargulca. To samo w sobie nie było niczym nadzwyczajnym, ale ten wygląd przejmował go lękiem w tym miejscu i w tej chwili, pośród nocy i mgły. Usłyszał kroki wewnątrz budynku, po czym z chrobotem otworzył się judasz w drzwiach. Na wysokości oczu Felixa pojawił się blady poblask światła.

– Kto tam? – zapytał głos. Felix rozpoznał służącego Drexlera.

– Felix Jaeger. Muszę zobaczyć się z doktorem Drexlerem.

– Czy to coś pilnego?

Felix zastanowił się przez chwilę, zanim odpowiedział.

– Tak!

– Proszę odsunąć się od drzwi i czekać spokojnie. Mamy broń palną.

Felix wykonał polecenie. Usłyszał odsuwane ciężkie zasuwki i szczekanie wielkich psów. Najwyraźniej lekarz nie lubił ryzykować własnego bezpieczeństwa, czemu Felix wcale się nie dziwił. Takie zabezpieczenia były jedynym rozsądnym zachowaniem w wielkich miastach Imperium.

– Proszę odsłonić kaptur i stanąć tak, abym mógł się panu przyjrzeć.

Felix wykonał, co mu kazano i promień latarni błysnął mu w twarz.

Zobaczył, że stary mężczyzna poznał go.

– Proszę mi wybaczyć, Herr Jaeger – powiedział lokaj. – Nigdy dość przezorności w obecnych czasach.

– Zgadzam się całkowicie – odparł Felix. – A teraz proszę mnie zaprowadzić do mistrza. Przychodzę w pilnej sprawie.

Drexler siedział przy ogniu w wielkim gabinecie. Migoczące płomienie podświetlały mu twarz i

nadawały demoniczny wygląd. Pochylił się i pogrzebaczem szturchnął rozżarzone węgle, które rozpadły się. Potem dodał jeszcze kilka z wiadra obok paleniska. Gdy uniósł wzrok, płomienie odbijały się w jego okularach. Wyglądało to osobliwie.

– A zatem, jak mogę panu pomóc, Herr Jaeger? – powiedział

spokojnym głosem i uśmiechnął się. – Nie wydaje się pan chory. Czy chodzi o dziewczynę?

Felix rozejrzał się po pokoju. Służący już odszedł, a grube arabskie kobierce stłumiły jego kroki. To była imponująca komnata, jeszcze większa od biblioteki jego ojca w Altdorfie. Mieściła również znacznie większy wybór książek. Bystre oczy Felixa przeszukiwały ciemne rogi pokoju, jakby spodziewając się znaleźć tam wrogów, a potem obróciły się i spojrzały na Drexlera.

– Co pan wie o skavenach? – zapytał bez ogródek.

Drexler zeszywniał na moment, a potem pieczołowicie odłożył

pogrzebacz na stojak. Zdjął okulary, wytarł je o mankiet szaty i zamyślił

się poważnie nad odpowiedzią.

– Jest to rasa szczuroludzi, uważana przez wielu uczonych za wymarłą.

Spengler uważa, że stanowili odłam ludzkich mutacji. Leiber wysunął

teorię, która głosiła, że mogą być produktem starożytnej magii. Powiada się, że w dawnych czasach wojowały z krasnoludami, ale...

– Ja wiem, że one nie są wymarłe.

Drexler spojrzał ostrym wzrokiem na Felixa.

– Wie pan?

– Tak. Walczyłem z nimi. One są tutaj. W Nuln.

Drexler zasiadł z powrotem na krześle, umieścił okulary na grzbiecie nosa i zacisnął obie dłonie na oparciach krzesła.

– Proszę usiąść. Zainteresował mnie pan.

Felix usiadł na krześle stojącym naprzeciw Drexlera. Żar z paleniska rozgrzał jedno z oparc mebla i siedzenie w tej pozycji było uciążliwe.

Felix odsunął się nieco od ognia, a potem zaczął mówić. Opowiedział

Drexlerowi o swojej pracy w straży kanałowej i o spotkaniu ze szczuroludźmi w tunelach pod

miastem. Pomiął tylko fakt, że włamali się do domu Fritza von Halstadta, po czym go zabili. Opowiedział o ataku skavenów na gospodę Pod Ślepą Świnia, który uważał za pewnego rodzaju próbę rewanzu podjętego przez szczuroludzi. Nie wspomniał tylko, że na koniec wraz Gotrekiem walczyli z nimi także w Szkole Inżynierii tej nocy, gdy budynek został doszczętnie spalony. Drexler patrzył na niego z rosnącym zdumieniem. Odezwał się dopiero, gdy Felix skończył.

– Herr Jaeger, jeśli to wszystko jest prawdą, dlaczego nie usłyszałem nic więcej na ten temat? Dlaczego władze nie reagowały?

– Nie wiem. Może skaveni mają sprzymierzeńców na wysokich stanowiskach? – pomyślał o Fritzu von Halstadt. Jak wielu jemu podobnych ludzi mogło zajmować wysokie pozycje we władzach Nuln i reszty Imperium? – Czasami zdaje mi się, że w naszym społeczeństwie istnieje spisek mający na celu ukrycie skutków działania Chaosu i jego wytworów.

Zauważył, że Drexler wyprostował się lekko słysząc słowo „spisek”, ale wzmianka o Chaosie najwyraźniej go nie zaniepokoiła.

– Gdybym nie miał wątpliwości, że jest pan rozsądnym człowiekiem, podejrzewałbym, że jest pan obłąkany – powiedział Drexler. – Z

pewnością, część z tego, o czym pan opowiada, brzmi jak bełkot szaleńca.

– Wiem o tym – odparł Felix. – Niestety, to wszystko prawda.

– Niewątpliwie, jest to możliwe. W Arabii szczuroludzi nie uważa się za legendę. Rozmawiałem z kilkoma krasnoludami, którzy twierdzili, że spotkali te stwory. Elfi żeglarze także opowiadają historie o potędze szczuroludzi. Ale nadal nie rozumiem, dlaczego przyszedł pan do mnie, by podzielić się swoją opowieścią?

Felix wręczył mu list dostarczony Gotrekowi. Drexler rozwinął go i przeczytał cicho.

– Klan Pestilens – odezwał się wreszcie. – Tak, czytałem o nich.

– Co takiego?

– Klan Pestilens. Niektóre stare księgi, zwłaszcza „Wstrętni Szczuroludzie i Cały Ich Podły Ród” Leibera, twierdzą, że skaveni są podzieleni na wiele różnych klanów. Każdy z nich pełni swoją rolę w społeczeństwie skavenów i posiada własną, unikalną formę czarodziejstwa. Leiber uważa, że Klan Pestilens to twórcy zarazy. Posuwa się nawet do twierdzenia, że to oni byli odpowiedzialni za Wielką Zarazę roku 1111. Jeśli ktoś, kto przesłał ten list, jest oszustem, z pewnością jest bardzo oczytany. Wątpię, czy w Imperium znalazłoby się więcej niż dwudziestu ludzi, którzy w tej chwili posiadają własną kopię księgi Leibera.

– A pan ją posiada?

– Tak. Znalazłem odnośnik do teorii Leibera na temat Wielkiej Zarazy w pracy Moraveca i wyszukałem ten tom. Żywię, jak może pan to nazwać, pewne zawodowe zainteresowanie tymi

sprawami.

– Czy mogę to zobaczyć?

– Oczywiście. Ale najpierw muszę zadać panu kilka pytań.

– Naturalnie. Proszę pytać!

– Czy naprawdę wierzy pan, że skaveni mogą stać za wybuchem nowej zarazy w mieście?

– Tak. Z tego co widziałem, wnioskuję, że pasuje to do ich metody prowadzenia walki. Sądzę, że mogą przeprowadzać jakieś zaplanowane działania i wkrótce nasz świat nie będzie wątpił w ich istnienie.

– To zgadzałoby się z teoriami Leibera.

– Co ma pan na myśli? – Felix uniósł wzrok.

– Leiber twierdzi, że skaveni mają bardzo wysoki poziom przyrostu naturalnego, a gdy warunki są sprzyjające, ich populacja wzrasta lawinowo. W takich czasach pożerają całą żywność we własnych królestwach i muszą szukać pożywienia oraz zasobów gdzieś indziej.

Wówczas głodnymi hordami wdzierają się na powierzchnię świata. A potem walczą, aż do zwycięstwa, albo dopóki zginie tak wielu z nich, że ponownie mogą utrzymać swoje królestwo.

– Muszę przeczytać tę książkę.

– Tak. Jest bardzo interesująca. Autor postawił także inne tezy, które bardzo trudno udowodnić.

– Jakie na przykład?

– Twierdzi, że te erupcje agresji zwykle są skorelowane z dziwnymi zakłóceniami orbity i niezwykle zachowaniem Morrslieba, mniejszego księżycy.

– Takie jak to, jakie poprzedziło Wielką Zarazę w 1111?

– Jest pan czytany człowiekiem, Herr Jaeger. Owszem, podobne wydarzenia miały miejsce przed Wielką Inwazją Chaosu dwieście lat temu. Zdaje się, że kolejne zakłócenia mogą wystąpić w najbliższym czasie.

– Tak twierdzą wszyscy wróżbiarze i astrologowie.

– W tej sprawie mogą mieć rację.

– Czy ma pan jeszcze jakieś pytania?

– Owszem, ale mogą poczekać. Widzę, że z niecierpliwością oczekuje pan na możliwość zagłębienia

się w dziele Leibera, a daleki jestem od tego, by stawać między kolegą uczonym a interesującymi go księgami.

Drexler wziął małe przenośne schodki i latarnię, po czym ruszyli wzdłuż rzędów ksiąg, aż do przeciwległego kąta pokoju. Drexler wyciągnął z najwyższej półki stary tom oprawiony w skórę, ujmując go z czcią oburącz. Zdmuchnął z tomu cienką warstwę kurzu i wręczył księgę Felixowi.

– Tam jest stół i lampa do czytania. Zostawię pana na jakiś czas. Mam jeszcze nieco pracy. – Felix skinął głową całkowicie pochłonięty entuzjazmem wywołanym przez znalezienie tego tomiszcza.

Księga była ciężka. Tytuł i nazwisko autora wytłoczono w złocie na wytartym grzbiecie tomu. Dwa masywne zawiasy z brązu utrzymywały na miejscu okładki i pomagały odchyłać je na boki. Felix usiadł przy stole i zapalił lampę od świeczki. Przekręcił małe pokrętło przy podstawie lampy, aby wysunąć knot na pełną długość, po czym ponownie założył przesłonę na płomień. Powietrze wypełnił intensywny zapach aromatycznego oleju, a Felix zaczął czytać.

Na stronie tytułowej księgi odczytał, że została wydrukowana przez Wydawnictwo Altdorf, ponad dwieście osiemdziesiąt lat wcześniej. To oznaczało, że Leiber najprawdopodobniej żył podczas ostatniego wielkiego najazdu Chaosu, lub przynajmniej znał ludzi, którzy wówczas żyli. Możliwie było nawet, że doświadczył bezpośrednich kontaktów ze szczuroludźmi.

W trakcie czytania okazało się, że jego przypuszczenia były słuszne...

We wstępie autor napisał o spotkaniu z hordą szczuroludzi podczas Wielkiej Wojny z Chaosem. W odróżnieniu od swoich kolegów, Leiber był przekonany, że nie są oni zaledwie nową formą zwierzoludzi, ale stanowią całkowicie odrębną rasę. Leiber poświęcił następne dziesięć lat swojego życia na wyszukiwanie wszelkich informacji na ich temat.

Powoływał się na różne uczone źródła, takie jak Schtutt, van Hal i Krueger, do którego Felix postanowił jeszcze powrócić później.

Książka była podzielona na krótkie rozdziały, z których każdy zajmował się wybranym aspektem struktury społeczeństwa skavenów i jego różnych klanów. Felix przeczytał z przerażeniem, jak Leiber śledził

nikczemne eksperymenty Klanu Moulder na żywych stworzeniach zmieniające je w okropne, zmutowane potwory. W szczuroludziach, których napotkał z Gotrekiem w Szkole Inżynierii, rozpoznał

rzemieślników Klanu Skryre. Stworzenie, które nasłało na nich potwora w domostwie von Halstadta, było określane jako Szary Prorok – ktoś w rodzaju złowrogiego kapłana. Książkę Leibera można było uważać za dzieło żałosnego maniaka, ale wszystko co napisał odpowiadało z trudem zdobytym doświadczeniom Felixa. Mimo, że uczone wypadł z łask, okazało się jednak, że miał rację.

Felix zwrócił szczególną uwagę na rozdział poświęcony Klanowi Pestilens, mówiący o tym, że skaveni tworzą zarazy i używają przerażających urządzeń wszelkiego rodzaju, aby roznosić swoje paskudne choroby. Opisy Wrzodziency i Pchlich Dymienic wywoływały ciarki na skórze. Czytał o

sprawach bardziej przerażających niż cokolwiek, o czym myślał.

Obok niego pojawił się cień. Felix uniósł głowę i zobaczył stojącego nad nim Drexlera. Zdał sobie sprawę, że musiał czytać przez kilka godzin w półmroku. Oczy bolały go od wysiłku.

– Czy znalazł pan to, czego szukał? – zapytał Drexler.

– Więcej, niż chciałbym znaleźć.

– Dobrze. Proszę przyjść do mnie jutro. Może będę w stanie panu pomóc. Proszę zabrać ze sobą książkę, jeśli pan chce.

– Pomóc mi? Jak?

– Odwiedzimy miejską kostnicę.

– W czym to pomoże?

– Zobaczy pan jutro, Herr Jaeger. Teraz proszę iść do domu i przespać się.

Gotrek spojrzął znad talerza na Felixa, który wchodził do gospody Pod Ślepą Świnia.

– Spójrzcie, cóż to za kot tam się zakrada! – zakpił i wepchał do ust kawał czarnego chleba.

Elissa uniosła wzrok.

– Och, Felixie! Tak się martwiłam. Powiedziałeś, że wrócisz za parę godzin, a jest już prawie świt. Myślałam, że dopadli cię szczuroludzie.

Felix położył książkę na stole i objął kibić kobiety.

– Nic mi się nie stało. Musiałem tylko znaleźć parę rzeczy.

– „Wstrętni Szczuroludzie i Cały Ich Podły Ród” – powiedział Gotrek przekręcając głowę i odczytując tytuł z grzbietu książki.

Elissa spojrzała na niego zaskoczona.

– Nie wiedziałam, że potrafisz czytać – powiedziała.

Gotrek wyszczerzył się pokazując czarne pieńki zębów. Otworzył

książkę tłustym paluchem i zaczął przewracać strony, aż znalazł rozdział

poświęcony Klanowi Pestilens.

– Ten Leiber wiedział, o czym pisze. Musiał konsultować to ze źródłami krasnoludzkimi.

– Tak, tak – odparł rozdrażniony Felix. – Z pewnością.

– Skąd to masz, człeczyno?

– Od doktora Drexlera.

– Nasz przyjaciel Drexler to człek o wielu zainteresowaniach, skoro posiada takie książki.

– Będziesz miał szansę sam się o tym przekonać.

– Czyżby? Jakże to?

– Ponieważ pójdziemy z nim do kostnicy.

Szary Prorok Thanquol biegał w kółko, drepcząc po podłodze swojej nory niczym jeden ze schwytych ludzi, którzy harowali w kieratach młynów Skavenblight. Jego umysł pracował coraz szybciej pod ciśnieniem wielkiej ilości zażytego proszku ze spaczenia.

A jednak ci nikczemni zdrajcy z Klanu Pestilens nadal wymykali się jego poszukiwaniom. Ich czarodziejstwo okazało się skuteczne nawet wobec najbardziej wyrafinowanych i potężnych zaklęć jasnowidzenia.

Szpiedzy Thanquola nie byli w stanie dowiedzieć się czegokolwiek o położeniu ich kryjówki, bez względu na to, jak dokładnie węszyli. To wszystko było bardzo frustrujące. W głębi swej duszy Thanquol dostrzegł

ze złowieszczą pewnością, że coraz bliższa była godzina, w której plan mnichów zarazy zostanie wprowadzony w życie. Wiedział, że musi być na to przygotowany, gdyż w przeszłości podobne przecucia nigdy go nie zawiodły. Był w końcu Szarym Prorokiem.

Umysł Thanquola opanowało straszne przecucie zbliżającej się zagłady. Chciał szukać kryjówki, zaszyć się gdzieś, ale w tej chwili nie potrafił pomyśleć o żadnym odpowiednim schronieniu.

Zaraza, myślał. Zaraza się zbliża.

– Dzień dobry, doktorze Drexler – powiedział kapłan Morra i zakasłał.

Spojrzał znad stołu w alkowie przy wejściu do miejskiej kostnicy. Jego twarz okrywał czarny kaptur, nadając mu wygląd równie złowieszczy jak bóstwo, któremu służył. Powietrze wypełniał zapach czarnych róż, świeżo zerwanych z Ogrodów Morra. – Czego pan sobie życzy?

– Chciałbym obejrzeć ciała ostatnich ofiar zarazy.

Felix był zaskoczony spokojem, z jakim doktor wyraził swoją prośbę.

Większość ludzi w mieście wolałaby raczej uciec o tysiąc mil niż zrobić to, o co prosił doktor. Kapłan najwyraźniej także pomyślał to samo.

Sciągnął kaptur pokazując blade, kościste oblicze okolone krótką, czarną brodą.

– To niezwykła prośba – powiedział. – Muszę porozmawiać z moimi przełożonymi.

– Jak sobie życzycie – rzekł Drexler. – Powiedzcie im, że pragnę tylko upewnić się, czy wszystkie ofiary zmarły na skutek tej samej zarazy, czy też tego lata mamy do czynienia z kilkoma różnymi chorobami.

Kapłan skinął głową i wycofał się w ocienione głębie świątyni. W

oddali rozległo się ponure bicie wielkiego dzwonu. Felix wiedział, że gdzieś zaczynał się kolejny pogrzeb.

– Arcylektor powiada, że możecie wejść – powiedział kapłan. –

Jednakże poprosił mnie również, bym powiedział panu, iż większość ciał

już zostało wysłanych na wieczny spoczynek w Ogradach Morra. Mamy tylko cztery zwłoki, które przyniesiono ostatniej nocy.

– To powinno wystarczyć – powiedział Drexler. – Mam nadzieję.

Felix, Gotrek i doktor Drexler zapłacili ceremonialnego miedziaka i założyli na siebie czarne szaty oraz nakrycia głowy Morra. To była poświęcona ziemia, a kapłan kazał im to uczynić. Szaty najwyraźniej zostały wykonane z myślą o ludziach i brzegi odzienia Gotreka ciągnęły się po podłodze. Bez zbędnego słowa zanurzyli się w ponurym wnętrzu domu pogrzebowego.

Było tam zimno i ciemno. Podłogi były czyste, wymyte jakimiś świętymi maściami. Wszędzie unosił się zapach olejku z czarnych róż.

Tego Felix nie spodziewał się. Myślał, że zastanie zgniliznę i smród zepsutego mięsa. Oczekiwał zapachu śmierci.

Centralna komnata domu Boga Śmierci wypełniona była marmurowymi blokami. Na każdym bloku leżało ciało. Felix odwrócił

wzrok. Ciała należały do ludzi, którzy umarli w nienaturalnych okolicznościach i wymagały specjalnych rytuałów, jakie miały zapewnić ich duszom bezpieczne przejście w zaświaty. Wiele z nich nie wyglądało zbyt pięknie. Na jednym z bloków leżało sine i nabrzmiałe ciało rybaka, który zapewne niedawno został wyłowiony z Reiku. Na innym spoczywał

trup kobiety ohydnie pociętej i pokaleczonej przez jakiegoś szaleńca.

Minęli zwłoki dziecka, które, jak zauważył Felix przyglądając się uważniej, miało głowę odciętą od ciała. Szybko odwrócił spojrzenie.

W tym pomieszczeniu smród przebijał się przez zapach kadzidła i maści. Felix zauważył szybko, że

ich kaptury posiadały specjalny skrawek materiału, który można było zawiązać na ustach i nozdrzach. Dopasowali zasłony, aby odizolować się od zepsutego powietrza, po czym przeszli do komory, w której znajdowały się ciała ofiar zarazy. W pobliżu stało dwóch kapłanów z zamkniętymi oczami i kadzielnicami w dłoniach. Mruczełi modlitwy za zmarłych i nie okazywali strachu przed tym, co ich zabiło.

Felix przypuszczał, że kapłani mogli oswoić się ze strachem podczas swoich częstych kontaktów ze śmiercią. A może po prostu nie obawiali się umrzeć? W końcu byli kapłanami Boga Śmierci i mieli zapewnione specjalne traktowanie w życiu pozagrobowym. Felix postanowił, że jeśli spotka później jednego z tych kapłanów, musi go o to zapytać. Był ciekaw, w jaki sposób udało im się osiągnąć taki hart ducha.

Drexler zbliżył się ostrożnie do podwyższeń i zamienił z kapłanami kilka słów oraz monet. Ci skinęli głowami, przerwali swoje mruczenie i oddalili się. Drexler bez zbędnych ceregieli ściągnął prześcieradło z najbliższego ciała. Były to zwłoki niskiego mężczyzny, kupca ubranego w najlepsze szaty. Czarna róża tkwiła zatknięta w klapie jego okrycia.

Wyglądał na dziwnie obnażonego i bezbronego wobec śmierci. Od czasu zgonu został już umyty.

– Kilka otarć na dłoniach i kolanach oraz na czole – zauważył Drexler.

– Najwyraźniej powstały na skutek upadku mężczyzny podczas ostatnich spazmów przedśmiertnych.

Felix pomyślał o agonii mężczyzny, którego widział na ulicy i zrozumiał, jak do tego doszło.

– Zauważcie wydęte obszary na klatce piersiowej i gardle oraz cienką skorupę zielonego śluzu na górnej wardze i nozdrzach.

Drexler odsunął palcami powieki zmarłego. Także wokół oczu widoczne były delikatne ślady zieleni.

– Jestem pewien, że gdybym przeprowadził sekcję zwłok, na co nie pozwolą mi nasi świątynni przyjaciele, zobaczylibyśmy, że płuca są wypełnione zielonym, lepkiem płynem. To właśnie zabiło ofiarę.

Dosłownie utonął w tym śluzie.

– Straszna śmierć – rzekł Felix.

– Moje doświadczenie wskazuje, że niewiele chorób zabija w przyjemny sposób, Herr Jaeger – stwierdził Drexler. Podszedł do drugiego ciała i ściągnął prześcieradło. To były zwłoki kobiety w średnim wieku, ubranej w czarny strój. Jej oczy były otwarte i wpatrywały się w sufit z przerażeniem. Na policzkach i wokół oczu widoczne były ślady różu i barwiczki. Felix uznał to za dość żalospną próbę poprawienia wyglądu kogoś, kto był już martwy.

– Przynajmniej ubrała się w odpowiednim kolorze – niezbyt taktownie zauważył Gotrek.

Drexler wzruszył ramionami.

– To strój wdowy. Jej mąż musiał umrzeć nie wcześniej, jak rok temu, albo coś koło tego. Teraz do niego dołączyła.

Przesunął się do następnego bloku i zbadał ciało małego dziecka.

Zauważalne było rodzinne podobieństwo do zmarłej wdowy. Drexler spojrzął na kawałek papieru wokół szyi dziecka.

– Córka. Zdaje się, że ta rodzina nie miała szczęścia.

Odwrócił się i spojrzął na Felixa.

– Niestety, nie widzę nic nadzwyczajnego. Dość często zdarza się, że plagi i inne zarazy rozpleniają się wśród rodzin i ogólnie, atakują tych, którzy mieszkają razem. Zdaje się, że ta choroba przenosi się dokładnie w ten sam sposób, jak zwykły katar.

Felix pociągnął nosem.

– Czego dokładnie tutaj szukamy, Herr Drexler?

– Zgodności. Czegoś niezwykłego. Czegoś, co powie nam, czy istnieje jakiś wspólny czynnik, który łączy te wszystkie biedne ofiary.

– Czy to może nam w czymś pomóc? – spytał Gotrek.

Felix znał już odpowiedź.

– Jeśli dowiemy się, w jaki sposób rozprzestrzenia się zaraza, będziemy mogli podjąć kroki, aby ją zatrzymać. A jeśli rzeczywiście pochodzi od skavenów, będziemy mogli wysledzić jej źródła.

– Bardzo dobrze, Herr Jaeger. To w pewien sposób przypomina rozwiązywanie zagadki albo tajemnicy morderstwa. Trzeba umieć znaleźć wskazówki, aby w ten sposób sformułować oskarżenie.

– Dostrzegłeś pan już jakieś wskazówki? – zapytał Gotrek.

Drexler zdjął prześcieradło z ostatniego ciała. Był to młody człowiek, ledwo po dwudziestce. Felix nagle dobitnie poczuł własną śmiertelność.

Ofiary zarazy wcale nie musiały być starsze od niego.

– Jest coś? – spytał Felix. Miał sucho w ustach.

– Niestety nie – powiedział Drexler i odwrócił się do wyjścia.

Po pobycie w mroku kostnicy światło słoneczne wydawało się niemożliwie jasne. Po ciszy sal śmierci kakofonia ulicy była niezwykle głośna. W porównaniu z subtelnymi zapachami grobowców smród miasta był powalający. Felixowi ciekło z nosa i bolały go stawy. To nie jest zaraza, powtarzał

sobie obracając w palcach pomander, to tylko lekkie przeziębienie. Przypomniał sobie pytania, których nie zdążył zadać.

– Dlaczego kapłani Morra nie cierpią na wszelkie zarazy i choroby, jakie zabiły klientów świątyni? Czy ich bóstwo rozciąga nad nimi jakąś specjalną ochronę?

– Nie wiem. Ich mauzoleum jest czyste i dobrze umyte, a moje doświadczenie dowodzi, że to powstrzymuje rozwój zarazy. To kapłani, a zatem są dobrze odżywieni i wypoczęci, a to bardzo pomaga.

– Naprawdę?

– O, tak. Smutek, napięcie, złe warunki życia, brud, niewłaściwe pożywienie – wszystko to wpływa na rozszerzanie się zarazy, a czasami decyduje, kto ją przetrwa.

– Czemu tak się dzieje?

– Nie wiem. Mogę tylko powiedzieć, że zauważyłem, iż jest to prawda.

– A zatem, uważa pan, że te rzeczy czynią kapłanów Morra odpornymi na zarazę?

– Nie powiedziałem, że są odporni, Herr Jaeger. Od czasu do czasu jeden z nich zapada na chorobę.

– A potem co?

– Potem idzie do swojego boga, niewątpliwie ciesząc się specjalną dyspensą w życiu pozagrobowym, dzięki sile swojej wiary.

– To nie jest zbyt uspokajające – powiedział Felix.

– Jeśli chce pan ukojenia, Herr Jaeger, proszę porozmawiać z kapłanem. Ja jestem lekarzem i niestety muszę wracać, by zarabiać na życie. Przykro mi, jeśli nie mogę służyć większą pomocą.

Felix skłonił się przed nim.

– Był pan już bardzo pomocny, Herr doktor. Dziękuję za poświęcony czas.

Drexler odpowiedział ukłonem i skierował się do wyjścia. W ostatniej chwili odwrócił się.

– Proszę mnie powiadomić o rozwoju sytuacji – rzekł. – Niech pan szuka zgodności i wzoru.

– Tak zrobię – powiedział Felix.

– Ja zamierzam poszukać piwa – rzekł Gotrek.

– Myślę, że to może być dobry pomysł – stwierdził Felix nagle desperacko pragnąc wypłukać smak kostnicy z ust.

Felix zajrzał w głąb trzeciego piwa i zamyślił się nad tym, co oglądali.

Trochę bolała go głowa. Powtarzał sobie, że był to skutek przeziębienia, a piwo pomagało uśmierzyć ból. Gotrek rozwalił się obok ognia i gapił w płomienie. Heinz stał za barem szykując się do przyjęcia wieczornej klienteli. Reszta wykidajłów piastowała swoje napoje i zabawiała się w rzucanie nożem przy następnym stole.

Felix był zatroskany. Czuł się zmieszany i ogłupiony. Wiedział, że musi istnieć jakaś zgodność, ale jej nie dostrzegał. Wyglądało na to, że coś niewidzialnego i zabójczego uśmierca ludzi z Nuln i nic nie może przeciw temu wskórać. To było frustrujące. Niemal pragnął następnego najazdu rynsztokowców, albo jakiegokolwiek ataku skaveńskich wojowników.

Potrafił walczyć z tym, co widzialne. Ściśle mówiąc, jeśli on coś widział, Zabójca potrafił z tym walczyć i najprawdopodobniej to pokonać. Felix zauważył, że myślenie nie było ich najmocniejszą stroną.

Niegdyś z dumą uważał się za mądrego i dobrze wykształconego człowieka, uczonego i poetę. Ale podczas jego wędrówek wiele się zmieniło. Nie pamiętał ostatniego razu, gdy przyłożył pióro do papieru, a zeszła noc była pierwszą od bardzo długiego czasu, podczas której otworzył książkę w celach naukowych. Głęboko wszedł w rolę wędrownego, najemnego awanturnika, a jego umysł najwyraźniej poddał

się lenistwu.

Wiedział, że to zaszło już daleko. Nie był badaczem o umyśle ostrym jak nóż, w rodzaju tych, jacy pojawiali się w sztukach Detlefa Siercka.

Uczciwie mówiąc, nie wierzył, by w prawdziwym życiu sprawy miały się w ten sposób jak w teatrze, gdzie wskazówki powiązane były w piękne łańcuchy logiczne, nieodmiennie prowadzące prosto do rozwiązania. Życie było bardziej skomplikowane. Sprawy rzadko były proste, a jeśli rzeczywiście istniały jakieś wskazówki, zwykle doprowadzały do znacznie więcej niż jednej, oczywistej i logicznej interpretacji.

Pomyślał o Drexlerze. Jak dotąd, doktor nie zrobił nic, aby im pomóc, ale łatwo było wysunąć ponure uzasadnienie pobudek jego działań.

Posiadał zbyt dużo wiedzy niechętnie widzianej w Imperium i to samo w sobie było podejrzane. W innych, bardziej konserwatywnych częściach królestw ludzkich, już posiadanie ksiąg, jakie zgromadził Drexler, byłoby powodem, by spalić go na stosie. Czytanie tych tomów gwarantowało, że łowca czarownic wykonałby egzekucję bez procesu.

A jednak, Felix sam przeczytał jedną z tych ksiąg i wiedział, że ten człowiek nie był przyjacielem Chaosu. Czy Drexler nie płynął w tej samej łodzi? Przecież mógł po prostu być tym, na kogo wyglądał, to jest człowiekiem zajmującym się gromadzeniem wszelkiej wiedzy, bez względu na jej źródła, jaka pomagała mu w wykonywaniu jego powołania, którym było leczenie ludzi? To wszystko jest zbyt trudne, pomyślał Felix.

Piwo zaczynało mącić mu w głowie.

W głębi serca wiedział jednak, że musiało istnieć wspólne ogniwo łączące zgony wszystkich tych ludzi. Był pewien, że widzieli już na to dowody, ale okazali się zbyt głupi, by domyśleć się, czym one są. Jak na razie, jedynym wspólnym elementem, jaki potrafił znaleźć, był fakt, że wszyscy skończyli w Salach Umarłych, w świątyni Morra, a to nie była żadna wskazówka. Każdy mężczyzna i każda kobieta musiał znaleźć się kiedyś na drodze do Ogrodów Morra. Każdy obywatel Nuln pewnego dnia znajdzie się na tym wielkim cmentarzu.

Chciało mu się ponuro zaśmiać nad tymi rozmyślaniami, ale nagle pewna myśl wydała mu się sensowna. Zaraz! Istniało powiązanie między większością ludzi, którzy, jak wiedział, umarli od zarazy. Mężczyzna, którego widział na ulicy dwa dni wcześniej nosił czarną różę. Inna ofiara, w kostnicy, także miała czarną różę, tradycyjny symbol żałoby. Kobieta i jej dziecko były wdową i sierotą. Tylko ostatnia osoba nie pasowała to tego wątku myślowego, ale może gdyby poszukał dokładniej, znalazłby rozwiązanie?

Co to mogło oznaczać? Czy Świątynia Morra była zamieszana w rozprzestrzenianie zarazy? Czy zepsucie sięgnęło aż tak głęboko? Felix wątpił w to. Pierwsza z ofiar, jaką zobaczył, właśnie wracała z pogrzebu.

Czy to samo stało się z pozostałymi? Z pewnością dotyczyło to osób noszących różę. A matka i dziecko? Jeszcze nie był pewien, ale znał

sposób, by się tego dowiedzieć. Odchylił się na krzesło i klepnął w ramię Gotreka.

– Musimy wrócić do Świątyni Morra – powiedział.

– Zaczynasz wyrabiać w sobie chorobliwe przywiązanie do tego miejsca?

– Nie. Myślę, że tam może znajdować się klucz do tajemnicy tej zarazy.

Gdy przybyli do świątyni, było już ciemno. To nie miało znaczenia.

Wrota były otworzone, latarnie zapalone. Kapłani niezmordowanie przypominali, że wrota do królestwa Morra zawsze pozostawały otwarte, a nikt nie potrafił określić, kiedy przez nie przejdzie.

Felix poprosił o rozmowę z kapłanem, z którym widział się wcześniej.

Miał szczęście. Kapłan nadal czekał na gości. Odrobina ofiarowanego srebra przekonała ich, że kapłan zawsze był chętny do rozmowy. Felixa i Zabójcę zaprowadzono do małego, ascetycznie urządzonego przedpokoju.

Wzdłuż ścian były ustawione książki. Przypominały księgi rachunkowe, jakie zapełniały ściany w biurze ojca Felixa. W pewnym sensie, tym właśnie były. Zawierały nazwiska i notatki o zmarłych. Felix nie wątpił, że mieściły w sobie zapiski o darczyńcach opłacających pogrzeby i modlitwy ofiarowywane w świątyni. Spotkał się już wcześniej z kapłanami Morra.

– A zatem, jest pan asystentem doktora Drexlera? – zapytał kapłan.

– Tak. Można tak powiedzieć.

– Można tak powiedzieć?

– Pomagamy mu w badaniach dotyczących zarazy. Staramy się znaleźć sposób, by ją powstrzymać.

Kapłan pozwolił sobie na nieznaczny, smutny uśmiech.

– A zatem, nie wiem, czy powinienem wam pomóc.

– Dlaczego?

– Ponieważ to zaszkodziłoby naszym interesom.

Widząc spojrzenie wstrząśniętego Felixa odkaszlnął grzecznie.

– To tylko taka mała próbka czarnego humoru – powiedział wreszcie.

– Wyglądacie na zmęczonego – rzekł Felix, by przerwać ciszę. Kapłan rozkasłał się sucho. – I chorego.

– Po prawdzie, nie czuję się zbyt dobrze, a to był długi dzień. Brat, który powinien mnie zastąpić, sam zachorował i leży w swojej celi klasztornej. Nie czuł się dobrze od czasu, gdy prowadził wczorajszy pogrzeb.

Felix i Gotrek wymienili spojrzenia.

Felix skinął uprzejmie głową. Gotrek warknął.

– Pański, hmm, towarzysz nie wygląda na lekarza, Herr Jaeger – rzekł

kapłan.

– Pomaga mi przy ciężkiej pracy.

– Oczywiście. No cóż, w czym mogę pomóc?

– Muszę dowiedzieć się czegoś więcej o ludziach, których dziś rano oglądał doktor Drexler.

– Nie ma problemu – kapłan puknął w oprawioną w skórę księgę, która leżała przed nim. – Wszelkie istotne szczegóły zawarte są w tym tomie.

Czego dokładnie chce się pan dowiedzieć?

– Czy ktoś ze zmarłych nie brał ostatnio udziału w jakimś pogrzebie?

- Frau Koch i jej córka. Sam prowadziłem pogrzeb Herr Kocha w zeszłym tygodniu, w Ogrodach.
- A ten drugi dzentelmen.
- Nie, nie sędzę. To nie jest człowiek, któremu pozwolilibyśmy na udział w naszych uroczystościach. Za wyjątkiem jego własnego pogrzebu, oczywiście.
- Jak to? Myślałem, że każdy może wejść do Ogródów Morra.
- Niezupełnie. Herr Gruenwald należał do pewnej, ohydnej grupy przestępców, którzy zarabiają na życie okradając rodzinne krypty i kradnąc ciała, by je sprzedawać chirurgom i nekromantom. Został objęty zakazem wejścia na ten teren. Nigdy nie pozwolono by mu na przejście przez bramy ogrodu, pod karą najwyższej grzywny.
- To znaczy śmierci.
- Dokładnie.
- A mężczyzna noszący czarną różę?
- Sprawdzę w rejestrach. Podejrzewam, że biorąc pod uwagę jego ozdobę, on także niedawno uczestniczył w pogrzebie. Pan nie jest z Nuln, Herr Jaeger, nieprawdaż? Poznaję po pańskim akcencie.
- To prawda. Pochodzę z Altdorfu.
- Wobec tego, może pan nie wiedzieć, że miejscowy obyczaj wymaga wybrania jednej z czarnych róż Ogrodu Boga Śmierci, aby wziąć udział w odprawianych tu ceremoniach.
- Myślałem, że ludzie kupują je od kwiaciarzy.
- Nie. Te róże rosną tylko w Ogrodach i nie wolno ich sprzedawać.

Na kilka minut zapadło milczenie, gdy kapłan studiował rejestry.

- Zgadza się. Jego siostra zmarła w zeszłym tygodniu. Została pochowana w Ogrodach Morra. Czy mogę zrobić dla pana coś jeszcze? –

zapytał uprzejmie.

- Nie. Myślę, że to wystarczy w zupełności.
- Czy może mi pan powiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi?
- Nie w tej chwili. Jestem pewien, że doktor Drexler wyjaśni to, gdy w pełni sformułuje swoją teorię.

– Proszę go o to poprosić, Herr Jaeger.

Gdy wychodzili, kapłan niemal zgiął się w pół od ataku kaszlu.

– Ty mi powiedz, o co w tym wszystkim chodzi, człeczyno? –

powiedział Gotrek, gdy wyszli na ulicę. Felix rozejrzał się, by upewnić się, że nikt nie był na tyle blisko, żeby ich usłyszeć.

– Wszyscy znani nam ludzie, którzy zmarli od zarazy, odwiedzili ostatnio Ogrody Morra. Najpewniej także złodziej cmentarny.

– Więc?

– To jedyna zgodność, jaką dostrzegam, a Drexler powiedział nam, żebyśmy jej szukali.

– To nie wydaje się prawdopodobne, człeczyno.

– Masz jakieś lepsze pomysły? – zapytał Felix pozwalając, by w jego głosie pojawiła się nuta frustracji. Zabójca zastanawiał się przez chwilę, po czym potrząsnął głową.

– Myślisz, że nasi mali szczurowaci przyjaciele warzą choróbska na miejskim cmentarzu?

– Możliwe.

– Jest tylko jeden sposób, by to sprawdzić.

– Wiem.

– Kiedy?

– Dziś w nocy. Po pracy. Wtedy będzie spokojnie i będziemy mogli się rozejrzeć.

Felix wzdrygnął się. Potrafił sobie wyobrazić wiele miejsc, w których wolałby się znaleźć, zamiast skradać się po głównym cmentarzu miasta, o północy, w otoczeniu gromady skavenów. Nie mógł jednak zrobić nic innego. Gdyby opowiedzieliby o tym władzom, te z pewnością by im nie uwierzyły. Skaveni mogli dowiedzieć się o ich obecności i przyspieszyć swoje działania. Przynajmniej był pewien, że tam nie mogło przebywać zbyt wielu szczuroludzi. Mała armia obozująca na cmentarzu zostałaaby zauważona. Miał nadzieję, że skaveni okażą się na tyle nieliczni, by topór Zabójcy dał sobie z nimi radę.

Felix ufał naprawdę głęboko, że tak będzie.

Wrota Ogrodów Morra nie były otwarte. Stalowe belki przegradzały portal zamknięty ciężkimi łańcuchami, które spinała kłódka. Małych drzwiczek wejściowych pilnował nocny stróż, który siedział grzejąc ręce nad kociołkiem. Wysokie mury otaczające miejskie cmentarzysko zakończone były kolcami. Felixa zastanowił ten widok. W pewien sposób cmentarz przypominał fortecę, ale nie

był jasne, czy te mury miały zatrzymywać wchodzących rabusiów, czy też wychodzących martwych.

Jak sobie przypominał, historia знаła przypadki, gdy martwi nie spali spokojnie w swoich grobach.

Felix pomyślał, że to była kwestia pierwotnego strachu. Coś musiało oddzielać martwych od żywych. W tym przypadku fizyczna bariera działała uspokajająco. Oczywiście, inaczej było, gdy ktoś chciał włamać się do środka, tak jak Felix, który nocą usiłował zakraść się tam z Zabójcą.

Co ja tutaj robię, zastanawiał się Felix. Powinien być w domu, w gospodzie, dzieląc siennik z Elisą, po skończonej pracy. Żadnego skradania się w cieniach, przygotowań do wejścia na teren miejskiego cmentarza – co było przestępstwem, za które groziła kara kilkunastu lat więzienia oraz intercyza ze świątyni Morra.

Z pewnością musiał istnieć jakiś łatwiejszy sposób. Z pewnością ktoś inny potrafił tym się zająć. Ale Felix wiedział, że to nieprawda. Jeśli on i Gotrek nie będą polować na skavenów, kto inny weźmie się za to? Tylko oni byli dość szaleni, by wplątać się w takie kłopoty. Jeśli nie zrobią oni, nie zrobi tego nikt inny.

Władze zdawały się przymykać oko na zło, jakie panoszyło się wokół.

Najlepszym możliwym wyjaśnieniem tego faktu, było założenie, że urzędnicy pozostawali ignorantami albo zostali zastraszeni. Najgorszą interpretacją była zmowa z Mocami Ciemności. Ilu jeszcze Fritzów von Halstadtów zajmowało zaufane stanowiska w całym Imperium?

Najprawdopodobniej nigdy nie miał się tego dowiedzieć. Wszystko, co mógł zrobić, to wykonać swoje zadanie. Dokończyć sprawy, które były związane z nim samym i Zabójcą oraz mieć nadzieję, że wszystko pójdzie dobrze.

Co innego mógł uczynić? Gdyby opuścił miasto, zaraza mogła rozprzestrzenić się i zabrać Heinza, Otto i Elisę, a także inne osoby, jakie znał w tym mieście i o które się troskał. Możliwe, że umrą tysiące, jeśli on i Zabójca nie rozwiążą tej zagadki.

Musiał szczerze przyznać przed sobą, że myśl o odpowiedzialności podniecała go na równi ze strachem, jaki odczuwał. W pewien sposób czuł

się jak bohater opowieści, jakie czytał, gdy był dzieckiem. Został

zamieszany w intrygę i niebezpieczeństwo, a stawka była wysoka.

Niestety, w odróżnieniu od tamtych opowieści, ryzyko było nader realne. Z łatwością można było sobie wyobrazić, że on i Zabójca zawiodą, a wówczas śmierć zbierze swoje żniwo. To właśnie ta myśl, a nie zimne nocne powietrze sprawiła, że zadrzał.

Szli wzdłuż murów cmentarza, aż znaleźli dogodne miejsce, pogrążone w ciemnościach. Felix upewnił się, że latarnia, którą niósł, była bezpiecznie przypięta do zaczepu na pasie od miecza. Podskoczył, złapał

jeden z metalowych kolców i podciągnął się na szczyt muru. Miał

nadzieję, że kolce służyły tylko do ozdoby i nie miały innego przeznaczenia.

Księżyc przebił się przez chmury i Felix zobaczył cmentarzysko. W

srebrnym świetle był to osobliwy widok. Mgła kłębiła się. Nagrobki wychylały się nad oparami podobne do wysp unoszących się nad posępnym morzem. Drzewa pochylały się niczym potężne ogry, wznosząc ręce z gałęzi ku czci Mrocznych Bóstw. Gdzieś w oddali zabłysła latarnia nocnego stróża, a potem zgasła, gdy jej właściciel wrócił do stróżówki być może zaniepokojony z jakiegoś powodu. Felix miał nadzieję, że nigdy nie dowie się, jaki to był powód. Powietrze stało nieruchome. Felix nie był

pewien, czy jego czoło zraszał pot, czy tylko krople mgły.

Ta wyprawa w żadnym wypadku nie mogła dopomóc mu w zwalczeniu przeziębienia i chciał mu się śmiać, gdy o tym pomyślał. Cofnął się, gdy ostrze wielkiego topora Gotreka wykonując łuk w powietrzu zaczepiło o kamień za nim i Zabójca użył broni, by wdrapać się na mur. Krasnolud był

szybki i zaskakująco zwinny, gdy była potrzeba i jak zauważył Felix, kiedy był w miarę trzeźwy.

– Ruszajmy – mruknął.

Zeskoczyli w cichy cmentarz.

Wokół majaczyły kamienie nagrobne. Niektóre były przewrócone. Inne zarosły chwasty i krzaki czarnych róż. Widoczne tu i tam wyryte inskrypcje były ledwie czytelne w świetle księżyca. Groby ustawiono w długich rzędach, niczym ulice umarłych. Stare sękate drzewa osłaniały je cieniem. Wszędzie unosiła się upiorna mgła, czasami gęstniejąc tak bardzo, że jej kłęby zasłaniały widok. Powietrze wypełniał zapach czarnych róż. Za dnia Ogród Morra mógł uchodzić za przyjemne miejsce, ale nocą umysł Felixa zbyt szybko opanowywały myśli o duchach.

Łatwo było wyobrazić sobie niezliczone ciała rozkładające się pod ziemią, robaki ryjące w gnijących zwłokach i puste oczodoły trupów. W

tym miejscu wystarczał mały przeskok wyobraźni, by ujrzeć ciała wychodzące spod ziemi, kościane ręce sięgające w górę przez trawę niczym palce tonących pływaków, które pojawiały się nad powierzchnią morza.

Bezskutecznie usiłował wyrzucić te myśli z głowy. Sam był świadkiem dziwnych wydarzeń. Widział już chodzące trupy na wzgórzach Księstw Granicznych, podczas przekłętej wędrówki przez owe opustoszałe ziemie, razem z wygnaną rodziną von Diehl. Wiedział, że stara mroczna magia była w stanie wzbudzić w umarłych żalosne pozory życia i przekląć ich straszliwym łaknieniem ciała i krwi żyjących.

Powtarzał sobie, że stąpał po świętej ziemi poświęconej Morrowi, a Bóg Śmierci ochraniał swoich podopiecznych przed tak okropnymi zdarzeniami. Ale to były dziwne czasy i Felix słyszał straszne

opowieści, które zapewniały, że moce Starych Bogów słabną wraz ze wzrostem potęgi Chaosu. Powtarzał sobie, że takie rzeczy mogły zdarzać się w odległych krainach, takich jak Kislev, który graniczył z Pustkowiami Chaosu, natomiast Nuln znajdowało się w sercu Imperium stanowiąc jądro ludzkiej cywilizacji. Lecz część jego świadomości szeptała, że Chaos dotarł także tutaj, a wszystkie ziemie zamieszkałe przez ludzi były do cna przeżarte zgnilizną.

Zerknął na Gotreka szukając pokrzepienia. Zabójca wyglądał na nieustraszonego. Wyraz surowej determinacji rysował się na jego twarzy.

Topór czekał gotowy do walki, a krasnolud stał w miejscu poruszając nosem, z uniesioną głową nasłuchując dźwięków w ciemności.

– Wiele dziwnych zapachów unosi się tej nocy – powiedział krasnolud.

– Słysząc wiele dziwnych hałasów. To ruchliwe miejsce, jak na kościany ogródek.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Coś tutaj się rusza. Coś dziwnego wisi w powietrzu. Mnóstwo szurów pod ziemią. Miałeś rację, co do tego miejsca, człeczyno.

– Cudownie – rzekł Felix rozmyślając, dlaczego zawsze musi mieć rację, gdy najmniej tego chce. – Ruszajmy się. Musimy znaleźć teren, na którym znajdują się świeże groby. Tam właśnie odbywają się pogrzeby. I moim zdaniem właśnie stamtąd pochodzi zaraza.

Poruszali się między grobami, a Felix z wolna zdawał sobie sprawę, że Ogrody Morra istotnie były prawdziwą nekropolią, miastem umarłych.

Miały własne dzielnice i swoje pałace, dokładnie tak, jak miasto na zewnątrz. Była tam dzielnica biedoty, obszar, gdzie biedaków wrzucano do nieoznaczonych, bezimiennych grobów. Widział wspaniale utrzymane groby, w których chowano bogatych przedstawicieli średnich warstw społecznych. Współzawodniczyły ze sobą w ozdobności kamieni nagrobnych, w ten sam sposób, w jaki zazdrośni sąsiedzi rywalizowali za życia. Skrzydlaci święci uzbrojeni w kamienne miecze unosili księgi z wypisanymi nazwiskami i profesjami umarłych. Kamienne smoki pochylały się nad ostatnimi miejscami spoczynku kupców, niczym psy strzegące kości. Zakapturzone, dzierżące kosy figury Morra stały na warcie nad obeliskami z czarnego marmuru. W oddali Felix dostrzegł

wielkie marmurowe mauzolea bogatych szlachciców. Po śmierci zamieszkiwali w pałacach, tak jak w życiu doczesnym.

Tu i tam altanki były zarośnięte czarnymi różami. Ich chorobliwie słodki zapach zaatakował nozdrza Felixa. Czasami można było zauważyć listy lub upominki i inne pamiątki pozostawione zmarłym przez żyjących.

Przytłaczający smutek zaczął mieszać się ze strachem Felixa. To wszystko stanowiło przejmujące przypomnienie daremności ludzkiego życia. Nie miało znaczenia, jak bardzo bogaci lub przedsiębiorczy byli ludzie, którzy leżeli w tych grobach. Teraz już odeszli. Tak jak któregoś dnia

odejdzie Felix. W pewien sposób rozumiał pragnienie Zabójcy, by pozostać zapamiętanym. Życie spisane jest na piasku, pomyślał, a wiatr rozwiewa jego ziarenka.

Wybrali miejsce w pobliżu otwartych grobów i ukryli się za kilkoma przewróconymi kamieniami nagrobnymi. Nozdrza Felixa wypełniał

zapach świeżo wykopanej ziemi. Zimno mgły kasało go przez ubranie.

Czuł wilgoć na spodniach w miejscach, gdzie stykały się ze zroszonymi roślinami. Naciągnął na siebie płaszcz chroniąc się przed zimnem, a potem znieruchomiał w oczekiwaniu.

Felix spojrzał w niebo. Księżyc znajdował się dalej niż w połowie swojej drogi, ale nadal nic się nie wydarzyło. Wszystko, co udało mu się usłyszeć, to skrobanie zwykłych szczurów. Zobaczyli tylko kilka ohydnych szkodników o szalonych ślepiach. Nigdzie nie było śladu skavenów.

Rozczarowany ale jednocześnie ucieszony pomyślał, że może nie mieli racji. Powinni wrócić do domu. To był dobry moment do powrotu. Ulice były opustoszałe. Większość uczciwych ludzi spała bezpiecznie. Wytarł

nos o brzeg płaszcza. Miał katar i wiedział, że noc spędzona pod gołym niebem nie wpłynie zbyt dobrze na stan jego zdrowia. Rozprostował nogi próbując zwalczyć odrętwienie, ale wtedy poczuł na swoim ramieniu dłoń Gotreka.

– Nie ruszaj się – szepnął Zabójca. – Coś się zbliża.

Felix zamarł i wpatrzył się w ciemność, żałując, że nie posiada czułych zmysłów krasnoluda i zdolności dobrego widzenia w nocy. Słyszał głośnie łomotanie swojego serca. Jego mięśnie, unieruchomione w nienaturalnej pozycji, zaczęły protestować przeciw wysiłkowi, ale nadal utrzymywał je w bezruchu, bojąc się oddychać. Miał nadzieję, że cokolwiek nadchodziło, nie zauważy go pierwsze.

Nagle poczuł w powietrzu silny, paskudny odór. Śmierdziało gnijącym ciałem i ciekącymi wrzodami, jak ciało chorego człowieka pozostawione bez mycia w hospicjum na całe tygodnie lub lata. Felix pomyślał, że gdyby zaraza miała zapach, przypominałby właśnie to. Był przekonany, że jego podejrzenia są słuszne. Przycisnął do nosa pomander, aby powstrzymać się od wymiotów i modlił się, by zaklęcia zawarte w pachnącej kuli ochroniły go przed tym, co się zbliżało.

W polu widzenia pojawiła się przedziwna postać. Przypominała skavena, ale nie wyglądała jak żaden szczuroczłek, jakiego do tej pory widział Felix. W wielu miejscach parszywe futro stwora pokrywały wielkie owrzodzenia, a z ropiejącej skóry kapąco coś obrzydliwego.

Większość ciała była owinięta starymi bandażami pokrytymi zaskorupiałą ropą i brudem. Stworzenie było wychudzone, a jego ślepia lśniły szalonym, gorączkowym światłem. Poruszało się jak pijane, zataczając się tak, jakby cierpiało na chorobę, która zaburzała zmysł równowagi. A jednak, gdy szło, czasami nabierało niezwykłej prędkości, z przerażającą energią chorego człowieka, który zbiera ostatnie siły, aby wykonać jakieś dziwaczne zadanie.

Stwór chichotał obrzydliwie nie przerywając ruchu i mówił do siebie w dziwnym języku. Felix zauważył tkwiącą w jego sparaliżowanej łapie klatkę, a w niej hałaśliwe szczury. Stworzenie zatrzymało się na chwilę, podskakując na żylastej nodze. Następnie otworzyło klatkę i wyciągnęło szczura. Inne wyrwały się przez otwarte drzwiczki i opadły na ziemię w grobach. Spadając wypuszczały urynę i ekskrementy. Gdy dotknęły ziemi, przez moment czuć było obrzydliwy, obezwładniający odór, który przyprawił Felixa o mdłości. Powoli smród zaczął się ulatniać. Szczury wydostały się z grobów i niemrawo zaczęły szukać kryjówki. Felix widział, jak pozostawiały za sobą paskudne ślady śluzu. Najwyraźniej zdychały. Felix zastanawiał się, jaki koszmar rozgrywał się na jego oczach.

Skaven przeszedł dalej. Felix był zaskoczony i przestraszony widząc, że Zabójca powstrzymał się przed natychmiastowym wyskoczeniem i zabiciem potwora, a zamiast tego wskazał gestem Felixowi, by poszedł za nim. Ruszyli śladami stwora. Felix po kilku chwilach zrozumiał plan Gotreka. Zamierzał wysledzić mnichów zarazy Klanu Pestilens – Felix zgadywał bowiem, że mieli do czynienia właśnie z nimi – aż do ich siedziby. Szukali ścieżki, która prowadziła do samego serca zepsucia w Ogrodach Morra.

Podążając przez okryty mgłą cmentarz za odzianym w pelerynę mnichem zarazy, Felix dostrzegał inne skaveny. Sądząc po pustych klatkach, jakie niosły, wszystkie wykonywały to samo zadanie, a teraz wracały do swojego legowiska. Niektóre powłóczyły nogami, przygięte do ziemi pod ciężarem gnijących ciał, najwyraźniej dopiero co wykopanych z ziemi, która nadal oblepiała ich grzebalne stroje.

Felix i Zabójca musieli poruszać się ostrożnie, chować się za nagrobkami, uciekać w cienie pomiędzy drzewami, przemieszczać się od jednego skrawka osłony do drugiego. Felix uważał, że w pewnym stopniu to było niepotrzebne. Mnisi zarazy nie wydawali się tak czujni, jak normalni skaveni. Wyglądali na całkiem szalonych i dość nieświadomych swojego otoczenia. Może ich mózgi były równie przegniłe, jak ciała toczone przez choroby?

Czasami stwory zatrzymywały się na kilka chwil i drapały do krwi, aż pękały ich ropiejące strupy, a potem zlizywały ropę z upačkanych pazurów. Bywało, że przerywały marsz i wpatrywały się przed siebie bez powodu. Od czasu do czasu obrzydliwe ekskrementy wypadały spod ich ogonów, a stwory kładły się i wiły w nich chichocząc obłąkańczo. Felix czuł mrowienie skóry. Te stworzenia nie były normalne, nawet jak na standardy skavenów.

Wreszcie dotarli do wielkiego mauzoleum znajdującego się głęboko w szlacheckiej dzielnicy Ogrodu. Szli wzdłuż wybrukowanych ścieżek między dobrze utrzymanymi ogródkami. W wielu miejscach posągi nachylały się nad zegarami słonecznymi, bezużytecznymi o tej porze.

Można było dostrzec coraz więcej mnichów zarazy, a Felix i Zabójca nie raz kryli się w łukowatych wejściach do grobowców jakiegoś szlacheckiego klanu. Gdy skaveni przechodzili dalej, dołączali do koszarnej procesji prowadzącej coraz głębiej w stronę starej części cmentarza, gdzie znajdowały się największe i najbardziej zrujnowane grobowce.

Zatrzymali się za rogiem i Felix zauważył skavena, który zniknął w wejściu do największego i najstarszego z mauzoleów. Budynek przypominał świątynię. Wybudowano go w starym tileańskim

stylu, z kolumnami podpierającymi dach i rzeźbami, stojącymi w niszach przedsionka. Felix przypuszczał, że rzeźby przedstawiały rodzinę budowniczego. Gdy ostatni skaven zniknął w środku, Felix i Gotrek stanęli u szczytu schodów prowadzących do wejścia.

W świetle księżyca Felix widział, że mauzoleum znajdowało się w stanie daleko posuniętego zniszczenia. Mury popękały, fryzy wytarły się na skutek stuleci działania wiatru i deszczu, twarze posągów odpadły i ustąpiły miejsca porostom. Wyglądało to tak, jakby sam kamień cierpiało na jakąś straszną chorobę. Otaczające kryptę ogrody były dzikie i zarośnięte.

Felix zgadywał, że cała rodzina, która wybudowała ten grobowiec, musiała wymrzeć. Okolica wyglądała na porzuconą, jakby nikt nie odwiedził tego miejsca od lat. Za dnia byłoby tu dość przerażająco. Podczas nocy Felix nie miał żadnej ochoty zaglądać do wnętrza krypty.

Jednak Gotrek wspinał się po schodach tak szybko, na ile pozwalały mu krótkie nogi. Runy na jego toporze lśniły w księżycowym blasku.

Wyszczerył zęby w oczekiwaniu na spotkanie ze skavenami w ich legowisku. Felixa uderzyła myśl, że na swój sposób krasnolud był równie szalony jak skaveni. Może najlepsze, co mógł zrobić, to uciec i zostawić ich samym sobie. Felix opanował się, gdy podeszli do wrót. Zaskoczony stwierdził, że do wnętrza nie prowadziły żadne drzwi. Przed nimi wyrastała tylko pusta kamienna ściana. Gotrek przez chwilę stał przed nią zamyślony, drapiąc się po wytatuowanej głowie grubym paluchem, a potem sięgnął przed siebie i dotknął jednej z kamiennych twarzy z boku łuku wejściowego. Gdy to zrobił, ściana powoli i cicho obróciła się ukazując wejście.

– Partactwo – mruknął Gotrek. – Robota krasnoludów nie byłaby tak łatwa do wykrycia.

– Tak, tak – mruknął niechętnie Felix i podążył za Gotrekiera przez otwarte wejście do grobowca.

Drzwi za nimi zasunęły się cicho.

W środku panował jeszcze gorszy smród. Ściany były dokładnie zalepione brudem. Felix czuł miękką substancję pod dłońmi, gdy wymacał drogę przez ciemność. Przypominał sobie obrzydliwe praktyki mnichów zarazy, jakich był światkiem i zebrało mu się na wymioty.

Zmusił się jednak, by podążać za bladym blaskiem runów na toporze Zabójcy.

Gotrek szedł szybko i pewnie, jakby nie miał problemów z widzeniem nawet w mroku. Felix podejrzewał, że wzrok Zabójcy był równie dobry w ciemnościach, jak w pełnym blasku słońca. Stąpał za krasnoludem przez ciemne pomieszczenia i miał nadzieję, że Zabójca wiedział, co robi. Tak czy inaczej, żałował, że nie mógł zapalić swojej latarni.

Usłyszał ciche chrobotanie gdzie z oddali i jeszcze raz przemyślał

swoją sytuację. Latarnia nie była tak złym pomysłem. Z pewnością ostrzegłaby skaveny o ich obecności, a Felix był pewien, że jedyną szansą przeżycia w starciu z przeważającą liczbą szcziroludzi był nagły atak z wykorzystaniem zaskoczenia. Jeśli jednak miał walczyć, w pewnym momencie będzie potrzebował światła. Modlił się o szansę zapalenia swojej lampy zanim ruszy do

boju.

O mało nie stracił równowagi, gdy nie znalazł oparcia pod nogami.

Zatrzymał się, uświadamiając sobie, że stoi u szczytu schodów prowadzących w dół. To było naprawdę wielkie mauzoleum. Felix pomyślał, że ktokolwiek zbudował to miejsce, z pewnością wydał

mnóstwo pieniędzy. A czemuż by nie? Zmarli mieli spędzić tu wieczność, a przynajmniej taką mieli nadzieję.

Przed nimi dało się słyszeć głośnie popiskiwanie. Brzmiało tak, jakby skaveni odprawiali jakiś obsceniczny rytuał. Korytarz oświetlał słaby poblask zielonkawego, chorego światła. Wyglądało na to, że mieli zmierzyć się ze szczeroludźmi w ich siedzibie.

Vilebroth Null prychnął, gdy jeden z jego trędowatych palców ułamał

się i wpadł do wrzącego kotła. To był dobry znak. Jego trawione chorobami ciało zasili ducha kłębiącego się w naczyniu i wzmocni mieszaninę, która wkrótce przyniesie śmierć wrogom skavenów. Kocioł

Tysiąca Osp był niegdyś świętą relikwią i bronią Klanu Pestilens, a on zamierzał wykorzystać oba aspekty przeznaczenia przedmiotu.

Wyciągnął z torby pełną garść pyłu ze spaczenia i wrzucił go do wielkiej kadzi. Pozostałe palce świerzbiły w zetknięciu ze spaczeniem.

Oblizwał je do czysta czując mrowienie, które przenikało język. Dotknął też dziąseł, aby zanieczyścić znajdujące się tam ropniaki i wrzody oraz sprawić, by ich zawartość stała się jeszcze bardziej zaraźliwa.

Null zebrał w ustach wielką kulę flegmy i wypluł ją do gęstej jak zupa mikstury, cały czas mieszając dużą warząchwią wyrzeźbioną z kości udowej smoka. Wyczuwał zaraźliwe moce unoszące się z kotła, w sposób, w jaki zwykły skaven odczuwałby ciepło bijące od ognia. To było tak, jakby stał przed potężnym paleniskiem toksycznych energii.

Odetchnął głęboko, wciągając do płuc gorące opary, które wznosiły się nad miksturą i natychmiast został nagrodzony gęstym, śluzowatym kaszlem. Czuł jak jego płuca zatykają się od płynu, w którym warzyło się wszelkie zepsucie. Uznał to za nagrodę. Jego plany rozwijały się należycie. Testy były niemal ukończone.

Nowa zaraza była tak jadowita, jak sobie tego życzył, a co najważniejsze – to było jego dzieło. Zastosował starą recepturę, lecz sam dodał kilka nowych tajnych składników. Od tej chwili wśród wiernych Klanu Pestilens nowa choroba na zawsze będzie znana jako Ospa Nulla.

Jego imię zostanie zapisane w wielkim Tomie Moru. Na długo zapamiętają go jako twórcę nowej zarazy, która szalała wśród bezwłosych niczym dzika bestia w poszukiwaniu żeru.

Z każdą nocą mieszanina stawała się coraz bardziej zawieszista. Każde nowe zarażone ciało dodane do mikstury zwiększało moc zarazy. Oceniał, że wkrótce będzie gotowa. Już zaczęto sprowadzać na cmentarz ciała dotknięte symptomami zarazy. Złożył pokorne dzięki Rogatemu Szczurowi za inspirację, która pozwoliła mu znaleźć kryjówkę, skąd mógł

obserwować wyniki swojej pracy. Gdzież indziej zdołałby zdobyć tak bogate źródło zarażonych ciał, które mógł wrzucać do kotła?!

Następnej nocy zamierzał wysłać swoich agentów, by wrzucili zarażone szczury do studni i przez otwory w dachach wielkich rzeźni, w których ludzie zarzynali swoje zwierzęta. Po tym wszystkim zaraza zacznie rozszerzać się błyskawicznie.

Dodał do wywaru nieco więcej trupich róż. To był ostatni, tajny składnik jego mikstury. Nie można było znaleźć piękniejszych i mocniejszych. Wyrastały na krzakach, których korzenie wbijały się w pochowane zwłoki. Były dojrzałe i silne dzięki skupionej energii śmierci.

Zaciągnął się głęboko oparami zepsucia i spojrzał na wyznawców swoimi mętnymi ślepiami. Leżeli rozwaleni po całej starożytnej komorze grzebalnej ludzi, czochrając się, drapiąc, kaszląc i charkając jak przystało na prawdziwych członków Klanu Pestilens. Wiedział, że każdy z nich zjednoczony był w szczerym oddaniu dla sprawy klanu. Stanowili ten rodzaj braterstwa, który był zrozumiały tylko dla niewielu pozostałych skavenów. Nie dla nich były niekończące się intrygi i bezustanne dążenie do osiągnięcia własnych korzyści. Szukali i odnajdowali wyrzeczenie się samych siebie w prawdziwej czci dla Rogatego Szczura – wyobrażanego w najbardziej konkretnej formie: Nosiciela Zarazy, Rozpleniacza Plagi.

Każdy członek klanu wiedział bowiem, że jego ciało stanowiło świątynię, która mieściła niezliczone błogosławieństwa wyznawanego boga. Zgniłe końcówki ich nerwów nie odczuwały już bólu, za wyjątkiem przypadków, gdy od czasu do czasu czuli widmowe echa swojego cierpienia, tak jak ktoś zanurzony w głębokiej wodzie słyszy bicie odległego dzwonu. Wiedział, że inni skaveni uważali ich za szalonych i unikali kontaktu z nimi, ale działo się tak dlatego, że pozostałym skavenom brakowało właściwego poświęcenia, całkowitego oddania się służbie bóstwu. Każdy z obecnych mnichów zarazy był gotów zapłacić każdą cenę, złożyć dowolną ofiarę, aby wypełnić cele klanu i boskiej istoty. Było to poświęcenie, które czyniło z nich najbardziej cennych ze wszystkich sług Rogatego Szczura, a także dowodziło, że są najodpowiedniejszymi przywódcami całego ludu skavenów.

Wkrótce pozostałe klany miały zdać sobie z tego sprawę. Nowa zaraza powali ludzkie miasto Nuln na kolana, zanim potężne, niszczycielskie hordy przekroczą jego granice. Niebawem wszyscy staną się świadkami triumfu Klanu Pestilens, Rogatego Szczura i Vilebrotha Nulla, najpokorniejszego z wybranych sług wielkiego rogatego władcy. Wkrótce stanie się jedynym pośrednikiem godnym przekazywać słowa Rogatego Szczura. Tak stać się musi, bowiem chociaż wiedział, że należy do najskromniejszych sług Rogatego Szczura, znał swoje obowiązki, a w tych dziwnych czasach nie można było tego powiedzieć o wszystkich skavenach.

Wiedział, że wielu z jego pobratymców porzuciło wizję wielkich celów swojej rasy. Zatracili się w poszukiwaniu własnego splendoru. Szary Prorok Thanquol stanowił doskonały przykład takiej tendencji. Bardziej dbał o siebie i swój status, niż o obalenie przeciwników Rogatego Szczura.

To było obrzydliwe zachowanie kogoś, kto należał do najbardziej oddanych sług wielkiego boga i Vilebroth Null modlił się pokornie, by nigdy nie popełnić podobnego błędu.

Miał pewność, że gdyby Thanquol wiedział o tym eksperymencie, zabroniłby go powodowany czystą zazdrością wobec tych, którzy posiadali wiedzę o potęgach wykraczających poza jego wyobraźnię. To właśnie dlatego musieli w tajemnicy przekradać się na powierzchnię i odprawiać swoje rytuały bez wiedzy Szarego Proroka. Wielkie dzieło musiało być realizowane bez względu na machinacje tych, którzy woleliby je powstrzymać. Gdy zaraza odniesie sukces, głupie edykty Rady Trzynastu zostaną uchylone, a Klan Pestilens okaże światu swoją prawdziwą potęgę. A ci, którzy usiłują zapobiec realizacji najświętszych dzieł Rogatego Szczura, tacy jak Szary Prorok Thanquol, będą czołgać się w pyle.

Być może prawdą było, jak szeptali niektórzy, że Thanquol był zdrajcą sprawy skavenów i powinien zostać zastąpiony przez kogoś bardziej pokornie oddanemu dobru swego ludu. Była to myśl, która z pewnością wymagała rozważenia przez skromne lecz oddane umysły.

Null otworzył klatkę, którą trzymał pod łapą, sięgnął do środka i wyciągnął wielkiego szarego szczura. Ten ugryzł go wściekle, upuszczając nieco czarnej krwi skavena, ale Vilebroth Null niemal nie poczuł ostrych zębów przecinających ciało. Ból stanowił dla niego rzecz pozbawioną znaczenia. Zamknął klatkę i zostawił w niej pozostałe, szarpiące się szczury.

Podniósł zwierzę za ogon i ignorując wściekle szamotanie opuścił je do wywaru. Stworzenie szarpnęło się, gdy jego łeb zanurzył się we wstrętnej cieczy. Ślepią szczura zalśniły szaleńczo, gdy machając łapkami starał

utrzymać się na powierzchni. Opat mnichów zarazy wyciągnął drugą łapę i wepchnął szczura w ciecz, aż jego piski zagłuszył płyn, który dostał się do otwartego pyska. Skaven przytrzymał go tam tak długo, aż szamotanie ustało, a potem wyciągnął ociekającego zwierzaka i położył go na podłodze krypty.

Szczur siedział przez chwilę, błyszcząc w świetle, jakby nie mógł

uwierzyć, że został ocalony. Null złapał go i wrzucił do drugiej klatki, w której znajdowały się szczury, które właśnie przeszły przemianę. Szczur zaczął węszyć i wymiotować. Vilebroth Null zebrał nieco ciepłych wymiocin i dorzucił je do kotła. Wkrótce klatka będzie pełna, a on wyśle jednego ze swoich braci, aby wypuścił je na cmentarzu, skąd zaczną roznosić nową zarazę. A nazajutrz pośle je do miasta.

Vilebroth Null usłyszał dobiegające skądś kasłanie. To samo w sobie nie było niezwykle. Wszyscy jego wyznawcy byli pobłogosławieni symptomami wielu chorób. To kasłanie brzmiało jednak dziwnie. Różniło się od odgłosów wydawanych przez skaveny. Było głębsze, powolniejsze, niemal jak ludzkie.

Felix przeklął i usiłował powstrzymać atak kaszlu, ale to było na nic.

Płuca protestowały przeciw wstrętnemu smrodowi, jaki unosił się w krypcie. Łzy płynęły

strumieniem z oczu. W całym życiu nie czuł czegoś równie obrzydliwego. To było jak połączone esencje wszystkich odorów sal szpitalnych atakujące nozdrza. Czuł się chory od samego wdychania i musiał zwalczyć w sobie instynktowny przymus ucieczki i wymiotowania.

Widok tego, co działo się w krypcie pogrzebowej, także nie działał

kojąco na żołądek. Wpatrywał się w komorę oświetloną przez dziwaczne lśnienie latarni ze spaczenia. W długiej komnacie znajdowało się około tuzina najohydniejszych i najbardziej liszajowatych skavenów, jakie kiedykolwiek oglądał. Rozwały się wśród sarkofagów dawno zmarłych szlachciców. Wielkie kamienne trumny leżały na podłodze komory. Ich pokrywy zostały zdjęte, a zawartość rozrzucona. Wszędzie walały się czaszki i kości. Pośród nich siedział ruchliwy i najwyraźniej chory skaven, który wił się w kałuży własnej ropy, wymiocin i ekskrementów, obgryzając kości zmarłych. Po drugiej stronie komnaty, skaven wyglądający na najbardziej chorego i najbardziej odrażającego, jakiego Felix kiedykolwiek oglądał, mieszał w wielkim kotle wiszącym nad ogniem, przerywając tylko od czasu do czasu, aby splunąć do naczynia lub dorzucić do niego jakieś plugawe ochłapy oderwane ze zwłok przeżartych przez robaki.

Felix zauważył, że jeden z palców stwora wpadł do bulgoczącej mieszaniny, a ten nawet nie mrugnął ślepiem. Zatrzymał się tylko, by złapać oddech i dodał lśniący pył, który musiał być spaczeniem, a potem mieszał dalej. Felix stał się świadkiem rytuału, podczas którego żywy szczur został zanurzony we wstrętnej breji, a następnie z niej wyjęty.

Nawet Zabójca stał jak wrośnięty w ziemię, z trwożliwą fascynacją przyglądając się każdemu ruchowi skavena, jakby chciał na zawsze wyryć to sobie w pamięci.

Felix wiedział, że był świadkiem czegoś, co miało wiele wspólnego z rozwojem zarazy. Nie rozumiał do końca, w jaki sposób i dlaczego, ale był

tego pewien. Te wstrętne zdegenerowane szczury i ich ohydny, pokryty runami kocioł musiały brać udział w stworzeniu choroby. Przekonywało go o tym każde spojrzenie na ich obrzydliwe postacie. Nagle poczuł

niemożliwy do opanowania atak kaszlu. Usiłował się powstrzymać, ale im bardziej się starał, tym silniej łaskotało go we wnętrzu płuc. Wreszcie nie mógł wytrzymać i rozkasłał się. Niestety, nastąpiło to podczas jednego z rzadkich momentów ciszy w splugawionej komnacie grobowej.

Wódz skavenów zastygł w bezruchu. Poruszał nosem, jakby wyczuwał

obecność Felixa – chociaż Felix nie mógł zrozumieć, jak to było możliwe wśród kakofonii kaszlnięć, soczystych pierdnięć i chrapliwych oddechów, jakie wypełniały komorę.

Wszystkie wątpliwości znikły jednak, gdy skaven wyciągnął w jego kierunku gnijący pazur. Felix westchnął prosząc Sigmara o ochronę i wyciągnął miecz. Gotrek też wyrwał się z odrętwienia, podniósł topór i ryknął okrzyk bojowy.

Intruzi, pomyślał Vilebroth Null. Ludzie odnaleźli drogę do tego świętego miejsca, poświęconego

przez najpokorniejszego sługę najświętszej manifestacji Rogatego Szczura. Zastanawiał się, czy sprowadziła ich jakaś nikczemna zdrada. To nie miało znaczenia. Ci głupcy wkrótce zapłacą za swoją głupotę własnym życiem, bowiem porwani słusznym szałem mnisi zarazy Klanu Pestilens należeli do najbardziej zabójczych ze wszystkich wojowników skavenów. A jeśli to zawiedzie, wezwie na pomoc potężne, mistyczne moce użyczone mu przez jego złowrogię boga.

Felix widział, jak kapłan plagi odrzucił do tyłu łeb i uniósł wysoko swoją laskę. Wyszczekał serię inkantacji w wysokim, piskliwym języku skavenów. Słowa zdały się dobywać głęboko z jego trzewi i przybierały ogniste kształty na końcu języka. Gdy je wypluł, stały się ognistymi runami, które płonęły w jego źrenicach skręcając się i migocząc, po czym wyskoczyły naprzód i po kolei dotknęły każdego z wyznawców.

Następnie, wielki krąg niezdrowego światła otoczył ciała skavenów i zdawał się przez nie przenikać. Parszywe futra skavenów nastroszyły się, ich ogony zeszywniały, a w ślepiach pojawiło się osobliwe lśnienie.

Poderwały się na nogi z niezwykłą gracją i energią. Z gardeł wyrwały się wysokie, ostre zawołania bojowe.

Gotrek popędził do środka ciepłej, zamglonej komnaty, a za nim pobiegł Felix. Szczuroludzie poderwali się na nogi łapiąc swoją obrzydliwą, zaskorupiałą broń. Gotrek rąbał na lewo i prawo zabijając po drodze. Nic nie mogło zatrzymać jego topora. Nikt rozsądny i o zdrowych zmysłach nie próbowałby stawać mu na drodze.

A jednak ci skaveni nie rzucali się do ucieczki, jak uczyniliby to ich ziomkowie. Nawet nie starali się stać w miejscu. Zamiast tego zaatakowali z szaleńczą furją, jaka równała się z szałem samego Zabójcy. Skoczyli naprzód z pianą buchającą z pysków, obracając ślepiami i wyjąc dziko.

Przez chwilę Zabójcę zatrzymał impet tego natarcia, a potem napastnicy zaroili się wokół niego, gryząc, tnąc i okładając razami bez opamiętania.

Felix rzucił się na najbliższego przeciwnika, a ten odwrócił się, gwałtownie i zręcznie jak wąż. Wypuszczał z sykiem powietrze między zębami, a w jego ślepiach widoczne było szaleństwo. Felix dostrzegł

żółtą ropę, która plamiła bandaż wokół piersi stwora. Pchnął w to miejsce mieczem i zanurzył go z obrzydliwym młaśnięciem, jakby wbił się w galaretę.

Ból nie powstrzymał szczuroludka. Ruszył prosto przed siebie, nabijając się na ostrze Felixa, które zagłębiało się coraz bardziej w piersi stworzenia. Jeśli stworzenie odczuwało jakikolwiek ból, nie dawało tego po sobie poznać. Felix patrzył przerażony na stwora, który otwierał

paszczę odsłaniając żółtawe kły i biały język pokryty kozuchem trądu.

Felix wiedział, że najgorsze, co mogło go tu spotkać, to pozwolić, by ugryzła go ta kreatura.

Uderzył lewą pięścią, trafiając skavena w bok pyska, co odrzuciło jego szczęki na bok. Siła

uderzenia wybiła kilka gnijących zębów, które wyleciały z pyska stwora i rozsypały się po brudnej podłodze. Stwór spojrział na niego dzikimi, wrednymi ślepiami. Felix wykorzystał okazję, aby znaleźć lepsze oparcie, po czym zahaczył nogą o golenie stwora i przewrócił go na podłogę. Obrócił ostrze w piersi mnicha zarazy i wyciągnął je, ale stwór nadal nie umierał. Tłukł pięściami w kamienne płyty wokół siebie w spazmach straszliwej, instynktownej energii. Felix wiedział, że obserwuje działanie nikczemnego czarnoksięstwa, gdyż normalnie nie mogło być tak trudne zabicie stworzenia równie słabego i chorego.

Podniósł stopę i opuścił but na gardło potwora. Zmiażdżył jego tchawicę i przytrzymał na miejscu, rąbiąc raz za razem mieczem, ale kreatura nadal nie chciała umrzeć.

Felix rozejrzał się, by sprawdzić, jak radził sobie Gotrek. Zabójca starał

się powstrzymać oszalałe skaveny, ale to było wszystko. Stał w miejscu z uniesioną mocarną ręką, lecz inne stwory tłoczyły się wokół niego uniemożliwiając mu zamach śmiertelnościami toporem. To były potworne zmagania – zapasy między ogromną siłą Zabójcy, a hordą czarodziejsko wzmocnionych mnichów zarazy.

Felix rozglądał się desperacko, wiedząc, że jeśli Zabójca polegnie, jemu samemu pozostanie zaledwie kilka chwil życia. Odgłos miękkich kroków z tyłu oznaczał, że przybyli nowi skaveni, którzy wracali ze swojej wstrętnej misji. Ogniste runy nadal wyskakiwały z pyska śpiewającego kapłana.

Pomknęły nad jego głową i gdy Felix obejrzał się, dostrzegł dziwny blask, który zatonął w futrze dwóch następnych mnichów zarazy.

Wyglądali, jakby zachodziła w nich przerażająca transformacja. Felix stwierdził, że sprawy nie miały się dobrze. O ile nie uda się zrobić czegoś z kapłanem, wkrótce mogło być po wszystkim. Z ciężkim sercem uświadomił sobie, że tylko on mógł cokolwiek uczynić w tamtej chwili...

Nie marnując czasu na rozmyślenia, wskoczył na szczyt najbliższego sarkofagu. Przeskoczył na następny ponad Gotrekiem zmagającym się ze skavenami i ruszył w stronę śpiewającego kapłana. Coraz więcej ognistych runów migotało między kapłanem i jego popiecznikami, a Felix był

pewien, że to śpiewający przywódca był źródłem siły swoich ziomków.

Skacząc zbliżał się coraz bardziej do bulgoczącego kotła i jego ohydny właściciel. Zatrzymał się wreszcie sparaliżowany strachem i niepewnością.

Następny skok musiał wykonać nad kotłem, a potem wdać się w walkę z kapłanem. To była nieciekawa perspektywa. Jedno poślizgnięcie się lub złe wymierzenie odległości mogło oznaczać, że wpadnie do tej bulgoczącej breji. Nawet nie chciał zastanawiać się nad konsekwencjami takiego upadku.

Usłyszał ponownie rozbrzmiewający okrzyk bojowy Gotreka i gdy odwrócił się, dostrzegł, że Zabójca mocował się już z nowoprzybyłymi.

Wyglądało na to, że zostało już tylko kilka chwil na działanie. Felix ofiarował Sigmarowi cichą modlitwę i skoczył. Poczuł gorąco pod sobą, a wstrętne opary kotła, gdy przeskakiwał nad nimi, dotknęły jego twarzy, a potem uderzył stopami w pysk kapłana zarazy i obaj potoczyli się po podłodze.

Skaven przestał śpiewać, ale zareagował z zaskakującą szybkością, jak na kogoś równie zgrzybiałego. Poderwał się na nogi, jak na sprężynach.

Felix rzucił się naprzód ze wzniesionym mieczem, ale skaven uskoczył do tyłu i podniósł kościaną laskę, która zatoczyła w powietrzu rozmyty luk, aby rozbić czaszkę człowieka. Na szczęście Felix zdążył się uchylić.

Felix szybko podniósł się na nogi i zaczął krążyć ostrożnie wokół

przeciwnika, oczekując na błąd w jego obronie. Zza kotła, z miejsca poza zasięgiem jego wzroku, dobiegły odgłosy ohydnej rzezi. Miał nadzieję, że to Gotrek wyrzynał mnichów zarazy. Stwór stojący przed Felixem atakował szybko i wściekle, w odróżnieniu od większości pojedynczych skavenów, z jakimi walczył. Felix sparował mieczem kolejny cios laski, zaskoczony jego gwałtownością i siłą. Wstrząs niemal nie wyrwał miecza z jego dłoni. Następne uderzenie trafiło go w kłykcie i tym razem wypuścił

ostrze. Wstrętne, oleiste chrząknięcie wyrwało się z pyska skavena, który dostrzegł wyraz zaskoczenia na twarzy człowieka.

– Umrzyj! Umrzyj! Głupi człowieczyno! – zaskrzeczał w źle akcentowanym Reikspielu. Laska opadła ponownie. Tym razem Felixowi udało się wykonać unik. Laska rąbnęła w ziemię, w miejscu, w którym stał

kilka chwil wcześniej. Zanim skaven zdążył wznieść kostur do kolejnego uderzenia, Felix rzucił się naprzód i złapał ją ręką. Nie minęło uderzenie serca, gdy zwarł się ze skavenem próbując wyrwać jego broń. Żyłaste stworzenie było znacznie silniejsze, niż spodziewał się tego Felix. Jego cuchnące szczęki zatrzasnęły się o włos od twarzy człowieka. Felix zadrżał na widok niepokojąco wyglądającej śliny, która ściekała z połamanych kłów, ale nadal starał się wyrwać laskę z siłą, jakiej dodawało mu przerażenie.

Teraz posiadał przewagę masy. Był wyższy i znacznie cięższy od wychudzonego stworzenia. Wykorzystał to i obrócił się w miejscu nie puszczając przeciwnika. W odpowiednim momencie przestał ciągnąć laskę i zamiast tego popchnął ją z całej siły. Zaskoczony skaven przewrócił się do tyłu. Wrzasnął, gdy jego plecy uderzyły w gorące, metalowe boki kotła.

Felix dał nura, złapał przeciwnika za nogi i poderwał je. Z wysiłkiem wrzucił przywódcę skavenów do kotła.

Stwór zniknął na chwilę pod powierzchnią bulgoczącej mieszaniny, a potem pojawił się łapczywie łapiąc powietrze. Z pyska kapał obrzydliwy płyn. Desperacko usiłował wygrzebać się z kotła. Felix podniósł laskę i rąbnął go przez łeb, zmuszając do ponownego zanurzenia. Następnie, szturchając

laską, odnalazł szamoczącego się na dnie skavena. Szybko przycisnął go kijem i napał całym ciężarem ciała. Oszalały skaven próbował wypchnąć kij, ale bezskutecznie – Felix był zbyt ciężki.

Szamotanie powoli ustawało. Wreszcie Felix przestał pchać i odetchnął.

Spoglądając z podwyższenia zobaczył Zabójcę, który rąbał wokół siebie toporem i wycinał ostatnich mnichów zarazy. U jego stóp leżały ścierwa skavenów, w różnych stadiach rozczłonkowania. Krasnolud uniósł wzrok na Felixa z wyrazem twarzy, który mógł oznaczać rozczarowanie, że jeszcze żyje. Felix wyszczerzył zęby i wystawił w górę kciuk.

W tym momencie z kotła za nim wychynęło coś okropnego.

Vilebroth Null czuł się fatalnie. Nałykał się porządnie mikstury i miał

wrażenie, że za chwilę eksploduje. Przeklęty człowiek spuścił mu takie lanie, że poczuł prawdziwy ból. Co gorsza, prawie dał się utopić jak szczur

– tak właśnie, jak szczur! Zdawało się, że minęła wieczność, zanim okrutny człowiek przestał naciskać swoją masą na różdżkę Nulla dając mu szansę, by wyrwać się na powierzchnię.

Szybkie spojrzenie przekonało go, że wszystko było stracone. Jego akolici leżeli martwi na kamiennych płytach, a dziko wyglądający krasnolud z wielkim toporem pędził prosto ku niemu. Null wiedział, że ledwo dawał sobie radę z człowiekiem. Przeciwno obu nie będzie miał

żadnej szansy.

Zaskoczony człowiek otrząsał się już i szukał swojego miecza. Null wiedział, że została mu tylko chwila. Wzniósł ramiona, przywołał swoje wszystkie moce i wezwał Rogatego Szczura, aby go ocalił. Przez moment nic się nie stało i Null zrozumiał, że jest skończony. Opadający miecz zbliżał się coraz bardziej. Skaven nie zamknął ślepi i zmuszał się, by przyglądać się nadchodzącej śmierci. I wówczas poczuł lekkie mrowienie swojego ciała. Rogaty Szczur odpowiedział na jego modlitwę.

Felix pchnął mieczem pewien, że tym razem nie popełni błędu.

Plugawy kapłan niechybnie umrze, a Felix porąbie go dla pewności na drobne kawałki. Skaven zaskrzeczał coś, co jak Felix miał nadzieję, było błaganiem o litość – i stało się coś dziwnego.

Osobliwe lśnienie otoczyło skavena. Felix starał się powstrzymać swój cios obawiając się jakiegoś wyjątkowo paskudnego czarodziejstwa, ale było za późno. Widział jak ostrze dotknęło ciała, ale wydarzyło się coś niewytłumaczalnego. Przestrzeń wokół kapłana jakby zawinęła się, a stwór zamigotał i zniknął z pluskiem, niczym pękający bąbel. Felix stracił

równowagę, gdy miecz przeniknął puste powietrze, gdzie przed chwilą znajdował się szczuroczłek.

– Cholera – mruknął i splunął z frustracji.

– Nienawidzę, gdy zdarza się coś takiego – rzucił rozżalony Gotrek patrząc na miejsce, w którym

chwile wcześniej tkwił skaven. Felix przeklął jeszcze raz i mamrotał jadowicie, jakby sama siła jego przekleństw mogła sprawić, by kapłan pojawił się ponownie i umożliwił

dokończenie egzekucji. Zeskoczył z podwyższenia i kopnął odcięty łeb mnicha zarazy, aby rozładować swoją frustrację. Potem spojrzał na Zabójcę. Z zaskoczeniem stwierdził, że zamyślony krasnolud patrzył na kocioł.

– No cóż, człeczyno – powiedział – co z tym zrobimy?

Felix przyjrzał się otoczeniu. Całe pomieszczenie było usłane ciałami.

Groby zostały rozbite, a wielki kocioł pełen plugawej, zaraźliwej breji, nadal bulgotał. Klatki ze szczurami pękły podczas walki i kilka zwierzaków czaiło się w cieniach. Pozostałe znikły.

Felix wyglądał kiepsko. Jego ubranie pokrywała krew, ropa i plugawe substancje, jakie wydzielali ginący szczuroludzie. Miał brudne, skołtunione włosy. Zabójca Trolli nie wyglądał lepiej. Krwawił z tuzina małych nacięć, a posoka plamiła całe ciało. Jakiś instynkt podpowiedział

Felixowi, że muszą jak najszybciej się umyć, a wszystkimi ukąszeniami i zadrapaniami powinien zająć się Drexler. Inaczej mogło stać się coś złego.

Jednak głównym problemem pozostawał wielki kocioł. Jeśli prawdą było to, co podejrzewał Felix, naczynie stanowiło dla miasta zagrożenie równie wielkie, jak armia skavenów – jeśli nie większe, bowiem z armią można było przynajmniej walczyć. Niestety, Felix znał się na czarnej magii jeszcze mniej niż na chorobach zakaźnych. Było jasne, że należy w jakiś sposób zniszczyć breję, by stała się niegroźna, ale jak tego dokonać?

Wylanie jej do rzeki mogło spowodować więcej złego niż dobrego.

Zostawienie kotła na miejscu oznaczało, że skaveni mogli wrócić i w dogodnej chwili go zabrać. Z pewnością mieli własne przejścia do Ogrodów Morra i mogli tam powrócić, gdyby tylko zechcieli. Nie wspominając o ich czarodziejstwie, które najwyraźniej pozwalało znikać na życzenie. W żaden sposób nie byli w stanie podłożyć ognia pod grobowiec.

Gdy Felix rozmyślał nad tym wszystkim, zdał sobie sprawę, że Zabójca miał własne pomysły. Krasnolud był już zajęty podważaniem kotła za pomocą ostrza topora. Zaraźliwa breja wylała się z podwyższenia na podłogę, pokrywając ropiejące ciała szczuroludzi wstrętną, jadowitą kałużą. Wreszcie kocioł przewrócił się i upadł do góry dnem.

– Co robisz? – zapytał Felix.

– Niszczę to plugastwo! – Gotrek uniósł swój topór i rąbnął w kocioł.

Sypnęły się iskry i w komorze mauzoleum rozległ się echem ogłuszający huk, gdy gwiazdny metal zetknął się z czarodziejsko wykutym żelazem.

Zalśniły runy wzdłuż ostrza topora i krawędzi skaweńskiego artefaktu.

Ostrze Gotreka rozerwało bok kotła. Przeskoczyła wielka iskra a po niej nastąpiła wielka eksplozja mistycznej energii, gdy kocioł rozpadł się na tysiąc kawałków. Felix zasłonił oczy ramieniem. Odłamki poleciały we wszystkie strony, dodając nowe nacięcia do mnóstwa ran na jego ciele.

Wirująca fala mocy przetoczyła się po komorze. Błysnęły iskry, zwłoki zaczęły płonąć. Felix był zaskoczony widząc krasnoluda, który stał bez ruchu najwyraźniej zdumiony efektem swoich działań. Felix poczuł, że coś parzy skórę na jego piersi. Zdał sobie sprawę, że był to talizman wręczony mu przez Drexlera, prawdopodobnie przegrzany z wysiłku ochrony Felixa przed uwolnionymi siłami.

– Wynośmy się stąd! – krzyknął Felix i rzucili się do wyjścia przez płonąca zasłone magicznych energii.

Felix patrzył na swoje stare ubranie, które znikalo w płomieniach.

Tuzin razy wyszorował się do czysta szorstkim mydłem z ługu, ale nadal nie był pewien, czy usunął z siebie cały brud grobowca. Mocno ścisnął

ochronny pomander i miał nadzieję, że okaże się skuteczny przeciwko zarazie. W każdym razie, wisiołek nieco się ochłodził. Felix wyrzucił z pamięci wspomnienia ostatniej nocy. Miał za sobą długą, ciężką drogę powrotną z Ogrodów Morra, podczas której praktycznie niósł słaniającego się Zabójcę aż do drzwi Drexlera.

Gotrek wszedł do pokoju. Jego zadrapania zostały posmarowane jakąś maścią. On także trzymał jeden z amuletów Drexlera.

– No co, czego się spodziewałeś? – rzucił kwaśno. – Śmierć od zarazy nie jest przeznaczona dla Zabójcy.

Vilebroth Null rozejrzał się wokół. Było ciemno, ale wiedział, że znajduje się w Podziemnych Drogach. Rogaty Szczur wysłuchał jego modlitwy i prośba o ratunek została spełniona. Dla Vilebrotha Nulla oczywiste było, że jego władca ocalił swojego najpokorniejszego sługę nie bez powodu. A tym powodem było najpewniej umożliwienie mu odkrycia nikczemnego zdrajcy, który wyjawiał uknutą przez opata intrygę tym dwóm przeklętym intruzom.

Po wnikliwym rozważeniu stało się jasne, nawet dla intelektu, który Null uznawał pokornie za nieznaczący, że ci dwaj bez pomocy z zewnątrz nigdy nie byliby w stanie znaleźć ich doskonale ukrytej siedziby. Została pieczołowicie wybrana, dobrze zamaskowana oraz otoczona zakłęciami tłumiącymi wszelkie dźwięki i poruszenia ze środka. Nie, tymi dwoma głupcami musiał kierować ktoś inny. Nie sposób było uwierzyć, że znaleźli legowisko zupełnym przypadkiem. Vilebroth Null przysiągł, że odkryje zdrajcę, choćby to miało zabrać resztę jego życia, a gdy go odnajdzie, zdradziecki szczuroczłek zazna udręki powolnej śmierci.

I chociaż Vilebroth Null rozpoczął swoją długą mozolną wędrówkę powrotną do armii skavenów, miał mocne podejrzenie, gdzie powinien zacząć poszukiwania. Gdy powłócząc nogami i utykając wkroczył do obozu skavenów, nie zwracał uwagi na licznych wojowników, którzy zaczęli kasłać i kichać, kiedy ich mijali.

BESTIE KLANU MOULDER

„Zaraza zawitała do Nuln. Strach zapanował na ulicach. Nawet skorumpowane władze nie mogły ignorować dochodzących zewsząd wieści. Na rogach wszystkich ulic słyhać było opowieści o mutantach, szcziroludziach i wielkich gryzoniach z dzikimi ślepiami, które sprowadzały śmierć i chorobę na każdego, kogo spotkały. Obecnie mogę wyjawić nieco złowrogiej prawdy, jaka kryła się za tymi pogłoskami.”

– Fragment z *Moich Podróży Z Gotrekiem*,

Tom III, spisanych przez Herr Felixa Jaegera

(Wydawnictwo Altdorf, rok 2505)

– Ostatnio obracasz się wśród wyższych sfer, Felixie – powiedział

oberżysta Heinz, rzucając Jaegerowi niespokojne spojrzenie.

– O co ci chodzi? – zapytał miody mężczyzna.

– To przyszło, gdy wyszedłeś – wręczył Felixowi zapieczętowany list.

– Dostarczył to lokaj odziany w płaszcz z herbem Jej Wysokości, hrabiny Emmanuelle, ni mniej, ni więcej. Towarzyszyło mu także kilku strażników miejskich.

Felix poczuł nagły ścisk żołądka. Zerknął w kierunku drzwi upewniając się, że droga ucieczki jest wolna. Wyglądało na to, że jego przeszłość wreszcie go dosięgła. Szybko przypomniał sobie wszystkie sprawy, za które mógł być poszukiwany przez władze.

No cóż, władze Altdorfu wyznaczyły nagrodę za głowy jego i Gotreka.

Powodem był ich udział w zamieszkach po wprowadzeniu podatku od okien. Faktem było, że zamordował szefa tajnej policji hrabiny, Fritza von Halstadta. Nie wspominając o tym, że byli zamieszani w spalenie do fundamentów nowej Szkoły Inżynierów.

W jaki sposób go znaleźli? Czy został rozpoznany przez jednego z setek informatorów, od których roilo się w mieście? A może to było coś całkiem innego? Gdzie był Gotrek? Gdyby wyruszyli natychmiast, mogliby wyrwać się z matni.

– Nie zamierzasz tego przeczytać? – spytał Heinz. W jego oczach widoczna była pożerająca go ciekawość. Wyrwany z zamyślenia Felix potrząsnął głową. Zdał sobie sprawę, że serce mu waliło, a dłonie pociły się. Widząc spojrzenie, jakie utkwił w nim Heinz, zrozumiał, że musiał

wyglądać na kogoś, kto czuje się winny. Zmusił się do bladego uśmiechu.

– Przezczytać co takiego?

– Ten przeklęty list, idioto! Chyba widzisz, że wszyscy tutaj umieramy z ciekawości.

Felix rozejrzał się i zobaczył, że Elissa, Heinz oraz reszta załogi bez ogródek gapili się na niego, niecierpliwi, by dowiedzieć się, jakie sprawy miała do załatwienia z nim władczyni tego wielkiego miasta-państwa.

– Oczywiście, oczywiście – odparł Felix zmuszając się do spokoju i powstrzymując drżenie dłoni. Podszedł do krzesła stojącego przy ogniu i usiadł. Podążyła za nim horda ciekawskich gapiów, którzy uważnie przyglądali się jego twarzy. Felix spojrzął na nich beznamiętnie, poczekał

aż cofną się, a potem skupił uwagę na liście.

Wiadomość spisano na najdelikatniejszym pergaminie, a jego nazwisko wykaligrafowane było świetnej jakości inkaustem. Nie było żadnych kleksów ani plam, a pisarz, kimkolwiek był, istotnie posiadał lekką rękę.

Woskowa pieczęć nie została złamana i przedstawiała herb hrabiny elektorki.

Felix odzyskał odrobinę spokoju. Nie pisało się listów do człowieka, którego zamierzało się aresztować. Gdy ktoś był formalistą, odczytywał

aresztowanemu jego prawa, a potem zakuwał go w żelazo. Jeśli było się elektorką hrabiną Emmanuelle, wystarczyło wysłać zbirów, aby rąbnęli w łeb delikwenta, który później budził się w łańcuchach, w Żelaznej Wieży.

Być może sprawy nie będą miały się aż tak źle. Wątpił w to jednak.

Doświadczenie życiowe wskazywało mu, że jeśli coś mogło pójść źle, na pewno tak miało się stać.

Drżącymi palcami złamał pieczęć i przestudiował znajdującą się w środku wiadomość. Spisana była tym samym pięknym i dworskim pismem, jakim skreślono adres. Treść wiadomości była równie prosta, jak enigmatyczna:

„Poleca się panu stawienie się w pałacu Jej Jaśnie Oświeconej Wysokości hrabiny Emmanuelle, tegoż dnia, o wieczornym dzwonie.

Uniżony,

Hieronymous Ostwald,

Sekretarz Jej Jaśnie Oświeconej Wysokości”

Bardzo ciekawe, pomyślał Felix obracając list w dłoniach i przyglądając mu się z każdej strony, jakby liczył, że w ten sposób uda mu się znaleźć jakieś wskazówki, co do powodu, dla którego został wezwany.

Nie było żadnych. Zastanawiał się, co władczyni jednego z większych lenn Imperium mogła chcieć

od wędrownego najemnika bez grosza przy duszy, ale do głowy nie przychodziły mu żadne odpowiedzi. Zdał sobie sprawę, że wszyscy nadal gapili się na niego. Wstał i uśmiechnął się.

– Wszystko w porządku. Zostałem właśnie zaproszony na wizytę u hrabiny – powiedział wreszcie.

Elissa była pod wrażeniem i stała zdumiona, jakby nie wierzyła, że to nie pomyłka.

– To wielki zaszczyt – odezwała się do niego, gdy razem siedli przy ogniu. Wyciągnął rękę i ujął jej dłoń.

– Z pewnością to nic takiego. Pewnie chodzi o mojego brata, Otto, i list doszedł tutaj przez pomyłkę – uniósł jej dłoń. Cofnęła ją szybko. Ostatnio często to robiła.

– Pójdiesz tam, prawda? – spytała i uśmiechnęła się.

– Oczywiście. Nie mogę odmówić poleceniu tutejszej władczyni.

– W takim razie, w co się ubierzesz?

Miał zamiar odpowiedzieć, że oczywiście we własne ubranie, ale natychmiast zrozumiał, co miała na myśli. Jego odzienie było poplamione i zabrudzone w stu miejscach noszących ślady bójek i walk, w jakich uczestniczył. Płaszcz był obszarpany i porwany na brzegach, z których wydarł pasy materiału na bandaż. Buty miały dziury i były popękane.

Spodnie pokrywały łaty i brud. Przypominał raczej żebraka niż wojownika. Wątpił, czy z takim wyglądem uda mu się przejść przez frontowe bramy pałacu. Najprawdopodobniej rzucą mu kość, jak psu i wyślą go kopniakami z powrotem.

– Nie martw się – rzekł. – Coś wymyślę.

– W takim razie lepiej wymyślaj szybko. Masz tylko osiem godzin przed wieczornym dzwonem.

Spojrzał na brata, który siedział za biurkiem. Felix był wykąpany, a jego poszarpane ubranie zostało pośpiesznie wyprane i wysuszone przed ogniem. Wracała mu pewność siebie. Jego dłonie bawiły się machinalnie posrebrzanym pomanderem, który wisiał na szyi. Żałował, że musiał

pojawić się w kantorze, w którym znajdowało się biuro Otto.

Jego brat wstał zza swojego ciężkiego dębowego biurka i powoli podszedł do okna. Ręce złączył za plecami. Felix zauważył, że prawa dłoń ścisnęła lewy nadgarstek. To był stary nawyk Otto. Zawsze to robił, gdy musiał odpowiedzieć na trudne pytanie zadane mu przez nauczycieli.

– Dlaczego zawsze, gdy mnie odwiedzasz, czegoś chcesz, Felixie? –

odezwał się wreszcie.

Felix poczuł nagłe wyrzuty sumienia. Otto miał rację. Ostatnio spotykał

się z bratem tylko wtedy, gdy potrzebował jakiejś przysługi. Tak jak teraz.

Rozważył swoją odpowiedź. Nie chodziło o to, że nie lubił Otto. Po prostu nie mieli już ze sobą wiele wspólnego. Felix obawiał się, że brat może ponownie poprosić go o przyłączenie się do interesu, a on odmówi mu jeszcze raz.

– Byłem zajęty – odparł.

– Czym?

Skradaniem się po cmentarzach, paleniem do fundamentów instytucji naukowych, walką z potworami, zabijaniem, pomyślał Felix zastanawiając się, ile z tego, jeśli w ogóle cokolwiek, będzie mógł wyjawić bratu. Na szczęście, Otto nie pozwolił mu na udzielenie odpowiedzi i sam ją podsunął.

– Bójkami, jak podejrzewam. Zadawaniem się z karczemnymi dziewczkami i hulakami. Marnowaniem kosztownej edukacji, za którą zapłacił ojciec. Powinieneś zostać tutaj i pomagać w prowadzeniu interesu, jak każe rodzinna tradycja – uczciwie zarabiać na życie.

Felix nie potrafił stwierdzić, czy Otto był zły, czy po prostu urażony.

Walczył, by zapanować nad swoimi uczuciami. Rozprostował kończyny odpychając się na krześle w tył, aż oparło się na dwóch nogach. Zza biurka Otto spoglądał na niego wielki portret ojca. Nawet z tego miejsca staruszek wyglądał na niezadowolonego.

– Co wiesz o hrabinie Emmanuelle? – Felix przerwał swoim pytaniami gderanie Otto. Ten zamilkł, odwrócił się i spojrzał ostro na młodszego brata.

– Spotkałem ją podczas ostatniej wielkiej uczy w dniu Wereny, gdy zostałem przedstawiony na dworze. Wydawała się żywiołową i nieco kapryśną młodą kobietą.

Otto przerwał i odwrócił się od okna. Zapadł ponownie w wygodnym krześle i otworzył wielką księgę rachunkową. Zaznaczył to miejsce długim piórem. Był to gest tak bardzo przypominający ojca, że Felix uśmiechnął

się. Przez chwilę Otto marszczył brwi w skupieniu. Zanurzył pióro w kałamarzu i zapisał coś w księdze. Nie patrząc na Felixa powiedział:

– Słyszałem pewne plotki o niej.

Felix pochylił się naprzód niemal dotykając uporządkowanego biurka Otto. Nogi jego krzesła ponownie stuknęły o kamienną podłogę.

– Plotki?

Otto odchrząknął i uśmiechnął się zażenowany.

– Podobno jest odrobinę dzika. Właściwie, nieco bardziej niż odrobinę.

To nic niespotykanego na dworze Emmanuelle. Oni wszyscy są, powiedzmy, niezbyt moralni.

– Dzika? – dociekał Felix. Jego zainteresowanie sięgnęło zenitu. – W

jakim sensie?

– Powiada się, że jest kochanką połowy młodej szlachty w Imperium.

Ma szczególną słabość do hulaków i pojedynekowiczów. Niewątpliwie, wybuchały liczne skandale. To oczywiście tylko plotki, a ja nie przywiązuję wagi do pogłosek – dodał pośpiesznie niczym człowiek, który obawia się, że ktoś może go podsłuchać. – Czemu pytasz?

Felix położył list na księdze, którą czytał Otto. Jego brat podniósł go i obrócił w dłoniach. Przyjrzał się złamanej pieczęci, a potem wyciągnął

pergamin z koperty i odczytał go. Otto uśmiechnął się tym samym zimnym i wyrachowanym uśmiechem, jaki prezentował ich ojciec na portrecie powyżej.

– A zatem, obracasz się teraz wśród szlachetnie urodzonych. Nawet nie zapytam, jak do tego doszło.

Odkąd pamiętał, ambicją ich ojca było wkupienie się rodziny do stanu szlacheckiego. Jak dotąd, to się nie udawało, ale Felix sądził, że była to tylko kwestia czasu. Stary człowiek był równie bogaty, jak wytrwały. Otto nadal przyglądał mu się badawczo. Przesunął wzrokiem po starym i obdartym ubraniu Felixa.

– Oczywiście, potrzebujesz pieniędzy – powiedział wreszcie. Felix spojrzał na niego myśląc nad odpowiedzią. Naprawdę nie chciał brać rodzinnych pieniędzy, ale w tych okolicznościach to wydawało się rozsądne. Z pewnością potrzebował nowego ubrania przed wizytą na dworze.

– Tak, bracie – odpowiedział.

Felix wychodził przez drzwi kantoru nie czując się najlepiej. Sakiewka złota, która podzwaniała pod jego kamizelką, była oznaką zdrady własnych ideałów. List od Otto polecający placówkom handlowym Jaegerów, by zapewniły mu wszystko, czego potrzebował, wydawał się splamiony jego własną chciwością. Po tak długim czasie spędzonym na unikaniu swojej rodziny, ta hojność była trudna do przyjęcia.

Felix potrząsnął głową i ruszył nadbrzeżem rzeki. Spoglądał w szary, mglisty mrok Reiku i obserwował wielkie barki, które przybyły aż z Altdorfu dostarczając ładunki bretońskiego wina i estalijskiego jedwabiu.

Zatrzymały się wzdłuż molo, niczym wieloryby, które na chwilę wypłynęły na powierzchnię drgając w nurcie rzeki. Przyglądał się spoconym dokerom, którzy podnosili beczki z miejsc załadunkowych za pomocą hakowatych noży i obserwował, jak toczą ciężkie ładunki wzdłuż długich trapów prowadzących do magazynów. Słyszał głośne kasłanie i dostrzegał ludzi, którzy przyciskali chustki do ust. W ciągu kilku ostatnich tygodni zaraza zabrała setki ofiar.

Zdawało się, że wysiłki Felixa i Gotreka w Ogrodach Morra w najlepszym razie spowolniły rozszerzanie się choroby, a w najgorszym –

nie miały żadnego znaczenia. Zastanawiał się, w jaki sposób zaraza rozprzestrzeniła się i przypomniał sobie szczury, które mnich zarazy zanurzał w tamtym ohydny kotle. Domyślał się, że to musiało mieć z tym coś wspólnego.

Jeden z ludzi, starszy od pozostałych, rozpoznał Felixa, którego zapamiętał z wcześniejszych lat. Uniósł rękę i pomachał do niego. Felix odmachał mu. Nawet nie pamiętał imienia tego mężczyzny, ale był

zaskoczony widząc go pracującego mimo upływu tych wszystkich lat.

Robotnik z doków nawet wtedy nie był już młody.

Felix pomyślał, że na tym właśnie polegała różnica między szlachtą Imperium a tymi, którymi rządzi. Ten robotnik będzie pracował za nędzne wynagrodzenie, jakie wypłacała mu rodzina Jaegerów, aż któregoś dnia padnie i zemrze. Szlachta próżnowała w swoich pałacach, pobierając dochody ze swoich majątków i nigdy w swoim życiu nie kalała rąk uczciwą pracą. Czasami Felix zgadzał się z rewolucjonistami, którzy nawoływali do wzniesienia rebelii w całym Imperium.

Uśmiechnął się ironicznie. To były piękne słowa, jak na kogoś, kto właśnie wziął solidne wsparcie gotówką od swojej, bogatej rodziny. No cóż, to nie on stworzył ten świat. Musiał tylko w nim żyć. Odwrócił się i pomaszerował wzdłuż brzegu rzeki zagłębiając się w hałasach, zapachach i widokach portu.

Jego nozdrza zaatakował rybi odór. Felix zakrztusił się i podniosł do nosa pomander, który dał mu doktor Drexler. Zapach perfum zaczynał

słabnąć, ale nadal wystarczał, by pokonać smród. Felix zauważył, że zapachy ulicy i innych ludzi odbierał wyraźniej, gdy wykąpał się po raz pierwszy od kilku tygodni.

Łoskot wielkich wozów konkurował z pokrzykiwaniami robotników portowych. Uzbrojony strażnik w czarnym płaszczu z herbem miasta zatrzymał się, aby wziąć gruszkę ze straganu drobnego handlarza. Mały złodziejasek śmiało ruszył po sakiewkę starego kupca, zbyt biednego, by pozwolić sobie na ochroniarzy. To wszystko przywołało Felixowi wspomnienia z jego dziecięcych wizyt w Nuln, razem z ojcem i braćmi.

Ruszył naprzód, kierując się w stronę lepszej części miasta.

Miał dziwne wrażenie, że ktoś go śledził, ale gdy odwrócił się, aby to sprawdzić, nie zauważył nikogo.

Felix przyjrzał się swojemu odbiciu w lustrze. Bardzo dobrze, pomyślał. Wiedział, że wyglądał należycie. W najlepszych latach swojego życia był wysoki, dobrze zbudowany i całkiem przystojny, we własnym mniemaniu. Teraz starał się tak ubrać, by wskrzesić jak najwięcej z tamtego wyglądu. Wziął głęboki wdech rozkoszując się zapachem luksusu, dębowych paneli i dobrej, starej skóry. Ten

dyskretny sklep sukienniczy, obsługujący tylko szlachciców najwyższej kategorii, był jednym z mniej znanych przedsięwzięć rodziny Jaeger. Gdy Felix ostatnim razem pojawił

się w Nuln, sklep jeszcze nawet nie istniał. Otworzył go Otto, dzięki listom polecającym wydanym przez samego Fritza von Halstadta.

Przynajmniej raz Felix cieszył się ze związku Otto ze skorumpowanym urzędnikiem, którego zabił.

Czuł się dziwnie w swoim świetnym, nowym ubraniu. Uwierały go wysokie skórzane buty. Kamizela było nieco sztywna, podszewka zbyt miękka. Biała, lniana koszula pachniała zbyt świeżo. Felix uświadomił

sobie, jak bardzo przywykł do surowego życia w drodze, gdy nie zmieniał

ubrania przez całe miesiące. Tylko nowy płaszcz z czerwonej wełny z Sudenlandu zdawał się znajomy. Przypominał mu stare okrycie zniszczone przez plamy krwi skavenów po ataku na gospodę Pod Ślepą Świnia.

Miecz, który wziął od templariusza Aldreda, tkwił w nowej, pięknej pochwie z czystej, czarnej skóry.

– Sir, czy życzy pan sobie, abym dokonał jakiś poprawek? – zapytał

służalczo asystent.

Felix przyjrzał się łysemu jegomościowi o kwaśnym uśmiechu. Jeszcze godzinę wcześniej, gdy Felix wszedł do sklepu, asystent zmierzył go takim spojrzeniem, jakby zobaczył szczególnie wielkiego i odrażającego karalucha. Felix nie był tym całkiem zaskoczony. Nosił się jak żebrak.

Oczywiście, postawa asystenta zmieniła się w ciągu sekund, gdy przeczytał szybko nakreśloną notatkę Otto. Kiedy sam Otto Jaeger mówił

swoim pracownikom, by dali klientowi wszystko czego zapragnie, służalcza grzeczność była już wliczona w cenę.

Felix spojrzał łaskawie na krawca.

– Nie trzeba. Proszę przed wieczorem dostarczyć kilka zmian tej odzieży do mojej rezydencji. Moje stare odzienie ma zostać zapakowane i natychmiast odesłane.

– Oczywiście, sir. A gdzie znajduje się owa rezydencja?

– Pod szyldem Ślepej Świni w Nowej Dzielnicy. Proszę przesłać ubranie Felixowi Jaegerowi.

Felixa bawił wyraz twarzy mężczyzny, gdy podawał mu adres.

Ekspedient spojrzał na niego, jakby właśnie połknął owego szczególnie wielkiego i odrażającego

karalucha.

– Pod Ślepą Świnia, sir? Czy to nie jest...

– To, gdzie się zatrzymuję, to moja sprawa, nieprawdaż?

– Oczywiście, sir. Po prostu byłem przez chwilę zaskoczony.

Tysiąckrotne przeprosiny.

– Nie ma za co. Proszę tylko zadbać, by ubrania zostały dostarczone na czas.

– Dopilnuję tego osobiście, sir.

Felix był ciekaw, czy mężczyzna znajdzie dość odwagi, by pojawić się we własnej osobie w Nowej Dzielnicy. To było możliwe. Z pewnością dostawał tyle pieniędzy, by opłacało mu się spełnić zachciankę Felixa.

– Czy to będzie wszystko, sir?

– Na razie tak.

Felix wyszedł od krawca i wkroczył w półmrok późnego popołudnia.

Rozejrzał się. Nie dostrzegał żadnych prześladowców. Jeśli faktycznie jacyś byli, najwyraźniej znudziło im się oczekiwanie na Felixa.

Przynajmniej taką miał nadzieję.

Zauważył, że wyprostował się i przybrał pewniejszą siebie postawę.

Nie przypominał już obdartego wędrowca, jaki pojawił się w sklepie Otto Jaegera. Zadziwiające było, jak wiele mogły zmienić kąpiel i zmiana ubrania.

W ciągu całego dnia na dnie żołądka czuł ucisk nerwowego oczekiwania. To nie był zwykły strach. Przypominało to raczej dręczącą niepewność, co spotka go w pałacu elektorki hrabiny Emmanuelle. Musiał

przyznać w duchu, że był gotów modlić się, by nie ośmieszyć się przed szlachtą.

Zastanawiał się nad tym przez chwilę, po czym uśmiechnął się. Miał

dobrze maniery. Umiał się wysłowić i był dobrze ubrany. Nie musiał się niczego obawiać. A jednak wiedział, że to nie była prawda. Szlachta gardziła dorobkiewiczami z klasy kupieckiej. Podczas swojego pobytu na uniwersytecie wycierpiał wiele od przytyków młodych szlachciców, którzy z całych sił starali się okazać swoją pogardę. Zawsze obrażało go poniżanie przez ludzi, którzy często byli głupszy i gorzej wykształceni od niego, a jedyną ich przewagą był fakt, że zdarzyło im się urodzić

we właściwej rodzinie. Teraz chciało mu się śmiać z siebie samego. Z

pewnością nie nastawiał się pozytywnie przed rozmową w pałacu.

Dziękował Sigmarowi za jego przychyłność – na szczęście Gotrek nie został zaproszony. Wyobrażał sobie konfrontację miejscowych wysoko urodzonych i ponurego Zabójcy Trolli. To spotkanie byłoby skazane na katastrofę. Felix nigdy nie widział, żeby Zabójca okazywał komukolwiek specjalny szacunek i wątpił, by elektorka hrabina lub jej popiecznicy docenili niezależny duch krasnoluda.

Nagle pojawił się nowy problem, o którym wcześniej nie pomyślał.

Ulice były zablokowane i pełne śmieci. Ścieki wylały. Otaczał go gęsty i niedomyty tłum. Felix wiedział, że nigdy nie dotrze do pałacu unikając uwalania jego świętego, nowego ubrania brudem ulicy. Nie należało pojawiać się w pałacu nie zadbawszy o idealny wygląd. Rozejrzał się mając nadzieję, że znajdzie rozwiązanie.

Machnął ręką wzywając mijającą go lektykę. Zasłony pudła były uchylone, co znaczyło, że pojazd był do wynajęcia. Nieśmiało zbliżyli się dwaj krępi tragarze. Felix przez chwilę był zaskoczony. Normalnie dwóch podobnych osiłków skłęboby go lub obrzuciło kpinami, ale teraz okazywali wszelki należny szacunek. Zrozumiał oczywiście, że stało się tak dzięki jego strojowi. Uznali go za bogatego szlachcica i potencjalnie lukratywne źródło zarobku. Nie wyprowadzał ich z błędu i rzucił krótko:

– Do pałacu i to zwawo.

Wdrapał się na wyściełane pluszem siedzisko, a nosiciele ruszyli szybkim krokiem. Felix uchylił zasłonę z tyłu lektyki, aby jeszcze raz sprawdzić, czy nie jest śledzony. Być może wyobraźnia płatała mu figle, ale wydawało mu się, że w tym momencie ktoś uskoczył w jedną z bocznych alejek.

Do pałacu elektorki prowadziła stroma i kręta droga. Domy szlacheckie otaczały najwyższe wzgórza miasta. Felix miał z tego miejsca piękny widok na dachy kupieckich domostw i szerokie zakole rzeki Reik.

Dostrzegął iglice świątyń i wielki plac budowy, na którym pracowali robotnicy odbudowujący Szkołę Inżynierów.

Końskie podkowy stukwały na bruku ulicy. Mijały go liczne powozy.

Służący w liberiach tuzina słynnych rodów krzątali się wszędzie wokół

przenosząc wiadomości, prowadząc zwierzęta lub niosąc wielkie sakwy pełne zapasów. Najniżsi rangą wśród nich byli ubrani lepiej od niektórych kupców miejskich, a najbardziej dostojni nosili uniformy nieznacznie tylko mniej zdobne niż mundur kapitana oddziału najemników. Wszyscy wyglądali na czystszych i lepiej odżywionych od pospólstwa, jakie mieszkało niżej.

Tu i tam, szlachcice odziani we wspaniałe szaty kroczyli w otoczeniu swoich służących i ochroniarzy, a tłum ustępował im z drogi jak pod wpływem tajemniczej siły. Felix przyglądał się ich

hardym obliczom i wydawało mu się, że rozpoznaje kilku młodzieńców, którzy tego wieczora udawali biedaków w gospodzie Pod Ślepą Świnią. Wątpił, by którykolwiek z nich mógłby go teraz rozpoznać.

Przed nim wyrosły mury pałacu. Ogrom budowli pozornie pomniejszał

otaczające ją miejskie budynki. Nawet teraz, z otynkowanymi ścianami i zdobnym, rzeźbionym wykończeniem, gmach przypominał raczej fortecę niż pałac. Wielki łuk bramy wejściowej onieśmielał swoją wysokością, a ciężkie dębowe wrota okute brązem wyglądały, jakby mogły wytrzymać jednoczesne uderzenie setki taranów. Wejścia strzegli wartownicy, którzy sprawdzali każdego, kto próbował przejść. Niektórych wchodzących rozpoznawali od razu i puszczali ich bez pytań. Pozostali byli zatrzymywani i przepytywani, a Felix spodziewał się, że znajdzie się w drugiej kategorii.

Puknął w baldachim lektyki dając znak, że chce się zatrzymać, zapłacił

tragarzom dwa srebrne szylingi i dodał jeszcze szylinga napiwku, a potem odprowadził ich wzrokiem. Poklepał się po kamizeli sprawdzając, czy jego wezwanie było na miejscu, po czym ruszył możliwie pewnym krokiem w stronę bramy.

Gdy jeden ze strażników zapytał go o cel wizyty, okazał mu list oraz pieczęć. Był zaskoczony, gdy z wartowni wyszedł wysoki szczupły mężczyzna, cały ubrany w czerń. Spojrzał na Felixa zimnymi, szarymi oczami.

– Herr Jaeger – odezwał się cichym głosem pozbawionym emocji. –

Czy byłby pan łaskaw pójść ze mną? Po drodze wyjaśnię naturę tej sprawy.

Pełen nagłej obawy Felix ruszył za mężczyzną. Nie mógł nie zauważyć, że dwaj uzbrojeni strażnicy poszli ich śladem. Szli długimi korytarzami, mijali serie galerii i ogromne sale balowe, aż wreszcie zeszli kilka poziomów po schodach w kierunku lochów.

Gdzieś w oddali rozległo się bicie wieczornego dzwonu.

Felix z lękiem rozejrzał się po gabinecie. Był duży i wspaniale umeblowany, a tego zupełnie się nie spodziewał. Sądził, że zobaczy salę tortur lub celę, ale nie coś takiego. Tak czy inaczej, dwaj żołnierze, którzy szli za nimi, ustawili się pod ścianą po drugiej stronie komnaty i zamarli bez ruchu. Gdy Felix przyglądał się im, do sali wszedł latarnik w liberii pałacowej niosąc małą drabinę. Inny służący przyniósł zapaloną na końcu żerdź, wspiął się po drabinie i zapalił świece wstawione w masywny żyrandol. Jego światło przytłumiło promienie zachodzącego słońca, które przenikały przez wąskie okno.

Wysoki mężczyzna wskazał na ciężki skórzany fotel, który stał przed równie ogromnym biurkiem.

– Herr Jaeger, proszę usiąść.

Felix zapadł się w fotelu. Nieznajomy podszedł do okna i wyglądał

przez chwilę na zewnątrz, po czym zasunął ciężkie brokatowe kurtyny.

Spoglądał na okno jakby widział je po raz pierwszy. Było wąskie, najwyraźniej zaprojektowane jako szczelina strzelecka dla łucznika.

– To miejsce było fortecą, zanim stało się pałacem – rzekł.

Jego słowa zawisły w powietrzu. Felix zastanawiał się nad nimi szukając jakiegoś ukrytego znaczenia. Nie odpowiedział lecz czekał, aż mężczyzna dokończy lub rozwinie swoją wypowiedź. Ten przerwał

zamyślenie i uśmiechnął się, pierwszy raz. Miał doskonale białe zęby, przy których nawet jego blada skóra wydawała się sina.

– Proszę mi wybaczyć, Herr Jaeger, niezupełnie wygląda pan tak, jak się tego spodziewałem.

– A czegoż się pan spodziewał, Herr... ?

Mężczyzna skinął głową jak ktoś, kto nagradza przeciwnika, który właśnie zdobył punkt podczas meczu szermierczego.

– Jeszcze raz proszę o wybaczenie. To był długi i ciężki dzień. Całkiem zapomniałem o dobrych manierach. Jestem Hieronymus Ostwald, osobisty sekretarz Jej Oświeconej Mości.

Felix nie był pewien, czy powinien wstać i odwzajemnić ukłon. Nie zdążył się zdecydować. Ostwald ruszył szybko za swoje biurko i usiadł.

Felix zauważył, że nawet w wygodnym fotelu mężczyzna siedział z wyprostowanymi plecami, jak żołnierz przyzwyczajony do żelaznej dyscypliny.

– Odpowiadając na pańskie pytanie: biorąc pod uwagę opis pańskiej osoby, spodziewałem się kogoś prezentującego się znacznie gorzej.

Najwyraźniej należała mi się nauczka – otworzył leżącą przed nim małą skórzaną książkę. – Jak widzę, jest pan członkiem rodziny Jaegerów.

Dobrze. Bardzo dobrze.

– W jaki celu znalazłem się tutaj?

– Dieter! Johan! Możecie poczekać na zewnątrz – Ostwald machnął na żołnierzy. Ci otworzyli drzwi i cicho, dyskretnie opuścili komnatę. Gdy wyszli, Ostwald splótł palce i ponownie przemówił.

– Herr Jaeger, proszę mi powiedzieć, czy wie pan cokolwiek o skavenach?

Felixowi zdawało się, że jego serce przestało bić. Nagle poczuł suchość w ustach. Z wielką ostrożnością namyślał się nad odpowiedzią.

– Coś o nich wiem. Nie znam żadnego z nich osobiście.

Ostwald roześmiał się jeszcze raz. Był to zimny, mechaniczny śmiech, bez śladu rozbawienia.

– Bardzo dobrze. Przypuszczałem, że tak właśnie jest.

– Do czego pan zmierza? – Felix z coraz większym trudem panował

nad nerwami. Nie wiedział, dokąd mogła doprowadzić ta konwersacja, ale potrafił wyobrazić sobie kilka możliwych zakończeń. Żadne nie było przyjemne.

– To proste, służył pan w straży ściekowej i tam zapewniał

przełożonych, że spotkał się ze skavenami. Czy nie tak było?

– Sam pan to wie.

– Owszem, wiem – Ostwald uśmiechnął się ponownie. – Nie przypomina pan typowego kanalarza, Herr Jaeger. Synowie bogatych kupców rzadko wskakują do kanałów przy każdej okazji, gdy można zapolować na gobliny.

Felix przyzwyczajał się już do tego. Nie zaskoczyła go niespodziewana natura tego stwierdzenia. Zrozumiał, że to wszystko stanowiło część techniki wywiadowczej Ostwalda. Lubił wytrącać z równowagi swoich rozmówców. To przypominało szacowanie przeciwnika podczas pojedynku. Felix odwzajemnił uśmiech.

– Jestem czarną owcą w rodzinie.

– Rzeczywiście. Interesujące. Przy innej okazji musi mi pan wytłumaczyć, jak do tego doszło.

– Podejrzewam, że pan już to wie.

– Możliwe. Możliwe. Wróćmy do skavenów, Herr Jaeger. Ile razy spotkał się pan z nimi?

– Kilka razy.

– A dokładnie?

Felix zastanowił się, do czego był gotów się przyznać. Pierwsze było spotkanie w kanałach. Potem atak na gospodę Pod Ślepą Świnią.

Następnie walka w Ogrodach Morra. Zdecydował, że w tych okolicznościach niedyplomatycznie byłoby wspomnieć o spotkaniu ze szczuro-ogrem w domu von Halstadta i walce z czarnoksiężnikami Skryre w Szkole Inżynierów.

– Trzykrotnie.

Ostwald ponownie sprawdził coś w książce. Felix pomyślał, że kolejny element układanki znalazł się na swoim miejscu. Tak naprawdę, ten człowiek nic nie wiedział. Strzelał tylko. Jego taktyka polegała na zastraszeniu przesłuchiwanym i oczekiwaniu na to, co im się wymyśli.

Oczywiście, Felix wiedział, że świadomość tego nic mu nie da, jeśli urzędnik rozkaże zabrać go na tortury do lochów. Postanowił sam spróbować zadać kilka pytań.

– W czym imieniu pan występuje? – zapytał.

– W imieniu elektorki hrabiny Emmanuelle – powiedział Ostwald z absolutną pewnością siebie. – Dlaczego pan pyta?

– Staram się tylko zrozumieć, co tu się dzieje.

Ostwald nagroził go przeciągłym uśmiechem, zimnym jak lód.

– Z łatwością to panu wytłumaczę, Herr Jaeger. Co pan wie o Fritzu von Halstadt?

Felix ponownie poczuł jak serce skacze mu do gardła. Zmusił się, by jego twarz nie zdradziła zaskoczenia i wyrzutów sumienia. Nieznaczny, rozbawiony błysk w oczach Ostwalda przekonał go, że mężczyzna coś zauważył.

– To nazwisko brzmi znajomo – odparł. – Myślę, że widziałem go kiedyś w klubie mojego brata.

– Bardzo dobrze, Herr Jaeger. Proszę mi pozwolić podzielić się z panem pewną wiadomością – z zastrzeżeniem, że jako dżentelmen zapewni mnie pan, iż nic z tego, o czym rozmawiamy, nie opuści tej komnaty.

Ton, jakim wypowiedział te słowa, uzmysłowił Felixowi, że Ostwald nie liczył tylko na jego słowo honoru. Felix nie wątpił, że gdyby nadwerżył zaufania tego mężczyzny, nastąpiłyby poważne i gwałtowne skutki.

– Proszę mówić dalej. Ma pan moje słowo, nie powiem nikomu.

– Fritz von Halstadt Został zamordowany.

Felix miał wrażenie, że padnie martwy na miejscu. Był pewien, że wina wypisana jest na całej jego twarzy i Ostwald za chwilę wezwie strażę, by wrzuciły go do lochów.

– Zabili go skaveni.

Felix wydał z siebie długie, głośne westchnienie ulgi.

– Widzę, że jest pan poruszony, Herr Jaeger.

– Naprawdę? – Felix zebrał się w garść. – To znaczy, istotnie jestem.

– Tak. To przerażająca myśl, nieprawdaż? Powiem panu coś jeszcze.

Fritz von Halstadt nie był zwykłym sługą korony. Pracował jako szef tajnej policji Jej Oświeconej Mości. Myślę, że musiał odkryć jakąś intrygę skavenów i z tego powodu został zamordowany.

Felix pomyślał, że lepsze byłoby określenie „przyłączył się”, zamiast

„odkrył”. Zatrzymał to jednak dla siebie i zapytał:

– Z czego pan to wnioskuje?

– W wypalonych gruzach jego domu znaleźliśmy szkielet stworzenia, które nie było człowiekiem. Podejrzewamy, że był to jakiś potwór wezwany przez skavena, aby pomógł mu zabić von Halstadta. Ten musiał

z nim walczyć i zabić go, a potem zmarł od odniesionych ran. Dom prawdopodobnie stanął w ogniu podczas walki.

– Niech pan mówi dalej.

– Co ciekawe, wkrótce potem nastąpił zamach na pańskie życie. O ile wiem, pan i pański towarzysz, krasnolud Gurnisson, jesteście jedynymi osobami, które twierdziły, że widziały skaveny. To mogła być próba zatarcia śladów.

– Wydaje mi się, że pana rozumiem.

– Są inne sprawy, o których może pan nie wiedzieć, Herr Jaeger, i powiem panu o nich, aby zdał pan sobie sprawę z powagi sytuacji. Być może słyszał pan o pożarze w Szkole Inżynierów?

– Owszem.

– Może pan jednak nie wiedzieć, że ogień także był sprawką skavenów.

Zapewniam pana, Herr Jaeger, nie ma się z czego śmiać. Bogowie musieli sprzeciwić się tym szczurowatym diabłom. Zdaje się, że nastąpił jakiś wypadek, bowiem na miejscu znaleźliśmy mnóstwo zwłok skavenów.

– Czemu nic o tym nie słyszałem? – spytał Felix.

– Usłyszałby pan, gdyby nie to, że Jej Oświecona Mość uznała za słuszne uniknięcie wybuchu paniki, co z pewnością nastąpiłoby, gdyby rozgłosić, że nasze miasto jest oblężone przez skaveny!

Felix był zdumiony. Po tylu bezowocnych próbach jakie podjął, by ktoś potraktował poważnie zagrożenie ze strony skavenów, teraz ten człowiek starał się przekonać go o tym! Nie wiedział, czy płakać, czy się gniewać.

Postanowił odgrywać wyznaczoną mu rolę, bowiem po namyśle zdał sobie sprawę, że przyznanie się

do czegoś więcej, niż to, o czym wiedział

Ostwald, szybko mogło okazać się niebezpieczne.

– Nie żartuję, Herr Jaeger. Od czasu, gdy pan i Gurnisson donieśliście o obecności grup zwiadowczych skavenów w kanałach, miały miejsce inne spotkania, a nawet potyczki. Co więcej, bandy szcziroludzi zakradły się nocą do naszych doków kradnąc żywność, a nawet porwały barkę ze zbożem. Powtarzam panu, jesteśmy oblężeni.

– Oblężeni? Czy to nie nazbyt mocne stwierdzenie? Gdzie są armie, maszyny bojowe, hałaśliwe hordy?

– To są mocne słowa, Herr Jaeger, i po prawdzie takich właśnie wymaga obecna sytuacja. Szef tajnej policji zamordowany. Mnożą się napaści na obywateli. Wielka zbrojownia imperialna zniszczona – a teraz jeszcze grozi nam zaraza!

– Ja...

– Dobrze, Herr Jaeger. Wiem, że podchodzi pan do tego poważnie.

Wiem, że posiada pan pewną wiedzę na temat tych wydarzeń. Mamy wspólnego znajomego, który opowiedział mi wszystko o pana w tym udziale.

– Wspólnego znajomego?

Ostwald wskazał na pomander, podobny do tego, jaki wisiał na szyi Felixa. Uniósł go do nosa i wciągnął głęboko powietrze, po czym odłożył

kulkę pachnidła na stół.

– Człowiek, o którym mówię, to oczywiście Herr doktor Drexler.

Opowiedział mi o pańskiej wizycie w Ogrodach Morra i o tym, co pan tam znalazł. Ostatecznie, to on opatrywał pańskiego pomocnika.

– Skąd pan zna doktora Drexlera? – zapytał Felix, aby zyskać nieco na czasie. Miał szczerą nadzieję, że w obecności Zabójcy Ostwald nigdy nie nazwie Gotreka pomocnikiem.

– Jestem jego pacjentem i przyjacielem. To lekarz wielu szlacheckich rodzin.

– Ale...

– Widzę, że jest pan świadom także innego, jeszcze głębszego powiązania. Spodziewałem się tego po kimś równie przenikliwym.

Felix miał zamiar zapytać, dlaczego Drexler opowiedział o tym wszystkim, ale postanowił zamknąć usta i czekać na wyjaśnienie, jakie poda mu ten zimny i przebiegły mężczyzna.

– Mówię panu o tym tylko dlatego, że istotnie sytuacja jest rozpaczliwa, Herr Jaeger, i bardzo potrzebujemy pańskiej pomocy.

Felix pomyślał, że musiało być naprawdę rozpaczliwie, skoro potrzebowali jego pomocy. Szczególnie, że nie miał pojęcia, o czym mówił ten człowiek.

– Drexler i ja jesteśmy nowicjuszami w Zakonie Młota – mówiąc to nakreślił na swoim sercu osobliwą wariację znaku, odwracając normalną kolejność: w lewo, w prawo, na środek, w dół. – Słyszał pan o nas?

– To jakiś rodzaj tajnego stowarzyszenia Sigmarytów? – zgadywał

Felix. Nie trudno było to odgadnąć. Młot był symbolem Kultu Imperialnego i istniało wiele dziwnych, sekretnych stowarzyszeń, które posiadały własne znaki i hasła.

– Zgadza się. Jest to zakon oddanych mu ludzi, którzy przysięgli chronić naszą starożytną cywilizację przed zagrożeniem Chaosu. Dzielimy z Drexlerem wiele przekonań i starodawnej wiedzy. Powiedział mi, że sam Aldred wybrał pana na swojego następcę.

– Następcę? – Felix był zdumiony.

– Nosi pan jego miecz, Herr Jaeger. Znał pan tego człowieka.

– Mmm?

– Wiem, że Herr Aldred był członkiem kilku tajnych zakonów, łącznie z tym, do którego należał oficjalnie. To był pobożny i nieustraszony człowiek, Herr Jaeger. Podobnie jak pan, poświęcił się walce z siłami Chaosu, gdziekolwiek je odkrył.

– Ja nie należę do tego zakonu.

– To zrozumiałe, że pan temu zaprzecza, Herr Jaeger. Herr Aldred należał do wielu zakonów, które wiązały go jeszcze surowszymi przysięgami zachowania tajemnicy niż te, jakie istnieją w naszym zgromadzeniu. Nie będę pana naciskał pytaniami na ten temat.

I bardzo dobrze, pomyślał ze strachem Felix, ciesząc się, że nie wyjdzie na jaw głębia jego ignorancji.

Ostwald przerwał na chwilę, a potem odezwał się, jakby chcąc zmienić temat:

– Drexler powiedział mi, że pan również posiada znaczną wiedzę.

– Tylko odrobinę.

– Być może ta odrobina, której jest pan świadom, okaże się bardzo istotna, Herr Jaeger. Proszę mi powiedzieć o owym dziwnym skavenie, który pisuje do pana listy z przestrogi. Jak pan go spotkał?

A zatem, pomyślał Felix, cała ta przemowa o tajnych społecznościach i śmiertelnych zagrożeniach miała doprowadzić do tego. To była próba wydobywania z niego informacji. Zrozumiał, że Drexler musiał donieść Ostwaldowi o swojej rozmowie z Felixem, zatem nie widział sensu w ukrywaniu czegokolwiek, co dotyczyło listu.

– Nigdy go nie spotkałem – ucziwie zapewnił Felix. – Nie mam pojęcia, dlaczego wybrał akurat mnie, żeby się ze mną komunikować.

Może wiadomości nie były adresowane do mnie? Może miał je dostać Gotrek?

– To nie wydaje się prawdopodobne, Herr Jaeger, sądząc po zajęciu, jakim para się krasnolud. Nie... jestem przekonany, że to pan jest wybrańcem. Ale dlaczego?

– Może dlatego, że umiem czytać.

– Potrafi pan czytać runy skavenów?

– Nie, ale potrafię czytać w imperialnym.

– A zatem, list był napisany w imperialnym? – Ostwald wyglądał na zdumionego.

– Oczywiście. Jak inaczej mógłbym je odczytać?

– Ma pan przy sobie te listy?

– Nie, znikły w kłębach dymu w pięć uderzeń serca po tym, jak je przeczytałem – zakpił Felix. Miał zamiar dodać, że zazwyczaj nie nosił

listów przy sobie, ale Ostwald przerwał mu.

– Zaiste, to potężne czarodziejstwo! Herr Jaeger, musi pan coś zrozumieć. Przejąłem obowiązki Fritza von Halstadta. Bezpieczeństwo wielkiego miasta Nuln spoczywa w moich rękach. Jeśli skaveni skontaktują się z panem ponownie... no cóż, proszę mnie wówczas natychmiast zawiadomić.

– Z najwyższą przyjemnością – szczerze zapewnił Felix.

– Nie... proszę traktować to poważnie, Herr Jaeger. Domyślam się, że pan wie więcej, niż jest gotów mi powiedzieć w tej chwili. To w porządku.

Wszyscy musimy mieć swoje małe sekrety. Ale nalegam, by pan dał mi o tym znać. Nie życzę sobie kolejnych wypraw o północy na cmentarzysko.

Wiem, że jest pan śmiałym i rozumnym człowiekiem, ale w takich sprawach najlepiej radzą sobie władze.

– Zgadam się całkowicie.

– Dobrze, Herr Jaeger. Proszę nie próbować zawieść mego zaufania.

Moje ręce sięgają daleko.

– Nawet o tym nie myślę. Ma pan moje słowo.

– Znakomicie. A zatem, może pan iść. Proszę tylko pamiętać...

– Niech pan się nie obawia, Herr Ostwald. Może być pan pewien, że powiadomię pana, gdy tylko dowiem się czegoś o planach skavenów –

powiedział Felix, mając rozpaczliwą nadzieję, że nigdy nie znajdzie się ponownie w posiadaniu takich informacji.

Izak Grottle wylazł ze swojej lektyki i podszedł do wielkiego zakratowanego okna. Oddychał ciężko i był głodny. Długo podróżował

przez Podziemne Drogi, aby dotrzeć do tej sekretnej nory. Wkrótce znowu miała nadejść pora posiłku. Mógł sobie pogratulować. Zadziwiające było, skąd brały się najlepsze pomysły. Wytężona praca prowadzona w tej tajnej wylęgarni została zainspirowana jego własnym głodem. Wątpił, by jakikolwiek inny skaven pomyślał o czymś równie prostym, a jednak tak błyskotliwym. Grottle zostawiał innym plątanie się w zawiłych i skomplikowanych intrygach. Wkrótce pokaże im wszystkim, że najprostsze plany są najlepsze.

Spojrzał na wielkie kadzie spaczenia i zobaczył nabierające kształtów potwory, które tkwiły zatopione w bulgoczących, połyskujących płynach odżywczych. Obejrzał masywne kule spaczenia, które precyzyjnie odmierzały ładunki mocy mutującej podawanej do kadzi, podczas gdy obserwujący je mistrzowie pilnowali, by warunki rozwoju były idealne.

Obrzydliwy smród ozonu i dziwnych chemikaliów unosił się w powietrzu i drażnił nozdrza. Dla skavena był to zapach uspokajający – zapach wylęgarni, w których wychował go jego klan i skąd rozpoczął swoją długą wspinaczkę, aby osiągnąć poziom władzy, jaką dzierżył.

Uśmiechnął się obnażając wielkie żółte kły i ponownie poczuł

szarpnięcie potwornego głodu. Wszyscy skaveni to odczuwali od czasu do czasu, zwykle tuż po walce lub innej gwałtownej działalności. Nazywali to Czarnym Głodem i dla większości z nich był to dowód osiągniętego triumfu i znak, że mogli pożreć swoją ofiarę. Izaka Grottle'a ten głód nękał nieustannie. Od dawna podejrzewał, że długi kontakt z pyłem spaczenia i mutagennymi chemikaliami coś z nim zrobiły. Nie byłby pierwszym z poganiaczy Klanu Moulder, którzy otrzymali stygmaty jakiejś mutacji i nie będzie ostatnim. Przypuszczał, że w jego przypadku zmiany dotknęły także mózgu – mutacja stymulowała jego rozwój umysłowy, sprawiła, że stał się znacznie sprytniejszy i przebieglejszy od innych skavenów, a co więcej, wynagrodziła go fantastyczną przenikliwością. Oczywiście, właśnie dlatego musiał jeść tak dużo – jego niezwykły umysł zużywał mnóstwo energii.

Wepchnął ogon do ust, aby zapanować nad straszliwym głodem.

Wielkie krople śliny kapwały na bulwiaste ciało. Pożarł już wszystkie kawałki z wielkiego kopca suszonego mięsa, jaki zabrał ze sobą na czas wizyty. Wiedział, że w laboratorium chemicznym nie było zbyt wielu rzeczy nadających się do zjedzenia, nie licząc własnych sług, którzy niestety tego dnia nie zrobili niczego, żeby go rozgniewać i zasłużyć na karę. Stojące dokoła słoje zawierały głównie toksyczne chemikalia – nic dla niego. Odetchnął głęboko, próbując opanować apetyt.

Skitch spojrzął na niego nerwowo. Grottle dostrzegał niepokój swojego małego skaveńskiego pomagiera. Zapewne myślał o wszystkich poprzednich sługach, których miał pożreć poganiacz. Grottle oblizał usta długim różowym językiem. Lubił powtarzać swoim leniwym naukowcom, że te plotki były jak najbardziej prawdziwe. Światło latarni spaczenia odbijało się od grubych soczewek, których Skitch używał dla poprawy swojego słabego wzroku. Grottle skinął głową i szarpnął ogonem nie mogąc sobie odmówić przyjemności zobaczenia jak Skitch odskakuje przestraszony do tyłu.

Skitch był mały, słaby i miał tak krótki wzrok, że bez okularów z trudem zauważał łapę przed swoim pyskiem. W wielu skaveńskich klanach tak żalostnego osobnika szybko by zabito i zjedzono, ale Klan Moulder dostrzegł jego potencjał i zatrzymał go przy życiu, a za to – czego Grottle był świadomy – maty szczeniak był naprawdę wdzięczny.

Rzeczywiście, okazał się przydatny dla Klanu Moulder. Skitch był

prawdopodobnie najlepszym mistrzem kadzi w długiej i chwalebnej historii klanu. Był geniuszem, jeśli chodziło o hodowanie i kształtowanie wszelkich bestii. Teraz wyciągał przed siebie klatkę zawierającą coś, co zapewne było największym triumfem Klanu Moulder.

Izak Grottle wziął klatkę i obejrzał jej zawartość. W środku znajdowała się wielka, lśniąca i gruba szcurzyca, najwyraźniej już ciężarna. Grottle pomyślał, że niewycwiczone oko nie dostrzegłoby wielu różnic między tym a zwykłym szczurem. Być może ignoranci zauważyliby, że szcurzyca była nieco większa, odrobinę bardziej agresywna. Może nawet dostrzegliby niepokojący błysk nienaturalnych emocji w jej ślepiach. Ale nigdy nie podejrzewaliby, że spoglądają na najpotężniejszą broń, jaką znał

świat.

– Nie wygląda zbyt groźnie, nieprawdaż? – odezwał się Grottle swoim niskim, głębokim i huczącym głosem. – Nieprawdaż?

Grottle lubił się powtarzać. Był dumny ze swojego potężnego głosu, który tak bardzo nie przypominał normalnego głosu skavena. Skitch wiedział, co odpowiedzieć.

– Być może nie, mistrzu, ale wygląd bywa mylący – głos mistrza kadzi był niezwykle wysoki jak na skavena, a w jego słowach kryło się głębokie zrozumienie tematu. – Ta ślicznotka zniszczy całe miasta, powali narody na kolana, spowoduje, że świat ugnie się przed geniuszem Klanu Moulder!

Grottle pokiwał wolno łbem okazując satysfakcję. Wiedział, że to była prawda. Po prostu lubił słuchać, gdy powtarzał to jego sługa.

– Jesteś pewien, że nie będzie żadnych problemów, Skitch? Absolutnie pewien?

– Tak, tak, mistrzu, jestem pewien. Wyhodowaliśmy tysiące tych stworzeń i przetestowaliśmy je odpowiednio, sprawdzając, czy są wystarczająco niszczycielskie.

– Dobrze! Dobrze! I co się okazało?

– One wykazują ogromny apetyt na niemal każdy materiał. Zjadają drewno i odchody, gdy nie ma niczego innego, ale głównie poszukują i pożerają ziarno, mięso oraz inne pożywienie ludzi.

– Doskonale.

– Potrafią zjeść równowartość wagi swojego ciała w czasie krótszym niż tysiąc uderzeń serca i ponownie są gotowe do jedzenia już po kilku godzinach.

– Spisałeś się wspaniale, Skitch. Wspaniale.

Garbus niemal widocznie nadał się po tej pochwale.

– W dodatku potrafią rozmnażać się w miotach do stu młodych.

– Oczywiście rosna szybko?

– Osiągają pełne, dorosłe rozmiary w ciągu jednego dnia, przy założeniu, że znajdą dość jedzenia.

– A samice?

– Potrafią kocić się każdego dnia, tak jak to obmyśliłeś, mistrzu.

Grottle odrzucił łeb w tył i wydobył z siebie głęboki, huczący śmiech.

Tak prosty pomysł, pomyślał. Gdy te szczury zostaną uwolnione w ludzkim mieście, skonsumują wszelkie zapasy żywności w ciągu kilku dni.

Całe zmagazynowane zboże ze zbiorów zostanie pożarte. Jedzenie w kramach zniknie pod włochatą lawiną wygłodzonych stworów. Będą jadły i kociły się, bez przerwy. A gdy zabraknie jedzenia, zaczną zjadać ludzi i ich zwierzęta. Gdy wyczerpią się inne źródła pożywienia, pożrą siebie nawzajem. Albo zdechną. Czas ich życia mierzony był w kilku dniach. Ale zanim to się stanie, ludzie wymrą z głodu lub uciekną z miasta, a Klan Moulder zatriumfuje. Wkrótce ta wieść dotrze do Rady Trzynastu i Izak Grottle otrzyma odpowiednią nagrodę.

– Czy jesteśmy gotowi do rozpoczęcia?

– Tak, mistrzu. Barka, którą porwaliśmy, jest już niemal gotowa.

Przebudowa zostanie zakończona w ciągu najbliższych dni. Przerzucimy nasze okazy do miejsca, w którym ją ukryto. Gdy to nastąpi, będzie mogła wyruszyć w podróż na twój rozkaz.

– Doskonale. Doskonale.

Ludzkie magazyny znajdowały się blisko doków. Pozostawało im tylko doprowadzić łódź w pobliże nadbrzeża i otworzyć klatki. Kilka oddziałów powinno zapewnić, że to nie będzie trudna operacja. Dla pewności wystarczyło dodać kilka szczuro-ogrów.

– Rozpocznij, gdy tylko przygotowania zostaną zakończone.

– Oczywiście, mistrzu.

– Mówisz, że macie ich tysiące? – spytał Grottle, sięgając do klatki po gładkiego, grubego szczura.

– Tak, mistrzu. Czemu pytasz?

– Ponieważ jestem nieco głodny – mówiąc to Izak Grottle złapał senną szczurzycę i wpakował ją żywcem do swoich śliniących się ust. Zwierzę szamotało się daremnie w drodze do jego żołądka. Smakuje nieźle, pomyślał Grottle.

Szczur miał smak zwycięstwa.

Felix wszedł przez uchylne drzwi gospody Pod Ślepą Świnią i w jego stronę obróciły się wszystkie głowy. W pierwszej chwili zastanawiał się, dlaczego tak się stało, ale gdy Kątka, jedna z dziewczek służebnych, podeszła odebrać od niego zamówienie, zrozumiał, że nikt go nie poznał.

Uśmiechnął się do dziewczyny, która przyglądała mu się niepewnym wzrokiem, aż wreszcie dostrzegła, kim był nowy gość.

– Cóż to, Felixie? Nigdy bym nie zgadła, że to ty. Czy hrabina podarowała ci nowe ubranie?

– Można tak powiedzieć – rzucił półgłosem pędząc po schodach do swojego pokoju, aby się przebrać. Z radością odkrył, że paczka zawierająca jego stare ubranie przybyła już ze sklepu krawca.

Dzięki niech będą Sigmarowi, pomyślał. Nie było rozsądne branie udziału w karczemnych bijatykach w tak świetnym stroju. Zastanowił się, jak bardzo zmieniło go samo posiadanie tego strojnego ubioru. Tamtego ranka nawet nie pomyślałby o takich sprawach. Zapewne dlatego, że nie musiał o tym myśleć. Co powinien zrobić z sakiewką pełną złota, jaką dał

mu Otto? Dla jego brata to było pewnie niewiele pieniędzy, ale ta suma przewyższała zarobek Felixa za cały sezon pracy w gospodzie Pod Ślepą Świnią. Delikatnie podniósł luźną klepkę w podłodze i ukrył złoto w schowku.

Przebierając się myślał o swoim spotkaniu z Herr Ostwaldem.

Najwyraźniej po tak długim czasie władze wreszcie zaczęły poważnie traktować zagrożenie ze strony skavenów. Jednocześnie Ostwald zdawał

się wysnuwać dziwne przypuszczenia dotyczące Felixa. Zakładał zdaje się, że Felix był znacznie

przebieglejszy i bardziej zaangażowany w to wszystko, niż było w rzeczywistości. Felix domyślał się, że Ostwald po prostu uzupełniał własnym rozumowaniem i przeczuciem wiedzę na temat Felixa. No cóż, dopóki nie zadawał żadnych pytań o śmierć von Halstadta i spalenie szkoły, Felix nie miał zamiaru wyprowadzać go z błędu. Fakt, że Ostwald wydedukował istnienie wielkiego i dobrze zorganizowanego spisku skavenów mając świadomość tylko kilku przypadkowych aktów, jakich dokonali Felix i Zabójca, mógł być zadziwiający – gdyby nie jedna rzecz.

Było całkiem oczywiste, że faktycznie istnieje wielki, zorganizowany spisek. Gdy Felix zabijał von Halstadta, obecny był potężny szczuroczłek.

Skrytobójcy Klanu Eshin prawie nie spalili gospody Pod Ślepą Świnia, a potwory widywano także tuż przed pożarem, jaki zniszczył większość dzielnicy biedoty. Chociaż wraz z Gotrekiem pokrzyżowali im plany, czarnoksiężnicy Skryre zdążyli splądrować szkołę. Mimo, że przerwali rytuał mnichów zarazy, skavenom udało się przeniknąć do Ogrodów Morra, a choroba nadal szerzyła się w mieście jak dziki pożar.

Felix pospiesznie zdjął pomander z szyi i głęboko zaciągnął się zapachem ziół. Ostwald nie ukrywał faktu, że patrole szczuroludzi były widywane w kanałach i wokół miasta. Były to najprawdopodobniej grupy zwiadowcze.

Felix wiedział, że stworzenie, jakie Gotrek zobaczył w domu von Halstadta, było Szarym Prorokiem – według książki Leibera – jednym z najrzadszych i najpotężniejszych magików szczuroludzi. Co więcej, tego rodzaju stworzenia widywano wtedy, gdy skaveni planowali poważne akcje.

Felix poczuł dreszcz, którego nie wywołał chłód przedostający się przez dziury w jego znoszonym ubraniu. Musiał przyznać, że chociaż w wielu przypadkach Ostwald nie miał racji, jednak jego wnioski były najprawdopodobniej słuszne. Skaveni planowali w Nuln coś wielkiego.

Ale co to mogło być?

Szary Prorok Thanquol zażył kolejną szczyptę spaczenia i dotknął

swoich wąsów. Sprawy miały się dobrze. Przejrzał leżącą przed nim masę papierów i ucieszył się z wieści, jakie przynosiły. Niemal dziesięć tysięcy zaprawionych skaveńskich oddziałów wkrótce miało znaleźć się na pozycjach w Podziemnych Drogach pod miastem Nuln i wokół niego.

Tak wielkich zastępów nie wystawiono od czasu ostatniej Wielkiej Inwazji Chaosu. To była największa armia, jaką Rada Trzynastu wysłała do ataku na ludzkie miasto, od czasu Wielkiej Zarazy, gdy całe ludzkie imperium na krótko znalazło się pod żelazną łapą panowania skavenów. A on miał dowodzić tą armią. Na jego słowo zaatakują i w szale niepohamowanej dzikości pokonają żalonych ludzi na powierzchni.

Przez chwilę spaczeń wywoływał przepiękne wizje zniszczenia i śmierci, które tańczyły przed zaczerwionymi ślepiami Thanquola.

Wyobrażał sobie płonące budynki, ludzi rąbanych na kawałki lub popędzanych w wielkich

niewolniczych pochodach. Widział siebie triumfalnie kroczącego przez ruiny. Ta myśl sprawiła, że jego ogon zeszywniał.

Sprawy istotnie miały się dobrze. Nawet wrogowie Thanquola przyczyniali się do realizacji jego planów. Tym dwóm łajdakom, Gurnissonowi i Jaegerowi, udało się dzięki genialnej wskazówce Thanquola odkryć schronienie Vilebrotha Nulla i zdusić jego plany w zarodku. Opat wrócił samotnie z wyprawy na powierzchnię i nigdzie nie można było znaleźć żadnego śladu po Kotle Tysiąca Osp. Null spędził

kilka ostatnich dni włócząc się po Podziemnych Drogach i mruczac ponuro o zdrajcach. Thanquol zachichotał. Znajdował w tym wszystkim niemal poetyczną sprawiedliwość – to intryga opata oznaczała zdradę wobec sprawy Thanquola, a także, oczywiście, wobec całego narodu skavenów i dlatego właśnie należało go powstrzymać.

Wydawało się nawet, że opat wyrządził przysługę siłom inwazyjnym, bowiem agenci Thanquola na powierzchni donosili o strasznej zarazie, jaka powalała ludzi. Oczywiście, to oznaczało zmniejszenie liczby potencjalnych niewolników po podbiciu Nulla, zatem mógł jeszcze nastąpić czas, gdy opat doczeka się kary. Należało przedstawić sprawę Radzie i niech oni zajmą się Nullem. Tak, to prawda, pomyślał Thanquol, każdy dół kloaczny kryje w sobie odrobinę spaczenia, jeśli tylko wie się, gdzie szukać.

Przyjrzał się leżącym przed nim planom miasta. Różne drogi inwazji zostały zaznaczone czerwonym, niebieskim i zielonym atramentem ze spaczenia. Lśniły przed jego ślepiami w jasnej płataninie linii. Nakreślone w kilku miejscach koła oznaczały punkty wypadu, skąd jego armia miała wyrwać się na powierzchnię. Już podobny do schematu labiryntu plan skomplikowanej inwazji wypełniał mózg Thanquola uczuciem przyjemności. Ale największa rozkosz płynęła z kontemplacji, co miało stać się później.

Miasto zostanie obsadzone wojskiem, aby zapobiec próbom odbicia go przez ludzi. Thanquol założy obozy pracy i zmusi pochwyconych ludzkich niewolników, by wykopali wielki rów wokół miasta. Następnie zbuduje tamę na rzece, z wielkim kołem wodnym, które dostarczy energii dla maszyn skavenów i ich niewolniczych fabryk. W pewnym momencie ludzie wzniosą wysoką na sto długości ogona statwę upamiętniającą swoich zwycięzców, a Thanquolowi wydawało się naturalne, że to on powinien stać się dla niej modelem, ponieważ w pełni uosabiał

skaveńskiego ducha podboju. To miał być czas pełen chwały i pierwsze z wielu zwycięstw, które zakończą się pełnym i nieodwołalnym panowaniem skavenów nad ziemią ludzi.

Usłyszał niezbyt dyskretne, suche kasznięcie za kurtyną sanktuarium.

Odezwał się ochrypły głos:

– O największy z generałów, to ja, Lurk Snichtongue i przynoszę wieści nader pilne.

Wyrwany z zadumy Thanquol miał zamiar szorstko odpowiedzieć, ale Lurk ostatnio okazywał się bezcennym pomocnikiem, a jego źródła informacji były doskonałe. W tej chwili zdawał się nieco

chory, ale Thanquol był pewien, że to minie.

– Wejdź! Wejdź! Żwawo! Żwawo!

– Tak! Tak! O najszybszy z myślicieli!

– Jakież są te pilne wieści?

Lurk szarpnął ogonem. Dla Thanquola oczywiste było, że mały skaven istotnie przyszedł z interesującymi informacjami i zamierzał nasycić się momentem triumfu.

– W swoim czasie unicestwiłem sługę, który kazał mi czekać o jedną chwilę za długo. Zdarłem jego mięso z kości.

– Chwilę, najcierpliwszy z panów, niechaj zbiorę myśli. Muszę coś wyjaśnić.

– Zatem wyjaśniaj!

– Mój rodzony brat Ruzlik służy Klanowi Moulder.

– Istotnie. Ale czy sądzisz, że ta informacja jest warta uwagi Szarego Proroka?

– Nie! Nie, o najprzenikliwszy z możliwych! Chodzi tylko o to, że on przejawia pożałowania godną skłonność do plotkowania, gdy skonsumuje odrobinę wina grzybowego.

– Rozumiem. A ty, oczywiście, często dzielisz z nim flaszkę lub dwie?

– Tak! Tak! Uczyniłem to nie dalej niż tego ranka. Powiedział mi, że jego mistrz, Izak Grottle, przygotowuje wielki plan. Ma zamiar powalić na kolana miasto ludzi i... waham się o tym wspominać, o najbardziej wyrozumiały ze skavenów...

– Nie wahaj się więcej. Żwawo! Żwawo!

– Otóż Ruzlik twierdzi, że plan Grottle'a przyniesie mu wielką chwałę i sprawi, iż stanie się on sławniejszy nawet od... – to jego słowa, nie moje, panie – od Szarego Proroka Thanquola.

Doniesienie o tej próbie zdrady nie zaskoczyło Thanquola.

Przeznaczenie zawsze skazywało wielkich skavenów na zdradę ze strony ich zazdrosnych pomagierów. Bez wątpienia Grottle postanowił kosztem Thanquola zdobyć szacunek w oczach Rady Trzynastu. Cóż, Szary Prorok wiedział, jak się tym zająć.

– A na czymże polega ten plan? Mów! Mów!

– Niestety, głupiec nie powiedział tego. Słyszał tylko, jak Moulderzy popiskują między sobą. Wie, że to ma coś wspólnego z łodzią pełną ziarna, bowiem sam poprowadził najazd w celu wykradzenia jej ludziom.

Nie poznał pozostałych szczegółów.

– Zatem biegnij i dowiedz się czego trzeba. Natychmiast!

– Być może będę musiał wydawać tokeny spaczenia, o najhojniejszy z panów...

– Dostaniesz to, co potrzebne – w rozsądnych granicach.

– Idę, mistrzu – Lurk skłonił się i drapnął pazurami, po czym wyszedł

za kurtynę. Thanquol opadł na tron. Kilka spraw zaczęło nabierać sensu.

Słyszał raporty mówiące o tym, że jedna z barek ze zbożem dla ludzi została ukradziona. Zlekceważył to myśląc, że po prostu jeden z wodzów oddziału pazura przekroczył wydane rozkazy i zaczął plądrować na własną rękę. Teraz zdawało się, że istnieją bardziej podstępne i ponure motywy.

Thanquol wiedział, że jego pozycja nie będzie bezpieczna, dopóki nie dowie się, o co chodziło.

– Nie lubię cię – stwierdził mężczyzna, rozwalając się na krześle. –

Naprawdę cię nie lubię.

– Jesteś pijany – powiedział Felix. – Idź do domu!

– To jest gospoda! Moje miedziaki są równie dobre, jak wszystkich innych. Pójdę do domu, gdy będę chciał. Nie słucham rozkazów kogoś takiego jak ty.

– Dobra! – odparł Felix. – Zostań sobie zatem.

– Nie próbuj mnie przegadać. Pójdę, kiedy zechcę.

Felix zaczynał mieć tego dość. Widywał już podobnych pijaczków: agresywnych, użalających się nad sobą, szukających kłopotów. Niestety, to Felix zwykle był kandydatem, jakiego wybierali. Zawsze uznawali go za łatwy cel. Podejrzewał, że wszyscy byli zbyt wystraszeni wyglądem Gotreka i pozostałych wykidajłów. W tym gościu jednak było coś znajomego. Jego prostackie rysy twarzy i krępa muskularna sylwetka wydawały się znajome nawet w cieniu mrocznego kąta oberży. Pojawiał się tu parokrotnie w ciągu kilku dni od czasu, gdy Felixa powrócił z rozmowy z Herr Ostwaldem.

– Elissa to moja dziewczyna – powiedział pijany mężczyzna. – Zostaw ją w spokoju.

Ach, oczywiście – to był ten wieśniaczyna, który kręcił się wokół

Elissy. Teraz wrócił.

– Elissa sama potrafi zdecydować, z kim chce się widywać.

– Nie, nie potrafi. Jest zbyt słodka. Za łatwo daje się wywodzić w pole.

Byłe mieszczuch z gładkim językiem w gębie i w porządnej opończy zawraca jej w głowie.

Felix zrozumiał, jaką rolę mu przypisywano. Miał być uwodzicielem bez serca, który porywał zbląkanę, biedne wieśniaczki.

– Naoglądałeś się zbyt wielu sztuk Detlefa Siercka – powiedział.

– Co? Jak mnie nazwałeś?

– Nijak cię nie nazwałem!

– Właśnie, że tak. Sam słyszałem.

Felix dostrzegł wyprowadzane uderzenie, jakby z odległości całej mili.

Mężczyzna był pijany i powolny. Felix podniósł rękę, by zablokować cios.

Jego przedramię zadrżało od wstrząsu uderzenia. Napastnik był silny.

– Bękart! – krzyknął Hans. – Ja ci pokażę!

Kopnął Felixa w goleń. Ostry ból wstrząsnął Felixem. Odruchowo wyrzucił naprzód prawą dłoń i trafił Hansa w szczękę. Był to prawdopodobnie najlepszy cios, jaki wyprowadził usiłując uderzyć człowieka, który nie był w stanie cokolwiek przeciw temu zaradzić. Hans zwałił się jak podcięty. Otaczający tłum wybuchł burzą oklasków. Felix odwrócił się, by skłonić się kpiąco i zobaczył Elisę, która spoglądała na niego z przerażeniem w oczach.

– Felix, ty brutalu! – rzuciła mijając go, aby delikatnie położyć głowę Hansa na swoich kolanach.

– Och, Hans, co ci zrobił ten barbarzyńca?

Spoglądając na nią Felix był pewny, że jakiegokolwiek wyjaśnienia tego zajścia okazałyby się bezcelowe.

– Mam nadzieję, że dowiedziałeś się czegoś więcej o intrygach Moulderów? – Thanquol pozwolił, by w jego głosie dało się słyszeć odrobinę gniewu i zniecierpliwienia. Podczas ostatnich dni Lurk wydał

znaczące sumy ze skarbnicy Szarego Proroka, ale nadal nie przedstawił

żadnych wyników. Mały skaven zaniósł się charczącym kaszlem.

– Tak, tak, o przenikliwy władco. Dowiedziałem się.

– Dobrze! Dobrze! Powiedz mi – żwawo, żwawo!

– Nie jest dobrze, najłaskawszy mistrzu.

– Co? Co? – Thanquol nachylił się, aby popatrzeć na małego szczuroczłeka, który cofnął się przestraszony. Niewielu potrafiło wytrzymać spojrzenie czerwonych ślepi Szarego Proroka, gdy on tego nie chciał.

– Niestety, możliwe, że nikczemni Moulderzy już wprowadzili swój plan w życie.

Zimna furia szarpnęła sercem Thanquola.

– Mów dalej!

– Mój rodzony usłyszał dumne przechwałki poganiacza. Zdaje się, że łódź ze zbożem unosząca tajną broń Klanu Moulder przybędzie dziś wieczorem do człeczego miasta. Gdy znajdzie się na miejscu, miasto upadnie. Mój krewniak wie, że to ma coś wspólnego ze spichlerzem zbożowym miasta, ale nie jest pewien, co takiego. Klan Moulder zawsze był bardzo zamknięty i stosował własne, techniczne określenia wielu rzeczy.

– Niechaj Rogaty Szczur przeżuje wnętrzności twego rodzonego! Czy usłyszał coś więcej?

– Tylko to, że barka została pomalowana na czarno, aby ukryć ją przed ludzkimi ślepiami i to także, że przybędzie tej nocy. Może nawet już tak się stało, o najwspanialszy władco.

Futro Thanquola nastroszyło się. Co należało zrobić? Mógł

zmobilizować swoje oddziały i przerwać akcję, ale to oznaczało otwarte wystąpienie przeciw Klanowi Moulder, a instynkt Szarego Proroka powstrzymał go przed tym. Co mogło nastąpić, gdyby wezwał swoich żołnierzy i nie udało im się znaleźć statku? Thanquol stałby się pośmiewiskiem, a tego by nie zniósł. Nie było czasu do stracenia.

Wiedział, że sytuacja wymagała nagłego i desperackiego działania.

Szybko sięgnął po pióro i pergamin, po czym pospiesznie zapisał

wiadomość.

– Zabierz to do nory, w której mieszkają krasnolud i człek Jaeger.

Dopilnuj, by dostali i to szybko! Dostarcz list osobiście!

– O-o-osobiście, najzacniejszy ze szczuroludzi?

– Osobiście. – Ton głosu Thanquola nie pozostawiał wątpliwości, że nie zniesie żadnego narzekania.

– Biegnij. Żwawo! Żwawo! Pędź-leć! Nie ma czasu do stracenia!

– Natychmiast, o najpotężniejszy z władców!

Vilebroth Null spoglądał chorymi ślepiami, w których płonęła nienawiść. Zakasłał, ale odgłos kasłania utonął wśród suchego kaszlu innych skavenów w korytarzu. Nareszcie jego cierpliwość

została nagrodzona. Długie godziny leżenia i oczekiwania w pobliżu legowiska Thanquola nareszcie się opłaciły. Vilebroth Null domyślał się, że to Szary Prorok stał za klęską tego pieczołowicie obmyślanego planu. Dokąd zatem podążał o tej godzinie pokurcz Lurk Snichtongue? Opat wiedział, że istniał tylko jeden sposób, by się o tym przekonać.

– To on zaczął! – powiedział Felix, doskonale zdając sobie sprawę, że zabrzmiało to jak żałobna skarga. Rozejrzył się po pokoju, który dzielił z dziewczyną i zauważył zapakowane ubranie dostarczone przez krawca.

Jeszcze go nie rozpakował.

– Ty tak mówisz – twierdziła nieugięcie Elissa. – Myślę, że jesteś po prostu brutalem. Lubisz bić takich ludzi jak biedny Hans.

– Biedny Hans nabił mi na nodze siniaka wielkiego jak stek! – rzucił

rozeźlony Felix.

– Należało ci się za to, że go pobiłeś – odpowiedziała Elissa. Felix potrząsnął głową sfrustrowany. Zamierzał już pograć się w odmętach kłótni, gdy nagle pękło okno. Felix rzucił się, by osłonić Elisę przed deszczem odłamków szkła. Na szczęście, niewiele spadło na nich. Felix poderwał się i przyjrzał izbie w świetle latarni. Na podłodze leżało coś ciemnego i dużego.

Szybko wyciągnął miecz i ukłął przedmiot. Nic się nie stało.

– Co to jest? – spytała Elissa podnosząc się z lękiem i opatulając w nocną koszulę.

– Nie wiem – odparł Felix schylając się, by uważnie przyjrzeć się przedmiotowi. Natychmiast rozpoznał kształt zawiniątka. – To cegła owinięta w papier.

– Co takiego? To musiał być znowu ten młody hrabia Sternhelm. On i jego koleżkowie zawsze po pijanemu tłuką okna!

– Nie wydaje mi się – powiedział Felix ostrożnie odwijając papier. Był

to ten sam chropowaty pergamin, na którym zostały spisane poprzednie wiadomości od skavenów. Rozwinął go i przeczytał:

„Pszyjaciele – Czarna Łuć spowadza zagładem do faszego mniasta!

Pszybywa tej nocy i niesie pefnom śmierdzi To jest barka zborza pełna złego! Móście to zatszynaścić! Dalej RZWAWO! RZWAWO! Nie macie durzo czasu. Zniszczom fasze spihleże.”

Felix podniósł się i zaczął wciągać na siebie ubranie.

– Biegnij i przynieś mi trochę papieru! Muszę wysłać wiadomość do pałacu. Ruszaj się! Szybko!

Słyszając niepokój w jego głosie Elissa opuściła pokój bez zadawania żadnych pytań.

Lurk zatarł łapy i ofiarował modlitwę w podzięce Rogatemu Szczurowi.

Jego wiadomość została dostarczona i jakoś udało mu się uniknąć posiekania przez straszliwy topór krasnoluda. Kilka minut po tym, gdy wrzucił cegłę przez okno, które jak przypuszczał należało do Jaegera, zobaczył światła zapalające się w gospodzie. Niedługo później człowiek i krasnolud wybiegli z budynku trzymając broń i zapalone latarnie.

Świetnie wykonana robota, powiedział do siebie z satysfakcją i ruszył

dalej. Węszył z wysiłkiem starając się oczyścić nos. Nie czuł się najlepiej i to już od kilku dni. Zastanawiał się, czy umiera na nową, dziwną zarazę, która jak głosiła plotka, krążyła po obozie skavenów? Była to zaraza, która wydawała się osobliwie podobna do tej, jaka powalała ludzi. Lurk miał

szczerą nadzieję, że tak nie było. Był jeszcze młody i czekało go wiele rzeczy, które chciał zdobyć. To nie byłoby uczciwe, gdyby padł nie spełniając swych zamierzeń.

Niemal zemdlął, gdy poczuł ciężką łapę na ramieniu, a do ucha wyszeptał mu okropny, bulgoczący głos:

– Powiesz mi, co tutaj robiłeś! Wszystko! Żwawo! Żwawo!

Nawet mimo gęstych smarków, jakie wypełniały jego nozdrza, Lurk rozpoznał odpychający smród Vilebrotha Nulla.

– Skąd ten pośpiech, człeczyno? – huknął Gotrek. – Nawet nie wiemy, dokąd biec.

– W stronę rzeki – rzucił Felix czując niepokój zmuszający go do pośpiechu. Notatka, którą otrzymał, mówiła, że nie zostało im wiele czasu, a ich skaveński informator nigdy dotąd nie skłamał. – Łódź musi przyplłynąć rzeką.

– Wiem, człeczyno, ale to wielka rzeka. Nie damy rady przebadać jej całej.

– To barka! Nie ma zbyt wielu miejsc, gdzie mogą cumować barki, a poza tym musi być prowadzona przez spławne tunele.

Felix rozważał wszystkie możliwości. Skąd pewność, że ta Czarna Łódź miała zacumować, zamiast, na przykład, po prostu wybuchnąć? Nie było żadnej pewności – miał tylko nadzieję, że tak było w tym przypadku.

Wtedy do głowy przyszła mu pewna myśl. Wielkie magazyny zboża znajdowały się w pobliżu nadbrzeża, a list wspominał o ziarnie. Felix miał

nadzieję, że domyśla się prawdy.

– Spichlerze – mruknął. – Doki po północnej stronie stoją blisko spichlerzy.

– Wobec tego, stawiamy na doki po północnej stronie – rzekł Gotrek wymachując toporem.

– No cóż, musimy gdzieś zacząć.

Pobiegli dalej. Felix pragnął gorąco, by chłopakowi z gospody udało się dostarczyć jego wiadomość do hrabiego Ostwalda.

Skitch zaklął, gdy barka ponownie zeszła z kursu. To nie był pojazd, do prowadzenia którego przywykli skaveni i podczas żeglugi w dół rzeki sternik musiał walczyć z podstępными prądami. Skitch miał nadzieję, że wkrótce przybędą na miejsce, bowiem gdyby nie udało im się dotrzeć do człeczego leża pod osłoną ciemności, wówczas cały plan legnie w gruzach.

Barka została pomalowana na czarno, aby nie zwracać na siebie uwagi.

Podczas tej bezksiężycowej nocy było równie trudno ją wypatrzeć, jak za dnia ludzkie niemowlę pośród szurzego miotu.

Cóż, Skitch uważał, że łódź była niezbędna. Nie było innego sposobu na dostarczenie tak wielkiej liczby okazów przez Podziemne Drogi i wypuszczenie ich w ludzkim mieście bez wzbudzenia podejrzeń. Ostatnią rzeczą, jakiej życzył sobie jego mistrz, było dopuszczenie, by Szary Prorok Thanquol albo ludzie nabrali podejrzeń. Dobrze znany był fakt, że plany rywali Thanquola zwykły upadać, gdy on się o nich dowiadywał.

Skitch zadrżał na myśl, co mogłoby się stać, gdyby ludzie domyślili się, jaki był jego plan.

Potrząsnął łbem i wrócił do oglądania podopiecznych. Okazy skrobały w pręty klatek, głodne i rozpaczliwie chcące wyrwać się na wolność.

– Zaraz! Zaraz! – uspokajał je, czując pewną sympatię do tych krótko żyjących pasożytów, jakie stworzył jego potężny intelekt. Widział, że były obciążone wadą, podobnie jak on. Miały przeżyć tylko kilka dni.

Łódź brnęła przez noc, zbliżając się do śpiącego miasta.

Felix pomyślał, że doki nocą nie były bezpiecznym miejscem. Światło sączyło się z wielu podłych tawern, a alejki oświetlały liczne czerwone latarnie. Uzbrojone patrole strażników poruszały się między magazynami, ale nie ośmielały zapuszczać się na obszary, gdzie zabawiali się żeglarze.

Woleli raczej strzec dóbr swoich pracodawców niż zatrzymywać przestępców. Felix czuł się jednak spokojniej wiedząc, że w pobliżu znajdowali się uzbrojeni ludzie, których mógł zawołać, gdyby wszystko poszło źle.

Stał na brzegu kanału i gapił się na rzekę. Reik był w tym miejscu szeroki może na staję i spławny dla statków morskich. Mimo to, niezbyt wiele z nich zapuszczało się tak daleko. Większość kupców wolała rozładować się w Marienbergu i przewieźć go w górę rzeki na barkach.

Z tego miejsca dostrzegał światła barek i małych łódek, które przewoziły ludzi na drugą stronę rzeki, o każdej godzinie. Domyślał się, że w ciemnościach kryło się więcej łodzi niż widać było świateł. Nie wszyscy pasażerowie łodzi chcieli, by wiadomo było o ich interesach. Felix podejrzewał, że Czarna Łódź należała do tej grupy. Z tą różnicą, że zamiast ładunku nielegalnych towarów barka przenosiła nieznaną, potworną broń skavenów. Felix zadrżał na myśl, co to mogło być. Kocioł

Tysiąca Osp i broń Klanu Skryre były wystarczająco przerażające.

Wiał zimny wiatr i Felix narzucił na ramiona swój podniszczony płaszcz. Co ja tu robię, zastanawiał się. Powinienem być w domu, w Świni i próbować ułożyć się z Elissą. Albo i nie. Możliwe, że robił coś przeciwnego – unikał Elissy.

Zastanawiał się, co działo się z tą dziewczyną i nie miał najmniejszego pojęcia. Czy to była po prostu sytuacja, w którą zabrnął, ale nie wiązał z wieśniaczką żadnej przyszłości? Wiedział, że nie kochał Elissy tak jak to było w przypadku Kirsten. Ostatnio nie można było nawet powiedzieć, żeby się przyjaźnili. Pomyślał, że dla niej także to było coś przejściowego

– coś, co się po prostu wydarzyło. Może powinien pozwolić jej odejść z tym wieśniakiem? Wzruszył ramionami, a potem znowu zaczął wpatrywać się w ciemność i nasłuchiwać fal, które przelewały się cicho nad drewnianymi podporami nadbrzeża.

– Nasi mali szczurowaci przyjaciele wybrali sobie dobrą noc – mruknął

Gotrek pociągając z flaszki grogu.

Felix spojrział w niebo. Rozumiał, co Zabójca miał na myśli. Niebo zasnuwały chmury i widać był tylko rąbek większego księżyca. Mniejszy w ogóle nie był widoczny.

– Księżycyce przemytników – rzekł Felix.

– Co takiego?

– Mój ojciec nazywał takie księżycyce „księżycami przemytników”.

Teraz rozumiem, dlaczego. Ciemno jest. Poborcy myta z trudnością mogą cokolwiek wypatrzeć podczas takiej nocy.

– Podobnie jak patrole rzeczne – powiedział Gotrek. – Nie mówiąc o tym, że w nocy ludzie widzą nie dalej niż sięga pierdnięcie snotlinga.

– Możliwe – rzekł Felix mając ochotę zaprzeczyć Zabójcy, ale wiedział, że w tym przypadku jego towarzysz miał rację.

– Aye, cóż, ciesz się, że jest tu krasnolud, człeczyno. Nawet, jeśli ma tylko jedno sprawne oko.

– Z czego mam się cieszyć?

– Ponieważ tam jest twoja Czarna Łódź! Patrz!

Felix przesunął wzrokiem w kierunku wyciągniętego palca wskazującego krasnoluda, ale niczego nie zobaczył.

– Wypiłeś za dużo grogu – stwierdził.

– Twój lud jeszcze nie nauczył się warzyć gorzałki, która upiłaby krasnoluda – odparł Gotrek.

– Wystarczy, że krasnolud będzie wstawiony? – mruknął Felix.

– Przynajmniej nie jestem ślepy jak trup.

– Tylko zalany w trupa.

– Powiadam ci, że to jest statek.

Felix wbił wzrok w ciemność i zaczął podejrzewać, że krasnolud mógł

mieć rację. Tam ukrywało się coś wielkiego – mroczny kształt poruszający się niepewnie przez głęboką wodę.

– Przypuszczam, że możesz mieć rację – rzekł Felix. – Najpokorniej proszę o wybaczenie.

– Oszczędzaj oddech – powiedział Zabójca. – Pora brać się za zabijanie.

– Szybciej! – rzucił Felix, który stał na dziobie łódki i wpatrywał się w ciemny kształt przed nimi.

– Płynę tak szybko, jak mogę, panie – powiedział przewoźnik z energią artretycznego jeża odpychając łódź drągiem. Był krzepkim mężczyzną o powolnych, ociężałych ruchach.

– Jednoręki człek pchałby szybciej – rzeki Gotrek. – Faktycznie, założę się, że jeśli odrąbię ci jedno z ramion, to zaczniesz poruszać się zwawiej.

Nagle przewoźnik znalazł w sobie nowe siły i nabrali szybkości. Felix nie był pewien, czy było z czego się cieszyć. Ogarniał go niepokój, gdy zbliżali się tak małą łódką do statku skavenów. Chciał wezwać straż, ale Zabójcę opanowała taka żądza walki, że nie pozwolił na marnowanie czasu. Zapewnił Felixa, że zamieszanie, jakie wkrótce wywołają, z pewnością zwróci uwagę patroli rzecznych. Felix nie wątpił, że tak się stanie.

Gdy podpłynęli jeszcze bliżej, przekonał się, że to był rzeczywiście czarny statek – wielka barka z ziarnem, cała pomalowana na czarno, która szybko płynęła w dół rzeki. Zastanawiał się, dlaczego skaveni to robili. Z

pewnością czerń sprawiała, że statek umykał uwadze nocą, ale za dnia barka będzie równie łatwa do zauważenia, jak karawan w orszaku weselnym. Może barka spłynęła rzeką niepomalowana, a szczuroludzie zamaskowali ją tego wieczora? Być może posiadali bazę ukrytą w okolicy

pograżonego w mroku nocy spławnego dopływu. Taka baza mogła znajdować się całkiem daleko od tego miejsca, ponieważ barka mogła przepłynąć znaczny odcinek w ciągu nocy, płynąc niesiona silnym prądem.

Felix uznał takie spekulacje za bezcelowe. Wiedział, że usiłuje tylko zająć czymś swój umysł i rozproszyć lęk przed zbliżającym się spotkaniem.

Ciekaw był, co zamierzali zrobić ci na barce? Jeśli to nie były skaveny, musieli być najgorszymi żeglarzami, jakich widział. Barka zdawała się dryfować wzdłuż wielkiego półokręgu. Słyszał słaby, stłumiony odgłos rytmu wybijanego na bębnie oraz skrzypienie i uderzenia wiosła.

Wyglądało na to, że żeglarze mieli kłopoty z kierowaniem łodzią.

– To oni, zgadza się – powiedział Gotrek. – Skaveni są najgorszymi żeglarzami, o jakich słyszałem.

Felix słyszał teraz dobiegające ze statku piski skavenów i przekonał się, że Zabójca miał rację. Niestety, przewoźnik także go usłyszał.

– Powiedziałaś „skaveni”? – zapytał. Na jego spoconej twarzy rysował

się przesądny strach.

– Nie – zaprzeczył Felix.

– Tak – rzekł Gotrek.

– Nie zamierzam zbliżyć się do barki, jeśli na pokładzie są potwory czczące Chaos! – zadeklarował przewoźnik.

– Mój przyjaciel żartował tylko – powiedział Felix.

– Nie żartowałem – odparł Gotrek.

Przewoźnik przestał pchać łódź. Gotrek spojrzał na niego.

– Nienawidzę łodzi niemal tak bardzo, jak nienawidzę drzew – rzekł. –

A drzew nienawidzę niemal tak bardzo, jak elfów. Szczególnie zaś nienawidzę ludzi, którzy zmuszają mnie do pozostawiania na łodziach dłużej niż to konieczne. Zwłaszcza, gdy potwory w pobliżu czekają na rzeź i trzeba wziąć się do walki.

Przewoźnik bardzo pobałdł i zamilkł, a Felix był niemal pewien, że słyszy szczęknięcie jego zębów. Gotrek przemawiał dalej:

– Będziesz pchał tę łódź, aż osiągniemy barki szczuroludzi, albo wyrwę ci nogę i pobiję cię nią na śmierć. Czy wyrażam się jasno?

Felix musiał przyznać, że groźba Zabójcy była wstrząsająca.

Przewoźnik rzeczny z pewnością pomyślał to samo.

– Absolutnie – powiedział i zaczął pchać ze zdwojoną energią.

Gdy zbliżyli się do czarnej barki, Felix dostrzegł nowy problem. Ich zanurzona do połowy łódka była niska, a barka miała wysokie burty. Na lądzie łatwo byłoby się na nią wspiąć, ale w przypadku dwóch bujających się na wodzie łodzi to była całkiem inna sprawa. Zwrócił na to uwagę Gotrekowi.

– Nie martw się – rzekł Zabójca. – Mam plan.

– Teraz dopiero się martwię – mruknął Felix.

– Co takiego, człeczyno? – Zabójca wyglądał na bliski ataku wściekłości.

– Nic – powiedział Felix.

– Łapaj tę latarnię i bądź gotowy ruszyć się, kiedy ci powiem.

Łódka dotknęła statku. W tym momencie Gotrek rąbnął toporem w burtę barki. Ostrze wbiło się głęboko i zatrzymało wbite w drewno, a Zabójca podciągnął się na toporze, aż udało mu się dosięgnąć bulaja.

– Bardzo ciche podejście – powiedział z przekąsem Felix. – Dlaczego nie krzyknijemy sobie gromko na powitanie, skoro już tu jesteśmy?

Kolejne rągnięcie toporem pozwoliło Gotrekowi przedostać się na drugą stronę barierki. Stał tam przez chwilę, a potem opuścił topór, ostrzem w dół.

– Złap się – ryknął. Felix podskoczył i chwycił za trzonek topora prawą dłonią, a w drugiej trzymał latarnię. Gotrek podniósł topór jedną ręką, bez widocznego wysiłku, nie zważając na ciężar Felixa i niewygodne położenie. Machnął toporem w kierunku środka barki i porwał za sobą Felixa. Ten upadł na pokład zdumiony niesamowitą siłą, jaką właśnie zademonstrował krasnolud.

– Zdaje się, że nas oczekiwano – rzekł wskazując na masę skavenów, które zaczęły wypadać na pokład.

– Dobrze – powiedział Gotrek. – Muszę trochę poćwiczyć.

Co to było, zastanawiał się Skitch. Usłyszał przepotężny trzask i odgłos pękającego drewna. Czy te bufony znowu wmanewrowały łódź na łachę piaszczystą? Nie puści im tego płazem. Twierdzili, że są doświadczonymi żeglarzami i sterowanie statkiem ludzi nie będzie żadnym problemem. Jak dotąd to się nie potwierdziło.

Jeśli narażą na niebezpieczeństwo tę misję, wówczas Izak Grottle poodrywa im wszystkim kończyny, jedną po drugiej, a potem pożre wnętrze na ich umierających oczach, ale takie myśli w niczym

nie pomagały. Wiedział, że stanie się pierwszym daniem w ucztę karzącego poganiacza.

Gdy usłyszał krzyki załogi podnoszącej alarm, Skitch nie miał

wątpliwości, że jeszcze trudniej będzie uciec na ląd. Zostali odkryci przez patrol ludzi. Przeklinał pecha, który pozwolił ludziom ich odkryć. To musiała być szansa nie większa, jak jeden do miliona. Teraz żałował, że ostatecznie nie wziął ze sobą kilku szczuro-ogrow. Nie zrobił tego z obawy, że ich ryki i skowyt ujawnią położenie statku, ale teraz najwyraźniej to nie miało znaczenia.

Chciał wypuścić piżmo strachu, ale częściowo poczuwał się do obowiązku opieki nad okazami. Wypadł z kabiny i pognął do ładowni.

Wszędzie wokół w klatkach tłukły się masywne szczury, z desperacją usiłujące wydostać się na wolność i zacząć jeść. Widząc dziki głód w ich ślepiach, Skitch cieszył się, że natarł swoje ciało olejem z ropuchy bagiennej. Wiedział, że ta substancja działała odstraszająco na jego stwory.

Słyszac dobiegające z góry hałasy straszliwej rzezi, Skitch szybko zaczął otwierać klatki. Głodne szczury zaroily się na kładkach, pędząc w stronę żywego, oddychającego jedzenia.

Felix machnął latarnią. Jej płomień rozblęsnął jaskrawo w powietrzu.

Skaven przed nim oślepiiony odskoczył do tyłu. Felix wykorzystał

oszołomienie i pchnął go w gardło mieczem.

Podkład był już śliski od krwi i płynów mózgowych. Zabójca zostawiał

za sobą obrzydliwy ślad zniszczenia. Jego topór zamienił tuzin skavenów w truchła pozbawione kończyn. Pozostałe uciekały w głąb statku lub skakały na drugą stronę barki, aby uniknąć ciosu. Felix szedł za nim, zabijając stwory, które próbowały osaczyć krasnoluda i karał je śmiercią za ten błąd.

Serce głośno łomotało mu w piersi. Rękojeść miecza była śliska od potu, ale nie czuł takiego strachu, jak zazwyczaj bywało podczas walki na śmierć i życie. W porównaniu do bitew, w jakich brał udział, ta okazała się stosunkowo łatwa. Co było podejrzane, zważywszy na fakt, że na pokładzie statku miała znajdować się tajemnicza, straszna broń skavenów.

Uświadomił sobie, że stosunkowa łatwość walki niczego nie zmieniała, gdy musiał uskoczyć przed nożem rzuconym przez jednego ze skaveńskich żeglarzy i rzucić się naprzód, by przebić serce kolejnego szczuroczłeka. Wystarczył jeden udany cios i będzie równie martwy, jak w przypadku, gdyby szczuro-ogr rozdarł go na strzępy.

Skoncentruj się, powtarzał sobie – a potem zatrzymał się przerażony, gdy z ładowni zaczęła wydobywać się fala włochatych stworów.

Skitch wspiał się po schodach i gdy wyjrzał, zobaczył scenę straszliwej przemocy. Przerazający, krępy krasnolud, który młócił wielkim toporem, zabił już połowę załogi i najwyraźniej zamierzał zmasakrować drugą. W

tym zadaniu pomagał mu wysoki człowiek o jasnej grzywie, który trzymał

latarnie w jednej ręce i strasznie wyglądający miecz w drugiej. Wszędzie wokół szczury-zabójcy żerowały na ciałach martwych i umierających skavenów.

Skitch zamarł ze strachu i wypuścił piżmo strachu. Jego łapy zacisnęły się na ostatniej klatce, w której oszalałe szczury szarpały się, by uciec od smrodu oleju na jego futrze. Skitch rozpoznał dwójkę, która nawiedziła statek. Stali się pewnego rodzaju mroczną legendą wśród skavenów oblegających Nuln. To była ta przerażająca para, której nie zdołali zabić nawet rysztołkowcy. To oni wyprowadzili w pole czarnoksiężników z Klanu Skryre. Powiadano, że nawet Szary Prorok Thanquol lękał się spotkać z nimi ponownie. Byli straszliwymi zabójcami skavenów i znajdowali się właśnie tutaj, na tej barce!

Skitch nie był wojownikiem i wiedział, że nie pomoże skavenom walczącym na pokładzie. Możliwe było, że nawet szczury-zabójcy nie pokonają tej zapewne niezwyciężonej pary. Jego oczywistym obowiązkiem była zatem ucieczka wraz z ostatnimi pozostałymi przy życiu szczurami, które chciał zachować na przyszłość, gdy znowu będzie można ich użyć.

Tak myśląc podniósł klatkę wysoko nad łeb i skoczył w czarną jak noc wodę.

Felix widział jak coraz więcej wielkich szczurów wylewało się z ładowni. W ich ślepiach widoczne były głód i szaleństwo, co przeraziło go i sugerowało, że to mogła być owa tajna broń skavenów. Wielki szczur skoczył prosto na niego. Felix poczuł bolesne drapanie pazurów na nodze.

Kopnął wyrzucając bestię w powietrze i rąbnął nogą o podłogę, czując jak kręgosłup innego zwierzaka pękł pod podeszwą buta.

Poszukał wzrokiem Gotreka. Zabójca obciął łeb kolejnemu skavenowi z załogi wywołując eksplozję fontanny czarnej krwi. Zanim ciało skavena zdążyło opaść na pokład, zaroilo się na nim mnóstwo szczurów.

Coś spadło na Felixa. Poczul pazurki wpijające się we włosy i drobne, ostre zęby, które szczypały ucho. Wstrętny zwierzęcy smród wypełnił jego nozdrza. Upuścił latarnię i sięgnął do włosów, czując wijące się pod sierścią mięśnie szamoczącego się szczura. Kły wbiły się w jego palce, zanim udało mu się przerzucić zwierzaka nad barierką, prosto do rzeki.

Coraz więcej szczurów spadało na nich lub wynurzało się spod pokładu. Felix miał wrażenie, że znalazł się w środku wiru sierści. Gotrek tupał, rąbał i kopał, ale tkwił w tej samej pozycji. Szczury były zbyt liczne i zajadłe, aby się poddać. Felix wiedział, że jeśli zostaną na miejscu, zginą straszliwą śmiercią od tysiąca ukąszeń.

– Moim zdaniem, to nie jest śmierć godna Zabójcy! – krzyknął Felix.

– Podpal to przeklęte pływające szczurze gniazdo!

– Co takiego?

– Podpalaj i wynosimy się!

Felix rozejrzał się i zauważył latarnię. Podniósł ją i cisnął z całej siły o pokład. Płonąca oliwa rozlała się szeroką kałużą. Felix często słyszał od ojca, jak niebezpieczny był wybuch ognia na statku. Ostatecznie budowano je z drewna i uszczelniano łatwopalną smołą. Felix nigdy nie sądził, że będzie wdzięczny za to losowi, ale w tamtej chwili tak z pewnością było. Płomienie zaczęły tańczyć wokół.

Smród płonącego futra i mięsa dotarł do nozdrzy. Piszczące szczury tłoczyły się wszędzie, a ich sierść osmaliała się i płonęła, gdy usiłowały uciec przed gorącymi językami ognia. Niektóre wyskoczyły za burtę i wpadały do wody, jak małe, żywe meteory. Inne nadal atakowały ze zdwojoną furją, jakby zawzięły się, by zginać zabierając kogoś ze sobą.

Felix uznał, że nadszedł czas na odwrót.

– Czas się ruszać! – krzyknął. Podmuch gorąca buchnął w jego stronę, osmalając mu włosy i rzęsy.

– Aye, człeczyno, myślę, że masz rację.

Felix schował do pochwy miecz, odwrócił się i podbiegł do jednej z burt. Runął w wodę wraz z tłoczonymi wokół niego szczurami. W

porównaniu z gorącym płonącym statkiem odczuł coś w rodzaju ulgi od szoku zimnej ciemnej wody, która zamknęła się nad jego głową. Machnął

nogami i wyrwał głowę na powierzchnię.

Wszędzie wokół zauważał łodzie, które przyplłynęły przyjrzeć się pożarowi. Zmagając się z ciężarem miecza w pochwie skierował się w stronę najbliższej z nich.

Przemoczony i ponury Felix siedział na nadbrzeżu i wypatrywał oczy.

Jak dotąd nie było ani śladu po Zabójcy. Nie widział Gotreka od chwili, gdy wskoczył do wody. Zastanawiał się, czy krasnolud potrafił pływać.

Nawet gdyby tak było, mógł utonąć próbując zatrzymać swój cenny topór.

To nie byłaby chwalebna śmierć, jakiej pragnął.

Jego ubranie było mokre i Felix zaczął szczerkać zębami, ale siedział na miejscu żałując, że nie ma przy sobie trochę grogu, który popijał wcześniej Gotrek. Felix rozmyślał o broni skavenów, jaka miała znajdować się na pokładzie Czarnej Łodzi. Teraz wiedział, że nigdy nie dowiedzą się, czym była. Barka stała się wypalonym wrakiem spoczywającym na dnie rzeki.

Wioślarze, którzy go wyłowili, znajdowali się na środku rzeki obserwując pożar i po przyjęciu zapłaty w postaci garści srebra odstawili Felixa na brzeg.

Felix usłyszał mokre plaśnięcie obok siebie i spojrział zmęczonym wzrokiem w prawą stronę. Jeden z

wielkich, głodnych szczurów dotarł na brzeg. Wspiął się po drabinie pomostu i otrząsnął futro z wody jak pies, po czym pobiegł w głąb nadbrzeża. Felix przyglądał mu się, aż zwierzę znikło.

Przez chwilę Felix zastanawiał się, czy warto było odnaleźć wioślarzy i zapłacić im za rozpoczęcie poszukiwań Zabójcy w rzece. Wiedział, że to byłby daremny wysiłek – Reik był zbyt szeroki, a prąd rzeki zbyt silny.

Jeśli Zabójca utonął, bez wątpienia jego zwłoki zostaną znalezione i wystawione na pokaz pod Starym Mostem, gdzie będą czekały wraz z innymi, których zabrała rzeka, aż ktoś przyjdzie i upomni się o nie. Felix mógł to sprawdzić następnego dnia.

Wstał ciężko z pachołka cumowniczego, na którym siedział i szykował

się do długiej wędrówki w stronę domu. W tym momencie zauważył

znajomą postać łajacą równie znajomo wyglądającego przewoźnika, który pchał łódkę w kierunku pomostu. Felix pomachał im na powitanie.

– Prąd porwał mnie w dół rzeki – krzyknął Gotrek gramoląc się na nadbrzeże. – Tam wpadłem na naszego starego przyjaciela. Powrót zabrał

mi prawie całą noc.

– Płynęliśmy pod prąd – powiedział zmęczony przewoźnik. Wyglądał

na najbardziej wykończonego człowieka, jakiego oglądał Felix. Był też skrajnie przerażony. Felix domyślał się natury grózb, jakimi motywował

go Gotrek.

– Cóż – rzekł krasnolud – wracajmy do Świni i napijmy się nieco piwa.

Myślę, że zasłużyliśmy na to.

– Wybaczcie mi, jeśli się do was nie przyłączę – powiedział

przewoźnik. – Pozostała jeszcze drobna kwestia mojej zapłaty.

Zziębnięty, mokry i poobijany Skitch zapuścił się wreszcie w Podziemne Drogi. To była naprawdę straszna noc. Płynął w lodowatej wodzie unosząc ze sobą ostatnią klatkę szczurów. Potem biegł brzegiem rzeki szukając odpływu kanałów ściekowych i spędził resztę nocy wędrując tunelami, aż poczuł znajomy zapach skavenów. Unikając ludzkich patroli błędzących w ciemnościach trafił wreszcie na miejsce.

Był z siebie dumny. Udało mu się odbyć długą i trudną wędrówkę.

Zgubił binokulary i ledwo widział, ale udało mu się. Ocalił klatkę pełną cennych okazów. Co więcej,

w klatce znajdowało się kilka ciężarnych samic, więc z łatwością będzie mógł zacząć wszystko od początku.

Szczury także były w dobrym stanie. Nawet teraz poruszały się ożywione.

Skitch zdał sobie sprawę, że powodował to zapach jedzenia. Znalazł się blisko komór magazynowych, w których przechowywano zapasy dla wielkiej armii inwazyjnej.

Teraz pozostawało tylko wytłumaczyć wartownikom, skąd przychodził.

To było dość łatwe. Po prostu, że przynosi pożywienie dla Izaka Grottle'a.

Każdy, kto znał poganiacza, musiał uwierzyć w to bez zastrzeżeń.

Ta myśl sprawiła, że zachciało mu się chichotać. Chichotał jeszcze, gdy jego niemal ślepym oczom nie udało się zauważyć kamienia pod stopami i potknął się, a potem upadł niezdarnie na ziemię.

Klatka wypadła z jego łap. Rozbity zamek trzasnął i otworzył się.

Zabójcze szczury rzuciły się naprzód i pognały w kierunku skaweńskich magazynów.

Skitch jęknął. Wiedział, jakie będą tego konsekwencje. Wkrótce nie tylko Izak Grottle miał być głodny.

BITWA O NULN

„Każdy dzień był mroczniejszy od poprzedniego. Głód i strach były nieodłącznymi towarzyszami. Wielka intryga skavenów zbliżała się do swojego nieuniknionego końca i zdawało się, że naszym przeznaczeniem jest go doczekać. A jednak, wśród przerażenia i terroru nadal przetrwały nadzieja i bohaterstwo. Ludzie ponosili straty, ale zachowali honor.

Nadeszła godzina największego niebezpieczeństwa i szczytę się tym, iż wraz z moim towarzyszem dotrwaliśmy aż do tej chwili.”

– Fragment z *Moich Podróży z Gotrekiem*,

Tom III, spisanych przez Herr Felixa Jaegera

(Wydawnictwo Altdorf, rok 2505)

Thanquol siedział na tronie głęboko zamyślony. Wokół niego widniał

namalowany pentagram wpisany w łeb Rogatego Szczura i otoczony podwójnym okręgiem najpotężniejszych symboli ochronnych. Przywołał

wszelkie zaklęcia obronne, jakie miały go strzec przed strasznymi siłami, które czyhały na jego przeznaczenie. Były tam runy przeciw przekleństwu, zarazie, pechowi i wszelkim zaklęciom prowadzącym do śmierci. Wywodziły się z najpotężniejszych czarów ochronnych, jakich Szary Prorok nauczył się podczas długiej kariery badacza Mrocznych Tajemnic. Sytuacja stała się tak zła, że Thanquol uznał za konieczne zwiększenie swojej ostrożnie gromadzonej mocy, aby wezwać wszystkie mistyczne potęgi.

Thanquol oparł swój wielki rogaty łeb na łapach i potarł pazurami tatuaż na skroniach. Był zmartwiony. Intryga nie rozwijała się zgodnie z planem. Wydarzenia zaczęły wymykać się spod jego kontroli – to potrafił

wyczuć. Jego doskonale wyćwiczona intuicja Szarego Proroka była świadoma działających sił, które kierowały rozwojem wypadków, w taki sposób, by żaden skaven, bez względu na to jak sprytny, nie był w stanie przewidzieć przyszłości.

Nie był pewien, jak doszło do tego wszystkiego. Z początku wszystko szło dobrze. Jego agenci donieśli o zniszczeniu Czarnej Łodzi i wiedział, że raz jeszcze nieświadome pionki, Jaeger i Gurnisson, wykonali za niego robotę. Kilka dni później Rada Trzynastu zezwoliła na zwiększenie rozmiarów sił inwazyjnych. Wyglądało na to, że całkowite zwycięstwo nad ludźmi znalazło się w jego zasięgu. Lecz wówczas...

Lecz wówczas wśród jego oddziałów zaczęła rozprzestrzeniać się przeklęta zaraza. Wkrótce Podziemne Drogi były pełne chorych i umierających wojowników skaveńskich. Nie można było nadażyć z paleniem ciał, gdy umierały następne tuziny. Nawet skaveńscy niewolnicy obsługujący piece pogrzebowe zapadali na chorobę. Symptomy – suchy, duszący kaszel, wstrętna ropa

wypełniająca płuca i wreszcie nagły napad przedśmiertnych spazmów – bardzo przypominały zarazę, która dziesiątkowała ludzi na powierzchni. Być może to była ta sama choroba.

Nie pierwszy raz okazałoby się, że zarazek przeniósł się pomiędzy oboma rasami.

Jakby zaraza nie wystarczyła, pojawiło się kolejne zagrożenie. Obecnie korytarze roiły się od wielkich, wściekle głodnych szczurów. Były dookoła – pożerały zwłoki, wyjadały zapasy żywności, walczyły o ochłapy, wydalaly wszędzie kał i urynę, co przyczyniało się do rozprzestrzeniania zarazy, a jednocześnie sprawiało, że armia głodowała.

Nawet teraz kilka z nich gapiło się małymi ślepkami z kąta komnaty unikając pentagramu, ale żując meble. Słyszał jak parę zwierząt poruszało się pod jego tronem. Musiały tam znajdować się, gdy rzucił zaklęcia.

Teraz zostały wraz z nim uwięzione wewnątrz magicznego kręgu.

To nie byłoby nawet w połowie tak złe, gdyby te przykre stworzenia nie były szczurami. Stanowiło to widoczny znak, że Rogaty Szczur odwrócił swój pysk od wielkiej armii inwazyjnej i cofnął

błogosławieństwa. W każdym razie niektórzy z bardziej przesądnych wojowników zaczęli szeptać takie rzeczy między sobą i nie uspokoiło ich żadne z uduchowionych kazań i przemów Thanquola.

Nie pomogło mu wskazanie faktu, że ludzie cierpieli równie mocno, jeśli nie bardziej, z powodu obu katastrof: ich spichlerze były puste, a zapasy żywności zostały pożarte przez pasożytnicze hordy. Skaveńscy wojownicy po prostu mu nie uwierzyli. Nie mieli dostępu do wielkiej sieci szpiegów na powierzchni, z których usług korzystał Thanquol. Widzieli tylko, że sami umierają z głodu, a ich kamraci chorują i możliwe było, że wkrótce ich także zabierze zaraza. Morale mocno ucierpiało, a nikt nie wiedział lepiej od Thanquola, że to zawsze stanowiło poważny problem w armii skavenów.

Zrobił wszystko co było w jego mocy, aby dorwać tych bumelantów, którzy pozwolili sobie rzucać słowa pełne niełojalności i zdrady.

Przeznaczył elitarną jednostkę sztormverminów, by na miejscu wykonywała egzekucje na dezerterach. Osobiście rozniósł kilku zdrajców za pomocą swoich najbardziej spektakularnych i niszczycielskich zaklęć –

ale wszystko to nie na wiele się zdało. Ziarno zepsucia zostało zasiane.

Armia powoli zaczynała rozpadać się na kawałki. I wydawało się, że nic nie może tego powstrzymać.

Thanauol kopnął jednego ze szczurów żującego kości ostatniego kuriera, który przyniósł złe wieści. Zwierzę poleciało w powietrze i zderzyło się z otaczającą pentagram kurtyną zaklęć. Błysnęły iskry, buchnął dym i umierający szczur wydał z siebie przenikliwy pisk.

Powietrze wypełnił smród spalonej sierści i spopielonego ciała, gdy stworzenie usmażyło się we własnym tłuszczu. Wąsy Thanquola poruszyły się z aprobatą i skaven dziko uśmiechnął się

zadowolony, po czym znowu pogrążył się w myślach.

Nowe posiłki nie przybywały od chwili, gdy wieść o niepowodzeniu jego armii dotarła do Skavenblight. To nie była niepowstrzymana masa skaveńskich wojowników, na którą miał nadzieję, ale powinna wystarczyć, jeśli Thanquol wykorzysta wszystkie swoje rezerwy planując przebiegle i dalekowzrocznie. Trzeba było coś zrobić dla ratowania sytuacji, dopóki jeszcze istniała armia zdolna do walki. Nie wątpił, że nadal posiadał pod swoją komendą oddziały, które mogły opanować ludzkie miasto, gdyby zaatakowały gwałtownie i z furią oraz wykorzystując przewagę zaskoczenia. Nawet jeśli armia zostanie rozproszona, osiągnie swój cel.

Nuln zostanie podbite i Thanquol będzie mógł donieść Radzie Trzynastu o swoim sukcesie. Wówczas zadaniem jego władców będzie wysłanie oddziałów do stworzenia garnizonu dla utrzymania miasta. Jeśli nie przybędą tu na czas, nie będzie to wina Thanquola.

Im więcej Thanquol o tym myślał, tym bardziej sensowny wydawał mu się ten plan. Nadal mógł wykonać zleconą misję. Nadal mógł zdobyć swoją część chwały zwycięstwa. Później będzie mógł zrzucić winę za wszystko, co się stało, na tych, którzy byli sprawcami nieszczęść – jego niekompetentnych podwładnych i tych zdrajców sprawy skavenów, którzy zdezerterowali z armii tuż przed nadejściem godziny triumfu.

Przeliczył swoje oddziały. Nadal posiadał niemal pięć tysięcy zdrowych wojowników, głównie wywodzących się z Klanu Skab. Kilka oddziałów rynsztokowców i kadrę skrytobójców Klanu Eshin. Różni głupi awanturnicy, namówieni przez swoich zdradzieckich dowódców, pozostawili mu tylko śladowe ilości sił z Klanów Skryre i Pestilens. Izak Grottle i jego drużyna szczuro-ogrów, w dalszym ciągu stanowili jednak przerażającą alternatywę.

Wiedział, że prosty atak frontalny niekoniecznie był najlepszym planem w tych okolicznościach. Należało wykonać śmiałe uderzenie, które doprowadzi do pewnego i przytłaczającego zwycięstwa. Thanquol był

przekonany, że wiedział jak to osiągnąć.

Jak powiedzieli mu jego szpiedzy, wkrótce samica, którą ludzie nazywali elektorką hrabiną, będzie wydawała bal maskowy w daremnej próbie odwrócenia uwagi jej dworu od kłopotów. Jeśli pałac zostanie opanowany, wraz z ludzkimi szlachcicami, którzy znajdą się wewnątrz, wówczas ludzka armia w Nuln pozostanie bez przywódców i padnie łatwym łupem atakujących skavenów. Gdyby udało się tak wyliczyć moment najazdu, by połączyć oba ataki, tym lepiej. Podczas nocy, gdy skaveni opanują pałac, miasto upadnie w krwi i przemocy. Może, gdy przywódczyni-samica ludzi znajdzie się w garści Thanquola, uda się nawet przekonać ich do kapitulacji?

Jeśli ten plan miał się udać, należało go przeprowadzić niebawem, ponieważ tylko wtedy istniała szansa, by wyrwać zwycięstwo z oślinionych szczęk porażki.

Zanim to jednak nastąpi, musiał uporać się z innym, drobnym problemem. Musiał zdjąć otaczające go ochronne zaklęcia, aby mógł

opuścić komnatę i zacząć wydawać rozkazy. Z długim, pełnym cierpienia westchnieniem Szary Prorok Thanquol zaczął inkantacje, które pozwolą mu opuścić wnętrze jego pentagramu.

Felix Jaeger kopnął wielkiego grubego szczura, który po krótkim locie wylądował na stercie śmieci. Zwierzę odwróciło się i natychmiast zaczęło pożerać obrzydlistwo, na które upadło. Felix obserwował to z bezsilnym obrzydzeniem i rozpaczą.

Szczury były wszędzie i zjadały wszystko, co było jadalne oraz mnóstwo tego, co takie nie było. Były ich tysiące, być może miliony.

Czasami całe ulice przypominały wzburzone morze pasożytów. Jego pracodawca, Heinz, słyszał opowieści o tym, że stwory pożerały nawet niemowlęta i małe dzieci, które zbliżyły się do nich zanadto. Wielkie gromady wstrętnych bestii płynęły ulicami miasta, a koty i psy były zbyt przerażone, by próbować je powstrzymać.

Jedyną dobrą stroną tej sytuacji, był fakt, że szczury wydawały się mieć tajemniczo krótkie życie. Wyglądało na to, że starzały się o całe miesiące w ciągu kilku dni. Ale kiedy zdychały, ciała szczurów zalegały na bruku ulic niczym obrzydliwe, włochate kobierce. To nie było naturalne.

Wszystko to śmierdziało skaweńskim czarnoksięstwem i Felix zastanawiał się, jaki był złowrogi cel działania tej magii.

Felix pomyślał, że miasto Nuln wyglądało tak, jakby znalazło się pod wpływem klątwy. Powietrze cuchnęło chorobami i zarazą, a ludzkie zwłoki płonęły na wielkich pryzmach przed Świątynią Morra. Całe budynki zostały zabite deskami i zamienione w grobowce! Felix zadrżał na myśl o poskręcanych ciałach zmarłych, jakie kryły się w środku. Jeszcze gorsza była myśl o tych, którzy zostali tam uwięzieni żywcem, o ofiarach zarazy, którym nikt nie chciał pomóc. Wśród ludzi krążyły okropne plotki o chorych, którzy wyzdrowieli tylko po to, aby umrzeć z głodu. Pojawiały się jeszcze gorsze opowieści o aktach kanibalizmu i ludziach ucztujących na zwłokach swoich rodzin i przyjaciół. To była przerażająca wizja. Felix pomyślał, że Sigmar i Ulryk odwrócili swoje spojrzenia od miasta.

Przed sobą usłyszał łomot kół i hałas dzwonka. Ustąpił na bok, by przepuścić powóz ze zmarłymi od zarazy. Woźnica był ubrany w czerń, a jego twarz skrywała maska w formie czaszki i wielki spiczasty kaptur. Z

tyłu powozu, akolita Morra wymachiwał kadzielnicą, prawdopodobnie, by uchronić się przed zarazą. To wyglądało, jakby sama Śmierć przejeżdżała przez ginące miasto w towarzystwie swoich sług. Felix widział gnijące trupy zrzucone na wysoką stertę z tyłu pojazdu. Ciała były nagie, już odarte z kosztowności przez ich rodziny lub zuchwałych rabusiów. Na zwłokach żerowały szczury. Felix zauważył, jak jedno ze zwierząt wyrwało oko z oczodołu trupa i pożarło je w całości.

Powozy z ofiarami zarazy bez ustanku pędziły ulicami, dzwoniąc dzwonekami, które ogłaszały o ich obecności oraz wzywały silnych i zdrowych, aby wynosili ciała zmarłych. Ale nawet te powozy nie były bezpieczne. Gdyby zatrzymały się na chwilę, natychmiast opadłyby je szczury zbiegające się, by ucztować na zwłokach.

Felixowi burczało w brzuchu i zacisnął pas jeszcze mocniej. Miał

nadzieję, że pozostałym bardziej poszczęściło się w poszukiwaniu pożywienia. Nie znalazł żadnego jedzenia na sprzedaż, które nie byłoby skażone odchodami szczurów, a nawet to sprzedawano za dziesięciokrotnie wyższą cenę niż normalnie. Niektórzy obywatele bogacili się na nieszczęściu tego potężnego miasta. Felix pomyślał, że zawsze znajdą się tacy, dla których najważniejszy był zysk, nawet w najbardziej przerażającej sytuacji.

Żałował, że Gotrek nie porzucił swojego szalonego pragnienia, by pozostać w mieście. Felix zastanawiał się, czy samemu nie wymknąć się z miasta i przyłączyć do zastępów biedaków, którzy uszli zabierając swój niewielki dobytek. Nie uczynił tego jednak z kilku powodów. Pierwszy i najważniejszy z nich nie pozwalał mu pozostawić przyjaciół. Drugim była chęć zobaczenia, jak to wszystko się zakończy. Podejrzewał, że wkrótce straszne wydarzenia osiągną swoje apogeum i w głębi duszy chciał ujrzeć, co się stanie.

Ostatni powód był prosty. Felix słyszał opowieści o tym, że miejscowi szlachcice ogłosili kwarantannę miasta. Podobno łucznicy strzelali do wszystkich, którzy usiłowali wydostać się publicznymi drogami. Wiele z barek, które wyruszyły z portu podczas ostatnich dwóch pełnych szaleństwa tygodni, powróciło donosząc o imperialnych okrętach stacjonujących na rzece, zatapiających wszelkie statki usiłujące je wyminąć.

Może niewielkiej grupie poruszającej się pod osłoną nocy udałooby się prześlizgnąć, ale Felix nie chciał próbować tego bez Gotreka. Dzikie otoczenie miasta stało się jeszcze bardziej niebezpieczne, gdy wszyscy miejscowi żołnierze i strażnicy z patroli drogowych zostali wysłani do utrzymywania kwarantanny, a bandy uzbrojonych ludzi rabowały uchodźców, którym udało się wyrwać z miasta.

Prawo i porządek już dawno przestały panować w otoczonej murami części miasta. Gromady szabrowników wałęsały się nocami po ulicach w poszukiwaniu jedzenia, przywłaszczając sobie wszystko, co nie było strzeżone przez zbrojnych. Nie dalej jak dwie noce wcześniej, tłum włamał się do miejskich spichlerzy, mimo obecności kilkuset żołnierzy.

Sforsowali bramy tylko po to, by przekonać się, że magazyn był pusty, nie licząc wypełniających go szkieletów szczurów, które obżarły się zbożem i zdechły.

Grupa zdziczałych dzieci spoglądała na niego głodnymi oczyma. Jedno z nich piekło martwego szczura na rożnie. W normalnych okolicznościach rzuciłby im monetę, ale podczas kilku ostatnich dni podobne gangi parę razy próbowały go zaatakować. Rezygnowali przestraszeni dopiero wtedy, gdy Felix wyciągał miecz i machał nim groźnie w powietrzu.

Pamiętał słowa hrabiego Ostwalda. Miasto istotnie zostało oblężone, ale było to oblężenie najbardziej przerażającego rodzaju. Nie wykorzystano machin oblężniczych. Nie użyto żadnej broni, za wyjątkiem głodu i zarazy. Nie było wroga, którego dałoby się zobaczyć i nawiązać z nim walkę. Tutaj przeciwnikiem była rozpacz, a z nią nie dało się walczyć mieczem.

Przed sobą zobaczył gospodę Pod Ślepą Świnią. Na zewnątrz stało kilku uzbrojonych najemników,

którzy zakwaterowali się w gospodzie.

Znali lokal i jego właściciela, a teraz skupiali się dla własnego bezpieczeństwa. Felix znał ich wszystkich, a oni znali Felixa, mimo to przyglądali mu się uważnie, gdy podchodził. To byli twardzi ludzie, którzy stwierdzili, że skoro nie uda się uciec przed zarazą, równie dobrze mogą siedzieć w wygodnym miejscu i czekać na śmierć. Elektorka hrabina oferowała podwójną zapłatę dla tych, którzy pomagali w utrzymaniu porządku uzupełniając jej gwardię i znacznie uszczuploną straż miejską.

Ci ludzie zarabiali dodatkowe pieniądze.

– Jakies wieści? – zapytał jeden z nich, tęgi Kislevita zwany Dużym Borisem.

Felix potrząsnął głową.

– Jakies żarcie? – zapytał inny, Bretończyk o zgorzkniałym obliczu, którego wszyscy nazywali Głodnym Stephanem.

Felix jeszcze raz potrząsnął głową i minął ich wchodząc do gospody.

Heinz siedział za stołem przy ogniu ogrzewając swoje dłonie. Gotrek zasiadł przy nim siorbiąc z ogromnego kufła piwa.

– Wygląda na to, że na kolację znowu będzie placek ze szczura – rzekł

Heinz. Felix nie był pewien, czy to był tylko żart. – Młody Felix wrócił z pustymi rękami.

– Przynajmniej nadal masz piwo – odparł Felix.

– Gdyby to było krasnoludzkie ale, moglibyśmy przeżyć na nim i tylko na nim – powiedział Gotrek. – Walczyłem w wielu kampaniach nie mając w brzuchu nic poza beczką Bugmansa.

– Niestety, to nie jest Bugmans – odparł oschle Felix. Odkąd pojawiły się kłopoty z żywnością, krasnolud stale wspominał w najbardziej irytujący sposób o odżywczych właściwościach krasnoludzkiego ale.

– Widziano jeszcze więcej skavenów – rzekł Heinz. – Straż miejska wpadła na nich na Middenplatz, zeszłej nocy. Zdawało się, że oni także szukali jedzenia, a przynajmniej tak twierdzili strażnicy.

– Najprawdopodobniej chcą się upewnić, że wymrzemy z głodu –

powiedział kwaśno Felix.

– Cokolwiek ma się zdarzyć, wydarzy się niedługo – stwierdził Gotrek.

– Coś wisi w powietrzu. Czuję to swoim nosem.

– Jedyne, co czujesz, to piwo – powiedział Felix.

– Słyszałem, że hrabina Emmanuelle wydaje wielki bal dla przebierańców – oznajmił Heinz szczerząc zęby. – Może zostaniesz zaproszony?

– Jakoś w to wątpię – odparł Felix. Nie słyszał wieści z pałacu od chwili, gdy dwa tygodnie wcześniej został wezwany przez Ostwalda, aby wyjaśnić spalenie Czarnej Łodzi. Oczywiście, od tego czasu wszystkie posiadłości na wzgórzu stały się ufortyfikowanymi obozami, w których izolowali się bogacze i szlachetnie urodzeni usiłujący ochronić się przed zarazą. Plotka głosiła, że ktokolwiek z pospólstwa, postawi nogę na tych wybrukowanych ulicach, zostanie zastrzelony bez uprzedzenia.

– Typowe dla przeklętych ludzkich szlachciców – powiedział Gotrek i beknął. – Miasto schodzi na psy, a co oni robią? Wydają przeklęte przyjęcie!

– Może powinniśmy zrobić to samo? – spytał Heinz. – Są gorsze sposoby oczekiwania na śmierć.

– Czy ktoś widział Elisę? – zapytał Felix, chcąc zmienić kierunek, w którym podążała ponura rozmowa.

– Wyszła wcześniej na spacer z tym wiejskim chłopakiem. Hans, zdaje się, mu było?

Nagle Felix pożałował, że zadał to pytanie.

Lurk Snichtongue rozejrzał się po ciemnej komnacie i stłumił w sobie przymus, by wypuścić piżmo strachu. To wymagało wielkiego wysiłku, bowiem nigdy w całym swoim życiu nie znalazł się w otoczeniu trzech równie przerażających skavenów. Zdusił kaszel i stłamsił kichnięcie, aby nie zwracać na siebie uwagi, ale to było na nic. Trzy pary nieprzyjaznych ślepi nie odrywały się od jego drżącej postaci, niczym żelazne opiłki od magnesu. Vilebroth Null, Izak Grottle i Heskitt Jednooki spoglądali na niego jakby był smacznym kąskiem. Szczególnie Izak Grottle.

Lurk marzył, by jego ciało przestało boleć. Chciał, by łapy przestały się pocić. Marzył, by zniknął ból, który rozsadał mu czaszkę. Wiedział, że tak się nie stanie. Wiedział, że był chory na zarazę i umrze – o ile Vilebroth Null nie wypełni swojej obietnicy i nie zainterweniuje w jego sprawie u Rogatego Szczura.

Lurk pomyślał, że faktycznie tkwił złapany za ogon, między młotem a kowadłem. Jedyne, co mogło uratować mu życie, to wykonywanie rozkazów przerażającego przywódcy mnichów zarazy. Niestety, Vilebroth Null żądał od niego zdrady jego pana, Szarego Proroka Thanquola. Lurk zadrżał na myśl o konsekwencjach jakie nastąpią, gdy straszliwy czarnoksiężnik dowie się o tym. Żaden rozsądny skaven nie chciał stać się ofiarą gniewu Thanquola.

Trzej skaveni jeszcze raz zbliżyli łby i zaczęli szeptać między sobą.

Lurk dałby wszystko, by dowiedzieć się, o czym mówili. Z drugiej strony, biorąc pod uwagę, że zapewne rozprawiali na temat jego losu, równie dobrze mógł obyć się bez tej wiedzy. Lurk przeklinał swoją słabość.

Wiedział aż za dobrze, że tygodnie negocjacji rozpoczętych przez opata opłaciły się i dwie z najpotężniejszych frakcji ludu skavenów zawarły sojusz z Klanem Pestilens.

W tej sekretnej komnacie, oddalonej od podsłuchujących uszu i chronionej przez potężne czarodziejstwo Nulla, czekali na niego Heskitt Jednooki i Izak Grottle. W chwili, gdy ich zobaczył, Lurk wiedział, że gra rozpoczęła się na dobre. Pod naciskiem Nulla opowiedział im wszystko.

Wyjaśnił, że Thanquol jakimś cudem dowiedział się o ich intrygach (przemilczał tylko swój własny udział w tych odkryciach) i powiedział im także o wiadomościach, jakie Thanquol wysyłał do swoich arcywrogów, człowieka Jaegera i krasnoluda Gurnissona. Było oczywiste, że skaveńscy wodzowie byli rozwścieczeni na wieść o podłej zdradzie Szarego Proroka.

Lurk wyczuł gęstniejącą w powietrzu morderczą wściekłość wodzów i zrobił wszystko, co było w jego mocy, aby uniknąć skupienia jej na sobie.

Słyszał krwawe i szczegółowe opowieści o maszynach tortur Klanu Skryre i wielokrotnie drżał słuchając relacji o tym, jak Grottle lubił zjadać wnętrzności swoich wrogów na ich jeszcze żywych oczach.

Próbując uniknąć swojego przeznaczenia, wysilał umysł w poszukiwaniu wszelkich detali, które mogły ich przekonać, że miał zamiar całkowicie z nimi współpracować. Wizja nieuchronnej, bolesnej śmierci pokonała jego opór wywołany strachem przed tym, co mógł z nim zrobić Szary Prorok Thanquol. W małej, sprytniej i głęboko ukrytej części rozumu Lurka pojawiła się myśl, że jeśli ci trzej będą wystarczająco rozwścieczeni, by wyrzucić zemstę na Szarym Proroku Thanquolu, wówczas Thanquol będzie wystarczająco martwy, by nie mógł zemścić się z kolei na swoim byłym pomocniku.

Teraz był już prawie pewien, że mu się powiodło. Heskitt Jednooki żuł z wściekłości ogon, gdy Lurk wyjawiał, że Szary Prorok wysłał list z wyczerpującymi szczegółami dotyczącymi zaplanowanej przez Klan Skryre inwazji na Szkołę Inżynierów. Sfabrykował nawet kilka przekonywujących szczegółów opowiadających, jak to Szary Prorok śmiał

się i napawał pychą, że jego głupi wrogowie wkrótce wpadną w pułapkę.

No cóż, Lurk pomyślał, że Thanquol najprawdopodobniej tak właśnie zrobił.

Izak Grottle tak się rozwścieczył, że wypuł jedzenie z pyska, gdy Lurk zaczął opisywać przechwałki Thanquola. Szary Prorok powiedział mu, że ten „gruby głupiec” nigdy nie będzie podejrzewał, iż to Thanquol zdradził

jego idiotyczny plan, który polegał na przemyceniu do miasta tajnej broni w zamaskowanej barce.

Vilebroth Null miotał na swojego rywala klątwy Rogatego Szczura, gdy Lurk opowiedział mu jak Thanquol, zazdrosny o łaski jakie ich bóg okazywał opatowi, postanowił usunąć niebezpiecznego konkurenta odkrywając położenie jego tajnego legowiska na ludzkim cmentarzu przed swoimi dwoma

najbardziej zaufanymi agentami na powierzchni, Gurnissonem i Jaegerem.

– Czy jesteś pewien, że Szary Prorok jest w zмовie z tymi dwoma? –

chciał wiedzieć Grottle. – Absolutnie, całkowicie pewien?

– Oczywiście, o najpotężniejszy z Moulderów. Zmusił mnie pod groźbą okropnej śmierci, bym dostarczył im wiadomości, a oni zawsze wykonywali jego polecenia, czyż nie? Wnioskuje z tego, że albo są opłacani przez Szarego Proroka Thanquola, albo...

– Albo co? – burknął Vilebroth Null.

– Nie. Ta myśl jest zbyt odrażająca. Żaden skaven nie posunąłby się do...

– Posunął do czego? Do czego?

– Albo on jest opłacany przez nich! – rzucił Lurk zdumiony własną inwencją. To wywołało kolejny wybuch wściekłego skrzeczenia.

– Nie! Nie! Niemożliwe – protestował Heskitt Jednooki. – Thanquol jest Szarym Prorokiem. Nigdy nie zniżyłby się do przyjmowania rozkazów od kogoś, kto nie jest skavenem. Ta myśl jest śmieszna.

– A jednak? – powątpiewał Vilebroth Null.

– A jednak? A jednak? – dopytywał się Izak Grottle.

– A jednak nie podlega dyskusji, że Szary Prorok Thanquol pozostaje w kontakcie z mieszkańcami powierzchni i wyjawiał im nasze plany! – rzekł

Null. – W jakim innym sposobie dowiedzieliby się o naszych intrygach? Jak inaczej mogłyby zawieść nasze wspaniałe obmyślane plany?

– Czy poważnie sugerujesz, że Szary Prorok Thanquol jest zdrajcą sprawy skavenów? Poważnie? – spytał Izak Grottle, obnażając przerażająco wielkie kły w szerokim grymasie.

– To możliwe – ośmielił się odezwać Lurk.

– Obawiam się, że aż nazbyt możliwe – powiedział Heskitt Jednooki. –

To jedyne wyjaśnienie, dlaczego Szary Prorok interweniował w nasze wspaniałe machinacje, podczas gdy wszystko to miało na celu dobro sprawy skavenów.

– A jednak człowiek i krasnolud byli także jego wrogami. Ostatecznie, prawie udało im się go zabić w leżu tego człowieka, von Halstadta.

– Poza tym wysiał na nich ryszokowców – dodał Vilebroth Null. – To było prawdziwe zlecenie. Chang Squik nadal spluwa na myśl o swojej kłesce.

– A jeśli Szary Prorok Thanquol jest na tyle przebiegły, by wykorzystywać swoich wrogów przeciwko nam? – zapytał

podekscytowany Heskit Jednooki. – Poszczuł ich na nas. Nie mógł

przegrać! Zamierzał powstrzymać rywali, albo ich rękami zabić swoich zaprzysięgłych wrogów.

W komnacie nastąpiła chwila ciszy i Lurk wiedział, że cokolwiek myśleli o Szarym Proroku jego przeciwnicy, nagle zyskali wielki szacunek dla przebiegłości, jaką okazywał. Po namyśle on także musiał to przyznać.

Bez względu na wady, jakie posiadał Szary Prorok Thanquol, trudno było zaprzeczyć, że miał wszelkie zalety prawdziwego, wielkiego skavena.

– Nawet gdybyśmy przypisali Szaremu Prorokowi Thanquolowi diabelską przebiegłość, nadal zdradził nas dla wroga! To nie podlega dyskusji. Wyjawiał wrogowi tajne plany, a także zamiary naszych klanów –

powiedział Izak Grottle. – Szary Prorok Thanquol jest zdrajcą i wrogiem całego naszego ludu.

– Zgadzam się – rzekł Heskit. – Z największą pewnością jest to zdrajca.

A co więcej, to nasz osobisty wróg. Działał przeciw nam wszystkim i niemal doprowadził do naszej śmierci. Następnym razem może poszczęścić mu się bardziej.

Wszyscy trzej zadrżeli na myśl o demonicznie przebiegłej inteligencji, jaka knuła przeciw nim. Lurk dostrzegał strach wypisany na ich obliczach i nerwowe drganie wąsów.

– Pokornie sugeruję – zaczął Null – że być może wolą Rogatego Szczura jest pozbawienie Szarego Proroka Thanquola dowództwa nad armią i wysłanie go, by złożył wyjaśnienia przed Radą Trzynastu.

– Całkowicie zgadzam się z tą propozycją. Całkowicie! – rzekł Izak Grottle. – Ale w jaki sposób tego dokonamy? Zdrajca nadal dowodzi pięcioma tysiącami wojowników Klanu Skab, podczas gdy nasze siły są tylko cieniem tego, czym były niegdyś.

– Bez wątpienia, to właśnie zaplanował ten zdrajca – rzucił Heskit.

– Bez wątpienia – pozostali dwaj zgodzili się jednocześnie.

– Zawsze pozostaje skrytobójstwo – odpowiedział Heskit.

– Możliwe! Możliwe! – rzekł Grottle – ale kto podejmie takie ryzyko?

Eshin mogą być na tyle omamieni kłamstwami, że mogą donieść o takiej próbie zamachu samemu zdrajcy.

– Możemy to zrobić sami – powiedział Vilebroth Null.

– Szary Prorok Thanquol, pomimo udowodnionej zdrady, pozostaje niestety potężnym czarnoksiężnikiem – rzekł Heskitt Jednooki.

– Możemy ponieść klęskę i zginąć!

Wszyscy trzej zadrżeli na tę myśl, po czym trzy pary ślepi, zgodnie odwróciły się w stronę Lurka. Ten zaszurał podszwami łap, ponieważ domyślał się, co zamierzali.

– Nie! Nie! – krzyknął.

– Nie? – groźnie rzekł Heskitt Jednooki, sięgając do rękojeści pistoletu.

– Nie? – zahuczał łapczywie Izak Grottle i oblizwał wargi.

– Nie? – rzekł Vilebroth Null, spluwając wielką kulą zielonkawej flegmy, która upadła na podłogę obok stóp Lurka i zbulgotała okropnie.

– Nie! Nie! O najłaskawsi panowie, jestem tylko skromnym skavenem.

Nie posiadam waszego potężnego intelektu i straszliwych mocy. Każdy z was może myśleć o pokonaniu Szarego Proroka Thanquola w walce lub próbować go przechytrzyć, lecz nie ja.

– W takim razie, dlaczego mielibyśmy zachować cię przy życiu? –

zapytał cicho Izak Grottle. – Dlaczego? Mów! Żwawo! Żwawo! Jestem głodny.

– Ponieważ... Ponieważ... – Lurk brnął rozpaczliwie starając się znaleźć drogę ucieczki z tego koszmarnego labiryntu. Przeklinał dzień, w którym spotkał Szarego Proroka Thanquola oraz dostarczył wiadomość człowiekowi i krasnoludowi. Zaraz! To mogła być odpowiedź. Być może sam przykład wielkiego Szarego Proroka stanowił rozwiązanie tego problemu?

– Ponieważ istnieje lepszy sposób!

– Czyżby?

– Tak. Tak. To pomysł, który oznacza mniejsze ryzyko i jest pewniejszy!

– Zainteresowałeś mnie Lurku Snichtongue – rzekł Izak Grottle. – Cóż takiego dostrzegasz, czego my nie widzimy?

– Tak! Tak! Dalej! Wyjaśnij! – krzyknął Vilebroth Null swoim najokropniejszym, bulgoczącym głosem.

– Możemy obrócić metody działania Szarego Proroka przeciwko niemu!

– Co takiego?

– Wykorzystał przeciw wam Jaegera i Gurnissona. Czemu nie użyć ich przeciwko jemu?

Ponownie zapadło milczenie, gdy trzech wielkich skavenów wymieniało spojrzenia.

– Istotnie, są przerażający – rzekł Vilebroth Null. – Jak na nieskavenów.

– Możliwe! Możliwe, że mogą to zrobić! – zapiszczał Heskitt Jednooki.

– Tak myślisz? Nie są skavenami, a Thanquol jest Szarym Prorokiem.

Szarym Prorokiem! – krzyknął Izak Grottle i rąbnął pięścią w stół dla wzmocnienia swych słów.

– Z całym, pokornym szacunkiem – rzekł Vilebroth Null – nie spotkałeś się jeszcze z tą parą. Heskitt ze Skryre i ja, owszem. Trudno wyobrazić sobie bardziej nikczemną i niebezpieczną parę przeciwników.

Pomimo magicznych mocy, jakimi władam, ledwo przed nimi uszedłem.

– Wycięli dobrze ponad połowę mojej kompanii – dodał Heskitt, pomijając swój udział w tej masakrze.

– Doceniam waszą przewagę doświadczenia – rzekł Grottle. – Ale pozostaje pytanie: jak ich zmusimy, by zabrali się za Szarego Proroka Thanquola?

– Listownie! – zaproponował Lurk, porwany samą przyjemnością intrygowania.

– Tak! Tak! Listownie – krzyknął Vilebroth Null.

– Dobrze by się stało, gdyby Szary Prorok Thanquol został

unicestwiony za pomocą sztuczek, jakie wykorzystywał przeciwko nam.

– Musimy czekać na sprzyjającą okazję – rzekł Null.

– A jak spisemy ten list? – zapytał Grottle. – Ja na przykład nie posiadam wiedzy o tych prymitywnych ludzkich runach.

– Znam trochę pismo ludzi – odezwał się niemal przepaszająco Heskitt Jednooki. – Jest mi to potrzebne do odczytywania ludzkich schematów.

– Musimy użyć dokładnie tego samego papieru i pióra, jakich używał

Szary Prorok – zauważył Grottle.

– Nasz przyjaciel Lurk je zdobędzie – rzekł Vilebroth Null, uśmiechając się paskudnie i pokazując kilka zgniłych zębów.

– A także dostarczy wiadomość zwykłym sposobem – powiedział

zadowolony Heskitt.

– Zdaje się, że dzisiaj cię nie zjem Lurku Snichtongue – stwierdził Izak Grottle. – Jesteś potrzebny żywy. Oczywiście, jeśli spróbujesz nas zdradzić...

– ... to się zmieni – dokończył Heskitt.

Lurk nie wiedział, czy powinien się cieszyć, czy smucić. Najwyraźniej udało mu się przedłużyć własny żywot, ale ryzykował gniew Szarego Proroka Thanquola. Jak udało mu się wplątać w to wszystko?

– Opuszczamy miasto – powiedziała zadziornie Elissa. Spoglądała na Felixa, jakby spodziewając się, że będzie ją powstrzymywał. – Hans i ja.

Postanowiliśmy odejść.

– Nie obwiniam was za to – rzekł Felix. – To nie jest dobre miejsce, a będzie coraz gorzej.

– Czy to wszystko, co masz do powiedzenia?

Felix rozejrzał się po pokoju, jaki dzielili podczas krótkiego wspólnego mieszkania. Zdawał się mały i pusty, a wkrótce to wrażenie miało się pogłębić, gdy ona odejdzie. Czy pozostało coś jeszcze do powiedzenia?

Naprawdę nie obwinił ją za chęć odejścia i prawdę mówiąc, nie widział

dla nich wspólnej przyszłości. Dlaczego zatem to tak bolało? Czemu czuł

pustkę pod żebrami? Dlaczego chciał prosić ją, by została?

– Odchodzisz z Hansem? – zapytał po to tylko, by usłyszeć jeszcze kilka słów. Spojrzała na niego zimno i skrzyżowała ręce pod piersiami w geście obrony.

– Tak – powiedziała. – Chyba nie zamierzasz nas zatrzymywać, prawda?

Pomyślał, że go prowokowała, by tak zrobił.

– W tej chwili za miastem nie jest zbyt bezpiecznie – rzekł.

– Wracamy tylko do naszej wioski. To bliżej niż poranny spacer.

– A przyjmą was? Słyszałem, że ludzie z miasta są kamienowani i zabijani strzałami, jeśli spróbują zbliżyć się do wiosek i farm. To na wypadek, gdyby przynosili ze sobą zarazę.

– Przeżyjemy – powiedziała, ale w jej głosie słychać było już mniejszą pewność siebie. – Tak czy

inaczej, to nie może być gorsze niż pozostanie tutaj, wśród zarazy, gangów, szczurów i tego wszystkiego. Przynajmniej w wiosce nas znają.

– Z pewnością rozpoznają Hansa. Wydawało mi się, że starszyzna go nienawidzi, tak jak sama mówiłaś.

– Chciałbyś, żeby tak było, nieprawdaż? Przyjmą nas z powrotem.

Powiem im, że się pobierzemy. Zrozumieją.

– Naprawdę? To znaczy, pobierzecie się?

– Tak myślę.

– To nie zabrzmiało zbyt entuzjastycznie.

– Och, Felix, cóż innego mogę zrobić? Spędzić resztę życia poszturchiwana przez nieznanomych w oberżach? Zadawać się z beztroskimi najemnikami? Nie tego pragnę. Chcę wrócić do domu.

– Potrzebujesz jakiś pieniędzy? – zapytał.

Nagle wyraz jej twarzy zmienił się.

– Nie – powiedziała. – Lepiej już pójdę. Hans czeka.

– Bądź ostrożna – powiedział i było to szczere. – Teraz to już nie jest bezpieczne miasto.

– Wiem o tym – rzekła. Nagle pochyliła się i pocałowała go z pasją w usta. Gdy chciał ją wziąć w ramiona, wyrwała się i ruszyła do drzwi.

– Uważaj na siebie – powiedziała i wydawało mu się, że dostrzega błysk łez w kąciakach jej oczu. Potem odeszła.

Dopiero później Felix sprawdzając luźną klepkę w podłodze stwierdził, że znikła sakiewka pieniędzy, którą dał mu Otto. Leżał na łóżku niepewny, czy ma się śmiać, czy płakać. Cóż, pomyślał, niech sobie ma te pieniądze.

Spodziewał się, że sam nie pożyje dość długo, by móc je wydać.

Szary Prorok Thanquol spoglądał na zgromadzonych w komorze skaveńskich dowódców. Jego płonący wzrok zdawał się wyzywać każdego, kto ośmieliłby się odezwać. Nikt nie odważył się na to.

Lurk policzył obecnych dowódców. Byli tu wszyscy wodzowie Klanu Skab oraz Izak Grottle, Vilebroth Null i Heskit Jednooki. Chang Squik, skrytobójca z Klanu Eshin, krył się w kącie, od czasu do czasu spoglądając na Lurka pełnymi nienawiści ślepiami. Nie zapomniał, co powiedział o nim Lurk tamtego dnia, gdy Szary Prorok upokorzył ich obu przed całą armią.

Szary Prorok rozłożył szeroko ramiona. Smugi ognia bieżyły w ślad za jego łapami, gdy gromadził magiczną moc. Lurk pomyślał, że to musiało przykuć uwagę każdego obecnego w komnacie. Nagle wszystkie ślepia utkwily w Thanquolu, jakby jednym gestem potrafił rozbić na atomy dowolnego osobnika, który nie patrzył na niego. Lurk nie wątpił, że to było możliwe. Jeśli dobrze rozpoznawał objawy, Szary Prorok skonsumował potężną dawkę pyłu ze spaczenia.

Lurk dygotał i nadal żuł obrzydliwe zioła, jakie dał mu Vilebroth Null na uśmierzenie zarazy. Zwalczył pragnienie, by upewnić się, że ukryte pod jego napierśnikiem pergamin i pióro, które ukradł z prywatnego zapasu Thanquola, nie są widoczne. Wiedział, że nie mógłby szybciej zwrócić na siebie uwagi. Przekonywał się, że przedmioty były na miejscu. Czuł

stalówkę pióra, która wbijała się w czułe miejsce na sierści pod pachą.

– Dziś nastąpi noc, na którą wszyscy czekaliście! – zawołał Thanquol.

– Dziś zmiażdżymy ludzi, raz na zawsze. Dziś przeprowadzimy inwazję na miasto i zniewolimy wszystkich jego mieszkańców. Dziś uderzymy mocą Podziemnego Imperium i naród skavenów zostanie zapamiętany na długo!

Thanquol przerwał dla efektu i rozejrzał się ponownie wokół, jakby czekał na to, że ktoś mu przerwie. Nikt nie ośmielił się przemówić, lecz Lurk dostrzegł, że Null, Jednooki i Grottle wymienili spojrzenia, a potem popatrzyli na niego. Miał nadzieję, że Szary Prorok tego nie zauważył.

Zerknął nerwowo na Thanquola, ale na szczęście Szary Prorok wydawał się zbyt porwany swoją szaloną elokwencją.

– Zgnieciemy ludzi pod żelazną łapą naszej potężnej skaveńskiej armii.

Zabierzemy w niewolę. Ich majątek będzie nasz. Ich miasto będzie nasze.

Ich krzyżące dusze zostaną ofiarowane Rogatemu Szczurowi.

Thanquol przerwał ponownie i Izak Grottle znalazł w sobie odwagę, by zadać pytanie, które – jak mniemał Lurk – zajmowało umysły wszystkich zgromadzonych.

– A w jaki sposób tego dokonamy, wielki wodzu?

– Jak? Zaiste, jak?! Dzięki planowi, jakże prostemu, a jednak oszałamiająco przebiegłemu. Dzięki użyciu siły i czarodziejstwa, o których będzie się mówić przez wieki. Dzięki przytłaczającej zjadłości i doskonałej technologii skavenów. Poprzez...

– Jakimi dokładnie środkami, Szary Proroku Thanquolu? – przerwał

Vilebroth Null. – Pokornie przypominam, że podobnie jak każde skaveńskie szczenie, wszyscy znamy generalne metody ataku.

Przez chwilę Lurk był pewien, że Thanquol rozważał plusy i minusy rozbicia mnicha zarazy na atomy składowe jako karę za tę bezczelność.

Ucieszył się, gdy zwyciężyła rozwaga i skaveńska ostrożność. Szary Prorok mówił dalej.

– Właśnie do tego dochodziłem, jak przekonałbyś się, gdybyś mi nie przerwał. Zaatakujemy z kanałów ściekowych. Każdy z was poprowadzi przypisane sobie oddziały do miejsc zaznaczonych na mapie – mówiąc to, Szary Prorok wskazał na skomplikowaną plątaninę symboli wypisanych na wielkim arkuszu pergaminu, który wisiał za nim. Wielu z wyznaczonych dowódców pochyliło się, aby zobaczyć, dokąd zostaną wysłani.

– Nie widzę na tym planie twojej runy – rzekł Heskitt Jednooki. – Cóż będziesz robił, Szary Proroku?

Thanquol spojrział na niego płonącymi czerwonymi ślepiami.

– Będę tam, gdzie należy spodziewać się wodza, to jest wykonując najbardziej trudne i niebezpieczne zadania.

Wśród zebranych dowódców skaveńskich zapadła cisza. Tego zupełnie nie spodziewali się po swoim przywódcy. Zakładali, że będzie kierował

operacją z bezpiecznego miejsca na tyłach. Spaczeń, jaki spożył Thanquol, wzmagił jego gadatliwość. Szary Prorok przerwał milczenie.

– Poprowadzę główne uderzenie. Powiodę grupę sztormverminów, którzy opanują pałac samicy Emmanuelle i pochwycą wszystkich dowódców miasta. Dziś będą bawili się na balu, jednym z ich bezcelowych wydarzeń społecznych. Spadniemy na nich niespodziewanie i osobiście pochwyć wszystkich mą łapą. Pozbawieni dowództwa ludzie, z pewnością ustąpią przed naszym atakiem.

Wśród zebranych skavenów podniósł się pomruk. To był dobry plan, śmiały. Lurk zastanawiał się, czy inni skaveni dostrzegali to samo. Szary Prorok rozważnie wybrał miejsce swojego ataku. Dokonując tak śmiałego uderzenia, pochwycając ludzkich dowódców, zapewni sobie lwią część chwały. Co więcej, niewątpliwie znacznie bezpieczniej będzie zaatakować kilku ludzi i ich samice przebranych na bal, niż walczyć z licznymi oddziałami w mieście.

– Taka pozycja podczas ataku jest zbyt niebezpieczna dla przywódcy o równie niezastąpionej przebiegłości – rzekł Heskitt Jednooki. – Tragedią będzie, jeśli lud skavenów straci geniusz Thanquola. Aby zapobiec takiej tragedii, ja poprowadzę to uderzenie. Wezmę na swoje barki to straszliwe ryzyko.

Lurk zakrył łapą usta, by powstrzymać chichot, gdyż przynajmniej jeden skaven zorientował się, co było grane.

– Nie! Nie! – rzekł Izak Grottle. – Ja i moje szczuro-ogry nadajemy się doskonale do tego zadania. Opanujemy i...

Słowa Grottle'a utonęły w krzykach wszystkich pozostałych skaveńskich ochotników. Thanquol

pozwolił im wykrzyczeć się przez kilka minut, po czym uciszył ich gestem.

– Niestety, nie uda się wejść do pałacu bez mojego potężnego czarodziejstwa. Muszę być tam obecny.

– W takim razie, z radością oddam swe życie, by cię strzec –

powiedział Izak Grottle najwyraźniej uparty, by mieć udział w triumfie.

– Ja także – dodał Heskitt Jednooki.

– I ja – krzyknął każdy z obecnych skavenów, za wyjątkiem Lurka.

– Nie! Nie! – doceniam waszą troskę, bracia skaveni, ale wasze przywództwo będzie potrzebne w innych, mniej krytycznych miejscach na polu walki.

Oczywiste było, że Thanquol nie zamierzał dzielić się z nimi swym chwalebny triumfem. Zebrani dowódcy zaczęli popiskiwać z rozczarowania.

– Mam tu mapę strategiczną i plan dla każdego z was, w którym zawarte są dokładnie spisane polecenia. Dla wszystkich z was, poza Lurkiem Snichtonguem. Chcę z nim zamienić słowo na osobności.

Lurk czuł, że jego serce zaczyna łomotać i to było wszystko, co mógł

uczynić, by powstrzymać się przed wypuszczeniem piżma strachu. Czy Szary Prorok dowiedział się o jego intrygach z reprezentantami trzech klanów? Czy miał zamiar dokonać na nim jakiejś straszliwej zemsty? Czy w jakikolwiek sposób Lurk mógł uniknąć tego spotkania?

Skierował zrozpaczone ślepia na trzech konspiratorów i przekonał się, że spoglądali na niego złowrogo. Lurk był pewien, że gdyby spojrzenia mogły zabijać, ci trzej posłaliby go do trumny. Obawiali się, że zdradzi ich, by ratować własną skórę i oczywiście, mieli rację.

Gdy dowódcy podchodzili jeden po drugim, by otrzymać błogosławieństwo Szarego Proroka i jego ostatnie instrukcje, Lurk modlił

się do Rogatego Szczura, aby zachował go przy życiu.

Felix wahał się po okolicy, aż dotarł do kamienicy swojego brata. Nie zdziwił się widząc, że była zamknięta i strzeżona. Zaskoczyło go natomiast, że Otto i jego żona nie uciekli z miasta, a co więcej, strażnicy poznali go i pozwolili mu wejść do środka.

Otto powitał go w swoim gabinecie. Nadal pracował, zapisując coś w księgach handlowych i podpisywał dokumenty, które zamierzał rozesłać do innych filii przedsiębiorstwa Jaegerów. Felix w tamtej chwili czuł

osobliwą dumę z brata. Kontynuowanie pracy w tak ponurych okolicznościach wymagało wielkiej

odwagi.

– Co mogę dla ciebie zrobić, Felixie? – zapytał Otto nie podnosząc wzroku.

– Nic. Przyszedłem żeby sprawdzić, jak się miewasz.

– Świetnie! – Otto uśmiechnął się blado. – Interes kwitnie.

– Naprawdę?

– Oczywiście, że nie! Szczury wyżerają zapasy. Robotnicy kradną wszystko, co nie jest przykręcone do podłogi. Klienci wymierają od zarazy.

– Dlaczego nie opuściłeś miasta?

– Ponieważ ktoś musi tu zostać i pilnować naszych interesów. To wszystko minie. Takie zakłócenia zawsze mijają. Potem trzeba będzie odbudować interes. Ludzie będą potrzebowali wełny, drewna i materiałów budowlanych. Będą potrzebowali luksusowych dóbr, aby zastąpić to, co zostało splądrowane. Będą szukali kredytów, by to wszystko kupić. A wówczas Jaegerowie z Altdorfu będą na miejscu.

– Założę, się że ty będziesz.

– A co z tobą? – spytał Otto, spoglądając wreszcie na niego.

– Czekam, aby zobaczyć koniec tego wszystkiego. Czekam, aż pokażą się skaveni.

– Sądziś, że to zrobią?

– Jestem tego pewien. Jestem pewien, że to wszystko jest ich sprawką.

– Jak możesz być tego tak pewien?

Felix zmierzył brata długim i ciężkim spojrzeniem.

– Czy potrafisz dotrzymać tajemnicy?

– Wiesz, że tak.

Felix zgodził się, że to była prawda. Otto musiał wykazywać wiele dyskrecji podczas prowadzenia swoich interesów.

– Za to, o czym ci opowiem, mógłbym zostać powieszony lub spalony na stosie.

– To, co zrobiłeś wraz z krasnoludem w Altdorfie, już ci to zapewniło.

Jesteś daleko od stolicy, Felixie, a ja nie zamierzam cię wydać.

Felix nie wątpił w to i czuł potrzebę opowiedzenia komuś dokładnie o tym, co się stało. Opowiedział zatem Otto całą historię swoich spotkań ze skavenami, od pierwszego dnia w kanałach ściekowych do ostatniej walki na barce. Niczego nie pominął, włącznie ze swoim pojedynkiem z Halstadtem. Otto spoglądał na niego z wyrazem twarzy, który zmieniał się od niedowierzania, przez powagę, aż ostatecznie uwierzył w wysłuchaną opowieść.

– Nie wymyślasz tego, prawda?

– Nie.

– Zawsze traktowałeś zbyt serio różne historie o bohaterach, braciszku.

Felix uśmiechnął się, a Otto odpowiedział uśmiechem.

– Rzeczywiście.

– Jak to jest, żyć jako bohater jednej z nich?

– Nie tak, jak się tego spodziewałem. Zupełnie nie tak – Felix zdecydował, że nadszedł czas, by powiedzieć z czym przyszedł.

– Otto... Uważam, że ty i twoja żona powinniście opuścić miasto.

Myślę, że skaveni wkrótce nadejdą i sprawy nie będą wyglądały zbyt pięknie.

Otto zaśmiał się.

– Mamy tu armię uzbrojonych sług, a ten dom to forteca, Felixie.

Będziemy tu znacznie bezpieczniejsi niż poza miastem.

Felix znał swojego brata na tyle dobrze, by zrozumieć, że nie było sensu go przekonywać.

– Sam wiesz, co jest dla ciebie najlepsze – rzekł.

Otto skinął głową.

– Teraz chodź coś zjeść, człowieku. Aż stąd słyszę burczenie w twoim żołądku.

– Cóż takiego, o najpotężniejszy z magów? Czego pragniesz?

Lurk Snichtongue skłonił się i zaszurał przed Szarym Prorokiem Thanquolem, szukając słów, jakie mogły go uratować. Był pewien, że ponadnaturalne moce Szarego Proroka pozwoliły mu przejrzeć zdradę Lurka i teraz zostanie ukarany. Straszne lśnienie spaczenia nadal wypełniało ślepia Thanquola, a Lurk wyczuwał mroczne energie, jakie się w nim gotowały.

– To dotyczy Vilebrotha Nulla – rzekł Szary Prorok Thanquol z paskudnym uśmiechem.

Lurk poczuł ścisnięcie gruczołów piżmowych. Chciał coś powiedzieć, ale miał splątany język. Zupełnie jakby przywarł do podniebienia.

Wszystko, co mógł zrobić, to pochylić łeb jak winowajca.

– Oraz Heskita Jednookiego – powiedział Thanquol, a jego groźny grymas rozszerzył się jeszcze bardziej. Błaganie o łaskę utknęło w gardle Lurka. Starał się je wydusić, ale nie potrafił.

– A także Izaka Grottle’a – dodał Thanquol. Jego płonące ślepia zatrzymały Lurka na miejscu. Mały skaven czuł się niczym ptak sparaliżowany spojrzeniem węża. Skinął ponownie głową i padł na kolana z łapami zaciśniętymi w geście pokory.

– Wstawaj! Wstawaj! – krzyknął Thanquol. – Oni nie są tacy przerażający. Nie! Z pewnością nie są. Nadszedł czas, by pozbyć się ich raz na zawsze, a ty mi w tym pomożesz!

– Pozbyć się, o najpotężniejszy z panów?

– Tak! Czy widziałeś, w jaki sposób kwestionowali moje słowa, gdy wydawałem rozkazy armii? Czy widziałeś, jak próbowali okraść mnie z chwały mojego wspaniałego planu? Już postanowione! Nie będę ich dłużej tolerował. Tej nocy umrą!

– Jak? Jak, władco proroków? Czy zmiażdżysz ich magią?

– Nie! Nie! Idioto! Moje ręce muszą pozostać czyste. Nie –

wykorzystamy wypróbowaną i sprawdzoną metodę. Poinformuję moich dwóch pionków, gdzie mogą ich znaleźć. Tego wieczora, gdy nadejdzie bitwa, moi wrogowie spotkają się z toporem krasnoluda. Wówczas, miejmy nadzieję, reszta ich oddziałów zabije tę nikczemną dwójkę.

– Jak to przeprowadzisz, o, najprzebieglejszy z konspiratorów?

– Przydzieliłem wszystkich trzech do jednej grupy uderzeniowej. Ich miejsce wypadu znajduje się bardzo blisko nory, w której mieszkają Jaeger, Gurnisson i horda najemników. Ty także należysz do tej grupy.

Pójdiesz pierwszy, pod pretekstem zwiadu i ostrzeżesz tę przerażającą parę o tym, co się stanie!

– Tak! Tak! Wykonam to, o najpotężniejszy z intrygantów!

– Weź tę wiadomość i dopilnuj, by została dostarczona. Potem uciekaj do mojej rezydencji, a ja nagrodzę cię odpowiednio za twą lojalność!

Lurkowi zupełnie nie podobał się akcent, jaki Szary Prorok położył na ostatnim wyrazie, ale wziął list i bezustannie się kłaniając, wycofał z komnaty Thanquola.

Felix uderzył kołatką w drzwi Drexlera nie mając zbytniej nadziei, że doktor jest tam jeszcze. Został mile zaskoczony, gdy judasz otworzył się i wyrzwał przezeń służący.

– Ach, to pan, Herr Jaeger – rzekł. – Czy jest pan sam?

– Tak i chciałbym pomówić z twoim panem.

– Zatem, proszę wejść.

Felix słyszał przesuwane zasuwę i drzwi otworzyły się ze skrzypnięciem. Felix spojrział przez ramię upewniając się, że nie ma bandytów, którzy mogliby wykorzystać tę sytuację, po czym pospieszył do środka. Służący zatrzasnął za nim drzwi.

Felix przechodził korytarzami siedziby doktora. Miał wrażenie, że minęły lata odkąd przyszedł tu z Elissą, chociaż w rzeczywistości upłynęło kilka tygodni. Zastanawiał się, dlaczego wszystko zmieniało się tak szybko. Tłumił w sobie ból samotności i smutku na myśl o kobiecie, która odeszła. Potrząsnął głową i uśmiechnął się smutno, wiedząc, że jej odejście było jednym z powodów jego obecnej wizyty. Po prostu usiłował

robić różne rzeczy, aby uniknąć myślenia o nieprzyjemnych sprawach.

Służący wprowadził go do gabinetu Drexlera. Doktor siedział przy ogniu. Wyglądał na wykończonego i steranego. Tygodnie opieki nad ofiarami zarazy najwyraźniej bardzo go zmęczyły. Na jego twarzy pojawiły się zmarszczki, których nie było, gdy Felix widział go ostatnim razem. Spod opalenizny doktora wyraźnie przebijała bladość.

– Herr Jaeger, co mogę dla pana zrobić?

– Przyniosłem panu z powrotem książkę – rzekł Felix wyjmując należącą do doktora kopię dzieła Leibera. – Zwróciłem ją wcześniej, ale byłem bardzo zajęty.

Doktor uśmiechnął się blado.

– To właśnie powiedział mi Herr Ostwald. Zdaje się, że Aldred wybrał

godnego następcę na właściciela swojego miecza.

– Nie jestem o tym przekonany – rzekł Felix, wskazując w stronę miasta. – Wszystkie wysiłki moje i Gotreka zdają się spełzać na niczym.

– Niech pan nie będzie tego tak pewien, Herr Jaeger. Cóż może powiedzieć człowiek o konsekwencjach własnych działań? Możliwe, że sprawy wyglądałyby znacznie gorzej bez pańskiej interwencji.

– Chciałbym w to wierzyć, ale tak mi się nie wydaje.

– Jedyne Sigmar może oceniać działania człowieka, Herr Jaeger, a ja wierzę, że w jakiś sposób on uśmiecha się nad panem i pańskim przyjacielem. Przecież pozostał pan tutaj, nieprawdaż? Jak wielu innych ludzi mogłoby zdecydować się na to samo, gdyby przeżyli pańskie przygody? Wiem, że ja bym tego nie potrafił.

Felix spojrział na niego, uderzony prawdą tych słów.

– Jest pan dobrym doktorem, Herr Drexler. Czuję się lepiej już tylko rozmawiając z panem.

– Może powinien pan poczekać z podziękowaniami aż zobaczy mój rachunek – rzekł Drexler. Uśmiechnął się na znak, że tylko żartował. –

Czy znalazł pan w książce to, czego szukał?

Felix odłożył księgę na stół.

– Więcej niż kiedykolwiek tego pragnąłem. Nie jestem pewien, czy przydatna jest wiedza o tym, jak bardzo nikczemni i zdeprawowani są szczuroludzie.

– Ponownie powiadam panu, Herr Jaeger, któż wie, jaka wiedza może okazać się przydatna? Niech pan coś zje. Udało mi się zgromadzić pewne zapasy przed nadejściem nieszczęść, jakie dotknęły nasze miasto.

Felix poczuł się winny z powodu posiłku, jaki zjadł już u Otto. Miał

pełen żołądek, ale z drugiej strony, nie miał pojęcia, kiedy następny raz będzie mógł cokolwiek zjeść. Jeśli teoria Gotreka o nadciągającym ataku skavenów miała okazać się prawdziwa, potrzebował wszystkich sił.

– Z chęcią – powiedział. – To może być mój ostatni posiłek!

– Dlaczego pan tak mówi? – spytał Drexler, a Felix uznał, że nadszedł

czas, by przekazał swoje ostrzeżenie.

– Ponieważ uważam, że skaveni wkrótce zaatakują miasto. Myślę także, że powinien pan wyjechać. Mówię to jako przyjaciel.

– Dziękuję za ostrzeżenie, Herr Jaeger, ale dziś nie mogę odejść. Widzi pan, wieczorem idę do pałacu na bal, na którym będzie obecna elektorka hrabina Emmanuelle we własnej osobie.

Sama myśl o niej sprawiła, że Felix poczuł dreszcz wzdłuż kręgosłupa.

Lurk wiedział, że będzie źle, gdy poczuł na ramieniu ciężką łapę jednego z żołnierzy Izaka Grottle'a i został bezceremonialnie wepchnięty do lektyki grubego skavena. Spoglądał na fałdy ciała pod podbródkiem gigantycznego poganiacza Moulderów. Wielki brzuch Grottle'a dosłownie wciskał go w poduszki lektyki, zupełnie jakby żył własnym życiem.

– A ty dokąd idziesz? – spytał Izak Grottle. – Dokąd to?

Lurk myślał szybko. Nie podobał mu się głodny blask, jaki pojawił się w ślepiach poganiacza. Pomyślał o liście od Szarego Proroka, który niósł

przy sobie. Pomyślał o zarazie, która mogła wypełnić jego płuca ropą, jeśli opat przestanie interweniować w jego imieniu do Rogatego Szczura.

– Właśnie zamierzałem zobaczyć się z tobą, o najbardziej majestatyczny z Moulderów.

– W takim radzie, cóż za szczęście, że cię znalazłem! Powiedz mi, cóż takiego niesiesz?

Lurk powiedział mu wszystko. Spodziewał się, że Izak Grottle wyciągnie swoją pękatą łapę i złamie mu kark, ale poganiacz zaśmiał się tylko huczącym głosem.

– Zdaje się, że Szary Prorok okazał się zbyt cwany, na swoją zgubę.

Dostarczysz wiadomość, lecz tę, którą sam podyktuję, a Heskit Jednooki ją spisze.

– Jak każesz, o najpotężniejszy ze wszystkich poganiaczy.

Felix szedł z powrotem w stronę gospody Pod Ślepą Świnia, czując się tak objedzony, że niemal nie mógł się ruszać. W ciągu kilku ostatnich tygodni jego żołądek skurczył się i to, co niegdyś było normalnym posiłkiem, teraz wzdęło mu brzuch. Dwa takie posiłki podczas jednego dnia i czuł się, jakby miał zaraz wybuchnąć.

Niósł nowy talizman ziołowy otrzymany od doktora, a drugi dla Gotreka trzymał – w kieszeni. To go trochę uspokajało. Jak dotąd nie zachorował na zarazę, ale to nic nie znaczyło. Nikt z jego znajomych także nie był chory. Może ocalił go łut szczęścia oraz fakt, że Heinz nalegał, by zabijać każdego szczura zauważonego w okolicy Świni. Felix nie mógł

nawet zgadywać. Wiedział tylko, że był wdzięczny Drexlerowi za podarunek.

Rozejrzał się w zapadającym zmroku i wzdrygnął. Miasto wyglądało jak duch tętniącej życiem metropolii, jaką było, gdy przybyli tam z Gotrekiem. Wiele budynków spłonęło. Wiele zostało opuszczonych. W

większości domów nie świeciły się żadne światła. Życie na ulicach zastąpiła aura strachu. Poza własnym domem można było obecnie natknąć się tylko na drapiezców i ich ofiary.

Nagle poczuł mrowienie skóry między łopatkami i wydawało mu się, że ktoś go obserwuje. Odwrócił głowę, by spojrzeć w stronę najbliższej alei. Świst powietrza ostrzegł go zbyt późno. Coś uderzyło go w czaszkę.

Potrząsnął głową spodziewając się fali bólu. Ta jednak nie nadeszła.

Podniósł palce do skroni, ale nie poczuł krwi. Spojrzał w dół i zauważył, że uderzył go rulon pergaminu podobny do tych, jakie przynosiły ostrzeżenia dotyczące skavenów. Schylił się, by go podnieść, jednocześnie rozglądając się. Usłyszał ciche tupotanie w pobliskiej uliczce i zrozumiał, że były to najprawdopodobniej kroki kogoś, kto rzucił papier.

Nie myśląc wiele Felix zabrał pergamin i rzucił się w pościg. Biegając aleją wyciągał swoje długie

nogi, jak tylko mógł. Wydawało mu się, że przed sobą zauważył zakapturzoną postać. Czy możliwe było, że spod mnisiej szaty wystawał długi ogon gryzonia? Uznał, że to było nawet bardziej niż pewne.

Postać dotarła do końca alei i skręciła pospiesznie w kolejną ulicę, która zagłębiała się w prawdziwy labirynt przecnic. Felix przemknął

przez otwarte drzwi roztrącając zdumionych żebraków i nie zatrzymując się miażdżył pod stopami monstrualne szczury. Serce łomotało mu głośno w piersi, a twarz zalewał pot. Miał mdłości i żałował, że zjadł tak dużo u doktora Drexlera, zwłaszcza po obfitym posiłku u brata. W jednej dłoni ścisnął kurczowo zwój, a drugą przyciskał pochwę miecza, która wisiała na jego pasku.

– Stój, skavenie! – krzyknął. Jego słowa nie wywarły żadnego efektu na uciekającym szczuroczłeku. Wszyscy żebracy rzucili się do kryjówek za najbliższymi drzwiami. Felix pędził dalej.

Czemu to robię, pytał sam siebie. Skaven przed nim nie zrobił dla niego nic poza wyświadczeniem przysługi w postaci ostrzeżenia przed planami jego pobratymców. Felix zadawał sobie pytanie, po co go w takim razie ścigał – ale znalazł już odpowiedź. Czy ktokolwiek mógł zrozumieć przyczyny jakichkolwiek działań szczuroludzi? Kto potrafił odgadnąć, jakie były pobudki stworzenia, które nawet nie było człowiekiem?

Felix poczuł, jak jego serce podskoczyło z emocji, gdy szczuroczłek potknął się i upadł. Może uda mu się go jednak przepytac? Porwany pędem pościgu, rozpaczliwie pragnął, by tak się stało. Chciał schwytać szczuroczłeka, spojrzeć w jego ślepią i przesłuchać go. Pomyślał jednak, że pewnością stwor nie zrozumie ludzkiego języka. Według Leibera szczuroludzie posługiwali się własnymi narzeczeniami, włącznie z kilkoma specjalistycznymi dialektami, których używały różne klany. Ten stwor znał przynajmniej Reikspiel, skoro potrafił spisać swoje zawiadomienia, a zatem może dało by się z nim porozmawiać. Przyspieszył ponaglony nadzieją, że nareszcie uzyska jakieś odpowiedzi na pytania dotyczące skavenów.

Lurk zerknął w tył przez ramię i zapiszczał rzucając przekleństwo. To było na nic. Ten głupi człowiek nadal go ścigał! Dlaczego? Na co liczył

prześladując go w ten sposób? Dlaczego nie zostawił go w spokoju, aby przeczytać wiadomość, jaką Heskitt Jednooki napisał na pergaminie?

Gdyby to uczynił, wówczas z pewnością zrozumiałby, że tej nocy czekają go pilniejsze sprawy – na przykład wyprawa do pałacu, aby udaremnić plan Szarego Proroka Thanquola.

Życie jest niesprawiedliwe, pomyślał nieszczęśliwy Lurk. Tkwił w tym miejscu, chory, zastraszone przez kilku z najstraszliwszych skavenów, jacy kiedykolwiek żyli i zmuszony do stworzenia sobie wroga z najpotężniejszego czarnoksiężnika swojej rasy. Bolał go łeb. Ślepią płonęły gorączką. Miał wrażenie, jakby serce miało pęknąć od wysiłku tej gonitwy. Płuca zdawały się płonąć.

A gdzie się znalazł? Nie w jakimś wygodnym legowisku w Skavenblight, tylko ścigany po przerażająco otwartych ulicach tego ludzkiego miasta, przez wielkiego i groźnego wojownika. To

było jak wyjątkowo straszny koszmar. Lurka przytłaczała czysta niesprawiedliwość jego położenia. Co takiego uczynił, by sobie na to zasłużyć?

Rzucił jeszcze jedno spojrzenie w tył i zobaczył, że jego prześladowca zmniejsza dzielący ich dystans. Lurk modlił się, by zapadła noc albo podniosła się mgła. Był pewien, że w ciemnościach i w cieniu zgubi człowieka. Podobnie, jeśli uda mu się dotrzeć do ukrytego wejścia do kanałów, gdzie oczekiwała część oddziałów inwazyjnych. Wtedy będzie bezpieczny. Zaryzykował jeszcze jedno spojrzenie w tył i przeklął czując jak traci grunt pod stopami.

Wiedział, że powinien patrzeć którądy biegnie!

Felix szybko dobiegał do skavena, który gramolił się na nogi.

Zastanawiał się przez chwilę, czy powinien wyciągnąć miecz.

Zdecydował, że tego nie zrobi. Znowu straciłby na dystansie, a skaven nie wyglądał na uzbrojonego. Zawsze mógł wyciągnąć broń, gdy przycisnie szczuroczłeka do kąta. Ciężko dysząc biegł dalej.

Chwała Rogatemu Szczurowi, pomyślał Lurk. Przed sobą dostrzegł

wejście do kanałów. Wiedział, że pozostawało mu tylko wskoczyć do otworu i znajdzie się w bezpiecznym otoczeniu skaveńskiej armii. Na dole czekali Vilebroth Null, Izak Grottle, Heskitt Jednooki i ich żołnierze. Ale gdy podciągał nogi szykując się do wielkiego skoku, który miał zapewnić mu bezpieczeństwo, poczuł potężną dłoń opadającą na jego ramię.

Felix przytrzymał mocno wrywającego się skavena. Pociągnął go silnie obracając w miejscu i niemal puścił, gdy stwór o paskudnym wyglądzie spojrzał na niego ślepiami pełnymi nienawiści. Ze wszystkich szczuroludzi jakich spotkał, ten wyglądał na najbardziej chytrego i wrednego. Był mniejszy i chudszy niż większość ze skavenów, ale próbował wyrwać się z całą siłą swojego żylastego ciała.

– Natychmiast – wydyszał Felix. – Gadaj, co tutaj robisz!

Nagły ból szarpnął jego lewym nadgarstkiem w miejscu, gdzie ugryzł

go szczuroczłek. Pod wpływem szoku Felix puścił skavena.

Lurk wyrwał się z uchwytu swojego prześladowcy i z wdzięcznością losowi wpadł do ścieków. Wrywając się na powierzchnię rozejrzał się i zobaczył, że oddział uderzeniowy skavenów był już zebrany. Horda szczuroludzi czekała w gotowości. Spojrzał wokoło i zauważył, że Izak Grottle wraz z pozostałymi czekali na pozycjach dowódczych z tyłu.

Dowódca pazura sztormverminów popatrzył na Lurka, który wypełznął z nieczystości i otrząsnął sierść.

– Co się dzieje? – spytał dowódca pazura.

– Jestem ścigany! – stęknął Lurk niewiele myśląc. Zanim zdążył

rozwinąć swoją wypowiedź, dowódca pazura zareagował instynktownie mając nadzieję, że zyska nieco chwały.

– Świetnie! – krzyknął skaven. – Żwawo-żwawo! Do ataku!

Felix przyjrzał się ukąszonej dłoni. Stwierdził, że nie wyglądało to najgorzej. Potem przerażony dostrzegł pierwszego szczuroczłeka, który zeskoczył z drabiny wjazdu prowadzącego do kanałów. Kilka chwil wcześniej zastanawiał się, czy wskoczyć za skavenem do ścieków. Teraz zrozumiał, że to byłoby samobójstwo. Już teraz w ciemnościach pojawiały się chytre pyski i klapiące szczęki masywnych szczuroludzi okrytych czarnymi pancerzami. Felix nie tracił czasu. Kopnął z całej siły głośno skrzeczącego skavena, który potoczył się między swoich pobratymców, a potem odwrócił się i zaczął biec.

Kilka chwil później, ulicę zalała masa wściekle piszczących skaweńskich wojowników. Wielka inwazja na Nuln rozpoczęła się nieco przed czasem.

Nie! Nie! – pisnął Lurk, gdy stłoczona ciżba skaweńskich wojowników minęła go i runęła naprzód. Nacisk włochatych ciał wepchnął go z powrotem do obrzydliwych ścieków. Przez kilka strasznych chwil wydawało mu się, że utonie, ale potem znowu wypłynął na powierzchnię, w samą porę, by zobaczyć ostatniego sztormvermina, który wspinał się z niepowstrzymaną furią w kierunku światła. Nachyliła się nad nim szalona twarz Vilebrotha Nulla.

– Czy dostarczyłeś wiadomość? – zbulgotał niski opat mnichów zarazy.

– Tak! Tak! – zapiszczał Lurk myśląc, że to nie była najlepsza pora, by powiedzieć Nullowi o skaweńskich oddziałach, które robiły na górze wszystko, by dopaść i zabić człowieka, któremu dostarczył wiadomość.

Felix słyszał za sobą okrzyki odrażających prześladowców i wrzaski nieszczęśników, którzy znaleźli się na ich drodze. Szybkie spojrzenie przez ramię przekonało go, że skaveni siekli mieczami każdego, na kogo wpadli. Ten widok przeraził Felixa, a z drugiej strony odrobinę ucieszył.

Każda przerwa i zwłoka pozwalała mu zwiększyć odległość między nimi.

Czuł ból dłoni ugryzionej przez małego skavena. Zauważył, że rulon, którym rzucił w niego skaven, nadal tkwił zaciśnięty w jego pięści. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie wyrzucić go precz. Zamiast tego wcisnął

pergamin za pazuchę i biegł dalej. Przynajmniej nie był obciążony ciężką zbroją, jak jego prześladowcy.

Powoli, w jego umyśle zaświtała myśl, że zaczęła się inwazja. Widok tak wielu ciężko uzbrojonych szczuroludzi na ulicach mógł oznaczać tylko to, że byli gotowi do rozpoczęcia ataku na miasto i nie bali się jego obrońców. Felix nie wątpił, że w tamtej chwili ich pewność siebie była usprawiedliwiona. Nie dostrzegał ani jednego członka straży miejskiej.

Oczywiście, większość z nich prawdopodobnie przebywała w Dzielnicy Szlacheckiej wokół pałacu, dbając o to, by goście zmierzający na przyjęcie hrabiny dotarli tam bezpiecznie.

Felix zderzył się ze ścianą i odbił od niej, skręcając gwałtownie w boczną przecznicę. To był prawdziwy labirynt wąskich przejść i alejek, a Felix nie był pewien, czy zmierzał we właściwym kierunku. Pozostawało mu tylko biec tak szybko, jak to możliwe i nasłuchiwać hałasów pościgu.

Modlił się, by się nie zgubić i nie zatoczyć pełnego koła wbiegając na nich ponownie.

W pośpiechu starał się znaleźć jakiś plan, ale wiedział tylko, że musi możliwie szybko dotrzeć do gospody pod Ślepą Świnią oraz ostrzec Gotreka i pozostałych. Przynajmniej tam znajdował się silny oddział

najemników a oberża stanowiła potencjalny punkt; zbiorczy dla ludzkich wojowników. Teraz musiał tylko znaleźć drogę. Gdy biegł dalej, jego serce ścisnęło przerażenie.

Lurk usiłował trzymać się pośrodku kłębiącej się masy wojowników.

Wycierpiał wystarczająco podczas tego wieczora i nie chciał ucierpieć więcej. Skupił uwagę na utrzymaniu w polu widzenia Izaka Grottle'a.

Ochroniarze poganiacza Moulderów, szczuro-ogry, mogły zapewnić największe bezpieczeństwo podczas zbliżającej się walki. Lurk poważnie wątpił, by ktokolwiek odważył się zaatakować wielkie stwory.

Jak dotąd atak wydawał się rozwijać dobrze. Oddział skavenów nie I napotkał silnego oporu na tym obszarze. Lurk czuł zapach płomieni i wyróżniający się, oleisto-naftowy smród miotaczy spaczognia. Sądząc po łunie światła na południu domyślał się, że kilka ekip miotaczy spaczniowego ognia z Klanu Skryre atakowało budynki. Przenikając wzrokiem cienie, Lurk dostrzegał smugi ognia, które tryskały w stronę kamienic. Ogień oblizywał i opływał drewniane konstrukcje. Kamień zaczynał pękać i kruszyć się pod wpływem żaru wytwarzanego przez straszną broń skavenów.

Lurk nie był pewien, czy to był dobry pomysł. Nie sądził, by Szary Prorok Thanquol przyzwolił na tak rozrzutne niszczenie jego przyszłej własności. Oczywiście, jeśli wiadomość, jaką dostarczył Lurk, spełni swoje przeznaczenie, wówczas Szary Prorok nie będzie w stanie wygłosić swoich zastrzeżeń. Będzie martwy.

Lurk zastanawiał się, czy człowiekowi Jaegerowi, udało się uciec. Miał

nadzieję, że tak się nie stało. Nadal pamiętał ciężką dłoń człowieka, która opadła na jego ramię i ból, gdy żelazne palce wbiły się w jego sierść. Nie wyglądało na to, by wpadł w niewolę. Nie zauważał jego zwłok. To jednak nic nie znaczyło. W tych krętych alejkach, które wypełniały ofiary skavenów, ciało mogło spoczywać niemal wszędzie. Już teraz oddziały skaveńskie zaczęły rozpraszać się i rozbiegać. Niektórzy z wojowników, widząc, że nie natrafili na znaczący opór, zaczęli rabować i jeść.

Lurk miał wrażenie, że to nie była mądra decyzja. Z pewnością nie będzie tak łatwo. Na pewno napotkają większy opór. Gdzie byli przekłeci ludzcy wojownicy? Jego pytania pozostawały bez odpowiedzi. Wszędzie wokół budynki zaczynały płonąć.

Chang Squik wspinał się po stromym urwisku kierując się do pałacu ludzkiej samicy Emmanuelle. Lina przywiązana do jego bosaka trzymała się pewnie. Czuł ciężar pokrytej runami kuli wróżebnej, osobiście powierzonej mu przez Szarego Proroka Thanquola, która spoczywała bezpiecznie w plecaku na jego plecach. Chang Squik podciągnął się i drapał pazurami stóp, aby utrzymać się na gładkim kamieniu klifu. Sprawy miały się dobrze. Za kilka minut znajdzie się na pozycji we wnętrzu sal pałacowych i przygotuje kamień do odbioru potężnej magii, jaką tkął

Szary Prorok. Tego dnia odegra swoją rolę w zwycięstwie skavenów i zbliży się nieco do złagodzenia niesławy po swojej klęsce podczas próby zabicia krasnoluda i jego ludzkiego pomagiera. Na szczęście miał okazję uspokoić bolesne wspomnienia przed nadejściem końca tej nocy.

Nagle daleko pod sobą usłyszał stłumiony wybuch bojowych okrzyków skavenów, a w odpowiedzi krzyki ich ludzkich ofiar Obrócił

się na linie, spojrzał do tyłu i dostrzegł dziwaczne lśnienie, które mogło należeć tylko do miotaczy spaczo-ognia użytych w oddali. To mogło oznaczać, że atak już się zaczął! Głupcy mieli czekać aż Chang znajdzie się wewnątrz pałacu i plan Szarego Proroka Thanquola zostanie wprowadzony w życie!

Przeklął i podwoił swoje wysiłki, by wspiać się jak najszybciej. Hałas i widok ognia musiał przyciągnąć uwagę ludzkich straży i innych widzów, którzy gotowi byli pojawić się na blankach znajdujących się nad nim.

Chang Squik nie chciał, by ktokolwiek odkrył jego bosak z liną. Człowiek wyposażony w nóż musiałby tylko przeciąć czarną linę i jego długa, honorowa kariera dobiegłaby końca. Opanowując pragnienie wypuszczenia piżma strachu skrytobójca z Klanu Eshin podciągnął się na linie.

Dziwne zielonkawe światło na niebie potwierdziło podejrzenia Felixa, że inwazja istotnie się zaczęła. Rozpoznawał kolor płomieni, jakie wytwarzała dziwna broń, którą zniszczył w Szkole Inżynierii. Spoglądając za siebie dostrzegał ogień przeskakujący między dachami płonących budowli. Szkoła była oddzielnym budynkiem chronionym murami swojego podwórza. Budynki w tej części miasta były natomiast upakowane tak gęsto, jak pijacy w zatłoczonej karczmie. Wiele z nich nachylało się konspiracyjnie nad ulicami. Niektóre były połączone wysokimi mostami biegnącymi nad ziemią i łukami podporowymi w alejach. Większość miała dachy kryte strzechą i drewniane wsporniki.

Felix zadrżał. Pożar będzie rozprzestrzeniał się szybko. Miasto spłonie.

Wydawało mu się, że przynajmniej w tej chwili zgubił prześladowców.

Nie widział żadnych szczuroludzi. Co więcej, rozpoznał wreszcie ulicę i zdał sobie sprawę, że

znalazł się niedaleko gospody Pod Ślepą Świnią.

Przestał biec, pochylił się z rękami opartymi na kolanach, dyszał ciężko i potrząsał głową, by strząsnąć pot z oczu. Gdy uda mu się dotrzeć do oberży, będzie mógł ułożyć plan z Gotrekiem i innymi.

Nagle usłyszał piskliwy okrzyk bojowy dobiegający z wylotu pobliskiej alei. Spojrzał w tamtą stronę i zobaczył dużą grupę skavenów wypadających na brukowaną ulicę.

Felix zebrał wszystkie siły i zaczął biec, by uratować swoje życie.

Szary Prorok Thanquol doprowadził elitarny oddział sztormverminów na miejsce. Wyczulona intuicja Szarego Proroka powiedziała mu, że dokładnie ponad nim znajdował się pałac. Wyczuwał jego obecność.

Podeptał ciało strażnika kanałów ściekowych i nadał się. Jak dotąd zabójcy Klanu Eshin wykonali dobrą robotę. Wszyscy ludzie w kanałach, jacy mogli donieść o ich obecności, byli martwi. W tej chwili oddziały rysztołkowców powinny znajdować się na pozycjach u podstawy klifu, na którym spoczywał zamek. Miał nadzieję, że Chang Squik również będzie na swojej pozycji.

Thanquol wydobyl kamień wróżebny ze swojej szaty. Zaczął mruzczyć inkantacje, które miały połączyć go z bliźniaczym kamieniem niesionym przez dowódcę oddziałów Eshin. To była najlepsza pora na dokonanie wspaniałego wyczynu magicznego, który zapewni skavenom szybkie i nieuniknione zwycięstwo. Thanquol wiedział, że aby tego dokonać, potrzebuje wielkich ilości proszku i na tym polegało niebezpieczeństwo.

W celu zgromadzenia odpowiedniej ilości magicznej energii do zasilenia zaklęcia, jakie chciał rzucić, Thanquol musiał spożyć ogromną ilość spaczenia, a to było niebezpieczne. To nie był łagodny, oczyszczony proszek, jakiego zwykle zażywał. Nie – to był czysty produkt, sama esencja magii, skoncentrowana i rafinowana przez skaveńskich alchemików. To była substancja, która mogła zapewnić użytkownikowi niesamowitą moc, ale jej użycie oznaczało równie wielkie ryzyko. Wielu Szarych Proroków przekroczyło granicę szaleństwa na skutek strasznych efektów substancji, która wpłynęła na ich umysł. Innych działanie mutagenne spaczenia zredukowało do postaci bezmyślnych pomiotów Chaosu. Przyjmowany w dużych dawkach przez osobników, którzy posiadali zbyt słabą wolę, spaczeń mógł zmienić zażywającego w bezkształtną amorficzną masę.

Ale cóż to znaczyło dla niego, najpotężniejszego z Szarych Proroków?

Thanquol był doświadczonym użytkownikiem spaczenia, zdolnym do pochłaniania go w ogromnych ilościach bez odczuwania szkodliwych efektów ubocznych. To co, zdarzało się innym, nie mogło wydarzyć się jemu. Z całą pewnością tak być nie mogło.

Przez chwilę w umyśle Thanquola zamajaczyła nieznaczną wątpliwość.

A co się stanie, jeśli coś było nie w porządku ze spaczeniem? Jeśli nie był

absolutnie czysty, lecz skażony inną substancją? Takie rzeczy się zdarzały.

A jeśli Thanquol nie był tak silny, za jakiego się uważał? Pomyłki w dozowaniu były zawsze możliwe. Ale Szary Prorok wahał się tylko przez sekundę, zanim powróciło jego naturalne przekonanie o swoich wielkich możliwościach. Nie bał się niebezpieczeństw, jakie niósł spaczeń. Co więcej, musiał przyznać, że to mu się nawet podobało. Przypomniawszy sobie o tym sięgając do sakwy i kładąc pierwszy świecący kawałek spaczenia na języku. Poczł mrowienie, gdy go zjadał. Powróciły do niego wspomnienia dawnej młodości. Przypomniawszy sobie swoją inicjację, gdy po raz pierwszy użył spaczenia.

Nie, pomyślał Thanquol, nie ma się czego obawiać. Tak myśląc, przygotowywał się, by w odpowiednim momencie rzucić zaklęcie, które zapewni zwycięstwo jego armii.

Felix widział przed sobą światła gospody Pod Ślepą Świnia. Poczł

ogarniającą go falę ulgi. Gospoda nie gwarantowała bezpieczeństwa, ale była lepsza od przerażającej ucieczki mrocznymi ulicami, gdy horda skrzeczących szczuroludzi podążała jego śladem. Zauważył Borisa i Stephana, a także grupę jego towarzyszy, którzy stali na ulicy osłaniając oczy, aby lepiej widzieć dalekie pożary.

– Uwaga! Skaveni! – krzyknął Felix i zobaczył, że wszyscy sięgnęli po broń. Po chwili, w półmroku płonącego miasta zaśniły miecze. Kilka odzianych w pancerze postaci wybiegło w ciemność z wnętrza oberży.

Felix z ulgą zauważył wśród nich masywną, krępą sylwetkę Gotreka. W

tych okolicznościach niezwykle uspokajający był widok ogromnego topora ściskanego w dłoni krasnoluda.

Felix pobiegł w stronę wojowników, którzy szykowali się na atak skavenów. Skaveni za nim, nie chcąc lub nie mogąc zatrzymać się po obłędnej pogoni, pędzili niczym wściekła lawina sierści.

Felix przecisnął się przez gromadę, aby stanąć obok Gotreka. W

jedynym oku zabójcy widoczna była zwykła szalona radość, jaka zawsze ogarniała go przed walką.

– Widzę, że znalazłeś naszych małych pazurzastych przyjaciół, człeczyno – powiedział przesuwając kciukiem po ostrzu topora, aż pojawiła się jasna, czerwona kropla krwi.

– Tak – stęknął Felix, starając się złapać oddech przed rozpoczęciem walki.

– Dobrze. No to pora na zabijanie!

Drexler rozejrzył się. Działo się coś złego. Wielu wojowników podeszło do blanków, aby spojrzeć na ogień i nie wróciło. Ostwald ponownie zebrał kobiety w sali balowej. Kurierzy przynoszący wiadomości krążyli między Ostwaldem, hrabiną Emmanuelle oraz tymi na zewnątrz. Z pewnością coś się działo i musiał się dowiedzieć, co takiego.

Gdyby nie znał go lepiej, przysięgłby, że Ostwald nakazał orkiestrze grać głośniej, aby zagłuszyć hałas zamieszania.

To musi być to, pomyślał Drexler przekonany, że ma rację. Coś się działo i Hieronymous próbował wszystko zamaskować, aby zapobiec wybuchowi paniki. Doktor rozejrzał się po obecnych i poprawił swoją maskę. Na większość gości w sali balowej składały się damy dworu w towarzystwie lekko wstawionych kochanków, pochlebców i tych, którzy po prostu byli zbyt pijani, by wyjść z sali. Oczywiście, obecni byli żołnierze i kilku gwardzistów, ale sytuacja nie była zbyt uspokajająca.

Spojrzał na Ostwalda, nie chcąc, by wydało się, że są znajomymi, ale dręczyła go ciekawość. Sekretarz ubrał się jak wojownik leśnych elfów.

Stroju dopełniał łuk. Drexler podszedł do niego, przeżuując jakiś smakołyk.

– Co się stało? – spytał.

– Jakieś rozruchy w mieście, Herr Doktor. Podpalenia a może jeszcze gorzej. Za pozwoleniem Jej Jaśnie Oświeconej Mości rozkazałem oddziałom z koszar, by zajęli się tym problemem.

– A zatem, w pałacu nie dzieje się nic złego?

– O ile wiem, nie. Ale kazałem gwardzistom podwoić czujność.

– Módlmy się do Sigmara, żeby to byli tylko szabrownicy. Ostatnio sprawy miały się okropnie.

– Obawiam się najgorszego – rzekł Ostwald, podnosząc wzrok, gdy zbliżył się kolejny kurier. Drexler zgodził się z nim. Jego wyćwiczone magicznie zmysły powiedziały mu, że gdzieś w pobliżu gromadziła się potężna magia.

Chang Squik przeklął i przykucnął szukając osłony. W tym miejscu śmierdziało jak na gnijącej kupie śmieci. Rozglądając się swoimi przystosowanymi do ciemności ślepiami zauważył, że był to faktycznie ludzki wychodek. Przypominał sobie gorsze kryjówki, ale to nie ułatwiało realizacji jego misji.

Wiedział, że to było na nic. Nie dotrze do wielkiej komnaty nad salą balową, tak jak omówili to z Szarym Prorokiem. Przekonywały go o tym wszystkie skradzione plany pałacu, jakie przestudiował i które nadal przechowywał w swojej pamięci. Po prostu nie zdąży tam dotrzeć i nawet pomimo swoich niezwykłych umiejętności w skradaniu się i ukrywaniu, wątpił, by udało mu się tam przedostać przez masę ludzi, którzy wypełniali korytarze pałacowe i zmierzali w kierunku blanków, aby spojrzeć na to, co działo się na dole. Wszystko musiało zatem odbyć się w tym miejscu.

Zdjął plecak i sięgnął do środka. Ciepło i lśnienie jakie wydzielala kula wróżebna powiedziały mu, że zdążył w ostatniej chwili. Może nawet był

odrobinę spóźniony. Zastanawiał się, ile czasu Szary Prorok spędził już wpatrując się w ciemność wewnątrz jego plecaka. Zadrzał na myśl o gniewie Thanquola, przykucnął, przycisnął nos do kamienia i podniósł

kciuk w górę.

Felix uchylił się przed ciosem poszczerbionej szabli i pchnął mieczem.

Uderzenie trafiło pod żebra skavena. Przesunął ostrze w górę, ku sercu.

Skaven wydał z siebie osobliwe, wysokie skrzeczenie, złapał się za pierś i umarł. Upadł na ziemię, a Felix wyciągnął miecz z jego klatki piersiowej.

Felix rozejrzał się. Po prawej stronie widział Heinza, który pałąk w lewej ręce wybijał mózg dowódcy skavenów, jednocześnie odpierając atak innego skavena za pomocą miecza trzymanego w prawej dłoni. Boris i Stephan walczyli oparci o siebie plecami starając się powstrzymać falę szczuroludzi. Gdzieś w oddali rozległ się bojowy okrzyk Gotreka.

W tym momencie trudno było powiedzieć, jak rozwijała się walka.

Najemnicy bronili się przed skavenami, a bitwa przyciągnęła uwagę innych. Ludzie wybiegali z pobliskich domostw. Niektórzy trzymali podgrzewacze do łóżek, pogrzebacze i inną zaimprovizowaną broń. Inni nieśli miecze i garłacze, a jeszcze inni bardziej użyteczne instrumenty zniszczenia. Najwyraźniej mieszkańcy zdecydowali, że wolą umrzeć w walce ze swoimi wrogami, niż zginąć spaleni w domach. Felix ucieszył się z tego, ponieważ najemnicy potrzebowali wszelkiej możliwej pomocy, gdy na płonących ulicach zaczęło pojawiać się coraz więcej skavenów, które przyciągał hałas bitwy.

W ciemności, powietrze przeciął odcięty łeb, który wirując i rozchlapując krew z zerwanych arterii, opryskał wszystkich poniżej deszczem czarnej posoki. Łeb zbliżał się łukiem do Felixa, który odbił go mieczem. Słony, czarny płyn ochlapał mu twarz. Felix powstrzymał się przed oblizaniem ust, by je oczyścić. Spojrzał na dół i stwierdził, że łeb należał do wielkiego skaveńskiego wojownika.

Szybko otarł twarz o płaszcz, bojąc się, że ktoś może go trafić wykorzystując jego chwilowe oślepienie. Potrząsając głową ruszył

ostrożnie w kierunku, z którego dobiegał okrzyk Gotreka. Przed sobą zobaczył ogromny stos. Zabójca stał na szczycie czegoś, co Felix wziął za ogromny kopiec ciał, ale szybko zdał sobie sprawę, że to był powóz pełen ofiar zarazy. Fala wściekłych skavenów wspinała się na górę, by dosięgnąć krasnoluda, ale Zabójca rąbał ich z niezwykłą siłą toporem.

W oddali Felix dostrzegał górujące nad wielką masą mniejszych skavenów zbiorowisko stworzeń, w których rozpoznał szczuro-ogry.

Gotrek najwyraźniej także je zauważył, bowiem dał nura ze szczytu trupiego powozu prosto w kłębiące się morze skavenów. W ciągu kilku chwil jego błyskający topór postawił dokoła ścianę połamanych i umierających ciał, a potem krasnolud zaczął brnąć w stronę wielkich potworów, które były jego głównym celem. Felix zastanawiał się tylko przez chwilę, czy powinien podążyć za nim i ruszył naprzód, krzycząc:

– Za mną, chłopaki! Zabijemy trochę przeklętych szczuroludzi!

Rąbiąc na lewo i prawo miał nadzieję, że najemnicy go usłyszeli i poszli za nim – w przeciwnym razie on i Gotrek będą mieli kłopoty, gdy samotnie zbliżą się do szczuro-ogrów.

Thanquol spoglądał w głąb kuli wróżebnej. Kręciło mu się we łbie.

Mózg stał w płomieniach. Moc spaczenia płynęła jego żyłami niczym narkotyk. Sprawiała, że czuł wirowanie w głowie, a jednocześnie przeżywał ekstazę. Był pewien, że potrafi dostrzec niewyczuwalny wzorzec mistycznych sił skupionych w kryształach. Skoncentrował się jeszcze bardziej na swojej pracy.

Ciemność ustąpiła. Wreszcie mógł dostrzec chytry pysk Changa Squika. Wyglądało na to, że skrytobójca Klanu Eshin dotarł na miejsce.

Dobrze, pomyślał Thanquol. Czas był najwyższy. Ledwo powstrzymał

potężną masę pobudzonej przez spaczeń mistycznej energii, jaka się w nim gotowała. Czuł się tak nasycony mocą, że zdawało się, iż łąda chwila wybuchnie. Cały świat wirował. Jego wzrok był zmacony, wszystko zdawało się kręcić wokół niego. Rozpaczliwie starał się przypomnieć sobie sylaby zaklęcia znalezione w wielkiej czarnej księdze z Przeklętej Biblioteki, które zapamiętał tak dawno temu.

Przez kilka długich chwil nie mógł znaleźć właściwych słów, które umykały kryjąc się na obrzeżach jego procesów myślowych. Thanquol ugryzł się w wewnętrzną część policzka, aż poczuł krew. Ból wyostrzył

jego wolę, a właściwie słowa wreszcie do niego powróciły. Otworzył usta i sylaby starożytnego języka bluznęły z jego ust, wrywając wraz z sobą śmierzący obłok czarnej, magicznej energii.

Rytm serca Thanquola przyspieszył niewiarygodnie. Thanquol nie wierzył, by takie tempo dało się wytrzymać. Jego serce łomotało dziko w piersi, a oddech stał się urywany i stłumiony. Wiedział, że traci kontrolę nad zaklęciem i walczył, by opanować przepływ mocy, zanim zostanie przezeń zniszczony. W umyśle tańczyły oszalamiające wizje i wiedział, że jego dar proroczy wzniósł się na nieprawdopodobne wyżyny dzięki niezwykłym ilościom spaczenia, jaki spożył. Przez chwilę świadomość skavena opuściła ciało i przez jego umysł przemknęły sceny następujące jedna po drugiej.

Przez moment jego duch unosił się nad miastem i zapewniał mu panoramiczny widok na to, co działo się poniżej. Ulice pod nim płonęły ogarnięte ogniem i przemocą. Rzeka skavenów mknęła przez miasto, zabijając wszystkich na swojej drodze. Tu i tam natrafiała na grupy zbrojnego oporu, w miejscach, gdzie obsada ludzkich garnizonów lub po prostu tłuszcza mieszkańców wyległa na ulice, by bronić swych domów.

Zobaczył gwałtowne, dzikie potyczki i wielkie szczury, które pożerały ciała ludzi i skavenów. Widział płonące budynki i zgruchotane ciała.

Widział skąpane w płomieniach wielkie, starożytne miasto Nuln.

Uwagę Thanquola skupiła jedna potyczka, która natychmiast znalazła się w centrum jego zainteresowania, gdy rozpoznał dwie przerażająco znajome postacie. Krasnolud i człowiek na czele zdyscyplinowanej gromady ludzkich wojowników wycinali skaveńskich wojowników kierując się w stronę zwalistego cielska Izaka Grottle'a. Thanquol widział

w swoim transie ryczące szczuro-ogry i przerażone spojrzenie pomagiera Lurka, który przyglądał się zbliżającej fali przemocy. Dostrzegął szalone oczy Vilebrotha Nulla spoglądające w przestrzeń, jakby wyczuwał

obecność bezcielesnego obserwatora. Wyglądało na to, że plan Szarego Proroka działał i dwójka nieprzyjaciół zamierzała zniszczyć jego największych rywali.

Dobrze, pomyślał, należy im się! Thanquol nie mógłby znieść, by inni skaveni wyciągali łapy po jego część słusznej chwały.

Widział Heskita Jednookiego, który wyszczeniwał instrukcje do uzbrojonych w garłacze ochroniarzy i zauważył strzelbę o długiej lufie, która skierowała się w stronę krasnoluda. Nie! Nie!, pomyślał z furią Thanquol. Nic z tego! Z niemal zaniedbywalnym wysiłkiem myśli dotknął

umysłu snajpera. Jego palce zacisnęły się na spuście, ale pocisk ze spaczenia poleciał w kierunku czaszki szczuro-ogra, niemal natychmiast zabijając bezmózgą bestię. Stwór ryknął i oszalał, rzucając się naprzód na tyły skaveńskich żołnierzy. Zabił ich na miejscu.

Thanquol poczuł zawroty głowy i zrozumiał, że zatraca się w zaklęciu.

Jego moc odpływała i jeśli miał wypełnić to, co zamierzał, musiał zrobić to szybko. Z wysiłkiem posłał swego ducha w górę, w stronę zamku.

Przeniknął przez połączenie z kamieniem wróżebnym i spojrział ponownie na Changa Squika. Nagle, z trzaskiem wrócił do własnego ciała, a słowa zaklęcia wyrwały się z hukiem z jego ust.

Skoncentrował wolę przywołując całą dyscyplinę, jakiej uczył się przez wiele lat kariery proroka i zaklęcie wróciło pod jego kontrolę. W

powietrzu przed nim zamigotał czarny obłok, który rozdzielił się i utworzył szczelinę w przestrzeni, biegnącą od miejsca, gdzie stał

Thanquol, do pomieszczenia wokół kryształu wróżebnego Changa Squika.

– Żwawo! Żwawo! Naprzód! – krzyknął do gwardii sztormverminów.

Ruszyli w stronę czarnego obłoku, zamigotali i znikli, aby pojawić się –

jak szczerze miał nadzieję Thanquol – w samym sercu pałacu samicy Emmanuelle.

Felix widział szczuro-ogry przed sobą. Ich łby i ramiona wystawały nad tłumem. Były to potężne kreatury o kształtach ludzi, ale z łbami niezwykle zajadłych szczurów. Wielkie wrzody wylewały się ropą na parszywe futra.

Stygmaty różnych mutacji pokrywały ciała. Każdy ze stworów miał łapy o wielkości łopat, zakończone pazurami jak sztylety. Wielkie kły kapiące śliną wypełniały szczęki. Ryki potworów słyszalne były nawet ponad zgiełkiem bitwy.

Na ich widok Felix poczuł pragnienie, by zatrzymać się i rzucić do ucieczki. Widział, że najemnicy podążający za nim mieli ochotę zrobić to samo. Impet ataku zaczął słabnąć, gdy zbliżali się do przerażających przeciwników. Tylko Gotrek nie okazywał strachu. Parł naprzód, nie chcąc lub nie mogąc zatrzymać się przed straszliwymi wrogami. Szczuro-ogry nie były bardziej poruszone pojawieniem się Zabójcy Trolli niż on ich widokiem. Z rozrywającym uszy rykiem, natarły na niego wściekle.

Felixowi nie wydawało się, by cokolwiek mogło przetrwać szalony pęd tak wielkich stworzeń. Równie niemożliwe było powstrzymanie szarży stada słońi. Nic nie mogło wytrzymać gwałtownego ataku wielkiej masy muskułów, zębów i pazurów. Przez chwilę, w stronę krasnoluda odwróciły się wszystkie głowy i nawet skaveni zatrzymali swój bezlitosny pochód, aby popatrzeć.

Gotrek nadchodził całkowicie nieporuszony faktem, że przeciwnicy byli dwa razy więksi. Jego topór błyskał, lśniąć czerwienią) w ponurych płomieniach gorejących budynków, a jeden ze szczuro-ogrów runął do tyłu z nogą odrąbaną na wysokości kolana. Gdy upadał, topór Zabójcy uderzył

jeszcze raz i odrąbał jego ramię. Łapiąc się za krwawy kikut zdrową łapą stwór upadł na ziemię, wijąc się i wrzeszcząc.

Kolejna potężna kreatura próbowała pochwycić krasnoluda. Jej ostre jak brzytwy pazury wbiły się w czerstwe ciało Zabójcy. Na ramieniu Gotreka pojawiły się krwawe krople, gdy potężna bestia podniosła go wysoko nad łbem. Gotrek opuścił topór wykonując potężne cięcie.

Rozpędzony straszliwą siłą wielkiego ramienia Zabójcy topór rozłupał łeb ogra na dwie części. Krew, mózg i zęby eksplodowały we wszystkie strony. Zabójca poleciał w tył pchnięty ostatnim wyrzutem łap w śmiertelnych spazmach ogra.

Widząc pozostałe szczuro-ogry atakujące leżącego Gotreka, Felix zebrał całą odwagę i krzyknął:

– Atakujcie! Atakujcie! Wepchnijcie te wstrętne pasożyty z powrotem do piekła, które je wypluło!

Nie ośmielając się spoglądać w tył przez ramię, rzucił się w wir walki.

Chang Squik przyglądał się zdumiony powietrzu, które migotało przed nim. Przez chwilę miał wrażenie, że w samej materii świata przebił się mały jasny otwór. Przez ten otwór wpłynął paskudny czarny gaz, który śmierdział spaczeniem i czarną magią. Skrytobójca patrzył, jak kłęb dymu wydał się i zamigotał, aż stał się większy od jakiegokolwiek skavena.

Wówczas dym rozstał się pokazując przejście łączące wychodek, w którym stał Chang Squik z

miejszem, gdzie znajdował się Szary Prorok.

Nagle Chang Squik usłyszał za sobą jakiś dźwięk i odwrócił się, by zobaczyć strojnie ubranego człowieka, który wszedł do wychodka majstrując przy rozporku, zapewne z zamiarem oddania moczu. Człowiek śmierdział alkoholem. Przerwał zdumiony, spoglądając na czającego się w kącie skavena, a potem potrzęsnał głową, jakby chciał wyrzucić z niej jakąś myśl.

– Zaiste – rzeki. – To znakomity kostium!

Potem jego oczy rozszerzyły się jeszcze bardziej, gdy zauważył szeregi sztormverminów, które zaczęły wdzierać się przez magiczne przejście Thanquola. Otworzył usta i zdążył wydać z siebie krótki krzyk ostrzeżenia, zanim rzucony przez Changa Squika nóż utkwiał w jego sercu.

Coraz więcej skavenów wpadało do pomieszczenia, po czym wybiegało z wychodka i pędziło w kierunku pałacowych korytarzy.

Felix wykonał unik, położył się na płask i przetoczył pod ciosem, który mógł ściąć mu głowę, gdyby doszedł celu. Z bliska szczuro-ogry okazały się jeszcze straszliwsze. Ich mięśnie przypominały liny używane do cumowania statków i wyglądały tak, jakby mogły bez widocznego wysiłku przebić kamienny mur. Masywny ogon stworza siekł powietrze z trzaskiem przypominającym uderzenia bicia. Jeszcze gorszy był jego zapach, ohydne połączenie zwierzęcego smrodu, mokrego futra i spaczenia. Przypominał

Felixowi bardzo stary i zjełczały ser, ale był z pewnością silniejszy i wywoływał łzawienie oczu.

Felix przetoczył się na drugą stronę, gdy pięść wielkości jego głowy rąbnęła w ziemię, gdzie przed chwilą się znajdował. Kopnął w nogę szczuro-ogra mając nadzieję, że wytrąci go z równowagi, ale równie dobrze mógł kopać pień drzewa. Gorąca ślina kapnęła z pyska potwora i wylądowała na jego głowie. Felix wysiłkiem woli zmusił się, by zostać w miejscu i zaczął przeć naprzód, wiedząc, że od tego zależało jego życie.

Szalony triumf załśnił w małym, kaprawym ślepiu potwora. Rozwarł

szczęki i ryknął tak głośno, że prawie ogłuszył Felixa. Potwór wyciągnął

łapy w jego stronę, a Felix nie zważając na trudną pozycję pchnął

mieczem i trafił między knykcie łapy stworza ostrym jak brzytwa sztychem.

Ślepia szczuro-ogra rozszerzyły się ze zdumienia i bólu. Łkając jak dziecko wyciągnął łapę do ust, by oblizać ranę. Wykorzystując to rozproszenie uwagi, Felix przysiadł i pchnął w górę, kierując ostrze miecza prosto w pachwinę szczuro-ogra.

Stwór wydał z siebie pisk przypominający gwizd maszyny parowej i opuścił łapę, by dotknąć krocza. Felix wycelował koniec miecza w otwarte szczęki stworzenia i wepchnął go przez podniebienie w pysku prosto do małego, pokurzonego mózgu. Światło zgasło w ślepiach i natychmiast umarł. Felix poczuł przez chwilę przyływ triumfu, który zniknął w następnej chwili, gdy zdał sobie sprawę, że

ciało szczuro-ogra zaraz go przywali.

Felix przetoczył się pospiesznie na bok, gdy potężne cielsko zważyło się na ziemię jak obalone drzewo. Zatrzymując się dla złapania oddechu, Felix rozejrzał się. Padały ostatnie ze szczuro-ogrów, wokół których roili się najemnicy niczym szczury wokół teriera, lecz zwycięstwo zostało zdobyte za straszliwą cenę. Wiele ludzkich zwłok pokrywało ziemię wokół

każdego powalonego ogra. Wyglądało na to, że jedynie jemu i Gotrekowi udało się pokonać bestie w pojedynkę.

Nadal jednak wyglądało na to, że bitwa przechyla się na ich korzyść.

Wodzowie skavenów, włącznie z potwornie grubym potworem, który rozkazywał szczuro-ogrom, wycofywali się, aby przegrupować oddziały.

Coraz więcej ludzi pojawiało się na ulicach, by walczyć z najeźdźcami.

W oddali Felix słyszał odgłosy rogów i bębnow, gdy mała armia otaczająca Szlachecką Dzielnicę ruszyła na dół, do miasta. Żałował, że nie mógł ocenić, jak rozwijała się bitwa. W szalonym wirze walki trudno to było powiedzieć. Tutaj zwyciężyli, ale bardzo możliwe, że skaveni przeważali w dowolnej innej części miasta. Felix pomyślał, że to mógł być dobry moment na ucieczkę.

Wtedy zobaczył Zabójcę Trolli. Gotrek maszerował przez tłum w jego stronę. Straszny uśmiech pokazywał ubytki w jego uzębieniu. Szalona żądza walki lśniła w zdrowym oku.

– Stoczyłeś niezgorszą walkę, człeczyno – rzekł.

Felix skinął głową – a potem przypomniał sobie, jak to wszystko się zaczęło. Pogmerał w odzieniu, aby wyciągnąć skrawek pergaminu, a potem odwinął go powoli i odczytał.

Szary Prorok Thanquol przyglądał się, gdy ostatni z żołnierzy przeszedł

przez portal, a potem sam go przekroczył. Poczul ulgę, gdy mistyczna brama zamknęła się za nim automatycznie. Nawet dla Szarego Proroka o niesamowitej potędze, jakim był Thanquol, utrzymanie otwartego przejścia, zanim przeszły przezeń setki sztormverminów, wymagało straszliwego wysiłku.

Teraz mógł się odprężyć i obserwować, jak przebiegła realizacja planu.

Machnął ogonem w oczekiwaniu triumfu. Zwycięstwo było w jego zasięgu! Wkrótce zatrzyma jako zakładników przywódców ludzi i zmusi ich pod groźbą najstraszniejszej śmierci, by nakazali swoim oddziałom poddanie się. Jeśli odmówią – na co zresztą Thanquol liczył – wówczas dla przykładu zabije kilku z nich, aż się zgodzą. Nie mógł doczekać się odrobiny rozrywki. Nagle swędzenie nozdrzy ostrzegło go, że działo się coś dziwnego i rozejrzał się po komnacie, by potwierdzić swoje podejrzenia.

Tak, to była prawda. Nawet otumanione przez spaczeń zmysły Thanquola wyczuwały, że to pomieszczenie miało niewłaściwe rozmiary i nie pachniało tak jak powinna wielka sala. Śmierdziało

odchodami.

Thanauol wystawił łeb przez drzwi. Spojrzał na korytarz, w którym tłoczyli się zagubieni szstormvermini. To nie była sala, którą spodziewał się zobaczyć. Dostrzegł dowódcę pazura, który studiował mapę z wyrazem zakłopotania na pysku. Straszna prawda dotarła do Thanquola: ten niekompetentny idiota Chang Squik umieścił kulę wróżebną w niewłaściwym miejscu!

Thanauol obnażył kły we wściekłym warknięciu. Skrytobójca z Klanu Eshin miał szczęście, że nie znajdował się w polu widzenia Thanquola.

Szary Prorok przysiągł, że gdy znajdzie Squika, obedrze jego kości z ciała używając najmroczniejszej magii, jaką władał.

Podsycana spaczeniem euforia i narkotyczna wściekłość wrzały w umyśle Thanquola, który wyszedł na korytarz, aby wypełnić swój plan.

Felix spojrzał na pergamin. Trudno było to stwierdzić w półmroku, ale pismo wydawało się nieco inne, drobniejsze, porządniejsze i bardziej precyzyjne. To zresztą nie miało znaczenia w chwili, gdy Felix czytał

przerazony:

„Pszyjaciele! Zdraica Szary Prorok Thanauol naiedzie paładz tei nocy i porwie samicem Ima-nu-el oras waszyh dowódcuf! Musicie pofstrzymać jego, albo wasze mniasto upadnie, leszcze Thanauol jest potężnym czarnoksiemrznikiem i urzyje sfojej nikkzemnei ma-giji coby was zatrzymacie. Musi umrzedź, albo rzaden człofiek w waszym mnieście nie bendzie bezpiecny.”

Felix spojrzał na Gotreka i oddał mu wiadomość.

– No, i... ? – powiedział – No, i co, człeczyno?

– Idziemy do pałacu i ratujemy naszych szlachetnych władców przed skavenami?

– To są twoi władcy, nie moi!

– Myślę, że ten Szary Prorok to stwór, którego spotkaliśmy w domu von Halstadta. To szczuroczłek, który uciekł. Myślę, że on stoi za tą całą inwazją.

– Zatem zabicie go będzie zaiste wielkim czynem. A jeśli zginiemy próbując, to będzie to wielka śmierć! – ryknął Gotrek.

– Jest tylko jeden problem. Musimy przebić się przez walczące miasto, aby tam dotrzeć!

– A co to za problem?

– Kto wie, ilu szczuroludzi stanie nam na drodze?

Felix wyteżał mózg, by znaleźć wyjście z tego dylematu. Aby przejść przez miasto, potrzebna była armia.

Odpowiedź nadeszła w błysku inspiracji godnym bohaterów Detlefa Siercka.

Lurk Snichtongue chował się w cieniu Izaka Grottle'a. Wielki poganiacz Klanu Moulder spoglądał na niego głodnymi ślepiami. Nadal zdawał się być wstrząśnięty po klęsce swoich cennych szczuro-ogrów.

– Jak mi się zdaje, powiedziałaś, że człowiek wraz z krasnoludem otrzymali wiadomość i byli już w drodze, by przeszkodzić Szaremu Prorokowi Thanquolowi?

– Wiadomość została dostarczona, mistrzu Moulderów! Nie mogę być odpowiedzialny za to, co stało się później. Może porwał ich wir walki?

– Może! Może! Wszystko to sprawiło, że zostaliśmy odsłonięci. Bardzo odsłonięci. Musimy szybko znaleźć kolejny oddział skavenów i wrócić do bezpiecznych ścieków.

– Tak, tak, o najbardziej spostrzegawczy z układaczy planów.

– Czy widziałeś Heskita Jednookiego lub Vilebrotha Nulla?

– Nie, od czasu naszego ataku, największy z obżartuchów.

– Szkoda. Cóż, ruszajmy w drogę.

– Natychmiast.

Przepełniony pobudzaną przez spaczeń wściekłością Thanquol szedł

korytarzami pałacu. To przeklęte miejsce było wielkie i przypominało labirynt, przez który przeganiał swoich ludzkich niewolników. Jego uważnie opracowany plan rozpadał się z powodu niekompetencji Changa Squika. Opierał się na szybkości, zaskoczeniu i furii ataku skavenów, którzy mieli przytłoczyć obronę swoją masą. Teraz armia jego sztormverminów została zredukowana do pojedynczych żołnierzy, którzy biegali po korytarzach i prowadzili potyczki z grupami wartowników.

Było kwestią czasu, zanim ludzie zdadzą sobie sprawę, co się działo, zbiorą swoje siły i rozpoczną kontratak. Thanquol nadal liczył na zwycięstwo w tych okolicznościach. Jego wojownicy byli liczni i śmiali, ale zawsze istniała możliwość, że stanie się coś, co oddali od nich ostateczny triumf. Thanquol znacznie bardziej wolał nagłe, oszałamiające zwycięstwo od tego stanu wściekłości i zwątpienia.

Heskit Jednooki popiskiwał podekscytowany. Jeszcze raz obserwował

miotacze spaczo-ognia, który omiatał budynki. Wielkie ludzkie budowle paliły się dobrze. Ich drewniane wsporniki z łatwością łapały ogień, a miękki kamień i cegła, z których były zbudowane, topiły się we wściekłym żarze spaczopłomieni.

Heskit uznał za słusne oddalenie się od innych, gdy jego uzbrojony w garłacze oddział przypadkowo zastrzelił jednego ze szczuro-ogrów Izaka Grottle'a. To był wypadek, Heskit o tym wiedział, ale skaveni z Klanu Moulder bywali szaleńczo nieufni. Heskit nie chciał, by Izak Grottle

„przypadkowo” rąbnął go w plecy, więc powiódł swoje oddziały z dala od głównej bitwy, aby kontynuować szerzenie zniszczenia.

A teraz cieszył się, że tak uczynił. Obserwacja działania maszyn zniszczenia była naprawdę oszałamiająca. Czuł żar ognia podłożonego przez wojowników, który grzał pysk, gdy patrzył jak wielkie budowle waliły się w gruzy.

Heskit gapił się w górę przez dłuższy czas, obserwując walący się budynek. Dopiero w ostatniej chwili zdał sobie sprawę, że tony cegieł i płonącego drewna spadały prosto na niego. A wówczas było już za późno na ucieczkę.

Felix przeskoczył na tył powozu z ofiarami zarazy. Trupy pękały pod jego stopami. Smród był straszliwy. Naprawdę wolał znajdować się gdzie indziej, ale tylko w ten sposób mógł skupić na sobie uwagę tłumu.

– Obywatele Nuln! – krzyknął głosem oratora, jakiego nie używał od czasów zamieszek związanych z podatkiem od okien. – Słuchajcie mnie!

Kilka głów odwróciło się w jego kierunku. Większość pozostałych była zbyt zajęta rąbaniem ciał skavenów lub wesołym pokrzykiwaniem do sąsiadów.

– Obywatele Nuln! Zabójcy Skavenów! – krzyknął. Kilka kolejnych ludzi spojrzało na niego. Zaczęli pociągać za rękawy stojących obok i wskazywać w jego stronę. Powoli ale skutecznie Felix skupił na sobie uwagę tłumu. Tłum ucichł. Ci ludzie widzieli, jak Felix i Gotrek zabijali szczuro-ogry. Widzieli także, jak poprowadził natarcie podczas bitwy. Nie mieli przywódcy i potrzebowali kogoś, kto wskaże im, co mieli robić.

Felix pomyślał, że nie zawiedzie ich oczekiwań.

– Obywatele Nuln! Skaveni zaatakowali wasze wspaniałe miasto.

Spalili domy. Zabili ukochanych. Sprowadzili na ulice szaleństwo i zarazę.

Felix widział, że teraz miał ich w garści. Wszystkie oczy tłumu były w nim utkwione. Wyczuwał złość, nienawiść oraz strach zgromadzonych i czuł, że właśnie skupił te uczucia. Poczł nagły dreszcz przejęty władzą, jaką zyskał. Zwilżył wargi i przemawiał dalej, wiedząc, że musi skierować ludzi w odpowiednią stronę, albo ich straci.

– Zabiliście wielu skavenów. Widzieliście jak padają ich potwory.

Widzieliście jak przepada ich nikczemna broń. Zwycięstwo jest w waszym zasięgu. Czy jesteście gotowi, by zabić jeszcze więcej skavenów?

– Tak! – krzyknęło kilku ludzi w tłumie. Wielu nadal wyglądało na niepewnych. Przede wszystkim nie byli wojownikami, tylko zwykłymi ludźmi, którzy nagle znaleźli się w nie całkiem zrozumiałej dla nich sytuacji.

– Czy jesteście gotowi usunąć skavenów z waszego miasta? Bowiem, jeśli nie, wówczas oni wrócą i zabiorą was jako niewolników!

Felix nie miał pojęcia, czy to była prawda, ale tak działo się w przeszłości i to brzmiało dobrze. Co więcej, to brzmiało przerażająco.

Coraz więcej głosów krzychało „Tak”.

– Czy jesteście gotowi wyrzynać te potwory bez litości? Bowiem bądźcie pewni, że jeśli nie, wówczas one wyrzną was!

– Tak! – ryknął cały tłum w szale wściekłości i strachu.

– Zatem za mną! Do pałacu! Tam, gdzie wódz tego całego nikczemnego plemienia zagraża w tej chwili życiu waszej prawowitej władczyni!

Felix zeskoczył z powozu i wylądował na bruku ulicy. Z tłumy wyciągnęły się ku niemu ręce, by poklepać go po plecach. Coraz więcej ludzi krzyżąc oznajmiało swoje poparcie. Zobaczył Heinza i ocalałych najemników, którzy podnieśli w górę kciuki. Spojrzał na Gotreka – nawet krasnolud wyglądał na zadowolonego.

– Ruszajmy – rzucił Felix i zaczęli biec.

Tłum, jak jeden mąż, ruszył za nimi przez płonące ulice miasta.

Chang Squik zawinął długi czarny płaszcz wokół pyska i skradał się trzymając w dłoni nóż. Chował się w cieniach poruszając się cicho na poduszkach stóp, gotowy w każdej chwili uderzyć w dowolnym kierunku.

Z mrocznej dali nadal dobiegał hałas walki. Przed sobą słyszał dziwne skrzypiące dźwięki, które ludzie nazywali „muzyką”. Pojawił się na balkonie i zamrugał ślepiami, na chwilę oślepiiony.

Stał spoglądając na wielką komnatę. Sufit nad nim był pomalowany wielkimi wizerunkami ludzkich bogów, którzy życzliwie spoglądali w dół.

Potężne żyrandole, każdy unoszący setki świec, zapewniały oślepiające oświetlenie. Poniżej grała orkiestra i wiele odzianych w suknie samic wraz z kilkoma przebranymi samcami stali rozluźnieni, pijąc i jedząc w najlepsze. Zapach jedzenia sprawił, że nozdrza Squika zadrżały i skupił

swoją uwagę na stołach poniżej. Uginały się pod ciężarem pieczonego ptactwa i świń. Były tam talerze sera, chleba i wszelkich przystawek. Tyle, jeśli chodzi o przymierające głodem miasto, pomyślał skrytobójca Eshin.

Potem zrozumiał, że być może zwykli ludzie umierali z głodu, ale władcy zachowali te przysmaki dla siebie. Stwierdził, że w tym aspekcie ludzie nie różnili się zbytnio od skavenów, a potem poruszył się słysząc odgłos kroków, który rozległ się z tyłu, na schodach prowadzących na balkon.

Na balkonie za nim pojawiły się dwie postacie, samiec i samica. Ich ubranie było w nieładzie i wyglądali dziwnie, nawet jak na ludzi.

Mężczyzna odziany był niczym pastuch w jakąś zgrzebną sukmanę.

Trzymał fletnię i złotą maską z małymi kozimi różkami, która osłaniała jego twarz. Kobieta także nosiła maskę, ale była ubrana w kostium tancerki, z wyszywanymi diamentami trykotami, w trójrożnym kapeluszu i czarno białej masce. Spojrzeli na niego i ku jego zaskoczeniu wydali z siebie dziwny świszczący dźwięk, który ludzie nazywali śmiechem.

Cuchnęło od nich alkoholem.

Chang Squik był tak zaskoczony, że zatrzymał się w połowie ciosu.

Zamierzał zabić ich i wycofać się do ocienionych korytarzy.

– Zaiste, cóż za doskonały kostium! – rzekł mężczyzna.

– Absolutnie cudowny – zgodziła się kobieta. Schyliła się i pociągnęła za ogon Squika. – Ależ przekonywujące!

Squik nie miał pojęcia, o czym mówili. Nie rozumiał słów ich dziwnego, gruchoczącego języka, ale w mózgu zaczęło świtać, że ci ludzie ubrani byli w jakieś kostiumy, niczym wysokiej rangi skaveni, którzy odprawiali rytuały religijne. I najwyraźniej mylnie uznali, że on także jest przebierańcem.

Nie mógł uwierzyć, że ludzie byli tak pijani i beztroscy, iż nie zdawali sobie sprawy z trwającej na zewnątrz inwazji. Zdumiony Chang Squik zrozumiał, że tak właśnie było. Co gorsza, zorientował się, że w ich stronę spoglądały oczy wszystkich na dole. Miał ochotę zepchnąć parę z balkonu i ukryć się z powrotem wśród cieni, ale to oznaczało powrót do korytarzy pełnych walczących sztormverminów i natknięcie się na wściekłego Thanquola. Wpadł mu do łba następny pomysł. Skłoniwszy się grzecznie parze hulaków, schował broń, zszedł po schodach, po czym wmieszał się w tłum zamaskowanych i przebranych ludzi.

Zdjął smakołyk z tacy niesionej przez przechodzącego kelnera, podniósł ze stołu puchar wina i przeszedł przez salę kłaniając się po drodze na lewo i na prawo. Miał nadzieję, że jeśli znajdzie samicę Emmanuelle, uda mu się ostatecznie odzyskać szacunek Szarego Proroka Thanquola.

Vilebroth Null spoglądał zdumiony na nacierającą hordę ludzi. Skąd oni wszyscy się wzięli? Jak udało im się nagle zebrać tak wielkie siły? Czy Szary Prorok Thanquol źle oszacował ich liczebność? Z pewnością było to możliwe i stanowiło kolejny przykład niekompetencji Szarego Proroka. Co zresztą mogło nie mieć znaczenia, jeśli nie zejdzie im z drogi.

Spędził noc od momentu pojawienia się na powierzchni sił

inwazyjnych, wędrując zagubiony wśród krętych labiryntów alejek i ulic, zabijając spotkanych ludzi i starając się znaleźć Izaka Grottle oraz pozostałych. Przeklinał pierwszy ślepy pęd, który ich rozdzielił. Teraz musiał zmierzyć się z hordą ludzi, bez żadnej ochrony.

Podniósł wzrok i rozpoznał przywódców natarcia – a co gorsza, oni rozpoznali jego! To był człowiek i krasnolud, którzy przerwali odprawiany przez niego rytuał i zniszczyli Kocioł Tysiąca Osp. Vilebrotha Nulla opanowała nagła, ślepa furia. Prawie nie myśląc zebrał moce i osobliwe zielone światło przeskoczyło między jego łbem a łapami. Zamruczał

śpiewne zaklęcie, które miało sprowadzić niszczycielskie duchy zarazy, aby zniszczyły jego przeciwników.

Ludzie nie zatrzymali się w swoim szalonym biegu. Vilebroth Null zrozumiał, że nie mogli. Ci z tyłu popychali tych z przodu gromady.

Gdyby biegnący na przedzie zwolnili, zostaliby zdeptani. Śpiewał dalej, teraz rozpaczliwie usiłując wezwać siły, które miały go ochronić, wiedząc, że prawdopodobnie było już za późno. Ludzie byli tuż przed nim.

Ostatnią rzeczą, jaką zobaczył Vilebroth Null, był wielki topór opadający na jego czerep.

Felix zadrżał. W ostatniej chwili rozpoznał szczuroczłeka odzianego w zielony habit. Chwilę później rozdeptał go tłum. To był mnich zarazy z cmentarza. A Felix cieszył się, że teraz skaven był już martwy.

Felixowi było ciepło, pocił się z wysiłku i od żaru otaczających go płonących budynków. Starł się ignorować krzyki uwięzionych w środku i skupić się na wykonywaniu zemsty na odpowiedzialnych za to wszystko.

Gdzieś w oddali usłyszał głośny trzask. W niebo wzbijała się kolumna iskier i runął budynek. Felix wiedział, że wszyscy, którzy to przeżyją, będą musieli porzucić swoje zwykłe zajęcia, by odbudować miasto. Było tak źle, jak podczas Wielkiego Pożaru w Altdorfie.

Dotarli do wzgórz wokół pałacu i Felix zauważył, że wiele z budynków pozostało nietkniętych. Przypominały dom jego brata – to były małe fortece, siedziby możnych. Przed nimi stał oddział zbrojnych ubranych w czarne płaszcze z herbem straży miejskiej Nuln. Podnieśli swoje halabardy, by powstrzymać szarżę, ale opuścili je niepewni, czy pędzący tłum to mieszkańcy miasta, czy też szczuroludzie.

– Skaveni! – krzyknął Felix. – W pałacu są skaveni!

Nie wiedział, czy kapitan gwardii mu uwierzył, ale żołnierz nie miał

wielkiego wyboru. Gdyby czekali dłużej na miejscu, musieliby użyć swej broni przeciw współobywatelom, albo zostaliby przez nich zdeptani.

Kapitan podjął szybką decyzję: rzucił rozkaz i jego ludzie rozstąpili się.

Felix zauważył, że wielkie bramy pałacu były nadal otwarte. Felix domyślał się, że miały wpuszczać powozy przybywających gości.

Ruszył naprzód modląc się, by zdążyli ocalić hrabinę Emmanuelle.

Drexler odwrócił się w kierunku, skąd rozległ się krzyk. Nagle na balkonie zaroilo się od wielkich skavenów w czarnych pancerzach. To nie były kostiumy – zrozumiał od razu. To działa się naprawdę. Patrzył na potworne, człekokształtne szczury o wzroście człowieka, uzbrojone w wielkie szable i okrągłe tarcze z wyrysowanym znakiem ich okrutnego boga.

Widział jak kilku gwardzistów, elitarnych wojowników, stanęło między nimi a gośćmi. Szybko zostali zabici przez zdyscyplinowany oddział, który wylewał się ze schodów do sali. Powoli orkiestra przestała grać.

Nuty zamilkły w dysonansach echa. Krzyczący goście w zabawnych strojach zostali zepchnięci przez masywnych, warczących szczurołudzi w stronę podwyższenia tronu.

Drexler zastanawiał się, czy powinien zaryzykować rzucenie zaklęcia, ale postanowił tego nie robić. Było tam zbyt wielu skavenów, by mógł

zaradzić przeciw nim wszystkim. Zastanawiał się, gdzie były strażę. Gdzie podziali się ci wszyscy ludzie, którzy wyszli na blanki, aby obejrzyć pożar?

Wówczas wyczuł obecność straszliwej energii magicznej. Podnosząc wzrok zauważył schodzącego ze schodów wielkiego, rogatego szczuroczłeka o szarym futrze. Wyglądał jak zły bóg, który przyszedł sprowadzić zagładę na całą ludzkość.

Thanquol ruszył między ciałami martwych ludzi. Nareszcie usłyszał

przed sobą odpowiednio głośnie okrzyki przerażonych. Wyglądało na to, że jego sztormverminom udało się wreszcie znaleźć Wielką Salę i ludzcy wodzowie byli w jego zasięgu. Wypełniony niepowstrzymanym uczuciem ogromnego, słusznego triumfu, Szary Prorok szedł dalej.

Felix poprowadził ludzi przez dziedziniec. Spoglądając w górę, zauważył walkę, która trwała na blankach.

– Szybko! – krzyknął do Heinza. – Oczyszćcie blanki! Zabijcie każdego spotkanego skavena!

– Dobra, młody Felixie – rzucił Heinz pędząc w stronę schodów tuż przed najemnikami. – Za mną chłopaki!

Felix spojrział na tłum wdzierający się na dziedziniec. Wyglądali złowrogo, gotowi zabić wszystko, co zobaczą. Wielu z nich zaczęło biec za Heinzem.

– Dokąd teraz, człeczyno? – zapytał Gotrek. – Chcę dorwać tego szczurowatego czarownika. Mój topór nadal łaknie krwi!

Dobre pytanie, pomyślał Felix, żałując, że nie znał odpowiedzi.

Zmuszał się do myślenia. Dokąd nakazywała udać się logika? Szary Prorok chciał pochwycić Emmanuelle. Wiedział od Drexlera, że tego dnia odbywał się wielki bal. Logicznym miejscem pobytu hrabiny była sala balowa, przez którą przechodził wraz z Ostwaldem, podczas pierwszej wizyty w pałacu. Gdyby tak jeszcze pamiętał drogę!

– Za mną! – krzyknął, starając się, by jego głos zabrzmiał możliwie przekonywująco.

Thanquol zatrzymał się na szczycie schodów, aby przyjrzeć się wielkiej sali balowej. Chciał, by żałośni ludzie mieli okazję w pełni docenić straszny majestat zdobywców. Chciał posmakować ten moment najwyższego triumfu.

Wszystkie oczy zwróciły się w jego stronę. Widział, że ludzie byli pod wrażeniem jego dostojności i postury. Zawsze tak było. Majestatyczna postać Szarego Proroka wzbudzała szacunek i podziw w jednakowym stopniu u wszystkich, którzy go oglądali. Spoglądał na tłum i wypatrywał

swojej ofiary.

Spodziewał się, że z łatwością zauważy ją dzięki ozdobnemu ubraniu i koronie, ale przekonał się, że wszyscy obecni ludzie odziani byli w dziwne przebrania, zupełnie jakby specjalnie chcieli pokrzyżować jego plany.

Cóż, musieli przekonać się, że nie tak łatwo udaremnić zamierzenia Szarego Proroka. Wybrał jednego z ludzkich samców, mężczyznę ubranego jak prymitywny dzikus.

– Ty, człowieczyno! Gdzie jest wasza główna samica? Odpowiadaj!

Żwawo! Żwawo! – Thanquol zażądał w swoim najlepszym Reikspielu.

– Nie mam najmniejszego pojęcia, o czym mówisz, staruszkule – taką dostał odpowiedź. Pot kapnął z twarzy człowieka. Thanquol spalił go falą czystej magicznej energii. Rozległy się krzyki kobiet, gdy nagi i poczerniały szkielet upadł na podłogę. Thanquol wybrał kolejną ofiarę, kobietę ubraną na podobieństwo jednej z ludzkich bogiń.

– Ty! Powiedz mi, gdzie jest główna samica! Odpowiadaj!

Natychmiast! Natychmiast!

Kobieta spojrzała na niego bezmyślnie.

– Co to takiego samica? – spytała. Thanquol w odpowiedzi także spopielił ją magią. Kolejne osmalone ciało upadło na podłogę. Thanquol wybrał człowieka bardzo przebiegle przebranego za skrytobójcę z Klanu Eshin.

– Ty! Główna samica! Gdzie?! – ryknął Thanquol. Przebrany skrytobójca odwrócił się, trzaskając ogonem w sposób niezwykle przypominający prawdziwego skavena.

– Nie, panie! Nie niszczone mnie! – krzyknął używając płynnej skavenńskiej mowy. Niesamowicie, pomyślał Thanquol. Człowiek mówiący naszym językiem! Wówczas zrozumiał, że to nie był człowiek. To był ten przeklęty Chang Squik, który ukrywał się pośród ludzi. Thanquol spojrzął

na skrytobójcę i oblizwał usta, rozmyślając jak głupota skrytobójcy niemal kosztowała go utratę zwycięstwa, a także przypomniał sobie inne klęski, za które odpowiedzialny był Chang Squik.

Doskonale, pomyślał Thanquol. Jeśli ktoś kiedyś zapyta, Thanquol będzie mógł stwierdzić, że to był tylko straszny błąd. Wezwał swoje wszystkie moce. Chang Squik pisnął w niezwykle satysfakcjonujący sposób, gdy czarna magia pożarła jego ciało.

Thanquol pozwolił sobie na krótki moment radości, a potem wybrał

następnego człowieka.

– Ty! Gdzie jest główna samica? Odpowiadaj! Żwawo-żwawo! Albo stracisz swoje żalosne życie!

– Ależ ja nie wiem, co to takiego samica – jęknął gruby mężczyzna przebrany za wielkiego różowego królika. Thanquol wzruszył ramionami i spalił go. Kolejne kości rozsypały się na marmurowej podłodze.

Wkrótce do mózgu Thanquola, nadal otumanionego przez kłębiący się w jego głowie spaczęń, dotarło, że jego strategia była zła. Ludzie nie rozumieli, czego od nich żądał. Cóż to mogło znaczyć? Dlaczego zawodziły ich słabe umysły? Ostatecznie pytał o ich główną samicę. Może powinien zapytać o nią po imieniu? Machnął na kulącą się samicę i wskazał ją palcem.

– Ty! Ty! Czy jesteś główną samicą Emmanuelle?

Samica najwyraźniej była zbyt przytłoczona samym majestatem Thanquola, by mówić. Rozniósł ją na strzępy jako nauczkę dla innych, by odpowiadali, gdy zada im pytanie. Wybrał kolejnego mężczyznę, mając nadzieję, że okaże się nieco bardziej rozumny od samicy.

– Ty – gdzie jest główna samica Emmanuelle?

Mężczyzna potrząsnął głową wyzywająco.

– Nigdy ci nie powiem. Przysiągłem służyć elektorce hrabinie bez...

Thanquol ziewnął i uwolnił następny strumień czarnej magii, zanim człowiek zdążył dokończyć zdanie. Tak bardzo nienawidził, gdy mu się sprzeciwiano. Jego okazy w domu, w Skavenblight, czyniły tak czasami, szczególnie gdy zabierał ich samice i szczenięta, by na nich eksperymentować. Pomyślał, że z pewnością ta rasa bywała z jednej strony zadziwiająca, ale z drugiej jednak głupia.

Kątem oka Thanquol zauważył dwie ludzkie samice, które szemrały między sobą. Powoli zwrócił ku nim płonące spojrzenie. Jedna z samic wyprostowała się, a druga ruszyła w jego stronę. Ściągnęła maskę pokazując bladą, ale pełną determinacji twarz.

– Zdaje się, że to mnie szukasz – powiedziała śmiało. – Jestem elektorka hrabina Emmanuelle!

Thanquol był rozczarowany. Moc spaczenia nadal przepływała przez niego, a on radował się mogąc jej używać. Nic nie równało się z dreszczem rozkoszy, gdy rozbijał pomniejsze istoty na atomy i z poczuciem władzy, jakie to dawało.

– Dobrze! Dobrze! – rzekł Thanquol. – Rozkażesz swoim oddziałom natychmiastowe poddanie się, a ja pozwolę ci żyć. Nie wykonasz tego, a ja...

Drexler zadrżał obserwując potężnego rogatego skavena krocącego przez tłum. Sam jego widok wypełnił strachem. Nie przstraszyły go czerwone, lśniące ślepie, ani sposób, w jaki jeżyła się jego sierść.

Spowodowała to moc, jaką najwyraźniej nosił w sobie.

Mistycznie dostrojone zmysły Drexlera wyczuwały, że ten stwór niemal iskrzył się od mrocznej magicznej energii. Sam był wystarczająco doświadczonego magikiem, by zauważyć, że było w tym coś głęboko nienaturalnego. Żadne żywe stworzenie nie powinno być w stanie znieść takiej potęgi, nie ponosząc żadnych konsekwencji. W najlepszym razie musiało oszaleć. W najgorszym – wybuchnąć, rozerwane przez wielkie energie wirujące w jego ciele.

Drexler zastanawiał się, jak stwór mógł zgromadzić taką potęgę?

Jedynym możliwym źródłem tak wielkiej energii był podobno czysty spacjeń. Czy to stworzenie mogło spożywać tę substancję? Takie rozwiązanie było niewiarygodne.

Może stworzeniu nie udało się używać spaczenia bez uniknięcia efektów ubocznych? Jego niewyraźna mowa i chwiejne, nierówne ruchy z pewnością wskazywały, że coś było z nim nie w porządku. Sposób, w jaki poruszał wąsami i szarpał łbem sprawiał, że wyglądał jakby był w ostatnim stadium fatalnego uzależnienia. Tak, to stworzenie było szalone.

Nie było co do tego żadnych wątpliwości. Dowodził tego fakt jak od niechcienia palił każdego, kto nie odpowiedział na jego pytania.

Pozostawała kwestia, co sam Drexler, mógł uczynić w tej sprawie.

Przerażało go własne tchórzostwo. Za każdym razem, gdy stwór gromadził swoje moce, wyczuwał to wyraźnie. Mógłby przynajmniej spróbować rzucić przeciwzakęcie, ale nie zrobił tego. Paraliżował go strach wywołany wyglądem stwora i myślą, co się z nim stanie, jeśli spróbuje się wtrącić. Był pewien, że przegra mistyczny pojedynek z tym szczuroczłekiem, a przyciągnięcie jego uwagi byłoby fatalne. Nawet, gdyby udało mu się w jakiś sposób zapanować nad magią skavena, pozostawali jego opancerzeni w czerń wojownicy, którzy wypełniali całą salę. Jedno słowo i z pewnością potną go tymi paskudnymi mieczami.

Nie uczynił zatem nic i umarło pół tuzina ludzi. Zaimponowało mu zachowanie barona Bluchera, który sprzeciwił się skavenowi tuż przed swoją śmiercią. Czemu on sam nie potrafił znaleźć w sobie tyle odwagi?

Tkwiały w nim duch uzdrowiciela był przerażony tym, że nic nie zrobił

dla uratowania życia tym ludziom. Teraz zagrożona była sama hrabina, gotowa oddać swe życie, aby ocalić poddanych. Drexler przysiągł sobie, że tym razem interweniuje, jeśli skaven zdecyduje się zaatakować.

Gdyby udało mu się temu zaradzić, nie będzie więcej magicznego zabijania.

– Nie uczynię tego – powiedziała drżącym głosem hrabina Emmanuelle. – Wolę umrzeć, niż rozkazać moim wojskom poddanie się waszemu wstrętnemu gatunkowi.

– Głupia samico – to właśnie zrobię, jeśli mi się sprzeciwisz! – rzekł

Thanquol. Podniósł łapę i mroczna energia zaślniła w niej złowróźnie.

Samica cofnęła się nieco, ale nie ruszyła dalej, ani nie otworzyła ust.

Thanquol zastanawiał się, czy istniała jakaś droga wyjścia z tego impasu.

Może przełamałby jej hardość, gdyby kazał zamęczyć w torturach kilkoro z ludzi, na jej oczach? Eksperymenty Thanquola upewniły go, że zwykle to działało. Tak, to było to! Nagle, gdzieś wokół siebie wyczuł powolne gromadzenie się magicznych energii w sali balowej. To nie była magiczna energia skavenów. Słyszał także zbliżające się biegiem kroki, a gdy odwrócił się, zobaczył skąd dochodziły.

– No proszę, co my tutaj mamy? – odezwał się szorstki, huczący głos. –

Zdaje się, że przybywamy w samą porę, aby pozabijać kilka szczurów.

Thanquol opanował w sobie potrzebę wypuszczenia piżma strachu.

Rozpoznał to szorstkie, twarde jak skała warczenie! Szary Prorok przechylił łeb w bok, by potwierdzić swoje najgorsze obawy. U wejścia do komnaty stali krasnolud Gurnisson i człowiek Jaeger, a za nimi tłoczył się tłum ludzkich oddziałów.

Thanquol zawył z frustracji i szału. Sięgnął w głąb swojej zepsutej duszy i w jednym potężnym wybuchu rzucił przeciw wrogom całą swoją śmiertcioną moc.

Felix zebrał się do skoku widząc czarną jak północ błyskawicę, która wzbierała wokół łapy Szarego Proroka. Nimb nikczemnej mistycznej mocy otaczający łeb szczuroczłeka był tak jasny, że niemal nie dało się na niego patrzeć. Gotrek stał niewzruszenie na miejscu, najwyraźniej całkowicie nie bojąc się, gdy potworne wyładowanie zostało nagle uwolnione w jego kierunku.

Rozległ się potężny trzask, skwierczenie i grzmiące odgłosy niczym od uderzenia pioruna dokładnie nad nimi. Powietrze wypełnił smród ozonu przypominający spalony metal. Felix zdawał sobie niejasno sprawę, że z łap Szarego Proroka wyskoczyły dwa strumienie energii. Jeden z nich był

wycelowany w niego. Drugi celował w Gotreka. Zamknął oczy przekonany o nadciągającej śmierci.

Zamiast spodziewanego uderzenia niesamowitego bólu, nie poczuł nic, poza nieznacznym mrowieniem ciała, a jego włosy stanęły dęba. Otworzył

oczy i zobaczył, że on i Zabójca Trolli otoczeni byli złotym polem energii.

Długie złote linie wznosiły się z otaczającej ich aury i bieły do dłoni doktora Drexlera. Felix dostrzegł wysiłek na twarzy doktora. Był

wdzięczny lekarzowi za ratunek, ale wiedział, że doktor nie powstrzyma długo burzy magicznej energii, jaka ich otaczała.

– Tylko tyle potrafisz? – ryknął Gotrek – Szczuroczłeku, twoje życie dobiegło końca!

Zabójca przebiegł przez koronę błyszczącej energii. Felix rzucił się do ataku tuż za nim.

Nie! Nie! Szary Prorok Thanquol myślał w panice widząc obu swoich wrogów, którzy pędzili w jego stronę. To nie mogła być prawda! Jak to się mogło stać? W jaki sposób ta wstrętna para pokrzyżowała jego plany w godzinie triumfu? Cóż za diabelska istota ich strzegła i sprawiała, że raz za razem wtrącali się do jego intryg? Obnażył swoje zęby warcząc i nadal wysyłał niszczycielskie moce przeciw wirującej złotej tarczy, która chroniła dwójkę wojowników przed destrukcją. Czuł, że osłona ustępuje pod bezlitosnym naciskiem jego magicznych energii.

Niestety nie ustępowała dość szybko. Sądząc po prędkości, z jaką krasnolud i człowiek zmniejszali dystans między nimi, mogli dotrzeć do Thanquola zanim oderwie ich ciało od kości. Rzucił przekleństwo i rozproszył zaklęcie wiedząc, że teraz potrzebne było coś innego niż magia.

– Żwawo! Żwawo! – rozkazał sztormverminom. – Zabić ich!

Natychmiast! Natychmiast!

Sztormvermini ruszyli do ataku z widoczną niechęcią. Słyszeli o tych dwóch. Opowieści o zniszczeniu, jakiego dokonywali wśród skavenów, były już legendarne w szeregach armii atakującej Nuln. Sama ich obecność działała demoralizująco na żołnierzy Thanquola. Sposób, w jaki krasnolud pozbawił głowy doświadczonego dowódcę pazura, jakby był

zwykłym szczenięciem, w żaden sposób nie uspokajał skavenów. Nie pomagała także wyjąca fala rozwścieczonych ludzi, którzy wdierali się do sali balowej. Thanquol wyczuł, że morale jego oddziału za kilka chwil zostanie złamane.

Prędko oszacował szanse zwycięstwa i stwierdził, że ten moment już minął, a triumf przeciekl mu między pazurami. Pozostawała kwestia obliczenia szans przetrwania. Jeśli odejdzie teraz, gdy jego oddziały nadal spowalniały pościg, Thanquol mógł dotrzeć do wychodka. Tam użyje kuli wróżebnej, by stworzyć portal prowadzący z powrotem do kanałów ściekowych. Oczywiście, na skutek odpływu mocy nie będzie miał dość sił, by otworzyć przejście dla wszystkich wojowników. Po prawdzie, wątpił, by zdołał przez nie uciec więcej niż jeden skaven.

Nadal jednak było jasne, że geniusz Thanquola musiał zostać zachowany. Powróci i zemści się innego dnia.

– Naprzód, moi śmiali sztormvermini, ku niechybnemu zwycięstwu! –

krzyknął Thanquol, a potem odwrócił się i z podwiniętym ogonem pomknął z całych sił. Nie potrzebna było intuicji Szarego Proroka, by wiedzieć, że rzeź za nim będzie jednostronna i bezlitosna.

EPILOG

„Otóż skaveni zostali wyparci z miasta, chociaż za straszną cenę zniszczeń dobytku i śmierci jego obrońców. Chciałem odpocząć i odetchnąć po takich zmaganiach, ale tak się stać nie miało. Ręka zagłady sięgnęła po mojego towarzysza. I tak zaczęła się podróż, która miała zakończyć się w najdalszych i najbardziej zapomnianych przez bogów rubieżach świata...”

– Fragment z *Moich Podróży z Gotrekiem*, Tom III, spisanych przez Herr Felixa Jaegera

(Wydawnictwo Altdorf, rok 2505)

Felix siadł na krześle w gospodzie Pod Ślepą Świnia i skończył pisać notatki w swoim dzienniku. Miał zamiar zostawić tę książkę na przechowanie u Otto, aż nadejdzie odpowiedni czas, by po nią powrócić.

Jeśli kiedyś przyjdzie, by spisać opowieść o heroicznej zagładzie Zabójcy, wówczas zapiski mogą okazać się bezcenne.

Z zewnątrz dobiegał odgłos uderzeń młotów. Murarze pracowali już od tygodni, starając się odbudować zrujnowane w czasie bitwy miasto i przywrócić je dawnej chwale. Felix wiedział, że minie wiele lat zanim Nuln w pełni powróci do swojej świetności. Tak czy inaczej, nie był tym zbytnio zatroskany. Wszystko skończyło się dobrze, mniej lub więcej.

Elektorka była wdzięczna, ale nie mogła zbyt szczerze nagrodzić przestępców poszukiwanych przez władze w Altdorfie nie sprzeciwiając się samemu Imperatorowi. Nastąpiło wiele zapewnień o wdzięczności i słodkich uśmiechów podziękowania, ale nic więcej. Felix nie dbał o to.

Cieszył się tylko, że uniknął wtrącenia do więzienia, podobnie jak radowało go, że przeżył noc podczas bitwy, po wdarciu się skavenów do pałacu.

Nadal drżał na wspomnienie o dzikich walkach, jakie toczyły się na ulicach między ludźmi i skavenami. Niemal całą noc i resztę następnego dnia zajęło oczyszczenie miasta. Ludzie nie spali podczas kolejnej nocy, nie mogąc uwierzyć, że są bezpieczni. Kilka następnych dni zajęło polowanie, w celu wywabienia skavenów z kryjówek i Felix ciągle nie był

pewien, czy kanały ściekowe zostały całkowicie od nich uwolnione.

Z drugiej strony, zaraza wygasła. Może to wielki ogień oczyścił miasto

– a może po prostu choroba zabrała wszystkie dusze, jakie była w stanie zabrać. Drexler twierdził, że tak często działo się z zarazami. Teraz znikła.

Nie donoszono o nowych ofiarach. Nie zostali zarażeni żadni nowi ludzie.

Co ciekawe, znikła także wielka plaga szczurów. W ciągu ostatnich dni pojawiało się ich coraz więcej, ale wydawały się słabsze i nosiły stygmaty mutacji, jakby coś było nie tak zanim jeszcze się

urodziły. Pojawiło się wiele następnych generacji pasożytów. Wyglądało to tak, jakby zostały stworzone przez skaveny i celowo obarczone jakąś przemyślaną wadą.

Może miały za zadanie objeść miasto, a potem wymrzeć zostawiając skavenom wszystko, co pozostanie? Był to pomysł tak nikczemny i przebiegły, że Felix zadrżał. Czy szczuroludzie naprawdę byli zdolni do takich rzeczy? Czy był to tylko wypadek?

Gdzieś w oddali rozległy się dzwony świątynne. Oczywiście, kapłani utrzymywali, że to wyznawani przez nich bogowie interweniowali, by ocalić Nuln. Tak zwykle bywało w takich przypadkach. Felix nie widział

ani jednego przypadku, by nieśmiertelni uczynili cokolwiek dla oszczędzenia Nuln, ale kimże był, by wiedzieć to na pewno? Może byli tam, niewidzialnie strzegąc ludzi, tak jak twierdził Drexler? Z pewnością Felix pomyślał, że Gotrek i on sam mieli wiele szczęścia, co mogło być łaską okazaną przez bogów.

Bogowie oszczędzili także innych. Otto i jego żona byli bezpieczni, a nawet radzili sobie doskonale. Jak przewidział jego brat, pojawił się wielki popyt na wszelkiego rodzaju towary potrzebne do odbudowy, a Jaegerowie z Altdorfu pomagali je dostarczać.

Drexler wrócił do zdrowia po swojej czarodziejskiej bitwie z Szarym Prorokiem. Felix odwiedzał go kilkakrotnie od tamtej pamiętnej nocy i mężczyzna wyglądał obecnie na bardziej spokojnego i serdecznego niż kiedykolwiek wcześniej. Pewnego razu w domu doktora Felix spotkał

nawet Ostwalda. Szef szpiegów potraktował Felixa z szacunkiem bliskim czci dla bohatera, co było krępujące.

Heinz i większość jego najemników czuła się dobrze. Stary karczmarz nieźle oberwał w głowę, którą trzeba było owinać w tak wiele bandaży, że wyglądał jak Arab, ale nadal stał za szynkiem nalewając piwo.

Felix nie miał pojęcia, gdzie znajdowała się Elissa. Nie widział jej ani Hansa od dnia przed wybuchem bitwy i nikt nie wiedział, gdzie mogli przebywać. Szczerze ufał, że miała się dobrze i uciekła do swojej rodzinnej wioski. Nadal mu jej brakowało.

Obywatele miasta w większości byli szczęśliwi. Przeżyli i odbudowywali miasto. W każdym razie, życie wróciło do normy i Felix oczekiwał miłego, długiego wypoczynku.

Uniknąwszy po raz kolejny heroicznej zagłady, przez kilka dni po zakończeniu walki Gotrek łąził jak niedźwiedź z bolącym łbem, aż zebrał

się w sobie biorąc udział w trwającej trzy dni hulance z pijaństwem i bijatykami. Teraz siedział w kącie gospody Pod Ślepą Świnią lecząc kaca i wołając o ale.

Drzwi gospody otworzyły się na oścież i wszedł inny krasnolud. Był

niższy od Gotreka i lżejszej budowy. Wokół głowy okręcony miał

czerwony materiał, a jego broda była krótko przycięta. Ubranie przybysza podzielone było na czerwone i żółte kwadraty o nieziemskiej jaskrawości.

Rozejrzał się i jego oczy rozszerzyły się, gdy zauważył Gotreka. Ruszył

pewnie w stronę Zabójcy. Felix zamknął swój dziennik, odłożył pióro i przyglądał się zainteresowany.

– Ty jesteś Gotrek, syn Gurniego, Zabójca? – spytał nieznajomy, mówiąc w Reikspielu, jak często czyniły to krasnoludy, gdy słuchali ich ludzie. Felix wiedział, że nie lubili, gdy ktoś słyszał ich sekretny język.

– A jeśli nim jestem? – powiedział Gotrek w swój najbardziej grubiański i oschły sposób. – Chcesz czegoś ode mnie?

– Jestem Nor Norrison, przysięgły kurier klanów. Mam dla ciebie wiadomość o wielkiej wadze. Przebyłem tysiąc mil, aby ją dostarczyć.

– Cóż, mów zatem? Nie mam całego dnia do stracenia.

– To nie jest wiadomość słowna. Została spisana pismem runicznym.

Potrafisz czytać, nieprawdaż?

– Równie dobrze, jak potrafię wybić zęby kurierowi, który mnie obraża!

Kurier wyciągnął z wielkim namaszczeniem pergaminową kopertę, Gotrek wziął ją i otworzył. Zaczął czytać. Jego twarz zbladła. Broda zjeżyła się, a oczy rozszerzyły.

– Co to takiego? – zapytał Felix.

– Chwalebna zagłada, człeczyno. Zaiste chwalebna zagłada – wstał Z

krzesła i sięgnął po topór. – Zbieraj swoje manatki. Ruszamy.

– Dokąd?

– Najprawdopodobniej na koniec ziemi – rzekł Gotrek i nie dał się namówić do powiedzenia czegoś więcej.